

GEARS OF WAR

POLA ASPHO

KAREN TRAVISS

*Pamięci II Batalionu Pulku MERCIAN
i wszystkich brytyjskich służb
stacjonujących w Afganistanie.
Ponieważ to tylko o nich, o prawdziwych bohaterach
w prawdziwym świecie, powinno się pisać.*

PODZIĘKOWANIA

Pragnę podziękować mojemu wydawcy z Del Rey, Keithowi Claytonowi, który cierpliwie toleruje moją miłość do dziwacznych pancerzy i futurystycznych broni, a także producentowi Rodowi Fergussonowi, prezesowi Epic Games, Mike'owi Cappsowi, i oczywiście Cliffowi Bleszinskiemu -ponieważ to oni sprawili, że „Gears of War” jest przede wszystkim studium ludzkich emocji. Dziękuję również Jimowi Gilmerowi za to, iż podzielił się ze mną swoją wiedzą i doświadczeniem lekarza oddziału urazowego w dziedzinie ran powstałych po użyciu piły mechanicznej, oraz snajperowi Rayowi Ramirezowi - za przyjaźń i doradztwo techniczne. Podziękowania należą się także Jer-remu Holkinsowi i Mike'owi Krahulikowi z „Pen-ny Arcade”, którzy obiecali mi, że „Gears of War” trafią do mnie, i obietnicy tej dotrzykali. Ponadto pragnę złożyć podziękowania wszystkim ludziom, którzy z dumą noszą mundur i którzy poświęcili swój cenny czas, by przekazać mi swoją wiedzę. To oni swoją odwagą i skromnością nauczyli mnie pokory.

PROLOG

CZAS AKCJI: 14 LAT PO DNIU WYJŚCIA

MIEJSCE AKCJI: PODZIEMIA PLANETY SERA

Przez pewien czas, jeszcze przed Dniem Wyjścia, ludzie na planecie Sera mieli złudne wrażenie pokoju. Trwało to do dnia, w którym na powierzchnię planety wydostaliśmy się my. Nasz atak zrównał z ziemią niejedno miasto. Walczyliśmy i zabijaliśmy ludzi na ich nieskażonych krwią ulicach, w domach, na polach bitwy.

Bronili się.

Z czasem ich potęga została unicestwiona. Miliardy ludzi straciły życie. Ale nie poddawali się. Chcąc odzyskać kontrolę, sami zaczęli niszczyć swoją cywilizację, przypuszczając miazdzące ataki na własne terytoria i poświęcając mieszkających na nich niedobitków. Robili wszystko, aby nas ubiec i nie pozwolić nam zdobyć ich ziem. Nienawidzą nas za to. I boją się nas.

Musimy zrozumieć, co trzeba zrobić, aby ocalić nasz świat. I co ludzie zechcą uczynić, aby przetrwać. Nie dopuścimy do ich zwycięstwa. To my wygramy.

Desperacka walka, jaką ludzie toczą od lat, teraz dobiega końca.

KRÓLOWA MYRRAH
PRZEMAWIAJĄCA DO ODDZIAŁÓW SZARAŃCZY
CZEKAJĄCYCH NA PIERWSZE STARCIE

MIEJSKI PATROL W EPHYRZE

14 DNI PO DNIU WYJŚCIA;

TYDZIEŃ PO ZBOMBARDOWANIU POZYCJI SZARAŃCZY

Mógłbym przysiąc, że czuję zapach pieczonego mięsa.

I to nie jest smród palonych zwłok - ten fetor wyczuję zawsze i wszędzie. To woń mięsa, prawdziwego mięsa. I gorzkawy, drażniący gardło zapach żarzącego się węgla drzewnego, ciekącego tłuszczu, przypraw...

Dziś ja odpowiadam za rozpoznanie. Podnoszę rękę i oddział staje w miejscu.

Gdy patrolujesz okolice, węch to jeden z ważniejszych zmysłów. Pozwala ocenić sytuację, wykryć niebezpieczeństwo. Tak jak wzrok, słuch, intuicja. Węch może cię uratować. Czujesz wszystko i wszystkich, w tym także tych nieżywych. Nos wyczuwa, jak długo są martwi. Wyczuwa wystrzał, wyciek paliwa i świeże powietrze, gdy szukasz wyjścia. Ale wróg też czuje. Czuje ciebie.

Ile Szarańczy zostało?

Marcus rozejrzał się powoli. Jego twarz była skupiona, jak gdyby próbował zapamiętać każdy szczegół terenu i układ wszystkich okolicznych budynków.

- Dom, co to jest? - zapytał, odwracając się w moją stronę. - Czujesz?

Ktoś w tym mieście najwyraźniej próbuje wieść normalne życie, udając, że to zwykły letni dzień. Taki jak przed laty, jeszcze zanim nastąpiła wojna. Miliardy ludzi zginęły, a mimo tego ci, którzy przetrwali, nadal chcą wierzyć, że może być jak kiedyś. Nawet ja, bez mojej żony i dzieci. Lu-

dzie zawsze znajdą powód, dla którego warto żyć i cieszyć się każdym dniem.

Marcus przystanął, powoli wciągnął nosem powietrze. Nie trzymał już bronii tak kurczowo jak wcześniej.

-To pies? - rzucił pytająco. - Tak, to pies. Trochę przypalony...

-Zamawiam udko - powiedział Augustus Cole, chichocząc pod nosem. - Nawet dwa, jeśli to jeden z tych kundli, których tu wszędzie pełno.

-Cholera, ci Odrzuceni zeżrą wszystko - wycodził z pogardą Baird.

Ich mechanik zawsze przy takich okazjach powtarzał, że nie ma czasu patyczkować się z tymi wszystkimi uciekinierami, którzy nie wierzą w potęgę i dobrą wolę Koalicji. Ale kto ma? Zresztą, jak dla mnie, Odrzuceni równie dobrze mogliby nie istnieć.

- Może pewnego dnia zaczną się zjadać sami? - stwierdziłem. - Oszczędzą nam kilku patroli.

Odrzuceni... Ci ludzie sami zdecydowali o swoim losie, wybierając życie na obrzeżach miasta. Oczywiście mogliby w każdej chwili zgłosić się do oddziałów, odbyć służbę w COG i mieć pełne żołądki, jak my wszyscy, ale ci dumnie wolą udawać, że są niezależni - jakby to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie.

- Taaa, to by było miłe z ich strony - mruknął Marcus, wchodząc na szczyt pobliskiego rumowiska.

W sumie Baird ma rację. Chociaż wszyscy mamy wybór, to głupota bawić się w suwerenność, kiedy cała ludzkość stoi na krawędzi zagłady. Jeśli mamy przetrwać, musimy trzymać się razem.

Chociaż nie, to coś gorszego niż głupota. To cholerne samobójstwo.

Nagle zaczęło się - pod butami wyczułem delikatne drżenie.

Marcus twierdzi, że węch to najważniejszy zmysł. Mówi, że kiedy jakiś zapach chwyci cię za jaja, cała twoja uwaga jest skupiona tylko na tym. Jego stary jest naukowcem, więc pewnie wie, co mówi. Ale nawet jeśli to prawda, tutaj to tak nie działa. Tu, w tym mieście, musisz odbierać otoczenie wszystkimi zmysłami. Zwłaszcza drgania wychodzące z głębi ziemi. Dzięki nim wiesz, że Szarańcza jest gdzieś blisko. Czujesz to instynktownie - całym sobą. I masz pewność, że te gnidy właśnie chcą wyleźć na powierzchnię.

No cóż, jak widać, przetrwało ich jeszcze sporo, choć przecież nie raz wysadzaliśmy te ich cholerne tunele. Oby tylko to były jakieś niedobitki.

- Idziemy - powiedział Cole, raz po raz zerkając na swojego Lancera, jakby spodziewał się, że ktoś zaraz sprawdzi, w jakim stanie utrzymuje broń. - Cholera, mam nadzieję, że ci głupi Odrzuceni mają jakiś browar. Psa trzeba przecieć czymś zapić.

„Stary, zapomnij teraz o piwie” - skarciłem go w duchu.

Jakieś piętnaście metrów przed nami ziemia lekko opadła, by zaraz potem wybrzuszyć się niczym gejzer, eksplodując omszałym brukiem pokruszonym na tysiące kawałeczków. Reaguję. Wszyscy reagujemy. Robimy to odruchowo. Nie ma czasu na myślenie. Byłem w takiej sytuacji już tyle razy, że moje ciało wie, iż nie musi mnie pytać o pozwolenie na otwarcie ognia.

Po chwili kopiec ziemi gwałtownie otworzył się i z jego głębi na powierzchnię wyskoczyła grupa Szarańczy. Wielkie, obrzydliwe, szare Trutnie. To zastanawiające, że coś, co ma głowę, dwie nogi i dwie ręce, może wyglądać tak obco.

Skoncentrowaliśmy swój ogień na jednym miejscu - dokładnie tam, gdzie tłoczyła się Szarańcza. Tamci odpowiedzieli nam takim samym ostrzałem. Powietrze rozdarła ogłuszająca kanonada. Jeden Truteń pada, reszta kotłuje się i wciąż strzela na oślep w naszym kierunku.

Potężnym susem doskoczyłem do wypalonego wraku samochodu i przykucnąłem za nim, oddając kolejne salwy. Nagle poczułem się tak, jakby ktoś zacisnął imadło na moim karku i ramionach. To jeden z Trutni pochwycił mnie i zaczął wlec po ziemi ku wyrwie. Postrzępione skrawki metalu walające się pośród gruzu rozorały mi rękę w kilku miejscach aż do żywego mięsa. Próbowałem obrócić się i sięgnąć ostrzem piły Lancera do brzucha tamtego, ale jego uchwyt był zbyt mocny i niemal zupełnie mnie unieruchomił. Resztkami sił sięgnąłem po nóż. W uszach wciąż dzwoniła mi kanonada. Augustus coś krzyczał, Baird dyszał ciężko jak parowóz i tylko od strony Marcusa zalegała cisza, przerywana ledwie pojedynczymi wystrzałami. Coś mokrego rozprysnęło się na mojej twarzy. Powoli zacząłem tracić przytomność.

„Ale zanim odpłynę - pomyślałem gorączkowo - zabiorę tego drania ze sobą”.

Wbiłem nóż w Trutnia, a potem zacząłem zadawać kolejne ciosy w każdą część jego ciała, do której tylko mogłem dosięgnąć.

„To za moje dzieci!” - krzyczałem w myślach. „Za Marię! Za moich ludzi!”

Chwilę potem ogłuszył mnie huk - jakby granat eksplodował tuż koło mojego ucha. „Wciąż oddycham” - przemknęło mi przez głowę.

Poczułem, jak moje ciało oblewa jakaś ciepła maź. Mój napastnik upadł, ale nadal trzymał mnie w stalowym uścisku, który odbierał mi dech. Kątem oka zobaczyłem, że oderwało mu niemal pół łba. Wokół panowała absolutna cisza. Oswobodziłem się z uchwytu, usiadłem i rozejrzałem, uświadamiając sobie, że żaden z nas nie mógł oddać strzału, który tak urządził tego drania.

Marcus pochylił się nad Trutniem i wydłubał z jego czaszki pocisk.

- Snajper - powiedział oschle i starł rękawem krew ze swojej twarzy.

Wszyscy żołnierze Szarańczy leżeli martwi. My byliśmy w komplecie. Czyli jest dobrze.

-I to żaden z naszych - dodał po chwili Marcus. - Ta amunicja nie była używana od lat.

Nienawidzę niespodzianek. Nawet takich, które ratują mi tyłek. Ale jeśli już, to lepiej, żeby ktoś, kto tak strzela, był po naszej stronie.

JEDEN

Kiedy byłem tam po raz pierwszy, miałem wrażenie, że to jakieś muzeum. No wiesz, wielkie pokoje pełne książek i starych obrazów. Do tego cały dom zdawał się opustoszały. Panował tam ten rodzaj ciszy, który każe ci się zamknąć i z respektem chłonąć obecność na każdym kroku historii. W pewnym momencie przez ogromne drzwi weszła mama Marcusa. Czytała jakieś dokumenty, które trzymała w rękach. Nie odrywając od nich wzroku, powiedziała: „Witaj, skarbie. Widzę, że przyprowadziłeś kolegów. Zobaczymy się później, dobrze?”. A potem wyszła. Spojrzałem wtedy na Marcusa i doskonale wiedziałem, że temu chłopakowi o wiele bardziej niż jakakolwiek biblioteka potrzebny jest brat.

CAHLOS SANTIAGO

WSPOMINA DZIEŃ, GDY JAKO 10-LETNI CHŁOPIEC
SPOTKAŁ SIĘ Z RODZINĄ MARCUSA FENIKSA
W JEJ POSIADŁOŚCI

EPHYRA, DZIEŃ OBECNY 14

LAT PO DNIU WYJŚCIA

Dom Santiago doszedł do wniosku, że tajemniczy snajper, który swoim strzałem roztrzaskał łeb Trutnia, świadczył mu ogromną przysługę. Nie zastanawiał się teraz, ile jeszcze stworów może być w okolicy - na drżących

wciąż nogach podszedł do krawędzi ogromnej wyrwy. Broń miał w pogotowiu, na wypadek gdyby chciały go zaatakować jakieś niedobitki. Część jego umysłu gorączkowo analizowała, czym było spowodowane owo drżenie nóg. Może to po prostu adrenalina?

„Gównu” - pomyślał. „Sam się oszukuję. Ten Truteń prawie wycisnął ze mnie życie, a kula przeszła ledwie o milimetr od mojej głowy. To strach, a nie adrenalina...”

Nie, to nigdy nie przestało być przerażające. A dzień, w którym tak by się stało, byłby jego ostatnim.

W wyrwie poniżej, pośród płataniny popękanych rur i porwanych kabli, panował całkowity bezruch - nie licząc osypujących się kamyczków i opadającego kurzu. Dom nie czuł pod nogami nic poza lekkim kołysaniem. Podziemne wibracje ustały, a zapach pieczonego psa zszedł na plan drugi, przytłoczony smrodem przypalonych wnętrzności i prochu.

-Hej, cwaniaku - zawołał Baird, stojąc na środku pustej ulicy. - Niezły strzał. A teraz wyjdź i się pokaż.

-Lepiej krzycz głośniejsze - upomniał go Cole. - On może być o milę stąd.

Zawsze trudno było namierzyć snajpera, a tu, w tym labiryncie ruin, istniały w dodatku tysiące miejsc, w których łatwo się ukryć. Marcus przykucnął i jeszcze raz przyjrzał się temu, co zostało z głowy Trutnia. Potem otaksował spojrzeniem ulicę i wskazał ręką południowy jej kraniec.

- Nie, jest znacznie bliżej - oświadczył. - Pocisk wlaź w czaszkę od góry. Duży kąt i sporo energii kinetycznej.

Dom spojrzał w tę stronę i próbował rozszyfrować, z którego miejsca snajper miałby najlepsze pole widzenia.

W tym czasie Marcus powoli wycofał się pod najbliższy mur i sięgnął do słuchawki w uchu.

-Delta do bazy - powiedział spokojnym głosem. - Macie snajperów na południe od Embry? Jakichś Gearów?

-Nie potwierdzam - rozległo się w słuchawce.

To porucznik Anya Stroud, jak zawsze czujna i gotowa, nawet po osiemnastu godzinach służby. Złośliwi powiadają, że nigdy nie śpi, ale prawda jest taka, że kiedy oddział Delta jest w akcji, ona jest także.

- A co, potrzebujecie ludzi? - spytała po chwili.

-Już nie.

-Jakieś tajemnice, sierzancie?

-Nie, mamy tu po prostu gościa z jakimś antycznym karabinem snajperskim. Może być pomocny, ale nie potrafimy go zlokalizować.

-ok. Dziękuję za cynk. Będę to miała na uwadze.

Przez cały ten czas Augustus bacznie obserwował dachy budynków. Z kolei Baird opuścił nieco swojego Lance-
ra i zaczął iść przed siebie.

-Wynośmy się stąd - powiedział. - Może ten ktoś poczuł się na moment patriotą i zrobił swoje, a teraz myśli, że to już koniec wojny?

-A może - odparł Marcus - mierzył w Santiago i chybił. A to by oznaczało, że walka wcale się jeszcze nie skończyła.

-Odrzuceni nigdy z nami nie zadzierali. Nie są aż tak głupi.

-Stary karabin snajperski, doskonały strzał... - Marcus przeładował ostentacyjnie broń. - Po prostu jestem ostrożny.

Baird nawet się nie obejrzał. Przeskoczył przez zburzony do połowy murek.

- Wielu Odrzuconych jest świetnymi strzelcami - rzucił przez ramię. - Nie znaczy to jednak, że mamy ich teraz szukać i werbować.

Miał rację. Jak długo nikt do nich nie strzelał, nie powinien zaprzętać ich uwagi. Inna sprawa, że ktoś tam w ruinach miał karabin snajperski, a to oznaczało, że musiał go ukraść. Takie przedmioty były teraz rzadkością. Niewiele fabryk produkowało do nich części zamienne, nie wspominając o wypuszczaniu nowych modeli. Co więcej, każdy rodzaj sprzętu, począwszy od Kruków poprzez Armadillo aż po karabiny szturmowe, wymagał stałych napraw. Jak wszyscy Gearzy, Dom potrafił radzić sobie w takich sytuacjach. Po prostu brał potrzebne części z tego, co znalazł po drodze - a Baird był w tym mistrzem - ale inni...

- Może i masz rację, ale chyba jednak powinniśmy to sprawdzić - powiedział nagle Dom. - Bo jeśli karabin nie jest kradziony, to oznacza to tylko jedno: że mamy do czynienia z weteranem.

Baird przystanął na chwilę, żeby podnieść coś z ziemi. Kiedy uniósł znalezisko do oczu, by przyjrzeć mu się z bliska, Dom rozpoznał część serwomechanizmu.

- To stary sprzęt, a oni to złodziejskie szumowiny - wymamrotał Baird i wsunął element do kieszeni. - Dlatego żaden z nas nie będzie się wahać za jakimś dupkiem, na wet jeśli potrafi tak celnie strzelać.

I znowu ten arogancki dupek miał rację. Dom od dawna marzył o tym, żeby ujrzeć jego minę, kiedy się myli i choć na chwilę zamyka tę swoją jadaczkę. Owszem, nasi weterani masowo zaciągali się po Dniu Wyjścia, nawet ci

całkiem starzy, ponieważ dano im tylko jeden cholerny wybór: walczyć w szeregach cog albo zdechnąć. Ale niektórzy z nich zdecydowali się na jeszcze inną opcję. Bo tylko martwi nie robili nic.

- Każdy karabin jest na wagę złota - oświadczył chłod

no Santiago. -1 każdy człowiek.

Potem odwrócił się do Marcusa i gestem wskazał miejsce, z którego mógł paść strzał.

-Dajcie mi dziesięć minut - dodał.

-Zaintrygowałeś mnie - powiedział Cole i zawiesił Lancera na ramieniu. - Chyba się do ciebie przyłączę.

Fenix westchnął ciężko.

- W porządku - rzucił, machając ręką. - Ale bądźmy w kontakcie radiowym. Baird? Baird, rusz tyłek i chodź tutaj.

Połowa okolicznych budynków należała kiedyś do centrów bankowych, jak wszędzie, otoczonych barami szybkiej obsługi oraz kafejkami wiecznie zapełnionymi tłumami urzędników. Teraz panowała tu idealna martwota. Dom sięgnął pamięcią do czasów sprzed Dnia Wyjścia, kiedy to starannie zapakowane kanapki, jakich próżno dziś szukać, leżały w równych szeregach na wystawach sklepowych. W wojsku karmili ich całkiem nieźle, ale nie były to rarytasy. Na pewno jednak mieli lepsze żarcie niż Od-rzuceni.

„Pieczony pies" - pomyślał. „Kto, do cholery, żre coś takiego?"

Granitowa, lśniąca niegdyś fasada banku wyglądała jak ruina. W szczelinach muru powstałych po wstrząsach zakorzeniło się kilka wątłych roślin. Nic więcej tu nie wyrosło i nie wyrośnie, bo nie ma na to szans.

Weszli do wnętrza spalonego budynku. Podłoga była tu doszczętnie zniszczona, a do tego brakowało jakiegokolwiek zakamarka, w którym mogliby się ukryć w razie ataku. Najwyraźniej wszystko, co można było stąd wymontować - drewniane i metalowe elementy wyposażenia, kable energetyczne, rury - zostało rozkradzione już dawno temu. Nic tylko wielka, pusta przestrzeń.

- Co za gówno - powiedział rozbawiony Cole. - I pomyśleć, że trzymałem w tym banku wszystkie swoje oszczędności.

Ten osiłek był kiedyś gwiazdą thrashballu i prawdziwym bogaczem, ale te czasy dawno już minęły. Teraz bardziej liczyło się dla niego to, co potrafi w boju i ile ma rzeczy na wymianę. Zawsze jednak traktował zaprzepaszczenie swoich milionów jak jeden wielki żart i, co więcej, potrafił się z tego śmiać. Pewnie dlatego, że prawdziwym Gearom niewiele było potrzeba do szczęścia. Dom już dawno temu doszedł do wniosku, że kiedy wszystko wróci do normy, weźmie przykład z Augustusa i zacznie traktować pieniądze jak coś, co raz przychodzi, a raz odchodzi. Ważniejsi są ludzie. Ich nie można niczym zastąpić ani kupić. Dlatego powinniśmy żyć pełnią życia.

„Kiedy odnajdę Marię - pomyślał - nie zmarnuję ani jednej chwili”.

Uważnie otaksował wnętrze budynku, a potem zajrzał do głębokiego krateru zięjącego w miejscu, w którym kiedyś stała marmurowa lada. Na jego dnie, gdzie kiedyś najprawdopodobniej mieściły się podziemia banku, dostrzegł wejście do starego sejfu i leżące obok wrota wysadzone potężnym wybuchem. Wokół panował idealny bezruch.

-No, stary - rzucił do Augustusa. - Lepiej wycofaj to zamówienie na jacht.

-Buch! - usłyszał tuż za sobą, czując gwałtowne szarpnięcie. - Uważaj, chłopie... Szukasz tam naszego snajpera?

Tyłna ściana budynku przypominała jedno wielkie rumowisko i wyglądało to tak, jakby cały sufit runął tu z wielkiej wysokości. Zakopana do połowy stertą cegieł, kamiennej oblicówki i roztrzaskanych legarów, miała wygląd klifu z pustymi oczodołami okien bez szyb. To było właśnie to - idealna pozycja dla snajpera. Wszystko zależało od tego, co znajdowało się za tą ścianą. Dom przewiesił swojego Lancera przez ramię i zaczął wspinać się po pochyłości, żeby to sprawdzić.

-Człowieku, nikogo tam nie ma - zawołał Cole, zatrzymując się w miejscu. - Po co nam ta gimnastyka?

-Sprawdzę i zaraz wracam.

Chwycił za zardzewiały pręt i podciągnął się ku belkom stropowym, które ledwie wystawały ze ściany. Jego ciężkie wojskowe buty nie nadawały się do tego rodzaju wspinaczki i musiał bardziej ufać sile swoich rąk niż nóg, a im wyżej wchodził, tym bardziej martwił się drogą powrotną.

- Musiał być gdzieś na tej wysokości, żeby oddać tam ten strzał - rzucił do Augustusa, wciąż stojącego w dole.

Sięgnął do parapetu tuż nad nim i wdrapał się na niego, a potem, przytrzymując się kamiennych balustrad po obu stronach, stanął w oknie. W tym miejscu mur był wielki i solidny, niczym ściana jakiegoś bastionu, a jego szerokość pozwalała Domowi pewnie na nim stanąć - nawet w ciężkich wojskowych glanach.

Po drugiej stronie przyległe budynki tworzyły coś w rodzaju schodów. Jeśli ktokolwiek tu był, nie miał żadnych trudności z zejściem na dół.

-Widzisz coś? - zawołał Cole z dołu.

-Zwykle gówno - odpowiedział, rozglądając się po okolicy. - Na pewno nie jest to widok nadający się na pocztówkę. No chyba że mieszkasz w jeszcze większym syfie.

Poniżej rozpościerała się osada Odrzuconych, która wyglądała jak wyjałowione, pozbawione roślinności pobojowisko. W oddali dostrzegł nagle smugi dymu ulatujące z kominów prowizorycznych domostw. Pomiędzy częścią osady zbudowanej na granitowych fundamentach byłego bastionu COG a obszarem, gdzie rozciągała się miękka, spękana skała pozwalająca Szarańczy drążyć ich tunele, widniała wyraźna linia. Granica ta oddzielała centrum osady, gdzie budynki były mniej zniszczone, od reszty zdewastowanego terenu. Zapewne to tutaj żyła większość Odrzuconych, licząc, że mieszkanie na tym obszarze zwiększy ich szanse na przetrwanie.

„Ich życie, ich wybór” - pomyślał.

To nie był widok, do którego Dom przywykł w bazie. Świat zastygł tutaj w jakimś niezwykłym, złowieszczym spokoju - pozbawiony codziennego zgiełku, ruchu tworzącego sekwencje chaotycznych obrazów. Zamyślił się na chwilę. Nawet po dziesięciu latach wciąż próbował wyobrazić sobie miejsce, w którym mieszkała teraz Maria. A potem zaczął marzyć, jak to będzie, kiedy odbudują Serę, ale była to tak ulotna i niepewna wizja, że szybko to zarzucił i skupił się na otoczeniu.

- Dom, jeśli postoisz tam jeszcze chwilę, ktoś w końcu odstrzeli ci tyłek - krzyknął Augustus. - Wracajmy do naszych.

Santiago nie wierzył, żeby snajper odszedł daleko. Niełatwo przemieszczać się po takim terenie. Trzeba się ciągle czołgać, wspinać, schylać i przekopywać. Do tego to idealne miejsce, żeby się rozpląnąć niczym we mgle. Dlatego był pewien, że gdziekolwiek jego wybawca się ukrywał, siedział gdzieś w pobliżu.

- Na pewno nas teraz widzi - zawołał do Cole'a.

Starał się nie myśleć o tym, jak wysoko znajdował się parapet. Po prostu odwrócił się i skoczył, licząc, że żwir i grube podeszwy jego butów zamortyzują upadek. Zęby zadzwoniły mu niebezpiecznie. Ruszyli w drogę powrotną.

- Ma tam swój punkt obserwacyjny - powiedział Dom, kiedy dotarli do oddziału. - Nie wiem po co, ale...

Marcusa nie interesowało jednak żadne „ale”. Miał wieści z bazy, które zepchnęły temat snajpera na plan dalszy.

- Dobra - przerwał przyjacielowi. - A teraz ruchy, panowie. Oddział Echo natknął się na Trutnie trzy kilometry na zachód stąd. Przemieszczają się rozpadliną na bulwarze Sovereign. Możemy tam dotrzeć, zanim przybędzie nasza kawaleria powietrzna.

Wszystko to powiedział monotonnym, nieco znużonym głosem. Taki już był. Nawet jeśli musiał krzyknąć, zazwyczaj tylko nieznacznie podnosił głos. Dom i tym razem nie dostrzegł w nim cienia złości czy irytacji, ale cholernie dobrze wiedział, że to tylko przykrywka mająca ukryć brak wiary Marcusa w sens tej operacji.

-Ilu? - spytał Santiago.

-Dwunastu.

-To oznacza, że są rozproszeni - stwierdził Baird. W swoim mniemaniu był absolutnym specjalistą od Szańców. I w sumie słusznie.

-Damy radę, Damon - rzucił Dom, szturchając zadziornie mechanika. - Przecież wiemy, jak się wysadza tych skurwiele w powietrze.

-Chciałeś chyba powiedzieć, że to Marcus da radę - odpowiedział mu Baird. - Tylko on wie, jak używać ładunków wybuchowych w ich tunelach.

-O, to może Hoffman powinien oddać mu swoje oznaczenia - zażartował Cole.

-Dajcie już spokój - uciął Marcus i odwróciwszy się, ruszył w stronę bulwaru Sovereign. Dobrze wiedział, że najskuteczniejsze patrole to takie, które poruszają się pieszo. Z konieczności. Po prostu zawsze brakowało wozów APC. - Te niedobitki mogą przewyższać nas liczebnie. Musimy sprawdzić, ilu ich jeszcze zostało.

Dom zawsze cenił u siebie to, że nie okazywał słabości. Podobnie jak jego ojciec i brat, Carlos. Nigdy nie wolno tracić wiary. Ani nadziei. Carlos nazywał to wewnętrzną siłą. Facet musi być twardzielem i nie może poddawać się przy pierwszym lepszym niepowodzeniu. Jednak po czternastu latach walki, kiedy przy życiu zostało ledwie kilka milionów ludzi, był gotowy chwycić się każdej możliwości, żeby tylko ten koszmar wreszcie się skończył.

„Tyle że wtedy nadejdzie inny koszmar” - pomyślał.
„Będziemy musieli zbudować wszystko od początku. Ale to i tak lepsze od tego, co jest teraz, kiedy każdy twój dzień może być ostatnim”.

To, czym martwił się najbardziej, to świadomość, że jeśli teraz umrze, nigdy już nie spotka Marii.

-Jestem tuż za tobą - powiedział i pobiegł za Marcusem.

**BIURO PRZEWODNICZĄCEGO RICHARDA PRESCOTTA,
KWATERA GŁÓWNA COG, JACINTO**

Pułkownik Victor Hoffman miał do spotkania jeszcze pięć minut, wszedł więc do łazienki, aby doprowadzić swój mundur do ładu. Uniform był już mocno sfatygowany, ale wiedział, że jeśli coś się zaniedbuje - cokolwiek - wszystko traci swój sens. To było tak samo ważne jak przetrwanie ich kultury czy nawet całej cywilizacji. Może nawet bardziej. Muzea i galerie sztuki mogłyby zniknąć pewnego dnia z powierzchni planety, a to i tak nie miałyby większego znaczenia dla społeczności Sery. Ale sposób, w jaki człowiek się zachowuje, te wszystkie proste zasady, którym hołduje - tylko to chroniło ich od kompletnego zdziczenia. I tego musieli strzec za wszelką cenę.

Sprawdził w lustrze swój zarost, przyglądał włosy i poprawił kołnierzyk. Postanowił - który to już raz? - że ze wszystkich sił będzie się starał ukryć fakt, iż nie spał od trzydziestu sześciu godzin.

„Ciekawe, co mnie wykończy prędzej - spytał się w duchu - praca czy hordy Szarańczy?”

Nagle drzwi do łazienki otworzyły się na oścież. Drgnął, ale postanowił się nie odwracać.

- Przewodniczący prosi pana, pułkowniku - usłyszał kobiecy głos - jak tylko będzie pan gotowy.

„Człowiek nawet nie może się spokojnie odlać” - pomyślał, dyskretnie sprawdzając, czy zapiął rozpinak. Założył czapkę, nadal stojąc tyłem do kobiety.

- Dziękuję - powiedział. - Proszę dać mi jeszcze mi nutkę.

Policzył w myślach do sześćdziesięciu, patrząc w tym czasie na swoje odbicie w lustrze. Wyglądał beznadziejnie, ale doszedł do wniosku, że lepiej już nie będzie. Odwrócił się na pięcie i ruszył do biura Prescottta.

Pokój przewodniczącego wyglądał tak, jakby ostatni remont przeprowadzono tu jeszcze przed Dniem Wyjścia. Hoffmanowi się to podobało, bo mówiło mu, że nawet taka szucha jak Prescott żyje jak reszta i jak reszta cierpi niedostatki.

- To ty, Victorze?

Przewodniczący stał przed tablicą wypełnioną papierowymi karteczkami i w skupieniu studiował ich treść.

- Usiądź, proszę - dodał po chwili, spoglądając przez ramię. - Mam nadzieję, że masz jakieś dobre wieści.

Hoffman zdjął czapkę i usiadł, z trudem odrywając wzrok od kawy stojącej na biurku Prescottta. Wyciągnął notes, którym już wiele razy wspomagał się podczas tego rodzaju bezsensownych spotkań. Przewertował kilka kartek. Racje żywnościowe - zredukowane o dziesięć procent. Zapasy amunicji - trzydzieści procent poniżej zapotrzebowania. Zasilanie i produkcja - ograniczone do dwunastu godzin dziennie.

„Dzień jak co dzień” - stwierdził i dodał na głos:

- Mogę jedynie powiedzieć, panie przewodniczący, że od czasu użycia bomby lightmassowej widziano jedynie Trutnie. I to sporadycznie. Normalnie musieliśmy stawić

czoła wszystkim rodzajom Szarańczy: Boomerom, Nema-cystom, Reaverom i wielu innym.

Zamilkł. To było wszystko, co miał do powiedzenia. Prescott wpatrywał się w niego, najwyraźniej czekając na dalszą część wywodu, a w pokoju zapadła niezręczna cisza, podczas której tykanie antycznego zegara zdawało się łoskotem.

Przewodniczący wytrzymał tak sześć długich sekund.

- Więc to działa? - spytał w końcu. - Bomba zrobiła swoje?

Hoffman nie lubił nikogo oszukiwać. Prędzej czy później zawsze to się źle kończyło. Wolał mówić o rzeczach wymiernych, dających się potwierdzić faktami.

-Zniszczyła cytadelę Szarańczy - powiedział ostrożnie. Mógł ze szczegółami opisać, jak wybuch rozrywał stwory na strzępy, ale uznał, że nie warto zawracać głowy przewodniczącemu takimi szczegółami. - Od tego czasu widzimy na powierzchni tylko niedobitki. Pozbyliśmy się też większości Krylli. Ale żeby dowiedzieć się, jaki efekt naprawdę przyniosła nasza akcja, musimy zejść do tuneli i sprawdzić to naocznie. A na to potrzeba nam czasu.

-Ludzie potrzebują dobrych wieści, Victorze.

-Jeśli tylko jakiegokolwiek się pojawią, panie przewodniczący, będzie pan o nich wiedział pierwszy.

-Morale to dziś ważny towar.

-Dla armii także. Sprzęt jest zawodny, a jego jakość od dawna pozostawia wiele do życzenia - Hoffman prowadził tę samą dyskusję z Prescottem co miesiąc. - Musimy również pomyśleć o tym, jak zwiększyć produkcję uzbrojenia.

-A jak mam to waszym zdaniem wyjaśnić, skoro ataki Szarańczy stały się rzadsze?

„Psiakrew” - zaklął Hoffman w duchu. „Znow nie uda mi się go przekonać. A może jednak?”

-Z całym szacunkiem, panie przewodniczący, ale komu chce pan to tłumaczyć?

-Ludziom, pułkowniku. Oni są tak samo u kresu jak wy.

-Bez skutecznej armii za chwilę wszyscy naprawdę znajdziemy się u kresu.

-Mam doprowadzić do zamieszek z powodu dalszych ograniczeń racji żywnościowych i dostaw energii?

-Proszę mnie posłuchać, panie przewodniczący. Moi ludzie mają ostatnio trochę więcej luzu. Możemy teraz zająć się wymianą sprzętu i uzupełnieniami. Nawet jeśli Szarańcza została pokonana, wciąż potrzebujemy silnej armii. Być może niektórzy myślą, że największe zagrożenie już minęło, ale przecież za chwilę pojawi się cała masa nowych problemów. Także ryzyko zamieszek, choć już z innych powodów. Wykorzystajmy czas, jaki nam dano, żeby się przygotować na wszelkie ewentualności.

To wszystko była prawda, w dodatku zgodna z obowiązującą doktryną. Hoffman wiedział, jak rozmawiać z politykami. Zwykle byli krótkowzroczni, ale wystarczyło dobrze przedstawić im potencjalne zagrożenie, a zaraz zmieniali swoją perspektywę. Nie czuł wyrzutów sumienia. W obecnej sytuacji nie miał na to czasu i musiał myśleć tylko o tym, jak wykarmić i uzbroić swoich ludzi - jutro, za tydzień, za miesiąc. Jeśli zatem Prescott dzięki takiemu wybiegowi uwierzy w ryzyko zamieszek i potrzebę wzmocnienia armii, to będzie miał jeden kłopot mniej.

- Rozumiem to wszystko - stwierdził chłodnym głosem przewodniczący. -Ja też noszę mundur.

„Przez osiemnaście miesięcy. Dla pozorów" - pomyślał złośliwie Hoffman. „Nie masz pojęcia, co znaczy być pod ostrzałem".

- To prosty układ - zaczął wyjaśniać przełożonemu. - Gearzy ryzykują życie na linii ognia, a ludność cywilna robi wszystko, żeby zapewnić im stałe dostawy. Inne rozwiązania nie wchodzi w rachubę. I mogą się przyczynić do naszej porażki.

Prescott podszedł do okna i skrzyżowawszy ramiona na piersi, spojrzął na miasto w dole. Przez przybrudzoną szybę widział miękkie kontury budynków Jacinto, które teraz wydawały mu się wyjątkowo posępne.

Westchnął głęboko.

- Przeciętny dorosły mężczyzna - powiedział cicho - potrzebuje dziennie dwa tysiące trzysta kalorii, co stanowi jedną trzecią obecnego wyżywienia Gearów. Kobieta: tysiąc osiemset. Na dwadzieścia sześć godzin naszej doby zasilanie wyłączane jest przez dwanaście. Nie nadążamy z oczyszczaniem wody. Co gorsza, jeśli zaraz nie wprowadzimy do szkół dodatkowych racji żywnościowych, będzie my mieć na ulicach hordy zdziczałych dzieciaków. Moje zadanie, Victorze, to pilnować, żeby nasze społeczeństwo sprawnie funkcjonowało. I użyję wszelkich sposobów, aby to osiągnąć. Pamiętam o minionych wojnach, ale muszę myśleć o przyszłości.

-Cóż, panie przewodniczący, jestem tylko żołnierzem -odparł ostrożnie Hoffman. - Ja muszę myśleć, co zrobić, żeby ta przyszłość w ogóle nadeszła.

-Zrozum, łatwo było motywować ludzi, kiedy Szarańcza nam zagrażała. W dodatku te stwory nigdy nas nie przypominały. Nikt z nas nie miał wśród nich dalekiego

krewnego - jak to miało miejsce podczas Wojen Wahadłowych - który opowiedziałby mu, jaki jest jego punkt widzenia. Były zaprzeczeniem człowieczeństwa, prawdziwymi potworami. Tylko nasza nienawiść i świadomość wspólnego wroga jednoczyła nas tak długo.

- Przez ostatnie czternaście lat - dokończył Hoffman.

Wstał z krzesła i założył czapkę. Przez lata wyćwiczył w sobie umiejętność wykonywania tej czynności niemal mechanicznie. Jego dłonie zawsze wiedziały, jak umieścić nakrycie głowy tak, aby emblemat znalazł się równo nad czołem. Czasami, kiedy podczas tego rytuału niechcący dotykał metalowej trupiej główki, zastanawiał się, czy w przyszłości będzie dla niego powodem do dumy.

- Niestety, wojna wciąż trwa, panie przewodniczący. A ja się znam na wojaczce. Proszę mi dać zadanie do wykończenia, a ja powiem panu, ile mogę zrobić z ludźmi i sprzętem, który mam do dyspozycji...

- Zobaczę, co da się zrobić - odpowiedział Prescott.

Hoffman wiedział, że znaczy to tyle co nic.

W armii byli prawie sami mężczyźni. Czasy Wojen Wahadłowych i kobiet w mundurach dawno już minęły. Dlatego Hoffman nie zdziwił się, kiedy wyszedł do sekretariatu i ujrzał tam dziewczynę w stonowanym cywilnym kostiumie - być może tę samą, która odwiedziła go w łazience. Stała przed szafką z dokumentami, tyłem do niego. Kiedy zamknęła szufladę i odwróciła się, dostrzegł, że jest w ciąży. Prokreacja - to było teraz najważniejsze zadanie, a nie części zapasowe do silników czy modernizacja broni.

„To jednak wymaga czasu. Chociaż...” - zaśmiał się w duchu.

- Do widzenia - rzucił szarmancko, muskając palcami daszek czapki.

Wyszedł na plac przed budynkiem. Być może to tylko złudzenie, ale przez moment wydawało mu się, że niebo było ciemniejsze niż zwykle. Spojrzał w górę, jednak nie dostrzegł żadnych chmur.

Chociaż niebiosa miały dla niego dobre wieści.

Nagle zatrzeszczało w radiu i po chwili usłyszał w słuchawce zamontowanej w uchu głos porucznik Stroud. Zdawała się wyjątkowo zmęczona.

-Pułkowniku, odnotowaliśmy ruchy Szarańczy - poinformowała Hoffmana. - Delta kieruje się już w stronę bulwaru Sovereign i wkrótce dołączy do oddziału Echo.

-Dziękuję, pani porucznik. A teraz proszę iść spać. Nie jest pani jedynym koordynatorem. Proszę powiedzieć Ma-thiesowi, żeby ruszył swój leniwy tyłek i zastąpił panią.

- Tak jest. Bez odbioru.

Połączenie zostało przerwane.

Hoffman nie był głupcem. Dobrze wiedział, że oddział Delta miał u Anyi Stroud specjalne względy. Zawsze kiedy pojawiał się ten temat, dochodził do wniosku, że jeśli dziewczynie wydawało się, iż zrobi z Feniksa porządnego faceta, to najwyraźniej przecenił jej inteligencję. Inna sprawa, że nie jemu pouczać, kim ma sobie zawracać głowę. Tak długo, jak nie kolidowało to z obowiązkami, był to jej prywatny problem.

Niestety, Anya nie była taka jak jej matka. Biedne dziecko. To musiało być cholernie trudne - dorastać w cieniu Heleny Stroud.

„Marcus też nie miał lepiej" - pomyślał.

Przystanął na chwilę i zdał sobie sprawę, że wcale mu nie współczuł.

- Nadal ci nie wybaczyłem - powiedział do siebie. -I nigdy nie wybaczę.

Właśnie szedł ścieżką prowadzącą do budynków dowództwa, kiedy nagle zapragnął pochwycić w ręce karabin i ruszyć do boju. Jak dawniej, kiedy wszystko było prostsze. Jednocześnie poczuł się zupełnie nagi i bezbronny ze swoim służbowym pistoletem u pasa. Czy starczy mu sił, żeby obronić to miasto?

Może.

BULWAR SOVEREIGN, JACINTO

Dom usłyszał strzały, na długo zanim Delta dotarła do skrzyżowania. Marcus przyspieszył kroku, a potem ruszył sprintem w kierunku miejsca, z którego dochodziły salwy.

- On nas kiedyś zabije - wymamrotał Baird, utrzymując równe tempo biegu. - Cholerny dupek.

Cole żartobliwie klepnął go w plecy, ale że był wielkim mięśniakiem o topornych kształtach, uderzenie wypadło znacznie mocniej, niż planował, i Damon o mały włos nie upadł.

- No dawaj - krzyknął osiłek, wyprzedzając go. Na dał potrafił biegać jak zawodowy gracz thrashballu. - Nie chcesz chyba, żeby ci się dostał najbrzydszy parszywiec.

No cóż, akurat w kwestii wyglądu Szarańczy trafiały się tylko egzemplarze brzydkie, więc nie było o czym gadać. Dom włączył radio, żeby mogli skontaktować się z sierżan-

tern Rossim z oddziału Echo, który właśnie opróżnił cały magazynek i kłął teraz jak szewc.

-Kurwa, Delta, nie spieszyliście się, co?

-Dobra, dobra - rzucił Marcus. - Ale już jesteśmy. Potrzebujecie pomocy?

-A jak, kurwa, myślicie? Zostało nas już tylko dwóch. Utknęliśmy w centrum handlowym. Zaraz będzie po nas.

Mówią, że ludzie dzielą się na tych, którzy uciekają na widok niebezpieczeństwa, i na tych, którzy wychodzą mu naprzeciw - i coś w tym jest. To zabawne, jak łatwo można przewyciężyć strach, jeśli wystarczająco dobrze cię wyszkolili. Nogi Dorna poruszały się niezależnie od poleceń jego mózgu. Biegając tuż za Augustusem, skręcił za róg i nagle zobaczył, z czym walczyli ludzie Rossiego - to był największy Boomer, jakiego widział w swoim życiu. Towarzyszył mu niewielki oddział Trutni.

Bulwar był wielką, otwartą przestrzenią z ledwie kilkoma niewielkimi osłonami. Dom ruszył z resztą żołnierzy Deltę wzdłuż zachodniej pierzei, przeskakując od drzwi do drzwi, aż w końcu dotarli do przewróconego kontenera na śmieci i przykucnęli za nim.

Teren na południe od budynku rządowego Koalicji porastały niegdyś piękne, wypielęgnowane drzewa ozdobne, a wokół roilo się od luksusowych sklepów i ekskluzywnych kafejek, do których Dom nigdy by nie wszedł z powodu braku kasy. Czasami, jeszcze zanim urodziły mu się dzieciaki, przychodził tu z Marią, żeby popatrzeć na wystawy. Teraz aż trudno było uwierzyć, że to miejsce tętniło kiedyś życiem. Fasady budynków popękały, a marmurowe pomniki dawno już obróciły się w gruz. Dom nie potrafił nawet wskazać, gdzie dawniej kwitły barwne rabaty.

Boomer i towarzyszące mu Trutnie zawzięcie forsowali wejście do centrum handlowego, które umieszczono w niegdyś pięknym, zabytkowym budynku. Co prawda drzwi frontowe gdzieś przepadły, ale za to między dwiema kanelowymi kolumnami wciąż tkwiła opuszczona do samego dołu kratka. Olbrzymi Boomer trząśł nią z taką łatwością jak nocny stróż, który sprawdza wytrzymałość lichych drzwi. Było wiadomo, że metalowa siatka długo tego nie wytrzyma.

Na twarzy Marcusa malowało się skupienie, jakby coś analizował.

-Rossi! - krzyknął, dociskając palcem słuchawkę. - Czy antresola w głównym hallu nadal jest w dobrym stanie?

-Tak - głos Rossiego niemal całkowicie zagłuszały wystrzały. - To gówno ciągnie się wokół całego atrium na wysokości jakichś pięciu metrów.

-Panujecie nad kratą?

-Nad kratą - tak. Nad zwieraczami - nie.

-Podniesiecie ją na mój znak.

-Ale wtedy będziemy mieć te gnojki wewnątrz. Nie tego się spodziewaliśmy, prosząc was o pomoc.

-Macie tylko podnieść kratę.

-Chcesz się zamienić?

-Wpuście Boomera i resztę zostawcie nam. Zaatakujemy go od góry.

Rossi zamilkł na chwilę. Dom słyszał w tle jakieś głosy. Ktoś mówił do człowieka imieniem David, żeby się trzymał. Było pewne, że mają tam rannych, których należało jak najszybciej ewakuować.

- Chyba nie mamy wyboru - powiedział Rossi. - Czekamy na wasz sygnał.

-Nie przerywajcie łączności - zakończył Marcus i zwrócił się do oddziału: - ok, panowie, mamy drugie wejście na tyłach budynku. Skorzystamy z bramy w punkcie wyładunkowym. Potem idziemy schodami przeciwnożarowymi i wzdłuż antresoli. Następnie Dom i ja załatwimy Boomera od góry.

-A co ja mam robić? Wyszywać makatkę? - wkurzył się Baird. -I skąd tak dobrze znasz układ pomieszczeń?

-Moja mama często robiła tu zakupy - powiedział cicho Fenix. - A ja zawsze chodziłem razem z nią.

-Ach tak, więc mamy bazować na trasach zakupów twojej mamusi?

Santiago był pewien, że prędzej czy później ich dowódca nie wytrzyma i spuści Damonowi manto. Co prawda nigdy jeszcze nie widział go na serio wkurzonego, ale nawet święty nie wytrzymałby ciągłego jęczenia ich mechanika. Ktoś powinien mu kiedyś nakopać i byłoby po sprawie.

- ok, w takim razie ty i Cole będziecie nas tu osłaniać - powiedział zaskakująco spokojnie Marcus. - A gdy tylko znajdziemy się w środku i krata się podniesie, tyłki w górę i wchodzicie za Szarańczą do budynku.

Wyskoczyli zza kontenera. Dom biegł tuż za swoim dowódcą. Słyszał w słuchawce, jak Baird cały czas marudzi i narzeka na plan, który jego zdaniem był do bani. Weszli w boczną uliczkę, aby okrążyć budynek. Kiedy dotarli na miejsce, tak jak się tego spodziewali, znaleźli tu wejście do magazynów centrum handlowego. Od tej strony budynki wyglądały na nietknięte - brakowało tylko drzwi.

Pośpiesznie sprawdzili swoje Lancery i wpadli do środka.

- Marcus, kiedy mówiłeś, że załatwimy Boomera, co właściwie miałeś na myśli?

- Trzeba na niego wskoczyć i urwać mu łeb.

„Oczywiście zanim on zrobi to pierwszy” - pomyślał ironicznie Dom.

Fenix wspinał się szybko po schodach, skacząc co dwa stopnie. Wyglądał jak ktoś, kto w głowie cały czas buduje mapę terenu, odtwarzając stare wspomnienia. Santiago uświadomił sobie, że choć w dzieciństwie spędzili razem wiele lat, to nie przypomina sobie, żeby tu kiedykolwiek z nim przyszedł.

„Może to nie było dla niego szczęśliwe miejsce” - uznał.

- Chyba wiem, o co ci chodzi - powiedział na głos. - Musimy jednak podejść jak najbliżej.

Boomery przewyższały każdego człowieka, a do tego dźwigały ze sobą ogromne działo. W przeciwieństwie do Trutni były także głupie jak but i żeby je pokonać, wystarczyło tylko zbliżyć się na tyle, aby nie mogły użyć swojej śmiercionośnej broni.

- Tak, wtedy będziemy mieli łatwą robotę.

„Więc on też chce ryzykować” - pomyślał Dom. „Co ja, do diabła, zrobię, jeśli i on zginie?”

Śmierć dzieci wstrząsnęła nim do głębi, ale dopiero kiedy zaginęła Maria, prawie się rozsypał i tylko dzięki Marcusowi zachował pion. Czy tego chciał czy nie, ten facet był jego przyjacielem. I przepustką do lepszych czasów. W świecie takim jak ten, gdzie każdy kogoś stracił, tacy ludzie byli niezastąpieni. Dzięki nim myślało się, że ktoś cię rozumie i że nie jest się samemu.

„Nie pozwolę, żeby dał się zabić” - postanowił w duchu.

Marcus otworzył kopniakiem drzwi, które znajdowały się na szczycie schodów. W korytarzu po drugiej stronie panowała absolutna ciemność.

-Cholera, nie ma światła - syknął Marcus ni to do siebie, ni to do towarzysza; często tak robił. - Dlaczego nie mogą nam dać kilku pieprzonych latarek? OK, ten korytarz ciągnie się wzdłuż biur i wychodzi na antresolę koło wind.

-A co, jeśli przebudowano wewnątrz od czasu, gdy byłeś tu ostatnio?

-To zabytkowy budynek i nie wolno tu nic zmieniać ot, tak sobie. Poza tym zawsze trzeba zachować ściany nośne.

Właśnie w zapamiętywaniu takich szczegółów Marcus był najlepszy i już nie raz im wszystkim się to przydawało.

Po czterdziestu metrach wędrowania z rękoma przyklejonymi do ściany w końcu skręcili w prawo. Gdzieś w od dali zamajaczył jasny prostokąt. W korytarzu głośnym echem odbijał się huk wystrzałów.

- Wreszcie, to wyjście na antresolę. Wszystko w porządku, Dom?

-Jasne.

-Myślisz, że jestem samobójcą?

-Nie - zaprzeczył i zaraz dodał w myślach: „No, może czasami”.

-Stary, zrobimy to - stwierdził Marcus, klepiąc go po ramieniu. - Tylko mnie nie zostawiaj, w porządku? Dobra. Jeden... Dwa... Trzy!

Dom pierwszy przekroczył próg, mimo że był to dla niego obcy teren. Jego słuch poraziła wściekła kanonada. Kiedy znaleźli się na antresoli, wszystko stało się jasne. Mieli stąd doskonały widok na cały parter centrum handlowego z jego rzeźbionymi w kamieniu draperiami na ścianach oraz pustymi wnętrzami sklepów, rozświetlanymi od czasu do czasu błyskami wystrzałów. Rossi kucnął za niewysokim murkiem, który kiedyś był ścianą pokoju ochrony odgradzającą go od hallu głównego. Obok niego kulił się inny Gear - David? - starając się skryć w cieniu.

Marcus wstał i podbiegł na drugi koniec antresoli, skąd miał lepszy widok na wejście do centrum handlowego.

-Rossi! - krzyknął. - Krata! Teraz!

-Cholera, czy on ma dostęp do panelu sterującego?
-rzucił Dom.

Położył rękę na kamiennej balustradzie, przygotowując się do wejścia na nią. Spojrzał w dół - pięć metrów.

„A do tego zaraz tam będzie ten pieprzony Boomer”
-przemknęło mu przez głowę.

Postanowił, że nie będzie się martwić na zapas. Poczuł, jak adrenalina pulsuje mu w żyłach. Jego zmysły nagle się wyostrzyły, kolory nabrały wyrazistości, a czas zwolnił.

-I jak? - zawołał. - Co się dzieje?

- Szuka czegoś na biurku ochrony - odkrzyknął Fenix. Trzymając karabin w prawej ręce, lewą wsparł się o balustradę i przełożył nogę przez jej krawędź. Wychylił się, żeby lepiej widzieć Rossiego. - W porządku, znalazł pilota.

Krata szczęknęła i powoli zaczęła się unosić.

-Ja pierwszy, osłaniaj mnie.

- Dobra, Marcus! Będę zaraz za tobą.

Wejście do centrum handlowego znajdowało się dokładnie naprzeciwko pozycji Rossiego i kiedy Dom szykował się do skoku, zdał sobie nagle sprawę, że może dostać się w ogień krzyżowy. Było już jednak za późno, żeby się wycofać. Krata znalazła się w połowie drogi i Boomer postanowił dłużej nie czekać - pochylił się nisko, przecisnął pod metalową krawędzią siatki, wybiegł na środek hallu i stanął, rozglądając się czujnie wokół. Dowódca Delty posłał w jego stronę krótką serię. Nie celował specjalnie, bo z tej odległości i tak nie mógł wyrządzić stworowi większej szkody. Potem runął w dół, przekoziółkował i ruszył z krzykiem na olbrzymia.

Dom nie zamierzał zostawić przyjaciela samego i także skoczył - prosto na walczących. Na dole uderzył w coś twardego i przez chwilę obawiał się, że trafił w Feniksa. W ustach poczuł słony smak krwi.

Powalony siłą uderzenia Boomer powoli podniósł się z kolan i szarpnął kilka razy, chcąc zrzucić Santiago z pleców, ten jednak zawinął swoje ramię wokół krępej szyi stwora i zaczął go dusić. Powietrze rozdarła ogłuszająca kannonada. To Marcus z odległości kroku wyładował cały magazynek prosto w bebechy stwora. Potem cofnął się, żeby przeładować broń, a Dom zeskoczył na podłogę i sam zaczął strzelać, odwracając uwagę przeciwnika.

„Cholera, te gnojki naprawdę są wytrzymałe” - pomyślał z przerażeniem.

Kątem oka dostrzegł, że z boku usiłuje ich zająć pojedynczy Truteń. Błyskawicznie skierował w tę stronę lufę, dziurawiąc tamtego jak sito, podczas gdy Fenix, wykorzystując zamieszanie, podbiegł szybko do Boomera. Teraz to on wskoczył mu na plecy.

-Jasna cholera! - krzyknął Santiago, uświadamiając sobie, że w tej sytuacji może niechcący trafić towarzysza. Włączył piłę i ustawił obroty na maksimum. - Trzymaj się, stary!

Ale dowódca sam już ciął stwora. Ostrze na prowadnicy jego Lancera rzeźbiło niemilosiernie, zacinając się co rusz na chitynowym pancerzu - nie poddawał się jednak. Na szkoleniu nie raz ćwiczyli tę technikę walki i każdy Gear wiedział, iż broń należy wówczas trzymać mocno, dociskając zębatkę z całych sił do celu. W przeciwnym razie piła ześlizgiwała się i nie czyniła żadnych szkód. Najlepsze były cięcia skierowane od góry do dołu, ale Marcus miał za mało miejsca na ten wyuczony manewr, walił więc tylko na oślep, licząc, że w końcu trafi na jakieś wrażliwe miejsce. Boomer rzucił się na boki, chcąc pozbyć się natręta. Dom nie czekał, aż mu się to uda - wbił wirujące ostrze w nieosłonięte podbrzusze.

Olbrzym runął na plecy, przygniatając częściowo Feniksa, to jednak nie powstrzymało Geara i dalej ciął zawzięcie. Z kolejnych ran tryskały fontanny krwi, ale stwór wciąż wił się na ziemi, nie zamierzając się poddać.

- Zdychaj, gnoju! - krzyczał Dom, wżerając się piłą w cuchnące cielsko. - Zdychaj!

A potem nagle wszystko ucichło.

Boomer leżał na ziemi. Wciąż jeszcze oddychał - jak on zniósł tyle ciosów? - ale było jasne, że długo nie wytrzyma. Wykrwawił się na śmierć, jak wszystkie żywe istoty.

-1 jak? - zapytał Marcus, wydostawszy się spod dogorywającego przeciwnika. - Załatwiliśmy ich? Baird? Cole?

- Wszystko muszę robić sam - powiedział ten ostatni, wyrastając nagle zza zniszczonej kolumny.

Jakby od niechcenia, otworzył ogień, celując gdzieś za nich. Odwrócili się szybko i ujrzeni, jak jeden z Trutni pada o kilka metrów dalej, strzelając w przedśmiertnych drgawkach gdzieś w sklepienie.

- Pięknie. - Fenix wytarł twarz i spojrzał na rękę. - Szlag by to...

Augustus z obrzydzeniem popatrzył na leżące wokół martwe Trutnie i czubkiem buta trącił jednego z nich, chcąc się upewnić, że naprawdę nie żyje. Potem wziął głęboki oddech.

- Nienawidzę tego smrodu - jego głos zdawał się stłumiony, jednak Dom wiedział, że to tylko złudzenie wywołane niedawną kanonadą. - Ale nawet ten smród nie od bierze mi apetytu. Skończyliśmy?

Dowódca rozejrzał się.

- Wszyscy cali? - zapytał. - Rossi, jesteś tu?

-Jestem - odpowiedział tamten i wstał. Cały był we krwi, ale nie miał żadnych widocznych ran. - Z Davidem nie jest najlepiej. Dostał w brzuch. Ale najpierw musimy znaleźć karabin Harriesa.

Tak właśnie wyglądało ich życie. Przez ciągłe zmaganie się z brakami w zaopatrzeniu nauczyli się, jak wykorzystywać każdą okazję, by pozyskać potrzebne części do swojego sprzętu.

Rossi i ostatni pozostały przy życiu Gear z oddziału Echo wynieśli rannego Davida na świeże powietrze, a żołnierze Delty to samo zrobili z ciałem Harriesa. Marcus odszedł na stronę i zaczął wzywać helikopter.

Dom poczuł się zmęczony - jak po każdej walce. Przez chwilę zdawało mu się, że widział kogoś wchodzącego do centrum handlowego. Ostatnio z powodu permanentnego niewyspania często miał omamy, ale teraz coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że to jednak nie przywidzenia. Postanowił to sprawdzić - w końcu i tak nie miał nic lepszego do roboty.

-Zaraz wracam - powiedział do towarzyszy.

-Kruk będzie tu za minutę - uprzedził go Baird, gorączkowo przeszukując swoje kieszenie w nadziei, że znajdzie jakąś amunicję.

Nie zwracając na nich uwagi, Rossi ścisnął oburącz dłoń Davida. Jego blade uśmiech zdawał się mówić: „Trzymaj się, stary, zaraz będziemy w domu”. Ale on sam milczał.

-Dzięki - szepnął ranny z wyraźnym wysiłkiem.

-Zdążę, Damon, spokojnie - rzucił Dom, z trudem odrywając wzrok od dwójki mężczyzn.

Ruszył w stronę centrum handlowego, zastanawiając się po drodze, co dzieje się z ciałami martwych Trutni, kiedy ich nie palono dla uniknięcia zarazy. Czasami, gdy wracali na miejsce jakiejś potyczki, natykał się na gnijące zwłoki, ale bywało, że nie znajdował nic. Może zajmowały się nimi watahy dzikich psów? Obrzydliwość.

Cokolwiek by mówić, jedno było pewne. Horda nigdy nie wracała po swoich poległych, jak robią to ludzie. Nie byli tak dumni i lojalni wobec swoich żołnierzy. Po prostu zostawiali ich na pastwę losu i tyle.

Mijając Boomera, jeszcze raz spojrzął na niego.

„Cholera” - zaklął w duchu. „On nadal żyje”.

Ślepa stwora śledziły każdy jego ruch, a Dom - miast cierpienia - dostrzegł w nich tylko dziką nienawiść. Po tym

wszystkim olbrzym najwyraźniej wciąż nie zamierzał się poddawać. Jak David. Wycelował Lancera w pokrwawione cielsko i połączył się z Marcusem przez radio.

- Zignorujcie strzały - powiedział. - Muszę coś dokończyć.

Wpakował między czerwone ślepia cały magazynek i sam nie wiedział, czy zrobił to dlatego, że regulamin nakazywał dobijać Szarańczę, czy po prostu litościwie chciał skrócić męki konającego. Może i marnował cenną amunicję, ale przynajmniej teraz Boomer był definitywnie martwy. Poczekał jeszcze chwilę, aż jego klatka piersiowa przestała się poruszać, a potem przeładował broń i rozejrzał się w poszukiwaniu Lancera Harriesa.

Nie zwracał uwagi na leżące dookoła trupy. Zupełnie inaczej niż podczas Wojen Wahadłowych. Ale wtedy spotykał ciała innych żołnierzy, a to tutaj to Szarańcza, bestie, które uosabiały wszystko, co najgorsze, i które nie zasługiwały na najmniejszą łaskę. Dlatego nie miał żadnych wyrzutów ani wątpliwości. Nigdy.

Poza tym ich truchła okropnie śmierdziały. Ten uporczywy fetor, wymieszany z zapachem dymu i prochu, zawsze wgrzyzał się w skórę niczym jakiś pasożyt i tylko długi, gorący prysznic i mydło mogły go całkowicie zmyć.

Po Lancercie nie było ani śladu. Nagle dostrzegł jakiś ruch i nie wiedział, czy to efekt zmęczenia, czy też naprawdę coś zobaczył. Zatrzymał się. Na wprost znajdowało się pomieszczenie będące kiedyś najprawdopodobniej jakimś sklepem. Szerokie wejście zasypywała do połowy gruba hałda szarego gruzu.

Wiedział, że to szaleństwo, ale po prostu musiał to sprawdzić.

Wszedł do środka i widząc ludzkie zwłoki zaścielające podłogę, od razu odruchowo uniósł gotowy do strzału karabin. W panującym wewnątrz półmroku bez trudu rozróżniał kikuty kończyn wystające spomiędzy cegieł i kamieni. Zastanawiał się, czy to cywile polegli jeszcze w Dniu Wyjścia, czy też Odrzuceni, którzy zdecydowali się tu zamieszkać i zostali zniemacka zaatakowani.

Nadepnął na coś i przez sekundę myślał, że sprofanował czyjeś zwłoki, ale suchy trzask pod butami nie przypominał dźwięku łamanych kości. To brzmiało jak...

„Plastik...” - uświadomił sobie.

Dopiero teraz zorientował się, że wszędzie na podłodze leżały manekiny wystawowe - odarte z ubrań, blade niczym trupy. Podniósł z podłogi oderwane przedramię. Z bliska w niczym nie przypominało ludzkiej ręki. Poczul się jak dureń, ale wiedział, że nie pierwszy raz daje się tak nabrać.

Usłyszał odległy, miarowy łopot. Nadlatywał helikopter. Dom skierował się ku wyjściu, mrużąc oczy oślepiony na chwilę światłem bijącym od strony głównego hallu. Poczul burczenie w brzuchu. Sięgnął do kieszeni i wyjął dzienną rację żywieniową. Chwycił zębami za wierzch foliowego opakowania i zaczął szarpać, kiedy nagle uświadomił sobie, że patrzy prosto w światło laserowego celownika.

Nie zastanawiając się ani chwili, błyskawicznie zarepeutował broń. I strzelił.

DWA

Będę czujny i nieustępliwy w zmaganiach z wrogami Koalicji.

Będę wierny wszystkim regułom zawartym przez Ojców Założycieli w Kanonie Octus.

Porzucę dotychczasowe życie i będę służył tak długo, jak będzie tego wymagał obowiązek.

Moja odwaga będzie niezłomna, dowodząc mojej przydatności dla Koalicji.

Od tej chwili -jestem Gearem.

PRZYSIĘGA KOALICJI
SKŁADANA PRZEZ KAŻDEGO Z REKRUTÓW

BULWAR SOVEREIGN

Dom strzelił, ponieważ jak większość Gearów hołdował zasadzie, że nikomu nie wolno bezkarnie do niego celować.

Usłyszał rykoszety, ale wciąż nikogo nie widział. Powidok od celownika laserowego i światło padające zza drzwi ciągle go jeszcze oślepiały.

- Ty cholerny idioto - zagrzmiął ktoś.

To był głos kobiety. Wyraźny akcent wskazywał, że pochodziła z Wysp Południowych albo z tamtych okolic.

- O mało mnie nie zabiłeś, durniu!

Czerwony, jarzący się punkt powędrował ponad jego głowę i zniknął gdzieś na suficie. Dom dopiero teraz się zorientował, że upuścił swoją rację żywnościową. W odróżnieniu od przeciwnika postanowił cały czas trzymać broń w gotowości.

-I wciąż mogę to zrobić - powiedział. - Kim jesteś?

-To ja, Bernie.

-Nie znam żadnej Bernie. - Jego oczy powoli przyzwyczajały się do światła, ale cały czas nie mógł nikogo dojrzeć. - Hej, panienko, dosyć tego pieprzenia. Chcę cię zobaczyć.

-Następnym razem pozwolę tym cholernym robalom oderwać ci łeb.

A więc to ona była owym tajemniczym snajperem. Jeśli tak, musiała iść za nimi całą drogę i to zaprzętało teraz myśli Santiago bardziej niż jakiś tam Truteń, który niedawno prawie go zabił.

-Taaa, dzięki za pomoc, ale będę jeszcze bardziej wdzięczny, jeśli podejdziesz tutaj.

Marcus i reszta na pewno słyszeli strzały, ale przecież mówił im, żeby nie zwracali sobie tym głowy.

- No rusz się - ponaglił intruza.

Kiedy Dom był młody, dał się nabrać na pewien numer. To była stara sztuczka Odrzuconych: wystawić panienkę i zając nią faceta, by w tym samym czasie jeden z nich mógł spokojnie zwędzić, co tylko się da. Te gnojki próbowały kraść nawet broń, paliwo i części zapasowe z ich pojazdów patrolowych, co dla Gearów było cholernie niebezpieczne. Wystawiali kobiety, bo to było najprostsze i niezawodne rozwiązanie. Dla gatunku, który jest na krawędzi zagłady -

a ludzkość właśnie była w takiej sytuacji - płęć żeńska ma szczególne znaczenie. Jest nadzieją, przyszłością, szansą na odbudowę społeczeństwa. Nikt ich nie skrzywdzi, a przy tym nie domyśli się podstępu.

Dom usłyszał łoskot gdzieś z prawej strony, jakby ktoś zeskoczył z dużej wysokości. Odwrócił się w tamtym kierunku.

Jego uwagę w pierwszym rzędzie przykuł karabin. Od razu rozpoznał stary model Longshota - Mark 2. Potem skupił wzrok na kobiecie, która trzymała broń w rękach.

- Cholera - zaklął głośno.

Była wyższa od niego i zdecydowanie starsza, niż się spodziewał - jeśli w ogóle czegoś się spodziewał - a do tego miała na sobie kompletny rynsztunek oddziałów COG Jej ciemne, krótkie włosy okraszały pasemka siwizny, ale nie wyglądała jak jakaś mamuśka. Przypominał raczej kogoś, kto zaraz da komuś w pysk. Poprawiła zawieszony na plecach karabin i zamarła w oczekiwaniu.

„Do diabła, ma też Lancera!" - pomyślał Dom, gapiąc się na broń z osłupieniem.

-Jest mój - powiedziała, widząc jego wzrok. - Normalnie go nie noszę.

Odwróciła się plecami do Geara i zaczęła iść w kierunku wyjścia. Na chwilę wysunęła ostrożnie głowę na zewnątrz. Dopiero teraz dostrzegł na jej ramionach tatuaże.

- Hej, Marcus - zawołała w przestrzeń. - Nie mów mi, że mnie nie pamiętasz.

W wejściu pojawił się dowódca Delt.

- Pamiętam cię, pamiętam - powiedział. - Myślałem, że nie żyjesz.

Dom za wszelką cenę starał się przypomnieć sobie, gdzie i kiedy słyszał jej imię. „Bernie, Bernie...”

Cole i Baird także wyszli z ukrycia. Czujnie rozglądali się dookoła, a gdy Fenix wszedł do środka, podążyli za nim.

-Jeszcze się trzymam - odparła. - I mam sporo do zrobienia.

Zmierzyła przybyłych zimnym wzrokiem, jakby robiła przegląd przed defiladą. I najwyraźniej nie była zadowolona z tego, co zobaczyła.

- Kto teraz dowodzi? - spytała. - Cały czas Hoffman?

-Jak się, u diabła, tutaj znalazłaś? - przerwał jej obco sowo Marcus, ignorując usłyszane pytania.

Jego gwałtowne zachowanie wynikało raczej z kompletnego zaskoczenia niż złych manier. Na twarzy mężczyzny rzadko pojawiały się jakieś emocje, ale Santiago zawsze wiedział, kiedy go coś naprawdę poruszało. Za każdym razem nerwowo mrugał wtedy powiekami - tak jak teraz.

-Masz jakiś samochód? - Dowódca wciąż nie spuszczał z niej wzroku.

-Nie, szłam pieszo.

-Przez czternaście lat?

-Tak. Spróbuj zwiedzić kilka kontynentów, a przekonasz się, jakie to proste. I pamiętaj tylko, że ta wielka, mokra rzecz wokół nich to morze.

Brzmiała jak Tai Kaliso, inny wyspiarz, którego kiedyś poznał, choć w przeciwieństwie do niego nie miała wytatuowanej zwyczajowo twarzy. To podobieństwo wystarczyło jednak Domowi, żeby postanowił sobie w duchu, iż będzie się trzymał od niej z daleka. Ludzie z Wysp Południowych byli postrzeleni, a ich szaleństwo przerastało wszystko i wszystkich.

- Czy ktoś nas przedstawi? - Augustus podniósł wielkie łapsko gotowe do uścisku.

Podąła mu rękę.

- Szeregowy Cole, psze-pani. A ten brzydal tutaj to ka pral Damon Baird.

Mechanik skinął gburowato głową, starając się ukryć to, jakie kobieta zrobiła na nim wrażenie.

-Bernadettę Mataki - powiedziała. - Po prostu Bernie.

-No, no, paniusiu - Augustus najwyraźniej nie zamierzał się poddać. - Masz uścisk jak Boomer. Lubię takie babeczki.

-Za wysokie progi, chłoptasiu - odgryzła się. - Chodź, Marcus. Musisz mnie zabrać do Hoffmana.

Dowódca chrząknął pod nosem i wskazał głową wyjście.

Na zewnątrz czekał już helikopter. Ktoś z obsługi poganiał ich niecierpliwymi gestami, a kiedy podeszli bliżej, palnął otwarcie:

-Czy panienki skończyły już swoje pogaduszki? Mamy rannego na pokładzie - mówiąc to, dostrzegł Bernie.

-O cholera, faktycznie kobieta.

-Hej, nie mów tak o Damonie - rzucił Cole. - Ten nasz blondynek jest taki wrażliwy...

Ale Baird nie dał się sprowokować.

Mataki wskoczyła na pokład helikoptera, mierząc niecierpliwego członka załogi zimnym wzrokiem. Jej oczy zdawały się mówić: „Ani słowa więcej”. Chwilę potem potężny Królewski Kruk uniósł się lekko w powietrze i poszybował w stronę Jacinto.

Siedząc w kabinie, Dom zarejestrował kątem oka milczącą wymianę spojrzeń pomiędzy Marcusem a Bernie -

nie potrafił jednak określić, czy wzajemnie się o coś pytali, czy też ostrzegali. A może jedno i drugie?

„Znam tego faceta prawie całe moje życie” - pomyślał. „Jesteśmy kumplami od najwcześniejszego dzieciństwa. A ja wciąż tylu rzeczy o nim nie wiem?”

-A tak przy okazji, Cole, nie jestem jakąś tam babeczką - powiedziała stanowczo Bernie, kładąc sobie Longhota na kolanach. - Kiedyś byłam sierżantem. I wciąż nim jestem.

-Taaa - mruknął Fenix, spoglądając na panoramę miasta rozciągającą się w dole. - Byłam, jestem...

„Mataki... Mataki...” - powtarzał w myślach Dom.

Spróbował odjąć z twarzy kobiety pięć, dziesięć, piętnaście lat. Niespodziewanie pochwyciła jego badawczy wzrok, ale nie wydała się nim urażona. Jeśli już, to patrzyła na niego... ze współczuciem?

„Mataki... Mataki... O w mordę, tak” - olśniło Dorna.

Nagle wróciło wspomnienie, które szarpnęło nim jak zły sen. Przypomniawszy sobie wszystko. Także to, że brała udział w bitwie na Polach Aspho.

Walczyła ramię w ramię z jego bratem, Carlosem. I podobnie jak Marcus była tam, kiedy on zginął.

Wyciągnął do niej rękę.

- Dzięki - powiedział. - Świetny strzał.

DAWNY BUDYNEK SZPITALA WRIGHTMANA, KOSZARY

To była pierwsza przyzwoita łazienka, jaką Mataki widziała od lat. Fakt, że w budynku mieścił się niegdyś szpital dla bogatych czubków, wcale jej nie przeszkadzał. Po obu

stronach ciągnęły się rzędy blaszanych, łączonych umywalek, a na ścianach i podłodze połyskiwały kafelki, jakie spotykała w każdej bazie COG Ze zdziwieniem stwierdziła, że trudno jej przywyknąć do faktu, iż woda płynie z kranu. Napełniła jedną z przegród i zanurzyła w niej głowę. Delektowała się tą chwilą przez kilka sekund, a potem spojrzała w lustro. Wszystko tutaj tak bardzo przypominało jej dom. Na chwilę zapomniała o zapachach, które wypełniały pomieszczenia. Dym, krew, odchody, olej napędowy, świeżo nasmarowana broń i karbolowe mydło z przydziału - wszystkie te wonie mieszały się, tworząc jeden intensywny fetor. Stojący nieopodal Marcus właśnie skończył czyścić broń z posoki Szarańczy, która zachlapała jego Lancera podczas walki. Wyglądał na wkurzonego. Oparł broń o ścianę, zdjął z głowy chustę i opłukał ją w wodzie. Bez niej wyglądał jak całkiem inny człowiek.

-Boże! - powiedziała nagle Bernie. - To ta sama chusta, którą miałeś na sobie, gdy cię widziałam ostatni raz?

-Nie - odburknął, wyzymając mokry kawałek drogiego materiału i zakładając go z powrotem. - Ta jest nowa. Dostałem ją od Dorna, gdy wyciągnął mnie z więzienia.

-No jasne - rzuciła z nutą niedowierzania. - A tak z innej beczki... Nie jesteś ciekaw, dlaczego tak długo za wami szłam? I dlaczego nie ujawniłam się wcześniej? Wzruszył ramionami.

-No, dlaczego?

-Chciałam się upewnić, że nie dołączyłeś do Odrzuconych. Kiedy wróciłam w te okolice, usłyszałam na twój temat różne gówniane plotki. Czy to wszystko prawda?

-Zależy, co słyszałaś.

-Że zdezerterowałaś. Że przez to zginęło wielu ludzi. I że stanęłaś za to przed sądem wojennym.

Marcus znowu wzruszył ramionami.

- Nie będę zaprzeczał - powiedział.

-Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- To wszystko prawda. Dostałem czterdzieści lat. Od siedziałem cztery. Ostatecznie miałem dostać czapę, ale Dom mnie uratował i kilka dni temu wyszedłem.

Cały Dom. Był gotowy skoczyć za człowiekiem w przysłowiowy ogień, kiedy tylko wierzył, że ten jest tego wart. Ale Bernie nie mogła wyobrazić sobie Feniksa uciekającego z miejsca walki. Tu musiało chodzić o coś więcej. Coś, czego nie wiedziała.

-Powiedz mi - spytała ostrożnie - co się tak naprawdę stało?

-Może - odparł. - Jeśli ty mi powiesz, dlaczego zdecydowałaś się wrócić właśnie teraz?

Akurat o tym Bernie nie chciała rozmawiać. Musiałaby zacząć od początku, a przecież od lat starała się nie myśleć o starych koszmarach. Przez chwilę, patrząc wciąż na Marcusa, była nawet przekonana, że naprawdę o nich zapomniiała. Ale jedno spojrzenie na Santiago wystarczyło, aby wszystko sobie przypomniała.

To był dobry facet. Wierny jak pies, a przy tym odważny i skromny. Wyglądał jak kopia swojego brata - miał nawet taką samą czarną kozią bródkę. Uświadomiła sobie, jak trudno jej patrzeć mu prosto w oczy.

- Nie obawiaj się, stary - uśmiechnęła się lekko. - Nie będę wracać do walki na Polach Aspheo.

„Dom nie musi znać całej prawdy” - pomyślała. „Nic się nie stanie, jeśli się nie dowie, co naprawdę przydarzyło się Carlosowi”.

-Tak się umówiliśmy, pamiętasz? - powiedziała na głos. - To już szesnaście lat.

-Stracił oboje dzieci, a jego żona zaginęła dziesięć lat temu - Marcus zniżył głos. - Każdy kogoś stracił po Dniu Wyjścia, ale z nim los obszedł się wyjątkowo okrutnie.

-Załóżę się, że nie stracił nadziei i nadal jej szuka.

-Tak, znasz Doma.

-A co z resztą jego rodziny?

-Zaginęli. Pewnie wszyscy już nie żyją.

-Szkoda faceta... Swoją drogą, myślałam, że będzie mnie pamiętał... - Bernie spojrzała Feniksowi w oczy.

-A twój ojciec? Żyje?

-Nie.

-Przykro mi.

-Długo cię nie było, to nie wiesz.

-Owszem. Wróciłam do domu zaraz po tym, jak odesłali mnie z armii. Potem, po Dniu Wyjścia, moja wyspa została całkowicie odcięta od reszty świata i minęło osiem długich lat, zanim zdołano się ze mną skontaktować i wezwać do Ephyry.

Marcus zamyślił się na chwilę.

- Masz jakieś wieści ze świata? - spytał wreszcie.

System globalnej komunikacji, który zdawał się istnieć od zawsze i na zawsze, został doszczętnie zniszczony podczas pierwszego dnia ataku Szarańczy.

- Od czasu do czasu natykałam się na ocalałych z pogromu. Najczęściej mieszkali blisko morza, w małych wio-

skach rybackich. A wiesz dlaczego? Bo kiedy uciekali na szerokie wody, Szarańcza nie mogła ich ścigać.

-Tak, to jedyny sposób na nich.

-Nie wiesz nawet, jakie miałam problemy, żeby zdobyć cholerną łódź. Ale ludzie szybko zmieniają zdanie, kiedy pomachasz im przed nosem karabinem.

Marcus spojrział na kobietę badawczo. -A więc naprawdę wróciłaś...

-Może i za późno dla mnie na zakładanie rodziny, ale nadal mogę walczyć. Chyba nie zaprzeczysz, że jestem w tym całkiem dobra, co?

-Nie śmiałybym...

Mataki rozumiała, że tak długo, jak nosi broń, jest przydatna. Cywile, których spotykała na swojej drodze, często myśleli tylko o sobie. Ale ona wiedziała, że to nie czas i miejsce, żeby kierować się egoizmem. Zresztą nie miała wyboru - straciła już zbyt wielu ludzi, na których jej zależało.

„Każdy z nas kogoś stracił” - pomyślała. „Co z nami będzie, kiedy to wszystko się już skończy? Jaki świat zbudujemy, pozbawieni tych, których kochaliśmy najbardziej?”

W powszechnej opinii wybieganie w tak daleką przyszłość było marnowaniem czasu i mało kto zawracał sobie tym głowę, z wyjątkiem może polityków. Ale Bernie często myślała o tym, co będzie kiedyś, po wojnie.

Dowódca Deltę wrócił do czyszczenia swojego ryszunku, a Mataki przeszła do części z kabinami prysznicowymi. Nawet bez ciepłej wody kąpiel to była czysta przyjemność.

Kiedy się ubierała, dobiegł ją dźwięk otwieranych drzwi do łazienki, a potem głos Santiago:

-Hoffman tu idzie. Anya mówi, że wygląda jak ktoś, komu wsadzono do dupy petardę i podpalono lont. Podobno powiedział tylko: „Kurwa” i wyszedł.

-Anya tak powiedziała, serio? - spytała Bernie z kabiny. - Nie wiedziałam, że poznała tu takie słownictwo.

-Przepraszam, sierżancie. - Dom odchrząknął. - Nie wiedziałem, że pani tu jest.

-Póki co cały czas jestem cywilem - wyjaśniła. - No, chyba że Hoffman zdecyduje inaczej.

Rozejrzała się, czy czegoś nie zapomniała, i wyszła z kabiny prysznicowej.

Kiedy wiele lat temu widziała tego chłopaka, płakał jak dziecko po stracie brata i nie liczyło się dla niego nawet zwycięstwo na Polach Aspho. Pół roku później leżała w szpitalu polowym z poharataną nogą, a kiedy tylko wydobrzała, od razu zwolniono ją z armii. Nagle straciła kontakt z ludźmi, z którymi żyła do tej pory każdego dnia - ale wtedy jeszcze tego nie żałowała.

Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że być może to wszystko odeszło na zawsze.

Pragnęła zabijać Szarańczę. Unicestwić ją tak samo, jak ona unicestwiła jej świat. A bycie Gearem było świetnym sposobem, aby to osiągnąć.

- Teraz sobie ciebie przypominam - powiedział Santia go z miną winowajcy. - Minęło sporo lat.

-W porządku. Byliśmy przecież w innych oddziałach.

- Służyłaś z Carlosem, prawda?

„Spokojnie, to normalne pytanie” - upomniała się w myślach. „Tylko nie zacznij wyrzucać z siebie wszystkiego. Poczekaj, co on powie”.

- Tak - rzuciła na głos. - Miły człowiek. I cholernie dobry Gear.

I to wszystko - neutralnie, z wycuciem, bez zachęcania do dalszych pytań. Carlos był bratem, jakiego każdy chciałby mieć, i Dom powinien być z niego dumny.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko, z ledwie widoczną nutą smutku, a potem zaczął nucić pod nosem jakąś piosenkę, zdejmując jednocześnie swój ryszstunek. Walka z Szarańczą była brudną robotą. Bernie pomyślała przez chwilę o Lancerze z piłą i przyznała, że teraz czyszczenie karabinu to dla niej niemal czarna magia. Spojrzała na Feniksa, który rozebrał swój karabin i starą szczoteczką do zębów pucował każdą, nawet najmniejszą część.

- Czy Hoffman wciąż jest taki jak dawniej? - zapytała.

Marcus westchnął głośno. Bernie dobrze знаła to zachowanie i wiedziała, co się za nim kryje. Niesmak, rozczarowanie i znużenie, które nosi w sobie od tak dawna.

-Tak - wycedził z pogardą. - Wciąż jest dupkiem. Z jedną różnicą, że teraz jest ważnym dupkiem.

Santiago sprawdził, czy przyjaciel tego nie zobaczy, i rzucił Mataką znaczące spojrzenie. Jego wzrok zdawał się mówić: „Stare dzieje, lepiej do tego nie wracać”.

Kobieta ze zdumieniem zorientowała się, że nigdy wcześniej nie widziała Marcusa w takim stanie. To, co mówił o Hoffmanie, wskazywało tylko, jak bardzo źle jest między nimi.

- OK - rzuciła neutralnie. - W takim razie spróbuję go nie drażnić.

Fenix nie odpowiedział, dalej czyszcząc Lancera. Zebrała swoje rzeczy - ubranie na zmianę oraz broń - i wyszła do lobby. Usiadła na krześle, czekając na wezwanie.

Wiele się zmieniło, odkąd opuściła wojsko. Wśród Gearów byli już tylko sami mężczyźni. Kiedy ich mijiała na korytarzach bazy, widziała, jak bardzo byli wycieńczeni. Jeszcze kiedy służyła, miała do czynienia z wieloma żołnierzami, ale nigdy żaden z nich nie wyglądał tak źle.

Wojny Wahadłowe były inne. Po osiemdziesięciu latach walki nadszedł moment, w którym wszyscy mieli dość. Nikt już nie wierzył, że czeka ich koniec świata, nawet gdyby widmo nadciągającej klęski było widoczne gołym okiem.

Ale tym razem wszystko mogło się zdarzyć. I Bernie była tego w pełni świadoma.

Przez chwilę jej serce ścisnął strach, że może przeszła dziesięć tysięcy kilometrów tylko po to, by umrzeć w miejscu, które nawet nie jest jej domem.

„Jeśli zgine, to przynajmniej z pełnym żołądkiem” - stwierdziła. „I z parą porządnych butów na nogach. A do tego czasu zdążę ubić kilku cholernych Trutni”

- Wiem, że kiedyś powiedziałem, że zadowolę się każdym, kto potrafi trzymać broń, ale teraz zastanawiam się, czy nie zmienić swojego zdania, sierżancie - huknął ktoś za jej plecami.

Grupa przechodzących obok Gearów zatrzymała się na moment, chcąc sprawdzić, co się stało, ale zaraz rozeszła się do swoich spraw. Mataki przyznała w myślach rację Marcusowi - Hoffman nie zmienił się ani na jotę. Dobrze zbudowany, niski, schludny. I te wąskie, jakby wiecznie zaciśnięte usta.

Wstała z krzesła, stanęła na baczność i zwróciła się przepisowym półobrotem w stronę Hoffmana. Wszystko to zrobiła w taki sposób, że nikt postronny nie uwie-

rzyłby, że minęło szesnaście lat, odkąd salutowała ostatni raz.

„A jednak się zmienił” - przemknęło jej przez głowę.

Wyglądał o wiele starszej, niż go pamiętała. Wokół szyi miał teraz liczne zmarszczki, a jego przeszywający niegdyś wzrok jakby złagodniał. Tylko sposób, w jaki stał, był wciąż taki sam - wychylony lekko do przodu, z rękami swobodnie opuszczonymi wzdłuż ciała, wyglądał, jakby zaraz miał się rzucić do ataku.

- Pułkowniku - powiedziała sztywnym głosem - wygląda pan gównianie.

Na twarzy Hoffmana pojawił się cień uśmiechu. Dobrze wiedziała, że ten stary drań nigdy nie pokaże, jak bardzo się cieszy, że ją widzi.

-Ciebie też miło zobaczyć, Bernie. Słyszałem, że od jakiegoś czasu nie zajmujesz się już wojaczką. To źle.

-Wiem, ale nadal jestem w formie i wciąż umiem trafić w cel z ośmiuset metrów. Dlatego tutaj jestem.

-ok, złóż przysięgę i idź do kwatermistrza. I... witaj w domu.

Hoffman znów nieznacznie się uśmiechnął, ale zaraz na powrót spowaźniał, jakby zawstydzony swoją bezpośredniością.

-A, jeszcze jedno - dodał. - Nie wchodzić w tyłek Feni-ksowi. Gdyby to ode mnie zależało, gnąłby cały czas w swojej celi.

-Chodzi o dupę, pułkowniku? - spytała, chcąc zyskać na czasie. Nie do końca rozumiała, co Hoffman miał na myśli. - Tam, skąd pochodzę, ludzie nie mają tyłków, tylko dupy.

- Nieważne. Jak zwał, tak zwał. Mówię tylko, żebyś nie wchodziła mu w... już sama wiesz gdzie.

Odwrócił się i odszedł.

W sumie nie było sensu mówić Marcusowi, że zawsze lubiła pułkownika. Jej zdaniem, był dobrym żołnierzem, a co ważniejsze, jako dowódca nie grzał tyłka na krześle, jak ci wszyscy sztabowcy, których nie raz widziała. Tak samo zresztą była pewna, że nie należy mówić Hoffmanowi wszystkiego o Feniksie. O tym, że chociaż opuścił swoich ludzi, to na pewno nie zrobił tego bez powodu. I że wciąż go to dręczy. Nie chciała brać udziału w tym sporze. Musiała myśleć o sobie i swoich problemach. Była w końcu tylko człowiekiem. A ponowne zostanie Gearem dawało jej szansę, której nie chciała zmarnować.

Niespodziewanie stanął przed nią Dom. Poczula od niego smród karbolowego mydła. Najwyraźniej bardzo się starał, aby zmyć z siebie feter Szarańczy.

-Chodź, zaprowadzę cię do biura kwaterunkowego -powiedział. - Jeśli będziesz miała jakieś pytania czy problemy, wal do mnie jak w dym. W końcu służyłaś z Carlo-sem, więc jesteś jak rodzina.

-Dzięki. Miło to słyszeć, Dom.

-Opowiesz mi kiedyś o nim? - spytał. - Na pewno razem robiliście wiele porąbanych rzeczy, o których brat mi nie wspominał.

Bernie zdobyła się na uśmiech, a kiedy ruszył wąskim korytarzem, podążyła za nim. Wiedziała już, że prędzej czy później wydusi z niej to wszystko. Nawet rzeczy, o których przysięgała sobie nigdy nikomu nie mówić.

Zapyta o dzień, w którym Carlos zginął.

CENTRUM DOWODZENIA, SZPITAL WRIGHTMANA, JACINTO

Doniesienia o atakach Szarańczy zazwyczaj nadchodziły bardzo często, ale ostatnio zdarzały się jakby rzadziej. Co nie znaczyło, że przestały przychodzić w ogóle.

- Pułkowniku, mamy problem - powiedział porucznik Mathieson, wymachując ze swojego wózka inwalidzkiego świeżo wydrukowaną mapką. Dostał się do Centrum Dowodzenia zaraz po tym, jak stracił obie nogi. - Proszę spojrzeć. Widzi pan? Idą w innym kierunku.

Hoffman przez chwilę z uwagą przyglądał się kilku niewielkim strzałkom na mapce, układającym się w cyfrę cztery, a także czasom zanotowanym obok nich. Bez trudu dostrzegł istotę problemu. Szarańcza poruszała się na północ, zmierzając do miejsca, w którym nigdy jeszcze się nie pokazała. Był to skrawek lądu pomiędzy terenami Odrzuconych a obszarem, który eufemistycznie nazywano rolniczym. Rejon ten wciąż optymistycznie kolorowano na mapach na zielono. W rzeczywistości od dawna nic już nie przypominało tam prawdziwych pól uprawnych. Tylko niewielki skrawek pozostawiono pod otwartym niebem, zaś przytłaczającą większość zajęły budynki przemysłowe. Pełno tam było ohydnych hangarów, w których mieściły się farmy hydroponiczne i mykoproteinowe oraz fermy drobiu. Ludzi trzeba jakoś wykarmić.

Już na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że ruchy Szarańczy pokazane na wykresie nie układają się w jeden wyraźny schemat. Jeszcze nie...

„Kiedy zaczną - pomyślał - będzie już za późno”.

- Co o tym sądzisz, Mathieson?

- Cóż, może to tylko zbieg okoliczności, ale gdyby tak przeciągnąć tę linię, można zauważyć pewną konsekwencję w ich działaniu i założyć, w jakim kierunku zacierają.

-Jeśli zajmą te tereny i odetną nam dostęp do żywności, będzie po nas - powiedział Hoffman. - Geolodzy jednak zapewniają, że pod powierzchnią jest lita skała.

-Może wystąpił jakiś efekt uboczny po użyciu bomby lightmassowej.

-Co masz na myśli? Nowe pęknięcia skorupy?

-Taka energia musi mieć gdzieś ujście, pułkowniku.

W pokoju, który dziś był tylko cieniem dawnego Centrum Dowodzenia, zapadła cisza, przerywana jedynie sporadycznymi popiskiwaniem drukarki wypluwającej kolejne kartki z wydrukami. Hoffman podniósł głowę i zdał sobie sprawę, że wszyscy zebrani wpatrywali się teraz tylko w niego. Przez chwilę przyglądał się młodym mężczyznom niezdolnym do walki i kobietom od osiemnastego do nie wiadomo-którego roku życia. Wszyscy oni, jak jeden, nosili cywilne stroje. Ale nagle zorientował się, że łączyło ich coś jeszcze - widoczny w oczach bezgraniczny strach.

„Walka na polu bitwy jest prosta” - pomyślał. „Strzelasz, wstrzymujesz ogień, biegniesz naprzód, padasz... Ale kiedy dzieje się coś... coś takiego... nigdy nie wiesz, czy czegoś nie spieprzysz i czy świat cię nie znienawidzi”.

Wiedział, że bez stałych dostaw żywności miasto wytrzyma najwyżej kilka miesięcy. W najlepszym przypadku. Co gorsza, mieli także sporo problemów z zabezpieczeniem wodociągów. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że Szarańcza dostrzegła swoją szansę i szykuje się do oblężenia.

- Pułkowniku - zaczął nieśmiało jeden ze starszych mężczyzn - będą chcieli nas zniszczyć głodem, prawda?

-Jest pan w tym wieku, że powinien pan pamiętać Anvil Gate - odpowiedział Hoffman. - Więc musi pan także pamiętać, jak radzę sobie z oblężeniami.

To był decydujący moment w jego karierze. Nigdy nie wiedział, czy to właśnie to doświadczenie ukształtowało go ostatecznie, czy coś zupełnie innego, ale z pewnością nie chciał tego przeżywać po raz drugi.

- Dajcie mi Prescottta - rzucił krótko.

Przewodniczący był dostępny zawsze, dwadzieścia sześć godzin na dobę. Dlatego Hoffman nie miał żadnych wyrzutów, kiedy podchodził do interkomu. Po minucie oczekiwania na połączenie Prescott wreszcie się odezwał. Mimo że wszyscy w pokoju pozornie wrócili do swoich zajęć, w napięciu przysłuchiwali się rozmowie.

-Jakiś problem, pułkowniku?

Mathieson podał Hoffmanowi kolejny wydruk. Na mapie pojawiły się nowe strzałki obrazujące ruchy wroga.

-Wygląda na to - powiedział pułkownik - że Szarańcza ma nową strategię. Idą na północ. Najwyraźniej chcą nas odciąć od dostaw żywności.

-Ilu ich jest?

-Nieważne, ilu ich jest. Jeśli uda im się przegrupować i zająć ten rejon, stracimy go bezpowrotnie. Mamy dwa wyjścia: kontratakować już teraz albo po prostu wycofać się z tego obszaru.

-Co proponujecie?

Hoffman wolał nie wszczynać niepotrzebnych walk. Zwłaszcza że nie miał żadnej gwarancji, iż w ten sposób ocali ten sektor oraz uchroni zapasy żywności przed znisz-

czeniu. Miał już wprawę w ewakuowaniu ludności. Robił to, kiedy Szarańcza posuwała się przez Tyrus.

- Wycofajmy się, panie przewodniczący. Zważywszy na tempo ich marszu, mamy jakieś trzy dni. Do tego czasu powinniśmy zdążyć zamknąć produkcję i przenieść wszystko w bezpieczne miejsce. Nie mam zbyt wielu ludzi do dyspozycji, ale damy radę.

Prescott zamilkł i przez chwilę słychać było tylko szelest przewracanych kartek.

-Czy mamy tyle helikopterów, żeby przeprowadzić tę operację sprawnie?

-Użyjemy samochodów. Ale musimy się śpieszyć.

-OK, powiadomię służby ratunkowe i dam im wszelkie upoważnienia. Odezwą się do ciebie w ciągu godziny. Ilu Gearów możesz tam wysłać?

-Nie tylu, ilu bym chciał. Ale im wcześniej tam pojadą, * tym szybciej wrócą.

-Proszę mnie informować na bieżąco, pułkowniku

-zakończył Prescott i połączenie zostało przerwane.

Hoffman klasnął w ręce, ale dobrze wiedział, że nie musiał tego robić, żeby zwrócić na siebie uwagę. W pokoju było cicho jak makiem zasiał.

-Dobra, ludzie - powiedział. - Mamy stan pogotowia. Wiecie, co robić. Jak tylko przydzielę nam wozy, zaplanujecie mi trasę w jedną i w drugą stronę, określicie czas trwania akcji i wyznaczycie punkty zborne. Mathieson, postaw trzy oddziały w stan gotowości.

-Tak jest, pułkowniku.

Wszystko wydawało się jasne. Był z siebie zadowolony. Wiedział, że dowodzenie to swego rodzaju niekończące się przedstawienie. Każdy Gear - i cywil także - powinien pa-

trzeć na swojego przełożonego jak na kogoś, kto w każdej chwili wie, co robi i co mówi. Wiedział też, że najtrudniej będzie mu przekonać samego siebie.

„Dlatego nie zasługuję na to stanowisko” - stwierdził w myślach, ale zaraz dodał: „I dlatego wciąż żyję”.

Zasługiwał czy nie - i tak nie miał komu przekazać swoich obowiązków. To był jego krzyż. I teraz mógł się tylko modlić, żeby życie dało mu jeszcze jedną szansę i żeby wszystko poszło zgodnie z planem.

TRZY

Idioto, cog nie jest jakąś cholerną bezduszną maszyną. cog to ludzie. Wspierający się wzajemnie i od siebie zależni. Może wasza wolność to i fajna rzecz, ale w istocie sprowadza się do tego, że srasz na wszystkich dookoła. A kiedy srasz, nie licz, że ci pomogą, gdy będziesz tego potrzebował. Zrozum, musimy trzymać się razem. Bo tylko razem przeżyjemy.

SZEREGOWY DOM SANTIAGO
DO JEDNEGO Z ODRZUCONYCH,
KTÓRY ODMAWIAŁ POMOCY GEAROM

GIMNAZJUM OLAFSONA, EPHYRA

26 LAT WCZEŚNIEJ, 12 LAT PRZED DNIEM WYJŚCIA

Był dzieciakiem z bogatej rodziny, więc różnił się od innych. I co gorsza, był nowy.

Carlos Santiago naprawdę współczuł Marcusowi Feniksowi, który szybko podszedł do ławki i usiadł za nią, chcąc jak najmniej zwracać na siebie uwagę. Nie patrzył na nikogo, najwyraźniej licząc, że jeśli nie będzie spoglądał innym w oczy, sam też pozostanie niezauważony. Nie wyglądał na bogacza - zamiast jakiegoś drogiego ubrania jak wszyscy

miał na sobie szkolny mundurek. Ale i tak każdy wiedział, kim był jego ojciec i w jakim domu mieszkał.

Był wysoki, chudy i blady. Jego nieco niepokojące jasnoniebieskie oczy mocno kontrastowały z czarnymi włosami opadającymi mu na czoło. Z takim wyglądem równie dobrze mógł zawiesić sobie na plecach kartkę z napisem: „Skop mnie, zapraszam”.

Nauczyciel matematyki, major Fuller, zdawał się tak samo staromodny jak budynek, w którym mieściła się szkoła. Szybkim, zdecydowanym krokiem, zupełnie jakby wciąż nie mógł się pozbyć żołnierskich przyzwyczajęń, przemierzył klasę. W klapę miał wpiętą jedną z tych odznak, jakie noszą sierżanci przygotowujący rekrutów do defilad. Każdy mężczyzna w rodzinie Santiago służył w armii, więc Carlos znał się na rzeczy. Zresztą teraz wojsko było czymś powszednim, było częścią życia. Szczególnie w szkołach. Ojciec Carlosa zawsze powtarzał, że etos Geara z każdego zrobi człowieka. Kiedy usłyszał to po raz pierwszy, musiał sprawdzić w słowniku, co znaczy słowo „etos”.

- Przedstaw się, chłopcze - powiedział Fuller.

Nowy wstał z ławki, trzymając wciąż opuszczony wzrok.

-Marcus Fenix, proszę pana - powiedział cicho, ale zdecydowanie.

-Wiek, rodzice, rodzeństwo?

-Mam dziesięć lat. Moi rodzice to profesor Adam Fenix i doktor Elain Fenix. Jestem jedynakiem.

„Już po nim” - pomyślał Carlos, kiedy zorientował się, że nowy nawet mówił inaczej niż reszta chłopaków. „Akcent z wyższych sfer. Dadzą mu popalić”.

Fuller patrzył milcząco na Marcusa, licząc, że powie coś jeszcze, ale ten tylko stał z oczami utkwionymi w blat ławki.

-Chłopcy - przerwał wreszcie przeciągającą się ciszę -liczę, że pomożecie koledze oswoić się z nowym miejscem. Bądźcie mili i nie zachowujcie się jak banda dzikusów. Pokażcie, że jesteście cywilizowanymi ludźmi. Rozumiemy się?

-Tak jest, panie majorze - odpowiedzieli wszyscy chórem.

Joshua Curzon podniósł rękę.

-Jeśli jest taki bogaty - zapytał - to dlaczego chodzi do naszej szkoły, proszę pana?

-Uważasz, że to szkoła dla biedaków?

-Nooo, my jesteśmy biedni...

Nauczyciel zdecydowanym ruchem odłożył trzymaną w rękach trzcinę na pulpit swojego biurka, aż trzasnęło niczym karabinowy wystrzał.

- Fenix jest tutaj, ponieważ w każdym normalnym społeczeństwie ludzie powinni trzymać się razem, a nie żyć w odrębnych grupach. Liczy się jedność. Nikt nie może egzystować w oderwaniu od innych. W żadnym kraju, ni gdzie. To właśnie dlatego powstała Koalicja.

Fuller często wypowiadał te słowa, a Carlos był w stanie zacytować je z pamięci w każdej chwili. I może o to właśnie chodziło? Zresztą nieistotne. I tak zawsze kiedy o tym myślał, dochodził do wniosku, że to wszystko miało swój sens.

-Jeśli pomagasz swoim sąsiadom - ciągnął nauczyciel -oni pomagają tobie. Wcześniejsze pokolenia zostawiły nam w spadku bogactwo i dobrobyt, więc i my zostawmy coś

naszym potomkom. Nikt, kto myśli tylko o sobie i o swoich zachciankach, nie może nazywać siebie prawdziwym człowiekiem.

To też miało sens.

Ale Santiago już to wszystko wiedział i teraz bardziej interesowało go, jak Marcus mieszkał i jak duży był jego pokój. Pewnie zajmował całe skrzydło. A rezydencja Feniaków do małych nie należała. Kiedyś zdarzyło mu się razem z Domem objechać granicę ich posiadłości. Chcieli nawet zajrzeć za mur, żeby sprawdzić, jak wielki jest ogród, ale jakoś nie starczyło im odwagi. Gdyby wpadli, ich mama dostałaby szału. Zawsze mu powtarzała, że powinien dbać o młodszego brata i być dla niego przykładem.

W każdym razie, cokolwiek by mówić, majątek Feniaków wyglądał dla niego jak więzienie.

- Otwórzcie swoje książki - powiedział Fuller. - Curzon, widzę, że interesujesz się finansami, dlatego powiesz nam wszystkim, czego nauczyłeś się wczoraj na temat obliczania średniej...

Carlos z niecierpliwością odliczał minuty do długiej przerwy. Leniwie obserwował drobiny kurzu, które wirowały w smugach słonecznego światła bijącego od wysokich okien, a potem osiadały na drewnianej boazerii na ścianach. W powietrzu unosił się zapach pasty do podłóg.

Budynek miał kilkaset lat i z pewnością przetrwa kolejne kilkaset, bez względu na to, czy jakaś wojna wybuchnie, czy też nie. Jego dziadek pamiętał początek Wojen Wahadłowych, ale Carlos był wtedy za mały. Mimo wszystko nawet obecne czasy nie wydawały się takie straszne, jak mówiono. Życie toczyło się jak zawsze.

Poza tym prawdziwa wojna była tu, w Gimnazjum Olafsona.

Podczas lunchu skrycie obserwował Marcusa - tak na wszelki wypadek. Nikt nie siadał przy jego stole, nikt też nie zamienił z nim jednego słowa. Wszyscy tylko gapili się na niego z bezpiecznej odległości. W końcu nie wytrzymał - wziął swój talerz, podszedł do nowego i zajął miejsce obok.

-Jestem Carlos Santiago - powiedział. - Co jest za murem waszej posiadłości? No wiesz, tej przy alei Założycieli.

-Ogród - odpowiedział chłopak, wpatrując się w jedzenie.

-Fajnie - skwitował. - Do jakiej szkoły chodziłeś wcześniej?

- Miałem prywatnego nauczyciela.

To wiele tłumaczyło.

- To miejsce nie jest takie złe - rzucił Carlos. - Hej, wi działem twojego ojca w wiadomościach. Jest znany. Wiadomo, naukowiec.

Marcus odwrócił się i spojrzał na niego.

-On zawsze mówi o sobie - powiedział cicho - że jest inżynierem. I że to moja mama jest naukowcem. Tata był kiedyś Gearem.

-Mój tata także był Gearem. Jak mój dziadek i moi wujkowie. I ciotka Rosa. Ja też kiedyś nim będę.

-Już zdecydowałaś?

-Jasne. W wojsku jest super. To jak rodzina. Marcus zamilkł na chwilę, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Może oficerowie COG - a jego ojciec był właś-

nie oficerem - nie widzieli tego tak optymistycznie? Może w ten sposób myśleli tylko żołnierze niżsi rangą?

Carlos spędził z Marcusem całą przerwę, świadomie nie dając innym okazji do znęcania się nad nowym. Wiedział, że prędzej czy później chłopaki i tak go dopadną, miał jednak nadzieję, że jeśli da mu czas, ten zdąży okrzepnąć i przygotować się na konfrontację. Zwłaszcza że - jak szybko odkrył - chłopak nie był zbyt rozmowny, co tylko pogarszało sytuację. Z tego powodu zresztą Santiago przez chwilę nawet myślał, że Fenix go nie lubi, ale potem zrozumiał, że powód był w istocie inny - po prostu nie wiedział, co powiedzieć i jak się zachować.

Gdy wracali do głównego budynku szkoły, drogę zastąpił im Curzon i jego starszy o rok brat, Roland.

- Wyższe sfery, co? - powiedział pogardliwie Joshua. - Zadzieramy nosa?

Carlos wiedział, że to może odnosić się zarówno do niego, jak i do nowego. Wiedział też, że nie poradzi sobie w pojedynkę z obydwojema braćmi, ale i tak nie zamierzał odpuszczać. Kiedyś tak samo wstawił się za Domem.

-On jest w porządku - rzucił z udawanym luzem.

-Zostawcie go.

-Wchodzisz mu w tyłek tylko dlatego, że jest bogaty

-zadrwił Joshua. - Jesteś zwykłym włazidupem, Santiago.

-A ty debilem - wycodził Carlos, odruchowo zaciskając dłonie w pięści. - Powiedziałem, żebyście zostawili go w spokoju.

-Lepiej pilnuj swoich spraw.

-Wypchaj się!

-Bo co?

- Bo to! - odpalił i nie czekając na reakcję obydwu Curzonów, wyminął ich szybko.

„Tym razem się udało” - pomyślał z ulgą, wchodząc z Marcusem do budynku.

Ostatnią godzinę w szkole zazwyczaj spędzali na graniu w thrashball. Carlos podejrzewał, że nauczyciele organizowali mecze tylko dlatego, żeby mieć chwilę spokoju pod koniec dnia, ale nie robiło mu to różnicy. Ważniejsze było, że mogli wtedy pogadać o różnych sprawach i odechnąć od nauki. Już na wstępie wybrał Feniksa do swojej drużyny, nie chcąc, żeby zrobił to ktoś inny. Kiedy wymieniał jego imię, poczuł na sobie wściekły wzrok Joshuy, który zdawał się mówić: „Już po tobie, stary”. I nie musiał długo czekać na spełnienie tej obietnicy. Po pierwszym gwizdku Curzon wbiegł z piłką w pole karne i dźgnął go łokciem w plecy. Carlos postanowił nie być mu dłużnym. Wyczuł odpowiedni moment i całym ciężarem stanął na podbiciu stopy Joshuy. To było dobre posunięcie, bo tamten aż zawył z bólu.

„Bolało, co?” - pomyślał z satysfakcją.

- Przestań się drzeć, Curzon - krzyknął sędzia, nie przerywając rozgrywki. - Albo przeniosę cię do sekcji dziewczęcej.

Chłopak z wściekłością zacisnął usta i dołączył do swojej drużyny.

Chwilę później, podczas stałego fragmentu gry, Marcus rzucił się, aby kryć Carlosa. Nie był silny, ale jego wzrost sprawił, że udało mu się przechwycić daleki rzut. Znieruchomiał na kilka sekund, najwyraźniej zaskoczony faktem, że zrobił to z taką łatwością. Korzystając z okazji, Joshua

wszedł w niego z całym impetem i Fenix padł jak długi, lądując pod stopami osiłka. Nie wyglądał przy tym na kogoś zawstydzonego, a raczej na pokiereszowanego, ale dla Santiago i tak było już tego za wiele.

Gdy tylko opuścili boisko, dopadł Joshuę w przejściu. Postarał się, aby nikt nie widział, że ma zamiar dać mu nauczkę.

-Powiedziałem, że masz mu dać spokój - syknął przez zaciśnięte zęby.

-O, wybacz, stary. Zapomniałem, że to twój najlepszy kumpel.

-To jego pierwszy dzień. Opuść mu.

I tak to wszystko powinno się zakończyć. Marzenie świętej głowy.

Kiedy wszyscy już wyszli z szatni, nowy usiadł na ławce obok niego.

-Nie martw się o mnie - mruknął. - Nic mi nie będzie.

-Ale to nie fair...

Fenix wzruszył ramionami w odpowiedzi, jakby chciał dać do zrozumienia, że mu na tym nie zależy.

- Lepiej pójde już do domu - rzucił.

Carlos zamierzał powiedzieć, żeby na siebie uważał, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Nie chciał, żeby tamten pomyślał, że traktuje go jak małe dziecko. Trudno mu było wyjaśnić, dlaczego tak uparcie chronił tego chłopaka, ale skoro już podjął się tego zadania, nie widział sensu rezygnować w pół drogi. Na wszelki wypadek wyszedł pierwszy, aby upewnić się, że droga jest czysta. I oczywiście okazało się, że nie była. Na zewnątrz, w cieniu portyku, czekał się Joshua. Był z nim Roland i jeden z ich koleżków. Stali

tam i czekali z rękoma wbitymi w kieszenie. Carlos wyprostował się, a potem ruszył w ich stronę.

-Myślisz, że jesteś niepokonany, co, Santiago? - Młodszy Curzon wyglądał, jakby szykował się do ataku. - Zawsze udajesz ważniaka i wszystkim rozkazujesz.

-Tak? I co zamierzasz z tym zrobić?

-A to - odpowiedział teatralnie osiłek, jakby nauczył się tego zdania z jakiegoś filmu, i walnął Carlosa prosto w twarz.

Santiago był na to przygotowany, ale nie spodziewał się, że cios będzie aż tak silny. Coś zagruchotało mu w głowie, a w uszach nieprzyjemnie dzwoniło. W ustach poczuł słony smak. Otrząsnął się z pierwszego szoku i zaczął na oślep okładać Joshuę pięściami. Nagle poczuł, że ktoś jest za nim.

„O nie!” - krzyknął w myślach. „Nie dam rady im trzem! A może jednak... Mama będzie wściekła, kiedy usłyszy, że znów się biłem”.

Ale Roland nie atakował, podobnie jak jego koleżka. Ktoś za to złapał Joshuę za kołnierz i powalił na ziemię, jak szmacianą lalkę.

To był Marcus.

Chcąc przyjść z pomocą młodszemu bratu, Roland natchmiast włączył się do bójki. Jego prawy sierpowy ześliznął się po skroni Feniksa, gdy ten zrobił unik. Carlos nie mógł się zdecydować, co ma teraz zrobić - znokautować do końca Joshuę czy stanąć u boku swego wybawiciela. Wiedział tylko, że mylił się co do nowego.

Roland przyjął kolejny cios zadany z bokserską niemal precyzją, tym razem prosto w twarz. Zachwiał się niepewnie, a po chwili z jego nosa trysnęła krew.

Młodszy Curzon poderwał się na nogi, ale podobnie jak trzeci napastnik, tylko stał, porażony tym, co zobaczył. Nikt tutaj tak się nie bił. Może z wyjątkiem dorosłych. Co dziwniejsze, Marcus był zupełnie spokojny i wyglądał, jak gdyby nic się nie stało.

- Trzymajcie się ode mnie z daleka. - powiedział ci cho. - I trzymajcie się z daleka od Santiago. Albo jeszcze raz was tak urządzę.

I to wszystko.

Joshua i jego kompan zrobili w tył zwrot i odeszli, podtrzymując między sobą zataczającego się Rolanda. Carlos tępo wlepił wzrok w chudego chłopaka, zastanawiając się, jak ktoś tak niepozorny może uderzać z taką siłą.

Fenix obejrzał dłonie, jakby chciał sprawdzić, czy nie ma na nich krwi, a potem pomacał swój łuk brwiowy.

-Jest siniak? - zapytał. - Nie chcę, żeby tata znowu się martwił.

- Wszystko w porządku - odpowiedział Carlos. Chciał powiedzieć coś w rodzaju: „niezła robota” albo „nieźle, stary”, ale nie wiedział, jak ten zareaguje na jego słowa. - Po wiedz rodzicom, że grałeś w thrashball.

„Dlaczego jego tata miałby się martwić znowu?” - pomyślał. „Może wyrzucali go ze szkół właśnie za bójki i dlatego miał prywatne lekcje w domu?”

-Dlaczego nie uczysz się w akademii wojskowej? - zapytał po chwili na głos. - Twój tata mógłby kupić ci miejsce.

-Tata chce, żebym był wśród zwykłych ludzi.

-Takich zwykłych jak ja i Dom?

-Nie miałem tego na myśli, przecież wiesz. - Marcus uśmiechnął się przepraszająco. - Muszę być samodzielny...

- No tak, w tak wielkim domu to się przydaje... - powie dział pojednawczo Carlos. - To tata nauczył cię tak się bić?

Dla niego było to pytanie retoryczne. Jego własny ojciec też go uczył takich rzeczy - jak składać pięść, żeby przy uderzeniu nie połamać sobie palców, i gdzie celować. No i jak nie wdawać się w żadne bijatyki - chyba że nie ma innego wyjścia.

-Nie, nie on - odpowiedział Marcus, a w jego głosie dało się wyczuć jakiś nieokreślony smutek.

-A tak w ogóle - zaczął Santiago, widząc, że lepiej nie drążyć tego tematu - to dzięki za pomoc. Stałaś w mojej obronie. Tak robią tylko prawdziwi przyjaciele.

Co prawda Fenix obronił kogoś, kto wcześniej sam się za nim wstawił, ale Carlos wiedział, że to jedna z tych rzeczy, które należy docenić. Chłopak nie bał się tego, że sam oberwie, choć tamtych było aż trzech. I teraz wcale się nie wywyższał.

Nowy mrugnął kilka razy, gdy usłyszał słowo „przyjaciele”.

-Kto to jest Dom? - zapytał po chwili, zmieniając temat.

-To mój młodszy brat, Dominie. Ma osiem lat, ale jest w porządku.

-Pewnie fajnie jest mieć brata?

-Mogę ci go pożyczyć - rzucił z rozbawieniem - kiedy znowu mnie wkurzy.

-Dzięki.

W drodze do domu Carlos rozważał, czy Marcus do jutra nie zapomni o całym zdarzeniu i czy nie będzie udawał, że nic się nie stało. Ale nie zapomniał. Co więcej, następnego dnia zachowywał się o wiele swobodniej, choć nadal

niewiele mówił. Na jego skroni czernił się ogromny siniak. Mimo to czuł się pewnie. Jakby wiedział, że nie musi nikogo przeproszać za to, że jest inny.

Bracia Curzon dostali nauczkę i do końca szkoły zostawili ich w spokoju. Zresztą nikt już nigdy nie próbował z nimi zaczynać.

DOM CARLOSA SANTIAGO

3 LATA PÓZNIJ

- To niesamowite, jak ten chłopak szybko rośnie - powiedziała Eva Santiago, spoglądając raz po raz na ogród za oknem. - Nie mogę uwierzyć, że jest tym samym dzieciakiem co kiedyś.

Dom wolałby teraz być z tatą, Carlosem i Marcusem, którzy właśnie rozbierali jakiś stary silnik, ale musiał pomagać mamie przy nakrywaniu do stołu. W myślach przyznał jej rację, Fenix faktycznie zmienił się nie do poznania, odkąd zaczął przyjaźnić się ze starszym bratem. Nie gadał już jak sztywniak - a czasami nawet się śmiał. Nie był też chudy jak kiedyś, a do tego przewyższał Carlosa niemal o głowę i wzrostem dorównywał majorowi Fulleroi. Trzynastolatek o posturze dorosłego mężczyzny.

- On uwielbia twoje dania, mamó - oświadczył Dom z dumą. - Mówi, że gotujesz najlepiej na świecie.

Pani Santiago podrapała się z zakłopotaniem po głowie i uśmiechnęła.

- Ciekawe, jacy są jego rodzice? - spytała.

Wzruszył ramionami. Wizyty w posiadłości Feniksów nigdy nie były zwykłymi odwiedzinami u kumpla, a rodzi-

ce Marcusa tylko to wrażenie pogłębiali. Mieszkali w prawdziwym pałacu pełnym zabytkowych, pozbawionych życia staroci. Za każdym razem, kiedy wybierał się tam z bratem, ten kazał mu obiecać, że będzie ostrożny i że niczego nie zniszczy. Dlatego nie lubił tam chodzić i cieszył się, że nie robili tego za często.

-Jego rodzice są nawet w porządku - powiedział - ale myślę, że mało wiedzą o Marcusie.

-Dlaczego tak mówisz, kochanie?

-Oni traktują go inaczej niż wy nas.

Eva Santiago na moment znieruchomiała, przybierając zaniepokojoną minę.

- Chcesz powiedzieć, że robią mu jakąś krzywdę?

-To nie to, mamó. Oni po prostu ciągle go testują.

Zresztą Marcus jest w domu całkiem inny. Nawet mówi inaczej. No wiesz, jak sztywniak.

Dostrzegł na twarzy mamy uśmiech - jeden z tych, których nigdy nie mógł rozszyfrować.

- Myślę, że wasz przyjaciel jest bardzo samotny - wes tchnęła. - A ty jesteś bardzo mądry. Tak jak twój brat. Jestem z was dumna.

Skończył układać noże i widelce. Jeszcze raz spojrzął na swoje dzieło i chrząknął, dając tym znak, że jest gotowy. Mama pochwaliła go skinieniem głowy i pozwoliła wyjść do ogrodu.

Tak naprawdę nie ciągnęło go do taty i chłopaków. O wiele bardziej interesował się sąsiadami, którzy wprowadzili się dwa domy dalej. I oczywiście ich córką. Ta dziewczyna potrafiła wchodzić na drzewa z prędkością światła. Nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego. Miała na imię Maria, a przynajmniej tak słyszał, bo do tej pory jakoś

nie mógł się zebrać na odwagę, aby zamienić z nią kilka słów. Ale powoli dojrzywał do tej decyzji.

Wyszedł na środek ogrodu i przez jakiś czas przeszukiwał koronę rosnącego nieopodal drzewa. Nikogo tam nie dostrzegł, uznał więc, że dziewczyna wołała dziś zostać w domu. Usłyszał mamę, która wołała wszystkich na obiad, kaząc im umyć najpierw ręce. Była naprawdę świetną kucharką. Nie dziwota, że Marcus zawsze prosił o dokładkę, a często się zdarzało, że nie odmówił i trzeciej porcji. Pewnie dlatego, że w swoim domu nie mógł liczyć na takie smakowitości. Mama zresztą cieszyła się, gdy widziała, z jakim apetytem jadł, a tata był pod wrażeniem tego, ile pikantnego sosu potrafił pochłonąć ich gość na jednym posiedzeniu.

-Jeśli masz w zasięgu ręki pikantny sos, wszystko jest jadalne - oświadczył, nakładając ryż na swój talerz. - Kiedy służyłem w armii, zawsze nosiłem go przy sobie. Żarcie było czasami podłe, więc sos wszystko załatwiał...

-Mam nadzieję, Ed, że w moich daniach sos nie musi niczego załatwiać.

-Oczywiście, że nie - zaśmiał się mężczyzna. - Kochanie, przecież wiesz, że uwielbiam twoją kuchnię. Ale uwielbiam też pikantny sos.

-Chciałby pan się znowu zaciągnąć, panie Santiago?

-zapytał Marcus. - Mam wrażenie, że tęskni pan za wojskiem.

-No pewnie, że tęsknię. Wspaniałe czasy, wspaniali przyjaciele. Najlepsi, jakich miałem. Warto było... Ale teraz mam dobrą pracę i rodzinę, więc...

Temat wojska zawsze wzbudzał wiele emocji w ojcu. Dom nie raz widział, jak jego oczy rozświetlają się, gdy

zaczyna opowiadać wszystkie te historie związane z jego oddziałem. Nawet gdy mówił o tych, którzy polegli w akcji, wyglądał jak ktoś, kto za nic na świecie nie oddałby minuty z tego, co przeżył. To był jego świat, jego młodość. Czasem wydawało się, że to właśnie ten okres uważał za najszczęśliwszy w swoim życiu - i to pomimo, że każdego dnia mógł zginąć.

- Zrobiłeś, co miałeś do zrobienia - odezwała się Eva Santiago, wyraźnie rozdrażniona. - I nie musisz nikogo przeproszać, że odszedłeś. Armia da sobie radę bez ciebie, a ludzie pracujący w transporcie są dla kraju tak samo ważni jak ci walczący na froncie.

Dom uśmiechnął się, ale nie chciało mu się wierzyć, że to, co mówiła mama, było na serio.

- A ty myślałeś o wojsku? - zapytał ojciec.

- Tak, proszę pana - odparł Marcus po chwili wahania.

Carlos stęzał i włączył się do rozmowy, zupełnie jakby chciał uchronić przyjaciela przed kolejnymi niewygodnymi pytaniami.

-A ja zaciągnę się, jak tylko skończę osiemnaście lat. A może nawet siedemnaście.

-Wykluczone - stwierdziła stanowczo matka. - Najpierw skończysz szkołę. Jasne? Poza tym nie chcę, żeby cię gdzieś przenosili, kiedy sytuacja się pogorszy.

-Nigdzie mnie nie przeniosą, mamó - powiedział Carlos i przyjął taką minę, jakby był pewny tego, co mówi.

Dom przez kilka sekund zastanawiał się, jak naprawdę będzie za te pięć lat, ale szybko uznał, że to dla niego zbyt odległa przyszłość. Spojrzał na ich gościa, który jadł w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w talerz. Choć zazwyczaj trudno było zgadnąć, o czym myślał, tym razem najwyraź-

niej coś go dręczyło. Ale co? I wtedy Dorna nagle olśniło - Carlos pójdzie kiedyś do wojska, a on, jego młodszy brat, zostanie tutaj. I będzie sam.

Jak Marcus.

Właśnie ta obawa malowała się na twarzy Feniksa. I złość, że zna swój los. Że musi studiować, ponieważ tego życzył sobie jego ojciec - ma zostać inżynierem lub naukowcem, a nie mechanikiem jak Eduardo Santiago.

Tak, ich drogi najpewniej kiedyś się rozejdą i Dom dopiero teraz dostrzegł, że świadomość tego faktu martwi tę dwójkę. Do tej pory byli nierozłączni...

„Nie” - pomyślał. „Oni nie są nierozłączni. Oni są jak bracia. I to w sumie jeszcze gorzej”.

- Już dobrze, kochani. Nie musicie się martwić na zapas - powiedział ojciec. - Jesteście jeszcze dziećmi. Cieszcicie się, póki możecie.

Dyskusja o armii nieco pogorszyła nastrój, ale dzięki niej odkrył, że wojna nie jest czymś abstrakcyjnym i że w każdej chwili może mu odebrać wszystko, co kochał. Będzie miał szesnaście lat, gdy Carlos się zaciągnie. Mama wyraźnie powiedziała, że chce, aby najpierw skończyli szkołę, więc sam też będzie musiał czekać jeszcze dwa lata, żeby dołączyć do brata. Długie dwa lata.

Przez resztę dnia chodził cichy i niespokojny. Po lunchu ojciec wrócił z nimi do rozbierania silnika, Dom jednak cały czas bił się z myślami. Rozmowa przy obiedzie tak bardzo zapadła mu w głowę, że nawet nie był w stanie pocieszyć się wyobrażeniem Marii wdrapującej się na drzewo.

- Marcus! - zawołała nagle Eva Santiago, stając w drzwiach tarasu. - Marcus, mój drogi, podejź tu na

chwilę. Dzwoni twój tata i chce z tobą porozmawiać. Mówi, że to ważne.

Fenix aż zamarł. Rodzice nigdy do niego nie dzwonili, kiedy tu był, więc musiało się stać coś poważnego. Czyżby narozrabiał? Niemożliwe, on nigdy nie pakował się w kłopoty.

Chłopak powoli odłożył narzędzia i wszedł do domu. Podniósł słuchawkę. Carlos chciał do niego podejść, ale mama zatrzymała go na tarasie, położywszy mu rękę na ramieniu.

- Później, kochanie - powiedziała cicho. - On te raz bardzo cierpi. Poczekam z nim na przyjazd jego taty. Sama.

Skinęła głową do męża i wróciła do środka.

-Co się stało? - zapytał Dom brata.

-Sam nie wiem - odpowiedział mu i podszedł do przeszklonych drzwi, ale nie zaglądał do środka ani nie wchodził, tylko próbował coś usłyszeć. - To coś bardzo złego. Czuję to.

Marcus nie wyszedł już z domu. Po chwili Dom usłyszał samochód zatrzymujący się na podjeździe. A potem mama i tata wrócili na tyły, do ogrodu.

- Chodzi o jego mamę. - Ed Santiago wyraźnie był wstrząśnięty sytuacją. - Pan Fenix mówi, że nie wróciła z pracy do domu. Zaginęła.

-Jak to zaginęła? - dopytywał się Carlos. - Porwali ją? Zamordowali?

Mężczyzna zaprzeczył niepewnie.

- Widzisz, synu, ludzie giną z różnych powodów, ale najczęściej się odnajdują. Na pewno wszystko będzie dobre. Zobaczycie... Ale nie rozmawiajcie z nim o tym. Nie te-

raz. Obiecacie mi to. Będzie mu bardzo ciężko, póki sprawa się nie wyjaśni.

Podobnie jak starszy brat, Dom milczał. W pierwszej chwili pomyślał, że mama Marcusa nie została porwana i że stało się z nią to samo, co spotkało ich sąsiadkę, panią Garcję. Wyszła z domu i nie wróciła. Podobno dlatego, że nie zgadzała się z mężem. Najgorsze, że zostawiła też dzieci. Cóż, mamy czasem robią takie straszne rzeczy...

Carlos zostawił grzebaninę w silniku i poszedł do swojego pokoju. Dom pozwolił mu na chwilę samotności, ale po pięciu minutach nie wytrzymał i wszedł za nim.

-Jak myślisz, kiedy go znów zobaczymy? - spytał.

-Zadzwoń do niego później. Przecież musi chodzić do szkoły.

-A co, jeśli jego mama nie uciekła? Co, jeśli umarła?

-Wtedy my się nim zajmiemy. Tak postępują przyjaciele. Nie, tak postępują bracia.

Elain Fenix nie wróciła ani następnego dnia, ani tydzień później. Marcus, jak to Marcus, wrócił do szkoły po dniu nieobecności i nie wspomniał nic o tragedii. Obydwaj cierpliwie czekali na moment, w którym sam zacznie ten temat, a brat kazał Domowi nawet przysiąc, że też nie będzie o nic pytać.

Pewnego dnia po obiedzie siedzieli we trójkę na dziedzińcu szkolnym, trzymając na kolanach otwarte podręczniki.

-Moja mama nie wróci - usłyszeli nagle. - Odeszła na zawsze.

-Skąd możesz to wiedzieć? - spytał Carlos.

-Tata nie chce mi powiedzieć, gdzie jest.

-Co masz na myśli?

-W filmach, kiedy ktoś znika, najpierw ustala się, dokąd mógł pójść, prawda? Próbowałem o to zapytać tatę, ale nie chciał ze mną rozmawiać. Dlaczego? No? Ponieważ on wie, dokąd poszła, i myśli, że jeśli mi to powie, będę się czuł jeszcze gorzej - to był typowy wywód w stylu Mar-cusa. - Dlatego wiem, że nie wróci. Po prostu coś było nie tak i odeszła...

Nie musiał dodawać, że wypowiadając ostatnie zdanie, w istocie obwiniał o to siebie - miał to wymalowane na twarzy. A jednak Dom w to wątpił. Być może nie łączyło go z rodzicami tyle, co ich, ale przecież to mało prawdopodobne, aby powodem odejścia pani Elain był on sam. Już prędzej wina leżała po stronie pana profesora. Tak jak w przypadku zniknięcia pani Garcii. Chciał to powiedzieć na głos, ale brat - widząc, co zamierza - wszedł mu w słowo, zanim zdążył otworzyć usta.

-Nie wydaje mi się, żeby twoja mama sama odeszła -rzekł, chcąc pocieszyć przyjaciela. - Policja cały czas jej poszukuje, prawda?

-Tak... Tata zgłosił jej zaginięcie, więc nie mają innego wyjścia - odparł chłopak i znowu zapadł się w siebie.

Wkrótce panią Elain uznano za zaginioną, a gdy Marcus skończył czternaście lat, nadal nic nie wiadano o jej losach. Nigdy jednak nie rozmawiał już z nimi na ten temat, pomimo, że od tamtej pory spędzał u nich o wiele więcej czasu niż kiedyś. Państwo Santiago nie sprzeciwiali się temu i pozwalali mu zostawać tak długo, jak chciał. Czasami tylko Dom słyszał, jak nocą rozmawiają w kuchni na temat Feniksów. Często żalowali wtedy chłopca

i zastanawiali się, jak bardzo czuje się samotny, skoro ucieka od własnego ojca.

Z czasem wszystko się ułagodziło. Marcus miał rodzinę Santiago, na którą zawsze mógł liczyć, a oni... Oni mieli jeszcze jednego brata.

CZTERY

Mimo zakazów mamy i upomnień przyjaciół Romily oddaliła się od grupy i weszła w ciemny las. Chciała pokazać wszystkim, jak bardzo jest samodzielna i odważna. Szła z dumnie uniesioną głową, nie podejrzewając nawet, że ma towarzystwo. Sześcionożny demon, który od dnia narodzin Romily cierpliwie czekał na taką właśnie okazję, opuścił swoją otchłań. Kryjąc się w chaszczach, ruszył za dziewczynką, aby ją posiąść...

STARA BAŚŃ O POTWORACH
OPOWIADANA NIEGRZECZNYM DZIECIOM

SZPITAL WRIGHTMANA. JACINTO - MIEJSCE ZBIÓRKI 2 DNI DO EWAKUACJI NORTH GATE, 14 LAT PO DNIU WYJŚCIA

Nie zaciągnąłem się do wojska, żeby zawracać sobie głowę jakimiś polami uprawnymi - powiedział Baird, przechadzając się pośród ciężarówek i od czasu do czasu kopiąc w jedną z opon. -Jestem Gearem i moim zadaniem jest zabijać Szarańczę. Co ten Hoffman sobie myśli, do cholery? Chyba do końca mu odbiło!

- Te „jakieś pola uprawne" także nam dostarczają żar-
cia - upomniał go Augustus.

Kilka helikopterów zatoczyło nad nimi koło. Właśnie wróciły z North Gate, gdzie zrzuciły kilku saperów do ochrony farm.

-A może wolisz psie mięso, kolego? - dodał osiłek. -Ja tam nie mam ochoty na taki stek.

-Zdecydowanie wolę żywe psy - powiedziała Matak, siedząca na stopniu do kabiny najbliższej ciężarówki. - Ale nie powiem, kiedyś zdarzyło mi się zrobić użytek z kota. Nawet nieźle smakował. A po wszystkim z jego futra zrobiłam sobie rękawiczki i dociepliłam buty.

Dom zastanawiał się, jak długo Baird wytrzyma w grupie z Augustusem i Bernie. Na razie udawał, że nie słyszy ich docinków.

-Nie rozumiem, dlaczego nie mogą po prostu przetransportować wszystkiego drogą powietrzną - powiedział, nie przestając narzekać. - Czy ktoś w ogóle rozważał taką możliwość?

-Nie mają aż tylu helikopterów - wtrącił się od niechcienia Dom. - Większość towaru trzeba przewieźć samochodami.

Z Bairdem dało się wytrzymać, ale trzeba było mieć swój sposób. Marcus na przykład zazwyczaj nie zwracał na niego uwagi, zaś Cole docinał mu, kiedy tylko mógł. A on? Nagle z przykrością zdał sobie sprawę, że często traktował ich mechanika tak jak kiedyś swojego czteroletniego synka, Benedicta. Po kilku latach Dom przywykł do myśli, że stracił swoje dzieci na zawsze, i wiedział, jak ignorować ból, który pozostanie w sercu do końca jego życia, ale zdarzało się, że na wspomnienie tej tragedii żal i rozpacz powracały ze zdwojoną mocą i dręczyły go niemal tak samo jak w dniu ich śmierci.

Bennie skończyłyby teraz osiemnaście lat, a Sylvia -siedemnaście. Gdyby wszystko inaczej się potoczyło, być może miałyby już własne dzieci. A Bennie pewnie została by Gearem.

„Dość” - upomniał się w myślach. „Przestań się zadreżać. Wiesz, jak to się zawsze kończy...”

Nieświadomie z pomocą przyszedł mu Augustus.

-Hej, Bernie - zawołał z przekąsem. - Masz jeszcze jakieś dziwne wynalazki w zanadrzu?

-Mówię poważnie, zrobiłam sobie wkładki ocieplające.

-Nie ściemniaj.

-Sam zobacz, jak nie wierzysz.

Mężczyzna przykucnął obok Matak. Ta odpięła paski przy jednym z butów i odchyliła cholewę. Santiago widział w swoim życiu wiele zwariowanych rzeczy, ale teraz go zatkalo. Kobieta naprawdę nosiła kocie futro. Pręgowane i wyliniałe niczym stary dywan.

- Ale jaja - zaśmiał się Cole, z głośnym plaśnięciem uderzając dłońmi w uda. - Hej, Damon, też chcesz wyściółkę? Możemy złapać dla ciebie jakiegoś dachowca!

Baird podszedł do nich i spojrział na but.

- Nie ma co, pierwsza klasa - stwierdził. -Ja raczej nie skorzystam, ale wy lepiej weźcie przykład z naszej koleżanki. Byłoby głupio, gdybyście dostali hipotermii w trakcie akcji.

Dom spodziewał się, że usłyszy zaraz jakiś złośliwy komentarz Bernie, ale, o dziwo, nic takiego nie nastąpiło. Sierżant stała tylko nieruchomo i w milczeniu wpatrywała się w Damona, aż ten w końcu odwrócił wzrok. Ale wiadomo było, że to tylko kwestia czasu, kiedy znów spróbuje przetestować jej wytrzymałość. Baird nie odpuścił jeszcze nikomu, krok po kroku sprawdzając, na ile sobie może

pozwoić. I zawsze kończyło się to tak samo - łamał go albo się nim nudził.

-Wszyscy pamiętają, co robić? - zapytała kobieta, zmieniając temat. - Od odprawy minęło już trochę czasu.

-Co za głupota - powtórzył mechanik. - Żeby wykarmić miasto, potrzeba co najmniej trzydziestu ton żywności na miesiąc, a my przecież wszystkiego nie przewieziemy. Najwyżej dziesięć, piętnaście procent. To po prostu nie ma sensu...

-Przynajmniej wiemy, że potrafisz liczyć.

Głos Marcusa przebijał się przez warkot silników i wszyscy usłyszeli każde słowo, zanim jeszcze zobaczyli swojego dowódcę. Mężczyzna wyłonił się zza pancерnej ciężarówki w towarzystwie Federica Rojasa, który wstąpił niedawno do armii na miejsce swojego brata, Jana, poległego w jednej z akcji. Dom nie był pewien, jak się z nim przywitać, bo zwykle „wiem, co czujesz” jakoś mu nie pasowało. Sam stracił brata, ale Federic stracił ich dwóch i musiało mu być ciężko ze świadomością, że jego najbliżsi odchodzą jeden po drugim. Podczas Wojen Wahadłowych utrata rodziny była czymś niewyobrażalnie strasznym, a teraz... śmierć bliskich to chleb powszedni.

Baird nie skomentował uwagi Marcusa.

- Powinniśmy zostawić to w cholerę - powiedział, obzuwając Rojasa przelotnym spojrzeniem. - Będzie tylko mniej gęb do wykarmienia. I równowaga zostanie zachowana.

Fenix westchnął ciężko, a potem spytał:

-Wiecie, co macie robić?

-No jasne - powiedział Augustus, wciąż wpatrując się z zachwytem w kocią wyściółkę butów Bernie. Dom zo-

rientował się, że toczy wewnętrzny spór, jakie zwierzę byłoby w stanie zjeść, a jakiego nie ruszyłby za żadne skarby.

- W pierwszym rzędzie transportujemy odnawialne źródła energii i zaplecze - powiedział dowódca. - Nasiona, drób, sprzęt do hydroponiki i mykofermentowania. Musimy to wszystko uratować za wszelką cenę.

Mykoprodukty były podstawowym źródłem białka w diecie żyjących obecnie ludzi. Głównie dlatego, że produkcja żywego inwentarza mocno podupadła w ostatnich latach. Dom nawet lubił nowy rodzaj potraw. Na pewno smakowały lepiej niż kocie mięso. Poza tym ważne było to, że mykoprodukty powstawały w sztucznych warunkach - bo to nic innego jak grzyby - co dawało im gwarancję stałych dostaw żywności. Wcześniej każde miejsce w Ephyrze, nawet najdziwniejsze, kazano przeznaczать na uprawy. Zmuszano ludzi do zasiewania wszystkiego, co popadło i gdzie popadło: na parapetach, podwórkach, klombach i w parkach. Dom słyszał nawet, że jakiś koleś hodował świnię w swoim mieszkaniu i w nocy wyprowadzał je na spacer. Ale to się zmieniło, kiedy Szarańcza zajęła większość planety. Liczebność upraw malała i coraz trudniej było wszystkich wykarmić. Musieli wprowadzić zmiany. A teraz nawet to nowe rozwiązanie stało się w obliczu zagrożenia.

Dlatego Santiago nie narzekał jak Baird. Nie chciał wracać do czasów, kiedy z powodu głodu raz po raz wybuchaly zamieszki.

- Na co czekamy? - zapytał.

- Na to - powiedział dowódca Delty, sprawdzając swój sprzęt i broń, po czym zerknął w kierunku granicy umocnień.

Na horyzoncie pojawiły się małe czarne punkty, które w miarę upływu czasu powiększały się coraz bardziej. Wkrótce przybrały znajome kształty i kilka helikopterów wylądowało na wyznaczonym dla nich terenie, wzbijając przy tym chmurę kurzu. Z jednego z nich wyskoczył Hoffman i od razu poszedł do konwoju. Podążał za nim Gear o charakterystycznej fryzurze. Bernie zachichotała.

-O w mordę, mam nadzieję, że pułkownik nie planuje jechać z nami - zaniepokoił się Marcus.

-Ostatnio wcale nie jest taki upierdliwy. - Dom wzruszył ramionami.

-A pewnie, znowu złapał wiatr w żagle.

Giearem, który towarzyszył Hoffmanowi, okazał się Tai Kaliso z Wysp Południowych. Dom pamiętał go jeszcze z Aspoho. Trudno zresztą było nie zapamiętać tego czarnego irokeza na głowie i fantazyjnych tatuaży pokrywających pół twarzy. Kompletnie wbrew jakimkolwiek regulaminom ryszturnek i Lancera wyspiarza zdobila cała masa dziwacznych symboli. Dom zdał sobie nagle sprawę, że wciąż jeszcze żyje wielu Gearów, którzy brali udział w tamtej strasznej bitwie. I że w jakimś sensie wspierają się, kiedy tylko mają okazję. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Pułkownik wyciągnął radio i włączył je.

- Przekonajmy się, czy zrozumieli instrukcje - powie dział do zebranych, a potem podniósł mikrofon do ust. - Kierowcy? Kierowcy, słuchajcie!

Zamilkł na moment i spojrzał na rząd stojących przed nim ciężarówek.

- Podstawowa zasada: jesteście cały czas w kontakcie radiowym. Jeśli zrobi się gorąco i nie będziecie widzieć, co jest za, a co przed wami, ktoś przez radio powie wam, gdzie

macie się kierować. Zrozumiano? - przerwał na chwilę dla podkreślenia wagi słów. - Przypominam też, że utrzymujecie stumetrowe odstępy, nie opuszczacie konwoju, nie ratujecie nikogo po drodze, a jeśli wpadniecie w zasadzkę, otwieracie ogień. To nie są moje sugestie, tylko rozkazy. A teraz odpalcie silniki i czekajcie na sygnał.

Kierowcy byli mieszaniną cywili i Gearów, którzy z racji wieku lub odniesionych w boju ran nadawali się tylko do lekkich zadań. Wszystkie transportery opancerzone, ciężarówka, a nawet pick-upy miały zamontowane działka pochodzące z wozów APC. Wśród pojazdów można było znaleźć także starą karetkę i okropnie pokiereszowany karawan. W sumie konwój miał całkiem niezłą siłę ognia, ale też droga, w jaką się wybierali, będzie naprawdę ciężką przeprawą. Czekala ich podróz przez kręte uliczki, gdzie widoczność ograniczają stojące koło siebie kamienice, wąskie zakręty i przewężenia na wpół zasypane hałdami gruzu.

Hoffman przypiął radio do pasa i skierował się w stronę swojego Armadillo. Zanim wsiadł do środka, obrócił się i krzyknął:

- Kaliso, jesteś ze mną. Fenix, Santiago i Rojas - samochód na czele. Mataki, Cole i Baird - tyły. Do roboty.

A więc pułkownik też miał zamiar jechać. No cóż, z pewnością nie można o nim powiedzieć, że miga się od roboty podczas niebezpiecznych misji. Może to nuda, a może chciał coś udowodnić?

Albo po prostu COG miała tak niewielu ludzi, że każdy ochotnik był na wagę złota?

-Jak długo będziemy jechać? - zapytał Federic.

Marcus podszedł do ich APC, otworzył niewielką klapę i zastukał w pancerz. Z wnętrza schowka wyleciał Jack -

samobieżny, opancerzony robot do zadań specjalnych -który zaraz rozłożył swoje wielkie ramiona i zawisł w powietrzu, czekając na rozkazy.

Dowódca Deltę przeciągnął się. Wyglądał, jakby wybierał się na spacer, a nie w długą, niebezpieczną podróż.

-Dwadzieścia, może trzydzieści godzin - powiedział.

-Jack zrobi rekonesans, gdy będziemy już blisko.

-Ale przecież do North Gate jest tylko kilkadziesiąt kilometrów - zdziwił się młody Rojas.

-Sporo czasu zajmie nam załadunek. A potem czeka nas jeszcze droga powrotna.

-Czy trzy wozy bojowe wystarczą na piętnaście samochodów?

-Wątpię.

-Tak myślałem - skwitował sarkastycznie Federic, wpakował się do środka wozu i zajął pozycję strzelca.

Dom zastanawiał się, co by robił, gdyby był pokój. Mimo że stracił tak wiele podczas wojny, podchodził do wojaczki z niezdrowym wręcz entuzjazmem. Lubił walczyć i nie miało to nic wspólnego z jakimiś niskimi instynktami czy chęcią zemsty. Przez moment chciał zapytać Rojasa, co on o tym sądzi, ale przestraszył się, że przez swoje wścibstwo dotknie jakiegoś delikatnego dla tamtego tematu i zburzy jego spokój. Każdy miał prawo traktować wojnę po swojemu i nikomu nic do tego.

- Robiłeś to wcześniej? - spytał go nagle Federic.

Dom, siedząc na miejscu kierowcy, wcisnął swojego Lancera w specjalny uchwyt i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zawył.

- Nie - rzucił przez ramię.

- Wszędzie jest tak samo - zawołał Marcus, zajmując miejsce pasażera. - Wsiadaj, wysiadaj, nie wchodź w drogę innym, a jeśli trzeba, strzelaj.

Fenix miał wspaniały dar upraszczania nawet najbardziej skomplikowanych spraw. Może jego edukacja w kierunku przedmiotów ścisłych wcale nie poszła na marne?

WÓZ DOWODZENIA. ŚRODEK KONWOJU

- Co jest, do cholery? - burknął Hoffman.

Na ulicach było mnóstwo Odrzuconych. Nie widział ich tyłu od lat.

Kaliso chwycił pewniej kierownicę i zwolnił, aby rzucić okiem na zniszczonego APC stojącego na poboczu. Droga była tu wystarczająco szeroka, żeby zmieściły się na niej dwa wozy równocześnie.

-Może chcą się przyłączyć - stwierdził bez przekonania.

-Gówno prawda. Nie bądź naiwny. Snują się bez celu i tyle.

Konwój oddalił się już znacznie od miasta i wjechał na ziemię niczyją, jak ją często nazywano. Teren ten zamieszkiwali Odrzuceni, którzy założyli tu swoje prowizoryczne, prymitywne domostwa. Hoffman zastanawiał się, jak ci ludzie mogą tworzyć jakąkolwiek społeczność. Trudno było ich zdefiniować. Półobywatele? Koczownicy? Nie dbali o swoje bezpieczeństwo, egzystując z dnia na dzień. Ale nikt ich do tego nie zmuszał - sami wybrali taki los.

Skupił się na drodze przed nimi. Wojna sprawiła, że wszystko przybrało bladobury kolor, utrudniając orientację w terenie. Być może dlatego dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że gruz, po którym jechali, to w istocie szlachetny biały marmur pochodzący z budynku, który mijali po prawej. W milczeniu patrzył na bogate fryzy i zdobienia leżące na drodze niczym puzzle. Ta niemal zrównana z ziemią budowla była kiedyś najbardziej znanym muzeum archeologicznym na świecie. To właśnie tutaj zapraszał dziewczyny na pierwsze poważne randki. I to właśnie tu starał się przekonać Ninę Kladry, że świeżo powołany żołnierz piechoty niczym właściwie nie różni się od młodszego oficera.

„Nigdy nie udawaj kogoś, kim nie jesteś” - pomyślał. „A jeśli już kimś jesteś, to bądź, do cholery, z tego dumny”.

Spojrzał w bok i dostrzegł spory kawałek marmuru leżący koło krawężnika. Sądząc po kształcie, był to fragment jakiejś rzeźby. Bładotrupia ręka zdawała się wyciągać w jego stronę w jakimś irracjonalnym proszącym geście. Na sekundę zamknął oczy. To właśnie była istota całego tego koszmaru - nieme błaganie o życie.

Na ulicę wyszedł jakiś starszy mężczyzna odziany w łachmany - prawdziwa rzadkość wśród Odrzuconych, gdyż większość z nich nie dożywała późnego wieku. Leniwie podniósł brudną rękę i wykonał gest, który trudno było uznać za pozdrowienie.

- Chyba nie cieszy się na nasz widok - stwierdził Hoffman, w myślach oceniając, że są w tym samym wieku, choć tamten wygląda na dwa razy starszego. - Ja cię też pieprzę.

-Kurczę, może oni mają dziś jakieś święto? - spytał Kaliso. - Tylu ich tu łązi...

-A może po prostu wiedzą coś, czego my nie wiemy?

Odrzuceni nie stanowili niebezpieczeństwa, ale irytowali wszystkich z COG Hoffman wiedział, że prędzej czy później będzie musiał zrobić z nimi porządek. To pierwsza rzecz, która go czeka, gdy już pokonają Szarańczę i przystąpią do odbudowy starego porządku. Ktoś musi zapanować nad tymi zdziczałymi gangami zdeterminowanych, głodnych i bezwzględnych ludzi. Łatwo to nie pójdzie, o nie. Ale przecież nigdy nie wpadał w panikę w obliczu podobnych wyzwań. Tak samo jak nie czynił tego na myśl, że wojna z Prescottem będzie kiedyś nieunikniona.

- Kaliso, zwolnij - rzucił. - Chcę z kimś porozmawiać.

Tai wyjechał z linii konwoju, a potem wyjął pistolet ze schowka i wepchnął go pułkownikowi w dłoń.

- Proszę na siebie uważać.

Hoffman sprawdził, czy magazynek jest pełny, i odbezpieczył broń. Wolał nie ryzykować. Wystarczyłaby jedna sekunda, żeby jakiś Odrzucony oddał strzał w jego kierunku - i byłoby po wszystkim.

Armadillo przejechał powoli obok trzech kobiet. Sądząc po wieku, założył, że to matka z dwiema córkami. Uniósł się z siedzenia, otworzył pokrywę wjazdu i wychynął na zewnątrz. W powietrzu unosił się smród niemytych ciał.

- Hej, ty - zawołał, starając się zachować neutralny ton głosu.

Kobieta uniosła głowę i spojrzała na niego, a on ze zgrozą pomyślał, że przypomina mu Ninę Kladry. Może nawet nią była...

-Dlaczego wszyscy wyszli na ulicę? - spytał, usiłując nie myśleć o swoim skojarzeniu.

-Z pewnością nie po to, żeby rzucać wam kwiaty na drogę, wy faszystowskie gnojki. Szarańcza odeszła.

„Tak, być może jesteście faszystowskimi gnojkami -przemknęło mu przez głowę - ale to my ginimy pod kulami, żebyście wy mogli żyć i nas obrażać”.

-A skąd taki wniosek? - postanowił nie dawać za wygraną.

-Ty wiesz to chyba najlepiej, co?

Odrzuceni mieli swoje sposoby, aby śledzić Szarańczę, i był tego świadom, ale kobieta wcale go nie przekonała.

- Życzę kolejnego miłego, bezmyślnego dnia - odpowiedział i siadł na swoim miejscu, zamykając uprzednio włącz. - Dodaj gazu, Kaliso.

Tai, który od czasu do czasu brał podobne rozkazy bardzo dosłownie, wcisnął pedał do maksimum. Z brawurą wjechali między dwie ciężarówki, wymuszając pierwszeństwo i robiąc sobie miejsce pomiędzy nimi.

- Hoffman do Feniksa i Matak. Odrzuceni są przekonani, że Szarańcza opuściła ten teren - powiedział do mikrofonu, a potem przez moment trzymał jeszcze palec na przycisku, zastanawiając się, czy na tym skończyć. - Nie bądźmy jednak aż takimi optymistami. Bez odbioru.

Kaliso bacznie obserwował długi ciąg samochodów przed nimi. Jego nastroszona fryzura sprawiała, że wyglądał, jakby cały czas chciał dać komuś w pysk, co poniekąd było prawdą.

- Myśli pan, pułkowniku, że Odrzuceni kłamią? - za pytał po chwili.

-Uwierzę, jeśli zobaczę ostatniego Trutnia zdychającego na moich oczach.

-Postaram się, pułkowniku, żeby tak właśnie było
-stwierdził pewnym głosem Tai.

Cała ludzkość, a dokładnie: jej cywilizowana część, mieściła się teraz w średniej wielkości mieście, zaś armia, którą Hoffman dowodził, miała ledwie kilka, kilkanaście brygad. Wrócił myślami do czasów Wojen Wahadłowych -obejmujących cały kontynent, pełnych rozmachu, wręcz monumentalnych - i poczuł nostalgię.

„Osiemnaście lat walki za impulsję, za przekłete paliwo, kiedy wszystko było na wyciągnięcie ręki” - pomyślał.

Urodził się podczas wojny i wierzył, że podczas niej wyzionie ducha. Zresztą wśród nich nie było nikogo, kto by pamiętał, jak wyglądała Sera w czasie pokoju. W sumie nie martwił się tym tak bardzo - nie miał pojęcia, co by robił, gdyby nie musiał walczyć.

NIEZABEZPIECZONY TEREN. 5 KILOMETRÓW OD NORTH GATE, APC ZAMYKAJĄCY KONWÓJ

Bernie przeciągnęła się. Nie przestając wyglądać przez wizjer w górnej wieżyczce, starała się oprzeć Lancera o cokolwiek, aby dać ulgę swoim mięśniom, ale zamontowana od spodu karabinu piła skutecznie to uniemożliwiała. W końcu kobieta poddała się i chwyciła broń w obie ręce.

Wjechali w uliczkę, która wyglądała jak kanion. Przestrzeń wypełnił wielokrotniony przez echo warkot silników i chrzęst mielonych pod kołami kamieni. Kiedy wydostali się z chmury pyłu, zobaczyła, że niebezpiecznie

zbliżyli się do samochodu jadącego przed nimi. Włączyła radio i niemalże przycisnęła mikrofon do ust. - Jesteśmy za blisko...

- Kurwa - zaklął ktoś w słuchawce. - Nie mów mi, jak mam prowadzić!

Przerwała połączenie, żeby nie usłyszał ich nikt postronny, i wróciła do kabiny, siadając obok Cole'a.

- Kretynie, musisz dać im trochę miejsca - wypaliła. - Jak inaczej zawrócą w razie ataku? Chyba nie chcesz, żeby nas staranowali?

Baird przyhamował nieco. Nie musiała widzieć wyrazu jego twarzy, żeby się domyślać, że klął ją teraz w duchu, ale mało ją to obchodziło. Jej zdaniem, Marcus zbyt długo tolerował zagrywki tego palanta. Doszła zresztą do takiego wniosku ledwie po godzinie znajomości z nim.

-Zadowolona? - zapytał Damon.

-Grzeczny chłopiec...

-Do usług. Babciu.

Gdyby powiedział to Augustus, pewnie byłoby to zabawne. Ale to Baird nazwał ją babcią i w jego ustach nie brzmiało to jak dowcip.

- Synku, za chwilę mogę ci skopać dupę tak, że nie usiądziesz na niej przez tydzień, więc się zamknij.

Cole ryknął zaraźliwym śmiechem.

- Damon, uważaj, bo dostaniesz klapsa - powiedział, kiedy się już uspokoił. - Lepiej bądź miły i otwórz mi na chwilę tylny właz.

Na ulicy, za rogiem, stała gromadka wychudzonych i obdartych dzieci. Wyglądały jak małe wystraszone zwierzątka. Augustus wyrzucił im na ulicę kilka pakunków z jedzeniem. W miejscu, gdzie upadły, zakotłowało się.

Bernie uświadomiła sobie, że jest świadkiem czegoś, co można nazwać regresem gatunku ludzkiego.

„Znów stajemy się dzikusami” - pomyślała. „Być może to najgorsze, co zrobiła nam Szarańcza”.

-Cole, co ty, do cholery, wyrabiasz? - Baird nie krył poirytowania. - To twoje żarcie, człowieku. Nie karm nim tych pasożytów.

-Daj spokój, stary. To tylko dzieciaki.

-A wiesz, co z nich wyrośnie?

-Nigdy nie byłeś głodny, Damon? A, prawda, twoi rodzice mieli kupę szmalu, więc nie wiesz, co to znaczy.

Baird wciąż nie zamykał władu, jakby przyznawał rację takiej argumentacji, więc Augustus sięgnął do kieszeni, wyjął z niej coś i rzucił na ulicę w ślad za pakunkami z jedzeniem.

-Poza tym mamy więcej jedzenia niż oni - dodał, grzebiąc w drugiej kieszeni. - Za co nas nienawidzą. Spójrz, jak wyglądamy. Mamy więcej mięśni w jednej ręce niż którykolwiek z nich na całym ciele.

-A wiesz dlaczego? Bo musimy walczyć. Oni też mogą jeść. Wystarczy, że przyłączą się do nas.

-Jasne, stary, masz rację. Następnym razem, gdy spotkam jakieś ośmioletnie dziecko, powiem mu, że musi zaciągnąć się do armii, żeby jeść.

Głos Cole'a był spokojny i łagodny, ale widać to właśnie najbardziej denerwowało Bairda, bo zamknął się w sobie i przestał komentować. Bernie zarejestrowała ten fakt i postanowiła w przyszłości zrobić użytek z tej wiedzy. Choć - po co czekać?

- Wkurza cię, że zachowałam stopień, co? - spytała otwarcie.

- Nie, wcale mi to nie przeszkadza. Ani to, że mam służyć mamuśki, która uciekła z armii na długo przed Dniem Wyjścia. Starszych trzeba szanować, czyż nie?

Poczuła, jak krew uderza jej do głowy.

- O, widzę, że masz jakieś kompleksy na tle mamusi - syknęła przez zaciśnięte zęby. - A jak z tatusiem? Czy przy najmniej wiesz, kto nim był? I czy mamusia wiedziała?

Umilkła. Była wściekła na siebie, że dała się sprowokować. Spodziewała się teraz ostrej riposty, ale mechanik się nie odzywał. Wiedziała dlaczego. Powiedziała parę słów za dużo i przesadziła. Podczas wojny nie mówiło się o niczyjej rodzinie. Każdy kogoś stracił, więc temat ten traktowano jak tabu i wszyscy tego przestrzegali.

„A może w ogóle go to nie obeszło?” - przemknęło jej przez głowę. „Albo nie ma żadnych uczuć?”

Chociaż wiedziała, że posunęła się za daleko, nie zamierzała przeproszać. Jeszcze nie teraz. Poza tym to nie ona dowodziła tym oddziałem i mogła sobie pozwolić na takie zachowania. Nie musiała dbać o dobre samopoczucie podwładnych. To był problem Marcusa.

Radio zatrzeszczało.

- Baza do Delt, mamy wieści na temat Szarańczy. Przygotujcie się na nowe rozkazy.

To był głos kobiety, którą na sto procent znała, ale pomimo starań nie mogła sobie przypomnieć ani jej imienia, ani twarzy.

-Do celu zostały wam dwa kilometry - usłyszeli z głośników.

-Ile czasu zajmie nam ładowanie? - do rozmowy włączył się Hoffman.

-Tyle, żeby zabrać maksimum - odpowiedział mu Marcus. - Czyli nie więcej niż dwadzieścia sześć godzin. Na miejscu zdecydujemy, co jest najważniejsze.

-Zrozumiałem. Bez odbioru.

Bernie wciąż starała się zidentyfikować głos kobiety, w końcu jednak uznała, że sama sobie z tym nie poradzi.

-Cole, kim była ta babka? - spytała.

-Porucznik Anya Stroud - odparł, rozkładając na kolanach mapę.

-No tak, faktycznie... - Przed oczami stanęła jej mała, jasnowłosa kruszynka podobna w każdym calu do swojej matki, tyle że o połowę niższa. - Córka major Stroud.

-Widzę, że znasz wszystkich, odkąd sikali w pieluchy - odezwał się nagle Damon. - A wiesz, że ona podkochuje się w Santiago? Jest dla niego rozczulająco miła.

Wychodziło na to, że Baird nie wiedział nic o Marcusie.

-Každy jest miły dla Dorna. Chłopcy Eda zawsze wzbudzali sympatię.

-O, dasz nam teraz lekcję historii? No to może powiesz, jak nasz sierżant dezterter został bohaterem?

Nawet jeśli chciałyby to zrobić, nie wiedziałyby, od czego zacząć. Takie historie rzadko kiedy dają się prosto opowiedzieć. Nie wystarczy być ich świadkiem, żeby potem umieć wszystko odtworzyć krok po kroku.

- Nie - powiedziała. - Nie będzie żadnej lekcji historii.

PIĘĆ

Ostatnio rzadko widuję Marcusa. Tak naprawdę nie znam własnego syna i wiem, że to tylko i wyłącznie moja wina. A najgorsze, że nie powiedziałem mu całej prawdy o jego matce - o tym, co się z nią stało. A im dłużej ukrywam prawdę, tym bardziej gubię się w kolejnych wyjaśnieniach. Dzieci wiedzą, kiedy ktoś je okłamuje. Tak traci się ich zaufanie.

ADAM FENIX

ZWIERZAJĄCY SIĘ NA TEMAT 17-LETNIEGO MARCUSA

DOM RODZINY SANTIAGO, JACINTO

18 LAT WCZEŚNIEJ. 4 LATA PRZED DNIEM WYJŚCIA

Dom przysiadł na krawędzi krzesła, spuścił głowę i czekał na wybuch ojca. Ale ten najwyraźniej nie zamierzał się awanturować.

Może czułby się lepiej, gdyby jednak ktoś na niego na-krzyczał?

-Masz szesnaście lat - powiedział spokojnym głosem Eduardo Santiago. - Masz tylko szesnaście lat.

-Tato, nie mogę uciekać od odpowiedzialności. - Dom usłyszał, że ktoś stoi za drzwiami i domyślił się, że to

mama, ale nie dal po sobie nic poznać. - Muszę zachować się jak należy.

Mężczyzna kucnął przed synem i spojrzał mu prosto w oczy.

-Chcesz poślubić dziecko, sam będąc jeszcze dzieckiem?

-Nie zostawię Marii. Nie chcę, żeby przechodziła przez to wszystko sama - powiedział pewnym głosem, a zaraz potem pomyślał o Marcusie. - Poza tym nie chcę, żeby moje dziecko było wychowywane przez obcych ludzi.

Nie bardzo wiedział, dlaczego użył tego argumentu. Czul się tak, jakby nie był sobą, bezmyślnie powtarzając słowa, które kiedyś gdzieś zasłyszał w rozmowie dorosłych.

„Zrozum, że chcę ją poślubić” - tłumaczył w duchu. „Zawsze chciałem. A teraz po prostu... musimy się pośpieszyć”.

- Czy w jej domu już wiedzą, że jest w ciąży?

-Jeszcze nie...

Dom bardzo lubił rodziców Marii, ale do tej pory nie sprawdzał, czy jest to odwzajemnione uczucie.

- Chcieliśmy razem... - zaczął, ale urwał w pół słowa. - Właściwie to chyba ja to powinienem powiedzieć.

Eduardo przez chwilę patrzył na syna w milczeniu. W końcu na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Dobrze - oświadczył. - Tak właśnie postępuje prawdziwy mężczyzna.

-Trochę się tego boję...

- Wiem, synu.

-Jesteś na mnie zły?

-Zły? Nie. - Wzruszył ramionami i pokręcił głową.

-Wolałbym, żeby wszystko potoczyło się inaczej, ale skoro już się stało... Nie martw się, pomożemy wam.

-Przepraszam, że cię zawiodłem...

Nie był pewien, co tak naprawdę czuł jego ojciec. Od-
kąd pamiętał, nigdy się na niego nie złościł, ale teraz sytu-
acja była zupełnie inna. Wcześniej nie musieli rozmawiać
o tak poważnych sprawach. Gdy o tym myślał, dostrzegł,
że rodzic nagle posmutniał. Miał ten sam wyraz twarzy,
który pojawiał się zawsze wtedy, gdy wspominał swoich
poległych towarzyszy.

- Nie zawiodłeś mnie, synu - powiedział mężczyzna ci-
cho, kładąc dłoń na jego ramieniu. - Nigdy nie byłem z cie-
bie bardziej dumny niż teraz. Łatwo jest zgrywać bohate-
ra, gdy wszystko jest w porządku. O wiele trudniej okazać
odwagę, kiedy pojawiają się trudności.

Ale Dom wcale nie uważał się za bohatera. Co gorsza,
słowa ojca uświadomiły mu, jak wielka odpowiedzialność
na nim ciążyła, i aż skrzyło go w żołądku. Tak samo jak
wtedy, gdy Maria powiedziała mu, że spóźnia jej się okres.
Czuł się zagubiony i bezradny. Tak bardzo chciałby cofnąć
czas, sprawić, żeby to wszystko nigdy się nie wydarzyło.
Ale nie mógł. Musiał ponieść konsekwencje.

„Nie będzie tak źle” - pomyślał. „Zresztą prędzej czy
później i tak wzięlibyśmy ślub. Najdalej za trzy, cztery
lata”.

-Powiem mamie - dodał na głos. - A potem pójde z-
obaczyć się z rodzicami Marii.

-Mam iść z tobą?

-Czy ja wiem...

-Nie będę się odzywał.

Eduardo Santiago starał się nigdy nie zawieść swoich dzieci. Dom marzył, aby samemu być kiedyś takim ojcem -zawsze we właściwym miejscu, gotowym do pomocy lub rady. A teraz dowiedział się jeszcze, że nawet w tak trudnych sytuacjach może liczyć na wsparcie z jego strony. I to nawet jeśli nie będzie o to prosił.

-Jej ojciec oszaleje - powiedział, wchodząc na ganek domu państwa Flore.

Pukanie do drzwi było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie musiał zrobić w swoim dotychczasowym życiu. Kiedy weszli do środka, a on powiedział o ciąży, okazało się, że to mama Marii zniosła tę wiadomość gorzej niż jej tata.

- Dobrze, dostaniecie naszą zgodę - powiedział pan Flore, głaszcząc po ramieniu swoją szlochającą żonę. - Ślub faktycznie będzie najlepszym rozwiązaniem.

Potrzebowali tej zgody. Mogli już służyć w wojsku i walczyć na pierwszej linii, ale w obliczu prawa wciąż jeszcze byli za młodzi, żeby nawet kupić piwo. Dlatego decyzję o małżeństwie musieli za nich podjąć rodzice.

Dom poprzysiął sobie, że ostatni raz postąpił tak nierozważnie. Postanowił też, że będzie kontynuował naukę, a potem znajdzie pracę i zrobi wszystko, aby jego żona i dziecko byli z niego dumni. Wiedział, że nie będzie lekko. Ale może właśnie o to chodziło. Jeśli zrobisz coś nieodpowiedzialnego, musisz ponieść tego konsekwencje. Inaczej niczego się nie nauczysz.

Wychodząc od państwa Flore, zdecydował, że Carlos będzie jego drużbą. Każe mu ubrać się w jego mundur COG Zresztą pewnie nie będzie musiał tego robić - jego brat sam zawsze wiedział, jak się zachować. Dom powinien brać z niego przykład.

POSIADŁOŚĆ FENIKSÓW, JACINTO 4

LATA PRZED DNIEM WYJŚCIA

Nie było sposobu, żeby wkraść się do domu Feniksów głównym wejściem i nie zostać zauważonym, ale o tym Carlos wiedział od dawna. Żwir na podjeździe zachrząścił pod jego nowiutkimi wojskowymi butami.

- To prawda, że trzeba się na nie odlać, żeby zmiękczyć skórę? - spytał Marcus, stojąc na szczycie kamiennych schodów prowadzących na ogromny taras przed domem.

Carlos spojrzął pod nogi.

- Nie sądzę - powiedział. - Za dużo w nich metalowych elementów. Ja je po prostu rozchodziłem.

-Jakoś trudno mi w to uwierzyć - rzucił młody Fenix żartobliwie, widząc, z jakim trudem przyjaciel pokonuje kolejne stopnie.

Fakt, dopiero przyzwyczajał się do poruszania w tak ciężkim obuwiu. Do tego te cholerne wysokie cholewy skutecznie ograniczały ruchy kolan, co tylko pogarszało sytuację.

- Wiesz, kiedy jestem w pełnym rynsztunku, wygląda ją lepiej. I naprawdę się sprawdzają w praktyce - wyjaśnił i zamilkł, przypominając sobie, po co się spotkali.

W istocie to Marcus miał sprawę do załatwienia, ale i tak żołądek podchodził Carlosowi do samego gardła. Profesor Fenix nie będzie zachwycony.

Santiago czuł się niepewnie za każdym razem, gdy przychodził w to miejsce. Dla niego nigdy nie był to dom, a co najwyżej dziwaczny, wyludniały budynek, który stał w tym miejscu od zawsze i najpewniej stać będzie jeszcze długo po tym, jak wszystko inne popadnie w ruinę. Oka-

załe kolumny i bogato zdobiony tympanon sprawiły, że odruchowo otrzepał buty na ostatnim stopniu. Przez moment zastanawiał się, czy nie powinien udać się do wejścia dla służby.

Odwrócił się i spojrzął na ścieżkę prowadzącą do domu. Stojące w ogrodzie kamienne rzeźby wielkością przypominały te z parku miejskiego, teraz jednak zdawały się małe, niczym cmentarne nagrobki. Przez głowę przemknęło mu, że wszystko tutaj przypomina jakieś niezwykle mauzoleum. Postanowił, że pomoże Marcusowi w rozmowie z ojcem, a zaraz potem jak najszybciej stąd ucieknie.

- Nadal chcesz to zrobić? - zapytał przyjaciela, podchodząc do niego.

Tamten stał na wprost ogromnych drzwi, gapiąc się na nie tak, jakby oczekiwał, że pod wpływem jego wzroku same się otworzą. Pokrywała je ciemnozielona farba i wyglądały, jakby miały z tysiąc lat. Te drzwi były wrotami do innego świata. Świata, który Carlos już widział, ale którego nigdy nie rozumiał.

- Tak, chcę tego bardziej niż kiedykolwiek - odrzekł Marcus.

Patrząc na niego, Carlos uświadomił sobie, że to ostatni potomek bogatej w tradycje dynastii, ale zaraz porzucił tę myśl. Dla niego był po prostu przyjacielem - uczciwym, skromnym i oddanym.

Zupełnie inaczej postrzegał za to jego ojca. Profesor Fenix zawsze zachęcał, aby zwracać się do niego po imieniu, ale Carlosowi z trudem to przychodziło. Za każdym razem, gdy go spotykał, przed oczami stawały mu wszystkie te tytuły i stopnie, sprawiając, że ani na chwilę nie przestawał myśleć o wielowiekowej historii tego rodu.

-Marcus, a może ty to robisz z mojego powodu?

-Nie. - Przyjaciel zaprzeczył ruchem głowy. -I tak za długo czekałem...

Gdy zamknęli za sobą drzwi, odległy zgiełk Jacinto zniknął jak ucięty nożem. Znaleźli się w innym wymiarze.

„To musi być dziwne mieszkać w tak ogromnym domu” - pomyślał Carlos. „Można tu żyć razem z bliskimi i nigdy ich nie spotkać. A gdy jakimś cudem wybuchnie kłótnia, nie trzeba nikogo przeproszać, jeśli się nie ma na to ochoty. Wystarczy tylko ukryć się w którymś z pokoi”.

- Tato! - wołał Marcus, idąc długim, szerokim korytarem o marmurowych ścianach i zaglądną do mniejszych, bocznych korytarzyków. - Tato, gdzie jesteś?

Carlos usłyszał czyjeś kroki. Policzył je: dwadzieścia trzy. Długi korytarz w cichym domu. W drzwiach stanął profesor. Jego koszula była niechlujnie rozpięta pod szyją; w rękę trzymał notes.

-Nie spodziewałem się ciebie tak szybko - powiedział do syna, a kiedy dostrzegł Carlosa, skinął na powitanie głową. - Cześć, Santiago. Miło cię widzieć. Kiedy musisz być w bazie?

-Za tydzień, proszę pana...

-Tato, musimy porozmawiać - wszedł mu w słowo Marcus. - Podjąłem decyzję.

Mówiąc to, starał się nie używać akcentu, który zazwyczaj był obecny w jego wypowiedziach. Tak jakby chciał całkowicie odciąć się od świata ojca.

Mężczyzna starał się nie okazywać emocji, ale podobnie, jak to bywało w przypadku jego syna, nie potrafił zapanować nad mruganiem powiek. Najwyraźniej domyślał

się, jakie wieści usłyszy. Carlos czuł, że powinien zostawić ich samych, ale jednocześnie wiedział, że jego obecność jest dla przyjaciela bardzo ważna. Wiedział też, że ludzie z wyższych sfer nie podnoszą głosu, gdy dochodzi do nieporozumień. Jeśli ktoś się z kimś nie zgadza, po prostu unosi brwi - tak to chyba działa.

-Masz na myśli to, o czym rozmawialiśmy wcześniej?

-Tak, tato. Idę do wojska.

Adam Fenix zaczął nerwowo poklepywać się notesem po udzie, a na jego twarzy pojawił się grymas, który wskazywał, że rozważa coś bardzo intensywnie.

-No cóż, nadal możesz zacząć studia inżynierskie na akademii - powiedział w końcu, jakby kompletnie nie rozumiał, o czym mówi do niego syn. A może nie chciał rozumieć? - Szkoła wojskowa jest równie dobra jak szkoła dla cywili. A potem możesz wybrać się do Lacroix na studia doktorskie. Co ty na to?

-Nie, tato. Nie chcę studiować. I nie będę oficerem.

-Marcus wziął głęboki oddech. - Będę zwykłym Gearem. Jak inni.

-Rozmawialiśmy już o tym, prawda?

Carlos milczał. Czuł się okropnie. Sam fakt, że tam stał - w mundurze i tych swoich ciężkich wojskowych butach - sprawiał, że dręczyły go wyrzuty sumienia. Miał wrażenie, że na jego czole widnieje wielki napis: „Tak, to ja mam zły wpływ na pańskiego syna”.

Na szczęście profesor nie patrzył na niego.

-Ja już to zrobiłem, tato - Marcus przerwał na chwilę, chcąc podkreślić znaczenie swoich słów. - Dostałem nawet przydział. Za późno, żeby się wycofać.

-Jesteś w błędzie, synu. Na nic nie jest za późno. Nie pozwolę ci, żebyś zrezygnował z tak dobrze zapowiadającej się kariery.

-Zaciągnąłem się i nic tego nie zmieni. - Chłopak wyprostował się. Wyglądał imponująco i nawet jeśli nie miał zamiaru wyglądać groźnie, jego postura mówiła sama za siebie. - Jeśli ty możesz pracować nad nowymi rodzajami broni, ja mogę walczyć. Tym razem nie będę stał z boku. Nie będę się przyglądał, jak Carlos i inni ryzykują dla nas swoje życie. Niby dlaczego miałbym to robić? Bo twoim zdaniem jestem od nich lepszy?

-Nigdy tak nie mówiłem. Jesteś niesprawiedliwy.

-Tato, zrozum, ja muszę...

-Nic nie musisz. A już na pewno nie musisz iść na front. Nikt cię nie oskarży o tchórzostwo, jeśli się wycofasz. Nikt nie będzie o tym nawet wiedział.

-Ja będę wiedział. I to wystarczy. Tato, ta decyzja to jedyna rzecz na tym świecie, która sprawia, że chce mi się żyć.

Po tych słowach nastąpiła długa i nieznośna cisza. W takim momencie Eduardo Santiago pewnie uściskałby swoje dzieci i powiedziałby im, że cokolwiek postanowią, zawsze będzie przy nich - ale Adamowi Feniksowi nawet nie przyszłoby to do głowy. Wyglądał teraz na kogoś zagubionego i zdradzonego. Stał bez ruchu i patrzył na syna, jakby spodziewał się, że ten jednak zmieni decyzję. Jego wzrok powędrował w stronę Carlosa.

- Nie mógłbyś przemówić mu do rozumu? - spytał z nutą nadziei w głosie. - Tylko ciebie słucha.

Santiago wyprężył się, jakby ktoś znieacka ukłuł go boleśnie w plecy.

- Przykro mi, proszę pana, ale on już zdecydował - po wiedział powoli. - Mogę za to panu obiecać, że Marcus wróci cały i zdrowy.

Profesor znowu przeniósł wzrok na syna. Drgał mu każdy mięsień na twarzy i wyglądał, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale ostatecznie poddał się. Całe napięcie zeszło nagle z niego i zrezygnowany opuścił uniesione wcześniej ramiona. Znow zaczął popukiwać się notesem o udo. Carlos poczuł, jak po plecach ciekną mu krople potu, ale był zbyt onieśmielony, aby coś z tym zrobić. Na przemian targały nim zażenowanie i współczucie. Żałował, że w ogóle dał się namówić na udział w tej rozmowie.

- W porządku... Widzę, że cię nie zatrzymam - powiedział mężczyzna. - I wiem, że jeśli będę próbował, stracę cię na zawsze, prawda?

Marcus zignorował pytanie.

- Dam z siebie wszystko, tato. Nie martw się o mnie. Teraz wychodzę, ale wrócę na kolację, więc możemy...

-A niech to, mam dziś wykład na uniwersytecie.

Obaj wyglądali na zawiedzionych.

-No to innym razem - powiedział chłopak. Brzmiało to jak rozmowa biznesmenów, którzy nie mogą uzgodnić terminu spotkania.

- Muszę już iść. Do zobaczenia, tato.

Carlos zdecydowanie wolał awantury i krzyki, ale wiedział, że w rodzinie Feniksów wszystko było inne - stonowane i rozsądne. Nic w tych rozmowach nie przypominało normalnych stosunków międzyludzkich.

W milczeniu podążał za przyjacielem, który wyszedł z domu i skierował się w stronę bramy wjazdowej. Nie od-

zywali się do siebie aż do East Barricade, gdzie znaleźli jakieś spokojne miejsce, żeby napić się kawy.

- Dom się żeni - odezwał się w końcu Carlos. - Nie chciałem ci nic mówić, dopóki nie załatwisz swoich spraw z tatą. Maria jest w ciąży.

Marcus uniósł lekko brwi, co w jego przypadku oznaczało, że był w prawdziwym szoku.

-O kurczę, jak przyjęli to wasi rodzice? - zapytał.

-Całkiem dobrze. Myślałem, że będzie gorzej.

-Rzuca szkołę?

-Nie. Mama kazała mu przyrzec, że zda egzaminy. Znasz Dorna. Poradzi sobie.

-Słuchaj, jeśli on potrzebuje kasy...

-Nie, dzięki.

Carlos wiedział, że zabrzmiało to trochę za ostro, ale znał swojego brata - nigdy nie wzięłby od nikogo pieniędzy.

- Nie gniewaj się, Marcus - dodał szybko. - Nie chciałem być niemiły. Naprawdę doceniam, że chcesz pomóc... Po prostu Dom postanowił, że sam zadba o swoją rodzinę... Hej, a wiesz, że jeśli dobrze to rozegramy, to może obaj wy stąpimy na ślubie w mundurach?

-Jeśli to zaproszenie, to dziękuję.

- Zaproszenie? Stary, nie wygłupiaj się. Jesteś członkiem naszej rodziny - rzucił i oparł się wygodniej o krzesło, spoglądając na ludzi przechodzących ulicą.

Był zwyczajny dzień. Każdy zdawał się zajęty swoimi sprawami, a wojna toczyła się gdzieś daleko od Ephyry. Przynajmniej geograficznie, bo jednak jej tchnienie wyczuwało się także tutaj. Po ponad siedmiu latach konfliktu każda rodzina miała kogoś, kto kiedyś trafił na front, odby-

wał właśnie służbę albo pracował dla przemysłu zbrojenio-
wego. Ale wszyscy to rozumieli, pogodzili się z tym. Nikt
nawet sobie nie wyobrażał, że można było myśleć inaczej.

„Czy gdybyśmy nie odkryli imulsji, także byśmy wal-
czyli?” - spytał Carlos samego siebie. „I o co? O wodę? O
minerały? A może o thrashball?”

Pozostawił te pytania bez odpowiedzi. W obecnej sy-
tuacji nie miały one dla niego żadnego znaczenia. Wy-
starczało mu, że wrogów wciąż przybywało, a ich świat
przypominał obleżoną twierdzę. Zazwyczaj nie martwił
się przyszłością i nawet nie usiłował sobie jej wyobrazić,
ale teraz - miał tego świadomość - wszystko się zmieniło.
Miał broń i czuł się z tym... inaczej. Sam zresztą nie wie-
dział jak.

Marcus wpatrywał się w swoją kawę. Nigdy nie mó-
wił za dużo o swoim ojcu, jednak Carlos domyślał się, że
oczekiwał od rodzica gratulacji i wsparcia dla swojej de-
cyzji - ale w rodzinie Feniksów takie rzeczy się nie wyda-
rzały. Może całe jego życie tak właśnie wyglądało? To by
wiele wyjaśniało. Musiał się nieźle nagimnastykować, żeby
usłyszeć najmniejsze słowa pochwały.

-Powiedz mi, tylko szczerze. - Carlos szturchnął przy-
jaciela łokciem, aż zadzwoniły filiżanki na stole. -
Zaciągnąłeś się do wojska, bo ja to zrobiłem, czy po-
prostu chciałeś wkurzyć swojego starego?

-Musisz o to pytać?

-No cóż, chyba tak... Wolałbym to wiedzieć. No wiesz,
żeby poukładać sobie to wszystko w głowie.

Milczenie Marcusa było znamienne i mówiło więcej
niż jakiegokolwiek słowa. Znowu gapił się bezmyślnie w fi-
liżankę.

-Bo to jedyne miejsce, gdzie będę mógł poczuć się jak w prawdziwym domu - powiedział wreszcie. - I być z ludźmi, którzy naprawdę mnie rozumieją.

-Do diabła, jeśli ktokolwiek cię kiedyś zrozumie, mam nadzieję, że mi wyjaśni, co siedzi w tej twojej popapranej głowie. - Carlos zaczął się śmiać.

Tak, ten dziwaczny chłopak od zawsze szukał miejsca, w którym wszystko było proste i oczywiste, a armia gwarantowała obydwie te rzeczy, ale jeszcze bardziej potrzebował przyjaciół. Carlos dobrze to rozumiał. Tak jak rozumiał, że życie czasem płata dziwne figle. Profesor mógł zdobyć albo kupić synowi, co tylko ten by sobie zażyczył - a jednak to nie wystarczało, bo nie wiedział, jak mu to dać.

- Będzie super, zobaczysz - stwierdził Carlos.

Obydwoj wiedzieli, że mogą na wojnie zginąć albo odnieść rany i zostać kalekami na całe życie. Tym bardziej podziwiał przyjaciela, że mimo swojej pozycji postanowił nie siedzieć w domu i razem z nim ruszyć na front. Zresztą, do cholery, tak właśnie powinien był postąpić. Santiago nie są tchórzami - a on jest jednym z nich.

Reszta tygodnia upłynęła im na załatwianiu ostatnich formalności związanych z poborem. Podczas jednego z takich dni, kiedy siedział na korytarzu w biurze rekrutacyjnym i czekał na Marcusa, aż ten wyjdzie z badań lekarskich, usłyszał, jak pracownicy szepczą do siebie za rzędem szafek na akta.

- Mówię wam, że to syn majora Feniksa - mówił jakiś mężczyzna. Przynajmniej tutaj profesor był postrzegany jako oficer, a nie naukowiec. - Ciekawe, dlaczego nie poszedł studiować na akademię? Albo nie podjął pracy u swego ojca?

- Może chce być zwykłym szeregowcem - zasugerował ktoś. - Nie wszyscy idą na łatwiznę.

W gruncie rzeczy rozszyfrowali go. Nie był aż tak zagadkową postacią.

Marcus nosił mundur z niezwykłą dumą i Carlos stwierdził nieskromnie, że obaj będą rewelacyjnie prezentować się na ślubie jego brata.

Na weselu Dom wypił tylko jeden kieliszek wina, jakby bał się, że zrobi coś głupiego, jeśli pozwoli sobie na więcej. Dziwnie było na niego patrzeć - zdenerwowanego i zagubionego. A jeszcze dziwniejsze było to, że niedługo zostanie ojcem i z dzieciaka stanie się mężczyzną.

„Dla mnie zawsze będzie moim młodszym bratem” - pomyślał Carlos. „I zawsze będę przy nim, gdy będzie mnie potrzebował”.

-Muszę to jeszcze przedyskutować z Marią - powiedział Dom bawiąc się szklanką - ale chyba dostanę pracę na cały etat. Prawdziwą pracę...

-Zobaczysz, mama cię zabije - odparł Carlos. - Ale w sumie nie ma nic złego w tym, że chcesz być mechanikiem, prawda?

-Nie, to nie to. Zamierzam się zaciągnąć.

-Cholera, Dom.

-Wiem... ale chodzi o pieniądze. Tam dobrze płacą, a ja mam teraz rodzinę na utrzymaniu.

- No tak, masz rację - bąknął Carlos, uświadamiając sobie, że to jedyne rozsądne wyjście.

Uściskał mocno brata, gniotąc jego weselny garnitur. Wiedział, że prędzej czy później Dom i tak by się zaciągnął. Nawet lepiej, że zrobi to teraz. Będzie miał na niego oko.

Na początku zimy Maria urodziła synka i dali mu na imię Benedict. A gdy się ociepliło, Dom rzucił szkołę i poszedł do wojska, dołączając do brata.

- Bracia Santiago muszą trzymać się razem - powiedział Carlos, gdy się spotkali.

I tak było. Aż do samego końca.

SZEŚĆ

Jest wiele powodów, dzięki którym młodzi ludzie garną się do wojska - poczucie obowiązku, koleżeństwo, jasny cel, możliwość sprawdzenia się i nauczenia nowych rzeczy, ucieczka z domu, przygoda, a nawet patriotyzm. Jednak dzieciakom, które nie zaznały rodzinnego ciepła, co oferuje coś o wiele ważniejszego - staje się substytutem domu, zapewniając oparcie i poczucie bezpieczeństwa. Tacy rekruci pragną uwagi, braterstwa i jasnych zasad, o które powinni byli zatroszczyć się rodzice. I my im to dajemy.

PUŁKOWNIK GAEL BARRINGTON
DOWÓDCA KOMISJI REKRUTACYJNEJ

**KOSZARY 26. PUŁKU KRÓLEWSKIEJ PIECHOTY TYRAŃSKIEJ,
POMEROY, POŁUDNIOWA EPHYRA
17 LAT WCZEŚNIEJ, 3 LATA PRZED DNIEM WYJŚCIA**

S pocznij - powiedziała sierżant, ustawiając druciane klatki na ziemi. Według naszywki na mundurze nazywała się Mataki. - Dzisiaj nauczycie się, jak przeżyć na bezludziu. Po co? To proste. Być może nikt wam tego jeszcze nie powiedział, ale nie raz znajdziecie się na wrogim terenie, gdzie zabraknie wojskowej stołówki.

Kobieta mówiła twardym, obcym akcentem i Dom starał się umiejscowić go gdzieś na mapie. Była wysoka i miała koło trzydziestki. Budową przypominała sprinterkę, a swoje długie włosy sprytnie ukryła pod czapką. Otworzyła klatkę, wyjęła z niej żywego kurczaka i wsadziła go pod lewą pachę. Ptak zapał z oburzeniem.

-Jeśli są wśród was wegetarianie - ostrzegła - to bardzo mi przykro, ale będą musieli na to patrzeć. Korzonki, grzyby i inne jadalne gówno będziemy omawiać dopiero jutro.

Dom chciał trafić do komandosów od czasu, kiedy ukończył siedemnaście lat. Cieszył się na myśl o tych wszystkich morderczych treningach i testach wytrzymałościowych, a gdy stał się ich uczestnikiem, ze zdziwieniem odkrył w sobie pokłady agresji, których wcześniej nawet się nie spodziewał. Szybko też zdobył miano prawdziwego twardziela. Maria była z niego dumna, tak samo jak Carlos i Marcus, którzy wreszcie przestali go niańczyć.

Ale teraz, patrząc na kurczaka i rozumiejąc, *co* za chwilę nastąpi, z trudem powstrzymywał się, żeby nie odwrócić wzroku.

Na szczęście nie należał do wyjątków. Oprócz niego jeszcze dwunastu innych facetów w milczeniu i z niepokojem wpatrywało się w Matakę, która uspokajająco głaskała ptaka po głowie. I podobnie jak on liczyli w duchu na to, że wszystko potrwa najwyżej ułamek sekundy. W końcu sierżant nie zaliczała się do zwyczajnych instruktorów. Co prawda naszywki na jej mundurze wskazywały, że specjalizuje się w snajperce, ale wszyscy wiedzieli, że jeszcze lepiej zna się na sposobach przetrwania w obcym terenie. Podobno potrafiła przyrządzić bankiet na sześć dań, mając do dyspozycji dwa zdechłe szczury i worek skoszonej trawy.

- Później pokażę wam, jak robić pułapki na mniejsze zwierzęta - powiedziała. - Nic w tym skomplikowanego, ale dla większości z was, mieszcuchy, to będzie najtrudniejsze zadanie. Jeśli się tego nie nauczycie, zginiecie.

Tak, byli mieszcuchami. Drób widzieli zazwyczaj w plastikowym opakowaniu i ledwie się wtedy orientowali, czym był niegdyś kawał mięsa leżący na piankowej tacce. Do tej pory nigdy żaden kurczak nie wlepił w nich swoich małych pomarańczowych oczu.

- Hej, coście tak zamilkli? - spytała. - Bez przesady, panowie! Jesteście komandosami czy nie? Możecie wbić nóż w gardło każdego skurwiela, który was zaatakuje, a miękniecie na widok żywej potrawki?

Łatwo jej mówić - wyglądała na kogoś, kto robił to już setki razy.

Georg Timiou, który stał na przedzie, splótł dłonie za plecami i zaczął nerwowo je ścisnąć.

- Plakaty zachęcające do służby w wojsku - zaczął nie pewnie - nic nie mówiły o duszeniu kur, pani sierżant.

Mataki była inna niż Hoffman - miała poczucie humoru. Dom spojrzał na jej twarz i przysiągłby, że ledwie powstrzymuje się od śmiechu. Spojrzała na swoje buty, a potem zamiast głośnego wybuchu pozwoliła sobie tylko na lekkie uniesienie kącików warg.

- My nie dusimy kur, szeregowy - odpowiedziała - tylko łamiemy im kark. Szybko i humanitarnie. Już was nauczylimy, jak zrobić to z człowiekiem, czas więc na coś mniej groźnego. Bo przecież one nie mają w zwyczaju rzucać się na was z nożem, prawda?

Dom przypomniał sobie pluszowe zwierzęta swojego synka i wstrząsnął nim dreszcz. Ale sierżant miała rację:

służą w armii i nikt oraz nic - a już na pewno nie jakieś durne ptaszysko - nie powinno zbić ich z tropu.

- No dobra - powiedziała, wyjmując kurczaka spod pachy. - Przejdźmy do konkretów. Bierzemy obie nogi w lewą rękę, o tak, wkładamy głowę między palec wskazujący i środkowy u prawej dłoni. Albo odwrotnie, jeśli ktoś jest leworęczny. A teraz zręcznie obracamy nadgarstek... o tak...

Usłyszeli trzask kości i łopot skrzydeł.

-Ja pierdołę... - zaklął Timiou.

- To odruchy pośmiertne - wyjaśniła Mataki.

Z wprawą zaczęła skubać ptaka, rozrzucając lśniące czarne pióra dookoła siebie, a potem wyjęła myśliwski nóż i na oczach kilkunastu zdumionych mężczyzn rozcięła mu brzuch. Wspomniała przy tym, że nie warto naruszać wnętrzości i że po robocie należy zawsze po sobie posprzątać.

- Upewnijcie się, że wiecie, jak znaleźć wątrobę - powiedziała i pokazała narząd nabity na czubek ostrza. - Do bra, teraz wasza kolej...

Wszyscy dostali po klatce. Dom czuł się upokorzony.

„Potrafię to zrobić” - powtarzał w myślach. „To nie może być aż tak trudne”.

- Hej, panowie - rzuciła ponagląjąco. - Zróbcie to, za nim odeślę was z powrotem do Hoffmana. Chyba nie chcecie, żeby się z was nabijał?

To było motywujące. Ich dowódca z pewnością nie będzie się z nimi cackał. Nie miał też tyle wyrozumiałości, co Mataki, gdy podeszła do Timiou podczas ćwiczenia. Biedny Georg trzymał bezradnie szamoczącego się kurczaka, cały czerwony na twarzy ze wstydu. Sierżant przywarła do jego pleców, chwyciła za dłonie i powiedziała:

- Zaciśnij mocno i... pociągnij!

Chrzęst.

Odsunęła się na bok i z rozbawieniem zerknęła na młodego żołnierza, stojącego wciąż w osłupieniu.

- Widzisz? Tylko tyle siły musisz użyć. To wystarczy. Chyba że chcesz mu urwać całą głowę.

Inni także sięgnęli do klatek. Dom kilka razy sprawdził, czy uśmiercony przez niego ptak na pewno nie oddycha. Sierżant zatrzymała się przy nim.

- Santiago, to nie są zajęcia z pierwszej pomocy - powiedziała. - Ten martwy drób nie poinformuje o niczym służb medycznych. Oskub go, wypatrosz i ugotuj. To twój obiad. Nic więcej dzisiaj nie dostaniesz.

Na szczęście kurczak nie żył.

Upiekł mięso na ognisku i zjadł kilka kęsów, ale wątroby nie ruszył. Gdy Mataki przechodziła obok niego, nadziała ją na kawałek kija i zjadła po drodze. Timiou obserwował ją z podziwem.

-Ale ona jest twarda - powiedział.

-Yhy - przytaknął Dom, ogryzając udko. - Ciekawe, dlaczego my nie potrafiliśmy tacy być?

-Bo to nie wróg, który mógłby nas zaatakować - odparł Georg. - Niewinne stworzenia najtrudniej pozbawić życia. Nawet jeśli robisz to z konieczności...

Santiago doszedł do wniosku, że jeśli ktoś nie ma jaj, żeby skrócić kark jakiemuś zwierzęciu, to nie ma także prawa, aby je jeść. To jednak zrodziło kolejne pytania, których nigdy wcześniej sobie nie zadawał. Zastanawiał się, gdzie leży granica w zabijaniu? Kiedy ma się do niego prawo? I czy kiedyś stanie na wysokości zadania? Szkolenie sprawiło, że dowiedział się o sobie znacznie więcej, niż tego

oczekiwał. Dzięki niemu był pewien, że zrobi absolutnie wszystko, aby przetrwać. Ale spokoju nie dawała mu także inna myśl - czemu jeszcze przyjdzie mu stawić czoła i czy zdoła wtedy żyć w zgodzie z samym sobą?

„Mam nadzieję - stwierdził w duchu - że w odpowiedniej chwili uda mi się dostrzec różnicę między złem a dobrem”.

Wrócił myślami do Marii. Znowu zaszła w ciążę. Uparcie powtarzał sobie, że wszystko będzie dobrze, ale wiedział, że się oszukuje. Przed nimi ciężkie czasy. Poza tym mógł zginąć albo zostać kaleką na całe życie - kto wtedy zajmie się jego rodziną?

Odkąd pamiętał, zawsze chciał zostać Gearem, nie zdawał sobie jednak sprawy, że tak to polubi. Zresztą nie on jeden odkrył swoje powołanie w szeregach armii. Marcus, teraz już kapral, także zmienił się nie do poznania. Nigdy nie był duszą towarzystwa, ale w wojsku odnalazł się jak mało kto i wszyscy widzieli to jak na dłoni. Kiedy go spotykał, nieodmiennie dochodził do wniosku, że Fenix to urodzony Gear. Co ciekawe, wykonywał swoje obowiązki z większym nawet entuzjazmem niż Carlos.

Niedawno dostał od nich list. Jak zwykle, napisali go na spółkę. Ponownie przeniesiono ich w nowe miejsce - do Sarfuth, gdzie właśnie panowała zima. Ze słów Carlosa wyraźnie przebijało, że czuje się sfrustrowany.

Ta wojna dawno by się skończyła, gdyby te pieprzone gryziorzki siedzące w sztabie słuchały ludzi z terenu. Człowiek ma czasem wrażenie, że nawet do odlania się potrzebuje ster-ty zezwoleń - pisał.

Na dole Marcus dorzucił parę słów od siebie:

Jemu zawsze chce się łać, a tu jest tak zimno, że nawet statui Embry odpadłyby jaja.

Feniksowi wyraźnie wyostrzył się dowcip.

Dom wiedział, że Carlos najchętniej służyłby w oddziałach specjalnych, tak jak on. Komandosi nie mieli takiego rygoru i na froncie mogli pozwolić sobie na trochę więcej luzu. Oczywiście, kiedy nie walczyli.

Wyjął długopis, odwrócił kartkę i postanowił odpowiedzieć na list, opisując przy okazji sztukę zabijania i patroszenia kurczaków.

**BAZA OPERACYJNA KOMPANII C 26. PUŁKU KPT, SARFUTH,
REGION PÓŁNOCNY**

„Cholerna zima” - stwierdził Carlos.

Siedział w APC na miejscu kierowcy, trzymając silnik na jałowym biegu. Podciągnął szalik na sam nos i wsunął dłoń pod pachy. Martwił się, że jeśli temperatura spadnie jeszcze bardziej, całe paliwo w baku zamarźnie.

„Jeśli ktoś sabotuje w taką pogodę rurociągi z impulsją -pomyślał - z całą pewnością zasługuje na to, by zwyciężyć.

Na zewnątrz zamajaczył jakiś cień, zasłaniając na moment piękny pomarańczowy zachód słońca, a potem czyjaś dłoń w rękawicy zaczęła ścierać szron z przedniej szyby wozu. Po chwili zobaczył przyjaciela, który po zakończeniu odśnieżania, obszedł wóz i wskoczył na siedzenie pasażera. Nawet przy takim mrozie nie miał na głowie hełmu. Carlos też nie lubił go nosić, ale przynajmniej miał na tyle zdrowego rozsądku, aby nałożyć ciepłą czapkę.

-Wiesz, ile ciepła tracimy przez głowę? - spytał zachrypniętym głosem, odchylając uprzednio szalik. - Pogięło cię? Chcesz sobie zafundować odmrożenia?

-Dziesięć procent. Może. I nie - odpowiedział kolejno Fenix, grzebiąc przy pokrętle nawiewu.

Postanowił nie komentować tych słów. Dobrze wiedział, że Marcus używał helmu tylko wtedy, gdy w pobliżu kręcił się jakiś oficer. Robił tak od czasu, kiedy wojskowy fryzjer poinformował go, że chusta jest również akceptowalnym nakryciem głowy w COG, ale pod warunkiem, że ma czarny kolor, węzeł schowany z tyłu pod materiałem, a symbol oddziału umieszczony na środku czoła. Nosił ją więc zawsze - do tego w taki sposób, że podkreślała jego ostre rysy, nadając mu wygląd prawdziwego twardziela. Właściwie Santiago zdążył się już do tego przyzwyczaić i nie zwracał na to specjalnej uwagi, nie licząc takich sytuacji jak ta.

- Właśnie rozmawiałem ze sztabem - oświadczył nagle Marcus. - Podali listę poległych. Jest na niej kapitan Harries...

Ogrzewanie w APC chodziło na maksa i silnik rzęził niczym stara pralka, ale w kabinie i tak wciąż było zimno.

-O cholera - mruknął Carlos, znów odchylając szalik. Harries miała więcej medali za odwagę niż kilka pułków razem wziętych, a tak przyziemna sprawa jak umieranie zdecydowanie nie była w jej stylu. - Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że i na nią przyjdzie czas. Co się stało?

-Broniła stanowiska artyleryjskiego. Jak ją znam, tanio skóry nie sprzedawała.

-No cóż, każdemu kiedyś kończy się szczęście.

- Zwłaszcza jeśli sam się o to prosi. - Marcus wciąż grzebał przy pokrętle i coraz bardziej irytował się marnymi efektami swoich starań.

-Jej syn służy chyba w logistyce, tak?

-Owszem, jest w wieku twojego brata.

-Kurczę... - westchnął ciężko Carlos, a z jego ust wydobył się niewielki obłok pary, który od razu zamarzał na przedniej szybie.

Na moment przed oczami stanął mu Dom i uświadomił sobie, że to musi być okropne, gdy odchodzi ktoś bliski.

„Jak pani Elain” - pomyślał.

Przypomniał sobie stare czasy, kiedy musiał zgadywać, co jego przyjaciel chciał mu powiedzieć. I co czuł. Tamto milczenie tłumaczyło zresztą więcej niż jakiegokolwiek słowa. Ale teraz nie miało to żadnego znaczenia. Nikt tu nie chciał rozprawiać o zabitych czy zaginionych matkach, a już na pewno nie Fenix.

- Póki co - powiedział na głos - nas jeszcze szczęście nie opuszcza.

-I oby tak zostało... Jedźmy, bo zaraz tu zamarzniemy -stwierdził Marcus, porzucając regulację nawiewu. - Wiesz, w sztabie powiedzieli, że dostanie Gwiazdę Embry.

Obydwoj byli świadomi, że to najwyższe odznaczenie za odwagę. Przyznawano je tym, którzy bez względu na konsekwencje ryzykowali życie, chcąc ocalić towarzyszy. Dlatego zresztą najczęściej wręczano je pośmiertnie. Santiago wzdrygnął się na myśl o tym.

- Całkiem niezłe - stwierdził. - W końcu będzie miała w swojej kolekcji komplet medali. Kiedy ty polegniesz, do staniessz co najwyżej zestaw kieliszków do wina.

Marcus wykrzywił twarz w udawanym uśmiechu i zaczął zeskrobywać szron z przedniej szyby, który pojawił się już nawet od jej wewnętrznej strony. Być może żałował, że jego matka też nie okazała się taką bohaterką. Że po prostu uciekła, zostawiając go w pustym, cichym domu z człowiekiem, którego nazywał ojcem. Ale to były tylko domysły, bo od czasu, gdy znaleźli się w wojsku, nigdy o tym nie rozmawiali. Carlos wiedział tylko, że jego przyjaciel raz w miesiącu wysyła do domu krótki, suchy list - bez żadnych zwierzeń, wątpliwości czy oskarżeń. Jakby w ich rodzinie nigdy nic straszego się nie wydarzyło.

APC przejechał z warkotem obok posterunku kontrolnego, sunąc dalej, w stronę rur z impulsją. Instalacja biegła wzdłuż granicy z neutralnym stanem Maranday, w którym ci dranie, Indie, często koncentrowali swoje siły i z którego potem bezkarnie ich atakowali. Nikt nie rozumiał, jakim cudem pozwalano na takie numery? I nawet jeśli to było celowe działanie, Carlosa, podobnie jak pozostałych Gearów, irytowało całe to cackanie się i przesłodzona dyplomacja. Skupił się na tu i teraz - muszą być maksymalnie czujni, gdy dotrą na miejsce.

-Spóźniają się z podłożeniem ładunków - powiedział Fenix. - W dodatku wywiad twierdzi, że w pobliskim mieście panuje spokój.

-Taaa, jakoś nie mam przekonania, że agenci Intelu nie robią nas w bambuko.

-Więc sprawdźmy, co mówią snajperzy... Alpha-Pięć do Trzy-Zero. Odbiór.

-Trzy-Zero, zgłaszam się.

To był Padrick, kolejny gość z Wysp Południowych. Wszyscy oni szli masowo do oddziałów snajperskich i Pad

nie stanowił tu wyjątku - nawet jeśli nie wyglądał jak jeden z nich. Jego wyjątkowo rude włosy i masa piegów na twarzy nie pasowały do rytualnych tatuaży, ale że był narwany, jak pozostali wyspiarze, nikt nigdy nie ryzykował, żeby mu to powiedzieć.

-Dawaj raport, Pad.

-Od godziny obserwuję jakiegoś ciula kopiącego dołki wzdłuż instalacji. Wygląda, jakby zastawiał pułapki na zwierzęta, ale kto wie... Zniknął jakieś dwadzieścia minut temu.

-Sprawdź jeszcze raz, ok?

Takie rzeczy zawsze należało weryfikować. Zwykli myśliwi nie stanowili dla nich zagrożenia, ale sabotażyści często się pod nich podszywali.

-Jaka jest wasza pozycja, Pad? - spytał Marcus, włączył światło w kabinie i sięgnął po mapnik.

-Dwa-Q.-J-0-zero-trzy-jeden-trzy-cztery-siedem-pięć--pięć.

Fenix chwilę przewracał karty, aż w końcu znalazł stronę ukazującą teren z podanymi współrzędnymi.

-Jesteście na samym wzgórzu?

- Nie, to zbyt ryzykowne. Siedzimy koło śnieżnej zasy, niedaleko rur z impulsją. Jakieś trzydzieści pięć metrów nad poziomem doliny.

Santiago na moment odwrócił wzrok od zaśnieżonej drogi i zerknął przez ramię na mapę. Martwiło go, że tak szybko robiło się ciemno.

-Jesteście tam? - głos Pada znów zabrzmiał w słuchawce. - Czekamy na drugą zmianę. Mam nadzieję, że nie odwalą nam żadnych numerów. Baz chce obejrzeć finał thrashballu...

Gear, o którym wspomniał Padrick, był jego obserwatorem. Razem stanowili zabójczy zespół, osłaniając się wzajemnie i wspomagając.

-O, mam was na radarze. Jesteśmy ukryci metr od łączenia pięć-bravo-dziewięć. Macie to?

-Przyjąłem - powiedział Fenix. Wszystkie odcinki rurociągu skrupulatnie znakowano, co ułatwiało orientację nie tylko załogom technicznym. - To chyba tutaj.

Snajperzy potrafili wykopać dziurę w śniegu i urządzić sobie w niej całkiem przytulne gniazdko, oczywiście bez kablówki. Zresztą mieli ważniejsze zmartwienia na głowie niż brak kanałów sportowych. Sabotażyści często podkładali materiały wybuchowe na raty, przez kilka dni, korzystając z tego, że opady śniegu nie były w tej okolicy zbyt obfite. Zawsze podziwiał ich wytrwałość i spryt. Najpierw jeden z nich kopał niewielki dół, potem drugi rozkładał miny, następnie trzeci przychodził z detonatorami, a na końcu czwarty uzbrajał ładunki. Później już tylko wystarczyło poczekać na dogodny moment i wysadzić wszystko, kiedy patrole się tego najmniej spodziewały.

„Na szczęście teraz nikt nie kręci się po okolicy” - pomyślał Carlos z ulgą. „A przynajmniej nikt podejrzany”.

Zatrzymał samochód i spojrzał przez boczną szybę na wykopany dół. Był głęboki na około pół metra, a na jego dnie leżały wnyki. Całkiem możliwe, że widziany wcześniej facet naprawdę zakładał pułapki na małe zwierzęta, które w poszukiwaniu pożywienia kopały nory w śniegu.

- Pad, widzę jakieś sidła - rzucił przez radio. - Ale rów nie dobrze może to być podkład pod ładunki.

-Stary, nie popadaj w paranoję...

-On ma rację - wtrącił Marcus. - Poza tym powinniśmy także sprawdzić teren aż do starego przejścia granicznego. Jeśli coś podobnego znajdziemy dalej, to by oznaczało, że mają całkiem dobry czas.

-Dobra już, dobra. Jedźcie tam, ale bądźmy w kontakcie - powiedział Padrick. - Poprzedni patrol wyłączył radio i musieliśmy do nich machać łapami, żeby ściągnąć ich z powrotem. Co za durnie...

-Nie martw się, dziś pracujesz z dorosłymi facetami - stwierdził żartobliwie Santiago.

-Aha, tak dorosłymi, że nie noszą hełmów, bo uwielbiają wystawiać swoje zakute pały na strzał. Jesteście super, chłopaki.

-My też cię kochamy, Pad.

Zgasili reflektory i ruszyli wzdłuż rurociągu. Warkot silnika APC słyszalny był z daleka, ale zakładali, że może uda im się zaskoczyć kogoś skupionego na podkładaniu ładunków. Gdy dotarli na miejsce, nocne ciemności rozświetlała już tylko luna bijąca od miasta po drugiej stronie granicy. Gdzieś tam, gdzie migotały wszystkie te jaskrawe punkty światła, życie toczyło się jak gdyby nigdy nic. Ledwie dwa kilometry od nich.

-Zupełnie zapomniałem - stwierdził Marcus, sprawdzając magazynek i repetując broń. - Dziś faktycznie są rozgrywki thrashballu.

-Na kogo stawiasz?

-Na nikogo, nie lubię zakładów. Zwłaszcza od kiedy Eagles podpisali kontrakt z tym nowym gościem. Jak oni na niego wołają? Cole? Tak, Cole „Train”.

- Ten facet to prawdziwa maszyna. Nie chciałbym spotkać go w ciemnej ulicy. Tacy urywają łeb z uśmiechem na gębie.

Zwykle, codzienne sprawy - to właśnie dzięki nim zachowywali pozory normalności i potrafili przetrwać kolejny dzień. Nawet wojna może być nudna, jeśli umie się unikać kłopotów. Carlos dobrze znał takich, którzy daliby się pociąć za najmniejszy zastrzyk adrenaliny podczas podobnych akcji, nawet gdyby to miało być ostatnie doświadczenie w ich życiu, sam jednak stronił od podobnych podniet. Choć z drugiej strony... Pomyślał o takich, który kiedyś powiedział, że tylko wojsko pozwala mu poczuć, że żyje. I w jakimś sensie miał rację. Nie chodziło mu przy tym o jakieś tanie emocje, ale o świadomość istnienia. O to, że podczas walki niemal każdą komórką ciała doznaje się istoty swojego jestestwa.

Przypomniał sobie dzieciństwo i ojca, kiedy ten wspominał okres służby. Zawsze wtedy słyszał, że cywile są jak ryby w akwarium, które nie mają najmniejszego pojęcia, jak wyglądają prawdziwe głębiny. Tak, to smutne, że większość ludzi umiera bez poznania swoich możliwości. A najgorsze, że nawet gdyby chcieli, nie dostaną drugiej szansy...

- Przejdźmy się - rzucił Marcus i założywszy noktowizor, wyskoczył z wozu.

Carlos także wysiadł z kabiny. Mroźne powietrze od razu wdarło się do jego płuc, odbierając mu na chwilę oddech. Biegnące nieopodal rury wsparte na kilkumetrowych filarach rzucały na śnieg błądy cień. Opuścił gogle na oczy i ruszył w ślad za przyjacielem, brnąc przez niewielkie zaspę na poboczu drogi.

- Mam nadzieję - bąknął Fenix, naciągając na głowę kaptur - że teraz przestaniesz się mnie czepiać.

Znajdowali się w rozległej, niezbyt głębokiej dolinie otwierającej się na miasto. Wokół panowała cisza, a całkowicie bezruch tylko ją potęgował. Prawie przez godzinę krążyli po okolicy, aż wreszcie wrócili do APC. Odczekując kolejny kwadrans, raz na jakiś czas tupali nogami dla rozgrzania. Kiedy już mieli odjeżdżać, ich uwagę zwrócił odległy, monotonny dźwięk. Obydwaj, jak na komendę, wstrzymali oddech i zaczęli nasłuchiwać.

- Coś jedzie - powiedział w końcu Santiago.

Wiedzieli, że tak charakterystyczny warkot wydają jedynie niewielkie silniki. Nie spodziewali się zresztą czegoś większego, bo drogę przed nimi pokrywała gruba warstwa śniegu i tylko szalenicie podróżowałyby w takich warunkach zwykłym samochodem.

- To chyba skuter śnieżny - ocenił Fenix.

Nawet jeśli to prawda, to niczego to jeszcze nie oznaczało - mnóstwo tutejszych ludzi poruszało się po okolicy takimi właśnie pojazdami.

Stali chwilę w milczeniu, aż wreszcie ujrzeni w oddali migającą parę reflektorów, zbliżającą się do nich od strony miasta. Marcus natychmiast skrył się w cieniu rzucanym przez rurociąg, a Carlos przykucnął na jedno kolano, podniósł noktowizor na czoło i spojrzał przez celownik swojego Lancera. Na skuterze siedział jakiś okutany od stóp do głów cień. Mężczyzna? Kobieta?

Śledził pojazd aż do momentu, gdy przybysz zbliżył się do linii rur, skręcił tuż przed nią i jadąc dalej wzdłuż filarów, zniknął w ciemnościach. Carlos chwycił za radio.

-Alpha-Pięć do Trzy-Zero. Możliwe, że będzie robota. W waszym kierunku jedzie intruz. Posuwa się wzdłuż instalacji po drugiej stronie granicy.

-Tu Trzy-Zero. Odebrałem.

Wsiedli do APC i uruchomili silnik, nadal jednak nie włączali świateł.

-Może mimo wszystko Baz zdąży na rozgrywki - zastanawiał się na głos Santiago, wciskając na luzie kilka razy pedał gazu.

-Spokojnie, stary... Chłopaki, tylko bez nerwów. Możliwe, że to po prostu jakiś zawiany imprezowicz wracający z baru.

Istniało ryzyko, że odgłos pędzącego skutera wprowadzi ich w błąd i myśląc, że są bliżej, pozwolą mu uciec. Dlatego cały czas Carlos trzymał pojazd na wysokim biegu, a Marcus wychylał się z kabiny kierowcy i ani na sekundę nie odrywał wzroku od tylnych świateł pojazdu. Nieznajomy wciąż trzymał się blisko rurociągu.

-Jeśli Intel ma rację, to ten facet będzie podkładał ładunek - krzyknął do szoferki Fenix.

-Po prostu zatrzymajmy go i sprawdźmy, co skubany wiezie.

-Nie teraz. Jest po stronie Maranday.

-Chcesz mi powiedzieć, że ktoś tu przyjdzie z miarą i powie: „Oj, panowie, nieładnie, zatrzymaliście tego pana dwa centymetry od granicy”?

-Rozkaz to rozkaz. Żadnego łamania traktatów.

-Ten facet i tak musi przejść na naszą stronę, jeśli chce podłożyć ładunek.

-I wtedy go dorwiemy. Elegancko i legalnie, ok?

Santiago wzruszył ramionami w odpowiedzi. Taka nadmierna ostrożność wydawała mu się po prostu głupia i deenerwująca, ale wszystkie te regulaminowe ograniczenia zawsze go irytowały. Pilnowaniem granicy powinna zajmować się odpowiednia straż, a nie oni. Poza tym teraz była wojna i obowiązywały trochę inne zasady.

Fenix w końcu dał znak, żeby się zatrzymali. Wyskoczyli z wozu i pobiegli w stronę instalacji. Znajdowali się około pół kilometra od pozycji Padricka i Baza. Skuter stał o dwieście metrów od nich, a jego kierowca pochylał się nad bagażnikiem i wyraźnie szukał czegoś w sakwie. Nadal znajdował się na terenie, na którym nie mieli prawa go zatrzymać.

-Trzy-Zero, widzisz coś? - spytał szeptem Marcus.

-Nic ciekawego. Pewnie będzie tak grzebał przez godzinę, zanim polezie do tej cholernej dziury i coś zrobi.

-Może faktycznie przyjechał tylko sprawdzić swoje wyniki? - wtrącił Carlos.

Wokół panowała głucha cisza, przerywana sporadycznie zawodzeniem wiatru. Przybysz cały czas kręcił się przy skuterze. Na pewno słyszał, kiedy APC zahamował. Zatrzymali się bardzo gwałtownie, a odległość między nimi nie była aż tak wielka. Mimo to nie spłoszył się i spokojnie wykladał pakunki na śnieg.

W gruncie rzeczy naprawdę mógł być zwykłym myśliwym.

Stał teraz odwrócony do nich tyłem, ale Padrick i Baz z pewnością widzieli, co robił.

- Alpha-Pięć, cokolwiek tam wiezie, dużo tego - usłyszeli w słuchawkach stłumiony głos snajpera. - Widziałem

zwierzęta, które łapią tutejsi myśliwi. To zwykle kurduple. Mógłbyś je zabić szczoteczką do zębów.

-Bingo - rzucił z ulgą Marcus.

-Trzymamy go na muszce - oświadczył Baz. - Powiedz, kiedy strzelić.

Ta część zadania należała do Feniksa - to on wydawał tu rozkazy. Nieznajomy wyprostował się, najwyraźniej kompletnie nieświadomy tego, że wycelowano w jego głowę trzy lufy i że jedna z nich skutecznie popsuje mu resztę dnia.

Carlos rozumiał, dlaczego jego przyjaciel nie chciał strzelać do przybysza, kiedy ten znajdował się na terenie Maranday. Znalezienie trupa z kulą cog w czaszce mogło spowodować całą lawinę nieprzyjemnych zdarzeń. Ale ryzyko wydawało mu się warte swojej ceny. Co tak naprawdę mogło się stać? Najwyżej kilku polityków trochę się wkurzy. Nic wielkiego.

- Co on tam robi? - spytał cicho, starając się przybrać wygodniejszą pozycję.

Noktowizyjne gogle pozwalały im dokładnie widzieć kierowcę, ale leżące przy nim pakunki rozmywały się już w ciemnościach, a żaden z nich nie miał napisu „materiały wybuchowe”. Cokolwiek to jednak było, miało całkiem spory rozmiar.

Nieznajomy dźwignął pakunki i ruszył w stronę dołu. Przez moment wydawało się, że taszczy przed sobą stertę książek albo worki z piaskiem. To wystarczyło, żeby podjąć decyzję.

-Pad, przygotuj się - ponownie szepnął Marcus, zsuwając kaptur z głowy.

-Czytasz w moich myślach, chłopie.

- Tylko spokojnie.

Kierowca skutera przeszedł powoli pod rurami, mijając niewidzialną linię granicy. Na otwartej przestrzeni parę razy utonął niemal po kolana w głębokim, miękkim śniegu. Usłyszeli w słuchawkach, jak Padrick bierze głęboki wdech, przygotowując się do strzału.

Jeszcze sekunda.

Tamten uklęknął obok dołu, a Carlos i Marcus zastanawiali się, czy w ogóle zdaje sobie sprawę, że to może być ostatnia czynność, jaką wykona w swoim życiu. Przez ułamek sekundy dostrzegli, że twarz obcego skrywają gogle oraz zaciągnięty aż na nos szalik, przez co wciąż nie mogli go zidentyfikować.

„Teraz, Pad, strzelaj” - Santiago poganiał w myślach snajpera.

Nagle kierowca skutera zamarł w bezruchu, a potem uniósł głowę i rozejrzał się. Nie było szans, żeby usłyszał lub dostrzegł Padricka, więc co, u licha, go przestraszyło? Oślupiali patrzyli, jak tamten wstaje i wciąż trzymając oburącz swoje pakunki, zawraca w stronę pojazdu. Z początku szedł spokojnie i nic nie wskazywało, że coś go niepokoi, po chwili jednak przyspieszył.

- Pad, zostaw go, nie strzelaj, nie strzelaj - powiedział nerwowo Fenix, na moment zapominając o procedurach. - Pojedziemy za nim...

Carlos nie czekał, aż jego przyjaciel skończy zdanie. Otworzył ogień, wysadzając bak skutera i niszcząc układ kierowniczy, a po chwili biegł w kierunku uciekającego przybysza.

„Nigdzie nie uciekniesz, gnoju” - krzyczał w myślach. „Jestem szybszy od ciebie”.

- Mogę strzelić - usłyszał w słuchawce głos Padricka. -
Wciąż mam go na muszce.

Słyszał też, jak Marcus wrzeszczy za nim, każąc mu natychmiast wracać, postanowił to jednak zignorować. Nieznajomy cały czas gnał w kierunku granicy. Gdy ją przekroczy, będą bezsilni. Dlatego właśnie Carlos nie zamierzał na to pozwolić. Żaden zafajdany Indie nie będzie się z nimi bawił w berka, a już na pewno nie będzie drwił sobie z COG

„A może myśli, że to pokolenie Gearów jest za staroświeckie, żeby strzelić sabotażyście w plecy?”

Fenix biegł tuż za nim, dysząc ciężko i podobnie jak on zapadając się w śniegu po kolana. Uciekinier rzucił coś na ziemię, ale żaden z nich nie zamierzał się zatrzymać, aby to sprawdzić.

- Durniu, on może się przydać - Santiago słyszał za sobą głos przyjaciela. - Teraz musimy go złapać.

Pościg coraz bardziej przypominał scenę z jakiegoś absurdalnego filmu, który puszczono w zwolnionym tempie. A wystarczyłoby jeden krótki strzał.

Do rurociągu pozostało już tylko kilkanaście metrów. Nawet jeśli uciekinier miał jakąś broń, Carlos jej nie dostrzegął. Ale to marne pocieszenie. Oczami wyobraźni widział, co tamten może skrywać pod ubraniem - nóż, pistolet, a nawet karabin.

-Santiago... skur... - głos Padricka przerywały trzaski, ale domyślił się, co tamten chciał mu powiedzieć, zanim to jeszcze usłyszał. - Wra...aj, prze...czyłeś gra...cę!

-Pierdołę to - rzucił, widząc jednocześnie, że Marcus zatrzymał się pod rurami, przyjmując pozycję do oddania strzału. -I tak dorwę tego gnoja.

To na pewno żaden Gear. Miał wytrzymałość konia, ale daleko mu było do kondycji któregoś z nich. Carlos dopadł go wreszcie i chwycił od tyłu. Nie wiedział nawet, jak i kiedy udało mu się go powalić.

Rzucił się na niego z furją.

Byli po stronie Maranday, ale czy te kilka metrów robiło jakąkolwiek różnicę? Nie ma świadków, nie ma sprawy - a przecież nikt nie złożył na niego raportu.

Uciekinier wściekle szarpał się w uścisku i desperacko usiłował wyjąć coś z kurtki. Carlos zawsze zastanawiał się, jakie to uczucie zabić kogoś, patrząc mu w twarz. I czy to robi z niego łajdaka? Ale teraz nie miał czasu na takie rozmyślenia. Wbił nóż w szyję leżącego, zanim nawet zdołał to sobie uświadomić.

BUDYNEK RZĄDOWY KOALICJI. EPHYRA

Kiedy Hoffman szedł do sali odpraw, uświadomił sobie, jak wiele zmieniło się podczas długich lat wojny.

Zdjął czapkę i zaczął rozmyślać, dlaczego poproszono go o pilne przybycie, nie podając nawet powodów wezwania. Owszem, wcześniej już się zdarzało, że ze względów bezpieczeństwa otrzymywał jedynie szczątkowe informacje - jednak tym razem po raz pierwszy nie wiedział kompletnie nic.

Co gorsza, nie zapowiadało się na standardową naradę oficerów wojsk lądowych - w lobby czekali także wysocy rangą dowódcy marynarki i sił powietrznych; byli nawet funkcjonariusze wywiadu i doradcy polityczni, jak zawsze ubrani po cywilnemu. Zebrana grupa nie była liczna, ale

sądząc po dystynkcjach przybyłych, szykowało się spotkanie na najwyższym szczeblu.

„Trochę tu nie pasuję” - pomyślał. „Może chcą, żebym wyczyścił im latryny?”

- O, ciebie też poprosili... yyy, Victor? - powiedział ktoś za nim.

Odwrócił się i zobaczył oficera marynarki, którego poznał kilka lat temu. Jak on się, do licha, nazywał? Michael? Mitchell? Na imię na pewno miał Quentin - to akurat zapamiętał. I to, że kiedy widzieli się ostatni raz, był ledwie szeregowcem.

- Oquentin... - rzucił jowialnie Hoffman i uściśnął wyciągniętą rękę, a potem spojrzał wymownie na trzech admirałów stojących nieopodal. - Co my tutaj robimy? Potrzebują nas w charakterze tragarzy?

Michaelson, na pewno nazywał się Michaelson.

-Wątpię, żeby nawet mój przełożony to wiedział - stwierdził Quentin przyciszonym głosem. Na kołnierzyku jego munduru widniał emblemat z dwoma rekinami, co znaczyło, że służył na okręcie podwodnym. - Podobnie zresztą jak ja. Jestem po prostu kapitanem flotylli D, więc gdy poprosili mnie o przybycie, zasalutowałem i oto jestem.

Flotylla D specjalizowała się w desantach morskich i operacjach specjalnych, więc obecność znajomego w tym miejscu wydała się Hoffmanowi niezwykła. O ile pamiętał, doktryna wojenna COG bazowała na działaniach wojsk lądowych - czyli na piechocie, artylerii i jednostkach pancernych. Wszystkie pozostałe siły zawsze znajdowały się gdzieś na obrzeżu tych założeń. Teraz jednak najwyraźniej miało się to zmienić.

-Dobra, a zatem są tu także siły morskie - powiedział ostrożnie. - Czy ktoś jeszcze poza nami czuje się jak piąte koło u wozu?

-Tylko dywizja sił satelitarnych - odparł Michaelson.

-Widzę ludzi od nich. Niezła mieszanka.

Wielkie, bogato zdobione drzwi do sali konferencyjnej otworzyły się i w progu stanęła sekretarka W niebieskim mundurze. Za jej plecami rozciągało się sporej wielkości, pozbawione okien pomieszczenie z ogromnym stołem pośrodku.

- Przewodniczący Dalyell przybędzie za chwilę - oznajmiła kobieta zapraszającym tonem. - Proszę wejść i zająć swoje miejsca.

Hoffman znał szefa rządu ze słyszenia, ale nigdy dotąd nie spotkał się z nim twarzą w twarz. Mijając drzwi, uświadomił sobie, że jeśli ma on prowadzić naradę osobiście, jej ranga będzie naprawdę wysoka. Michaelson podążał za nim, szukając karteczki ze swoim nazwiskiem.

„Cholera, na co ja im jestem potrzebny?” - zastanawiał się.

Z pewnością nie będzie miał problemów z wystąpieniem się, jeśli przewodniczący zapyta go, co myśli o polityce obronnej COG I powie to, nawet jeśli nikt tego nie zechce słuchać. Obawiał się jednak, że na spotkaniu szybciej padną pytania, na które nie znał odpowiedzi.

Zajął swoje miejsce. Miał przy sobie tylko portfel, dowód tożsamości, długopis i klucze. Wojskowa teczka, z którą tu przybył, została zatrzymana przez pracowników ochrony, podobnie jak teczki innych. Takie rzeczy nie działy się na każdej naradzie.

Rozejrzał się po zebranych i poczuł ulgę. Nawet generałowie wyglądali na zdezorientowanych.

Dalyell był niskim, łysym mężczyzną koło pięćdziesiątki. Gdyby nie drogi garnitur, który miał na sobie, mógłby uchodzić za księgowego. Mężczyzna zajął miejsce pomiędzy dwójgim asystentów i ruchem ręki kazał zamknąć drzwi. Sekretarka zaczęła przygotowywać stojący obok projektor, a gdy skończyła, opuściła salę.

- Panie i panowie, pokój jest dźwiękoszczelny - zaczął przewodniczący donośnym głosem, który mógłby po wstrzymać cały batalion. - I zaraz się dowiecie, dlaczego podjęliśmy takie środki ostrożności. Na razie powiem tylko tyle, że sytuacja jest absolutnie wyjątkowa. Maynard, światło.

Na ekranie pojawiła się mapa terenów przybrzeżnych Republiki Ostri oraz jej znacznie większego i agresywnego sąsiada - Pelles. Nikt nawet nie śmiał się poruszyć czy odchrząknąć i w pokoju zapanowała kompletna cisza. Dalyell odczekał kilka sekund, dając wszystkim czas, aby zrozumieć, na co patrzą.

„Cholera” - olśniło nagle Hoffmana. „Chcę zaatakować Pelles przez Ostri. Najwyższy czas. Pewnie oddziały specjalne przygotowywały się do ataku od dawna, dlatego tu są. Teraz wszystko jasne”.

Poczuł się znacznie lepiej. Spojrzał ukradkiem na Michaelsona, ale ten, pozornie skupiony na mapie, wydawał się myśleć o czymś kompletnie innym.

- Chcę, żebyście skupili się na jednym konkretnym obszarze - powiedział przewodniczący i obrócił się na krzesło, spoglądając zebranych w twarze. - Sporo się dziś o nim dowiecie. Nazywa się Punkt Aspfo. Jeśli czegoś z nim nie

zrobimy, czeka nas koniec Koalicji. Agentko Settile, zechce pani wskazać nam to miejsce?

Hoffman na moment stracił orientację. Działo się tak zawsze, kiedy odkrywał, jak bardzo się mylił. Ale tak to już było z przypuszczeniami. Nawet jeśli człowiek miał podstawy, żeby zrobić jakieś sensowne założenie, zawsze ostatecznie mogło się okazać, że chodziło o coś zupełnie innego.

Kobieta podeszła do mapy i czubkiem metalowego wskaźnika zakresliła koło nad fragmentem opustoszałego wybrzeża. Według legendy u dołu na terenach tych znajdowały się mokradła, przecinane pastwiskami i pasami lasu. Z militarnego punktu widzenia jedynymi wartymi uwagi obiektami były tu co najwyżej niewielkie bazy wojskowe, stanowiska artyleryjskie rozstawione przy drodze na północy oraz ośrodek badań lotniczych umieszczony na cyplu nazywanym właśnie Punktem Aspho. W sumie nic specjalnego. Na terenach UIR istniało pełno podobnych miejsc, a wiele z nich miało nawet większe znaczenie strategiczne.

Settile odwróciła się do sali i zmrużyła oczy.

- Znajdujące się tutaj mokradła przed wiekami usiłowano osuszyć i przeznaczyć na tereny rolne - powiedziała. - Nadal nazywane są Polami Aspho, ale z powodu ich izolacji od reszty kraju i małego zaludnienia wycofano się z tych planów, oddając teren pod zarząd wojskowy - zrobiła krótką przerwę, żeby złapać oddech. - Ośrodek badawczy na cyplu od dwudziestu, trzydziestu lat prowadzi dla UIR prace nad rozwojem technik lotniczych. A właściwie prowadził, bo jak donosi nasz wywiad, ostatnio to się zmieniło. Dotychczasowe badania przeniesiono do innych

ośrodków, zaś w Punkcie Aspoho skupiono się na jednym tylko projekcie. Mowa o broni satelitarnej, którą nazwalismy Młot Świtu.

Na sali podniósł się szmer. Widząc, że wszystkich ogarnęła konsternacja, Dalyell ruchem głowy dał znak Settile, że zamierza przejąć prowadzenie.

- Proszę o ciszę. - Podniósł ręce w uspokajającym geście. - Niestety, to nie koniec złych wieści. Ich naukowcy zakończą prace nad bronią najpóźniej w ciągu roku. Co gorzsa, nasze systemy satelitarne nadal znajdują się na etapie analiz. Sama teoria. Mam nadzieję, że teraz już rozumiecie powagę sytuacji. Nie ma sensu dłużej rozwodzić się nad ich technologią. Liczy się czas. Musimy zniwelować dzielącą nas przepaść i... przejąć tę broń.

Hoffman zerknął na Michaelsona. Tym razem ich spojrzenia się spotkały. Obaj wiedzieli, po co tu się znaleźli i że decyzje zapadły już dawno temu. Wszystkim kierował Intel - wywiad COG

- Generale Iver - kontynuował przewodniczący - jest pan osobiście odpowiedzialny za stworzenie planu ataku na Punkt Aspoho. I proszę pamiętać, że musi on dotyczyć także sposobu pozyskania technologii oraz neutralizacji ośrodka

i personelu. Ma pan na to sześć miesięcy. Od powodzenia tej operacji zależą losy wojny. I nasze przetrwanie.

Iver spojrział na Dalyella.

-Jeśli mogę... - powiedział z powagą w głosie. - Chciałbym mieć jasność co do pańskich priorytetów. Jak rozumiem, z całym szacunkiem, prosi nas pan o dokonanie kradzieży i zniszczenie ważnego ośrodka...

- Doskonale, właśnie tak wyglądają NASZE priorytety. Proszę zabrać się do pracy.

Przewodniczący skierował się do wyjścia. Po chwili generał Iver wstał z krzesła i spojrzał na notes przed sobą, w którym wcześniej coś zapisał.

- W porządku - oznajmił. - Operacja otrzymuje kryptonim... „Niwelator”. Przez te wszystkie lata walki nasza Koalicja nie miała ważniejszej misji, więc nie zmarnujemy takiej okazji...

Hoffman często odnosił wrażenie, że urodził się w niewłaściwej epoce i że czułby się znacznie szczęśliwszy w czasach, gdy Sera była silna i zjednoczona. Ale teraz zastanawiał się, czy los nie podarował mu szansy, na którą czekał od tak dawna. Nawet jeśli nie mógł przewidzieć, jak to wszystko się skończy, pozwolił skrywanej radości wypełnić jego umysł.

Miał świadomość, że jedno małe zwycięstwo może przynieść kres walkom, które toczą od dziesięcioleci. Wojna była nieprzewidywalna, a politycy popełniali błędy, ale tym razem naprawę mogło im się udać.

Wyobraził sobie, jak będzie wyglądał świat bez wojny. Czy odnajdzie się w rzeczywistości, w której konflikt zbrojny jest pojęciem czysto teoretycznym?

SIEDEM

Nie mogę pojąć, skąd bierze się wasze niezadowolenie. Tak, Gearom przysługują większe racje żywnościowe niż reszcie, bo walczą, żeby nas bronić. Robią to każdego dnia, ryzykując dla nas własne życie. Nie chcecie chyba, żeby z Szarańczą mierzyła się jakaś banda wychudzonych kurdupli? Tacy żołnierze nie uchroniliby nas przed śmiercią. Można zrozumieć kobiety w ciąży, które mają większe potrzeby, ale wy? Jakim prawem się buntujecie? Poza tym z mniejszą dawką kalorii dłużej się żyje. Tak właśnie odżywiali się ludzie przed Dniem Wyjścia i zobaczcie, jacy byli zdrowi. Więc, do cholery, zamknijcie się i dziękujcie Bogu, że jeszcze żyjecie!

WZBURZONY MIESZKANIEC JACINTO
PODCZAS SPOTKANIA, NA KTÓRYM WPROWADZONO
ZMIANY DOTYCZĄCE REGLAMENTACJI ŻYWNOSCI

**TEREN NA GRANICY Z MARANDAY, SARFUTH,
REGION PÓŁNOCNY
17 LAT TEMU, 3 LATA PRZED DNIEM WYJŚCIA**

Marcus padł na śnieg obok Carlosa. - Cholera, musimy
go stąd zabrać - wysapał. - No dalej, pomóż mi.

To czyste szaleństwo przejmować się taką drobnostką w konflikcie, który toczył się latami i pochłonął miliony ofiar. Ale każda wojna to właśnie zlepek takich drobnostek, pojedynczych śmierci, wydarzeń bez znaczenia. Santiago działał instynktownie. Założył na powrót noktowizor, a potem ujął kierowcę skutera za nogi, podczas gdy jego przyjaciel chwycił go za rękę.

Te kilka metrów do granicy zdało się trudniejsze do pokonania niż wcześniejszy długi pościg. Gdy nieśli ciało przez wysokie zasypy śniegu, Padrick uważnie obserwował teren wokół instalacji, marudząc cały czas przez radio, że przecież mógł zdjąć sabotażystę po właściwej stronie.

Może i mógł, ale to Carlos to zrobił.

Wepchnęli zwłoki pod rury z impulsją i wrócili do APC, kryjąc się w jego cieniu. Nie bardzo wiedzieli, co zrobić ze śladami krwi na śniegu oraz ciałem, ale Santiago miał to głęboko gdzieś. Nie zaszkodzi, jeśli Indie dostaną nauczkę. Zapamiętają, że każda próba sabotażu na terenie COG może skończyć się w ten sposób i że nawet za granicą nie będą bezpieczni.

- Sprawdzę, co chciał zostawić w tym dole - powiedział Marcus. Nie potrzebował dodawać, że jeśli nie będzie tam ładunków wybuchowych, znajdą się w gównie po same uszy. - A ty w tym czasie przeszukaj gnojka.

„Zabiłem człowieka” - pomyślał Carlos, idąc z powrotem w stronę rurociągu.

Nie pierwszy raz musiał podjąć - jak to nazwał jeden z instruktorów - kroki prowadzące do śmierci napastnika, ale tym razem czuł się inaczej. Było w tym coś osobistego. Jakby brał udział w jakiejś knajpianej burdzie, która

wymknęła się spod kontroli. Serce waliło mu, jakby chciało wyskoczyć z piersi, a w głowie kłębiły się myśli - zupełnie inaczej niż wtedy, gdy otwierał ogień w kierunku wroga lub odpalał moździerz.

Postanowił zapanować nad emocjami. Rozpiął kurtkę nieznajomego i przeszukał kieszenie jego kombinezonu. Czuł się trochę, jakby okradał jakiegoś pijaczynę - z tą małą różnicą, że pod rękami wyczuwał krew. W końcu wyciągnął jakieś dokumenty, kluczyki z wisiorkiem i mały pistolet. To ostatnie o niczym jeszcze nie świadczyło.

Chwilę obracał w dłoni niewielki breloczek. Był wyraźnie zniszczony i porysowany, jakby ktoś nosił go przez całe wieki. Na jednej ze stron widniała jakaś postać z kreskówki przypominająca ptaka. Kiedy przyjrzał się uważniej, dostrzegł, że ktoś poprawiał kontury, jakby chciał uchronić rysunek przed zatarciem.

Przeniósł wzrok na głowę trupa - opuścił mu szalik na szyję, zdjął gogle i odchylił nieco kaptur. Mężczyzna miał gładko wygoloną brodę i wyglądał najwyżej na trzydzieści lat. Normalny gość. Carlos podciągnął kciukiem jego czoło, zniekształcając rysy twarzy martwego kierowcy. Nie raz obserwował ludzi podczas podobnych patroli przez celowniki noktowizyjne i czasami bardzo dokładnie widział ich ślepe niemal oczy, szukające w ciemnościach punktu zaczepienia, ale puste spojrzenie leżącego przed nim faceta zmroziło mu krew w żyłach. Odwrócił głowę.

- Kurwa, dlaczego nie możesz wyglądać jak wróg? -syknał. - Czy musisz mi to utrudniać?

Dokumenty kierowcy niewiele powiedziały o ich właścicielu poza tym, że miał kartę wędkarską i dowód osobisty wydane na to samo nazwisko.

Po chwili wrócił Marcus. Targał ze sobą jakiś pakunek, który rzucił obok ciała.

- Dobra, spójrzmy, co tu mamy. - Przykucnęła i wyjął kilka wypełnionych białym proszkiem przezroczystych woreczków. - Parę saszetek z cukrem i to wszystko.

Carlos wziął od niego jeden z woreczków i otworzył go. Zapach mówił sam za siebie - materiały wybuchowe. Więc jednak nie zabili jakiegoś niewinnego myśliwego zakładającego wnyki.

-No, chłopie, twoja kariera sabotażysty dobiegła końca - rzucił z ulgą Santiago, patrząc pogardliwie na nieboszczyka, w myślach jednak dziękował opatrności, że po raz kolejny udało mu się uniknąć kłopotów. - Zabieramy ciało, tak?

-Nie możemy go tutaj zostawić - warknął Marcus. -Dalej, miejmy to już za sobą.

W słuchawkach usłyszeli posapywanie Padricka, który najwyraźniej zapomniał wyłączyć swoje radio. Na najbliższym zboczu zobaczyli dwóch snajperów schodzących w dół szerokim slalomem. Zawsze tak robili - zupełnie jakby myśleli, że ktoś ich wiecznie obserwuje. Zanim ciało sabotażysty znalazło się na APC, Baz stał już koło nich i czekał, żeby wejść do kabiny.

- Spadamy stąd, co? - spytał niecierpliwie. Był barczystym facetem koło czterdziestki, z wyraźnym północnotyrańskim akcentem. - Zmarzłem jak cholera. Piecyk wysiadł nam dwa dni temu.

Padrick dołączył wreszcie do reszty.

- Cholera, chyba nie zamierzacie brać roboty do domu? - zdziwił się, widząc ciało zapakowane na pojazd. - Zostaw cie gnojka tutaj.

- To nie są warunki bojowe i obowiązują nas inne przepisy - stwierdził sucho Marcus.

Do bazy wracali w milczeniu, APC prowadził Fenix i Carlos wreszcie mógł trochę odsapnąć. Jego przyjaciel miał rację. Są przepisy, które regulują tego typu przypadki. Nie ma żadnej samowolki. Poza tym ktoś musi podpisać się pod znaleziskiem w saszetkach.

Kiedy przybyli na miejsce, przywitał ich nowy oficer wywiadu. Był wyraźnie zadowolony, że udało im się zdobyć dokumenty kierowcy, ale nie wtajemniczał ich w szczególności.

- Uratowaliśmy rurociąg - stwierdził entuzjastycznie Padrick, kiedy szli do baraków. - Dobra robota, panowie.

Rozstali się przed wejściem. Carlos i Marcus wrócili do APC, wyczyścili wóz z krwi, a potem ponownie ruszyli na patrol. Po drodze zauważyli kilka innych dołów wykopanych koło rurociągu parę kilometrów na północ. Nie były świeże - ich brzegi miały nieregularny kształt. Prawdę mówiąc, równie dobrze mogły je zrobić okoliczne zwierzęta. Nie natrafili także na żadne wnyki, choć widzieli pojedyncze tropy jakichś małych gryzoni na wpół zasypane przez śnieg. Musiały jednak być stare, bo od kilku dni nie padało.

Marcus włączył samochodowe radio umieszczone na desce rozdzielczej. Chwilę kręcił gałką, usiłując wyostrzyć odbiór.

- Posłuchamy, jak idą rozgrywki? - spytał.

Carlos skinął głową. Po cichu słuchali meczu, szybko orientując się, że drużyna Eagles wygrywa.

- To wyspiarze też lubią thrashball? - zdziwił się Santiago.

- Tylko niektórzy. Oni są zupełnie inni niż my.

Twarz Marcusa stężała, a usta niemo się otworzyły, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nie potrafił się przebrać.

-No dobra, przesadzam z tym moim kapralowaniem - stwierdził w końcu.

-Że co?!

-Przyznaję, miałeś rację. Gdybyś mnie posłuchał, nigdy byśmy nie dorwali tego faceta. Chyba za bardzo przejmuję się procedurami bezpieczeństwa.

To był cały Fenix - nikt tak nie przeproszał jak on. Na szczęście Carlos dawno się już do tego przyzwyczaił. Zresztą nie oczekiwał teraz przeprosin. Procedury są po to, żeby ich przestrzegać, i gdyby coś poszło źle, to właśnie jego przyjaciel dostałby po tyłku.

-Stary, to ja przegiąłem - stwierdził z poczuciem winy.

- Wkroczyłem na neutralny teren i z premedytacją zabiłem człowieka. Co z tego, że miał przy sobie materiały wybuchowe.

-Niby tak... Wiesz, takich sytuacji nie opisują w podręcznikach.

-Gdybym miał takiego pecha jak Harries, mogłoby dojść do kolejnego konfliktu, tym razem z Maranday.

Santiago na chwilę porzucił słuchanie relacji w radiu i zastanowił się nad tym, co powiedział. W sumie nie miał wyrzutów sumienia, choć wiedział, że przez swoją głupotę zawiódł przyjaciela.

- Nawet mój brat miałby więcej rozumu niż ja - dodał. - Pewnie rozegrałby to zupełnie inaczej. Ale on służy w jednostkach specjalnych, a ja jestem zwykłym żołnierzem. Dajcie mi broń i pokażcie cel, a będę wiedział, co zrobić.

Marcus zdobył się na coś, co przypominało uśmiech.

- Będziesz miał okazję, gdy się ociepli - powiedział - i zaczniemy walczyć.

O tak, przyjaciel Carlosa bardzo poważnie traktował swoje obowiązki. Tak jakby belki na jego mundurze ozna-
czały, że odpowiada za bezpieczeństwo każdego Geara w
COG Strach pomyśleć, co będzie, kiedy dostanie stopień
sierżanta.

Z drugiej strony miał tylko dziewiętnaście lat. Obaj
tyle mieli. Santiago pomyślał o ich rówieśnikach, którzy się
nie zaciągnęli. O tym, jakie mają problemy i jakie decyzje
przychodzi im podejmować. Tak naprawdę nie mają blade-
go pojęcia, na czym naprawdę polega życie. Dochodząc do
tego wniosku, poczuł się lepiej, ale zdał też sobie sprawę,
jak wiele dzieli go od zwykłego świata.

To, co wydarzyło się na wzgórzach koło rurociągu, było
tylko pojedynczym, nieliczącym się incydem. Impulsja
nadal płynie i nikogo nie obchodzi jeden sabotażysta wię-
cej czy mniej.

„Do czasu” - pomyślał. „Wkrótce pojawi się kolejny fa-
cet na skuterze. A po nim następny. I jeszcze jeden. I tak bez
końca. Dopóki nie zdarzy się coś naprawdę strasznego”.

- Chciałbym zrobić coś, co odmieni ten świat na lep-
sze - powiedział na głos.

APC podskoczył na skalistej drodze. Drużyna Eagles
zdobyła właśnie punkt i krzyki kibiców na chwilę wypeł-
niły kabinę.

- Ale co? - zapytał Marcus. - Skąd mamy wiedzieć,
że

jakaś rzecz wpłynie pozytywnie na bieg historii?

-Ja będę wiedział. Będę to czuł.

Zamilkli obaj i dalej już jechali, słuchając tylko meczu. Ten nowy zawodnik, Cole, był naprawdę niesamowity. Zmiał wszystko i wszystkich na swojej drodze. Carlos zastanawiał się, ile mu płacą za jeden taki mecz. I czy w ogóle wie, jak to jest być przemarzniętym do kości dziewiętnastolatkiem ubranym w pomazany krwią mundur - niemarzącym o niczym innym jak tylko o porządnym, ciepłym posiłku i telefonie do młodszego brata.

Może wie. Ale szczerze w to wątpił.

MIESZKANIE DOMA SANTIAGO, DOLNE JACINTO

Dom przekręcił klucz w zamku, uchylił drzwi i chwilę nasłuchiwał, stojąc wciąż na korytarzu. Kiedy wsiadał do pierwszego pociągu zmierzającego do Jacinto, nie spodziewał się, że dotrze na miejsce dopiero o drugiej w nocy. Wszedł cicho, starając się nie obudzić Marii. Położył swoją torbę na podłodze w przedpokoju i zdjął buty. Stając bosy, nadepnął na coś miękkiego i puchatego. Spojrzał pod nogi, gdzie leżała zabawka Benedicta - pluszowy piesek, którego ucho zmaltretowały zęby jego synka.

Najwyraźniej mały potrafił już usnąć bez swojej przytulanki. No tak, dzieci rosną tak szybko...

Zapalił światło i nim przeszedł cały korytarz, usłyszał, że drzwi od sypialni otwierają się powoli. Ubrana w szlafrok Maria podeszła do niego, pocałowała go w policzek, a potem znacząco położyła palec na ustach.

- Myślałam, że już nigdy nie usnie - szepnęła. - Dlaczego nie zadzwoniłeś przed przyjazdem?

-Pociąg by mi uciekł. Tęskniłaś za mną?

-No jasne, głuptasie.

-Dostałem piętnaście dni urlopu.

-Poważnie?

-Poważnie - odparł z przekonaniem, ale w istocie szczerze wątpił w prawdziwość swojego oświadczenia. W wojsku szybko nauczył się niczego nie planować. - Widać byliśmy grzecznymi chłopcami i postanowili nam to wynagrodzić.

-Czy chcesz mi coś powiedzieć?

Tak naprawdę Dom od samego początku ledwie powstrzymywał się od wybuchu. Chciał jak najszybciej wyciągnąć mundur z torby i pokazać żonie insygnia komandosa przyszyte na pagonach, teraz jednak uznał, że to trwałoby za długo. Zamiast tego wyjął z pochwy u pasa swój nowy nóż bojowy wręczany kadetom na zakończenie kursu i podał go Marii. Spojrzała niemo na rękojeść, a jej twarz nagle rozjaśniła się.

-Zdałeś!

-Tak, zdałem.

-Nic nie mówiłeś.

-Chciałem ci zrobić niespodziankę. Sam nie wiem, jakim cudem nie wygadałem ci się wcześniej.

-Gratulacje - powiedziała, oddając mu nóż. - Czy ty... używasz go?

-Jasne.

Dom nadal miewał momenty, kiedy czuł się niepewny i zagubiony, ale nie teraz, gdy trzymał w rękach broń komandosa, obok stała ciężarna żona, a za ścianą spał jego synek. Niezły wynik, jak na osiemnastolatka.

Tylko czasami, ale naprawdę rzadko, wszystko to go przerażało.

-Jestem z ciebie dumna - oświadczyła Maria. - Czy to oznacza, że już nie będziesz służył z Carlosem i Marcusem?

- Niekoniecznie - odparł, otwierając drzwi pokoju dzie cięcego. Oparł się o framugę i spojrzał na śpiącego malca. - Jeśli będę potrzebny w batalionie, wezwą mnie. Nie jestem na stałe w siłach specjalnych.

Tęsknił za Carlosem i Marcusem bardziej, niżby się tego spodziewał, ale nie mógł wciąż kurczowo się ich trzymać. Powód jego decyzji spał spokojnie w swoim małym łóżeczku. Od kiedy zrozumiał, że jest ojcem i mężem i że odpowiada za troje innych ludzi, postanowił dorosnąć. Miał przecież nowe, ważne obowiązki, którym musiał sprostać. Nawet jeśli to oznaczało, że porzuci brata. Może na tym właśnie polegała dojrzałość?

-Chcesz kawy? - zapytała Maria. -Jadłeś coś?

-Nie, dziękuję.

-Więc może pójdziemy spać? - Stanęła obok Dorna i jeszcze raz rzuciła okiem na synka. - Jestem wykończona.

-Myślałem, że mama ci pomaga.

-Lubię radzić sobie sama - powiedziała, idąc do sypialni. - Wiesz, jak to jest...

Tak, Maria ogromnie ceniła sobie samodzielność. Nie miał jej tego za złe, bo sam nie lubił, gdy ktoś oferował mu wsparcie. Z drugiej strony dziecko to masa roboty. Zwłaszcza gdy jest się w ciąży i nie utrzymuje kontaktów z żonami innych Gearów. To właśnie dlatego często miał wyrzuty -

w końcu nie było go przy niej, kiedy najbardziej tego potrzebowała.

Nie spał dobrze tej nocy. Leżał w łóżku i próbował coś wymyślić. Może powinien poprosić swoją rodzinę, żeby opiekowali się Marią? Ale jak pomóc komuś, kto tego nie chce? Cóż, miał cały urlop na to, by zmienić nastawienie żony. Podobnie jak Marcus, Maria była jedynaczką i nie wiedziała, jak to jest mieć ogromną rodzinę, na którą zawsze można liczyć.

Przez kolejne dni Dom zajmował się zwykłymi domowymi sprawami - naprawą wypadających szuflad, wybieraniem ubranek dla nowego dziecka. W połowie jego urlopu Carlos i Marcus także dostali dwudniowe przepustki. Odwiedził ich w domu rodziców, ale nie siedział zbyt długo. Chciał jak najszybciej wrócić do Marii.

Tak naprawdę byli nierozłączni od dzieciństwa i zawsze lubili przebywać w swoim towarzystwie. A teraz, kiedy mieli dla siebie tak mało czasu, jeszcze bardziej szkoda im było każdej chwili spędzonej osobno. Dni zdawały się ciągnąć w nieskończoność, a oni cieszyli się sobą, jak kiedyś.

Wojny Wahadłowe znalazły się w swego rodzaju martwym punkcie. Mimo że wciąż toczyły się mniejsze lub większe bitwy, sytuacja zdawała się normalizować i wszyscy usiłowali to wykorzystać jak umieli najlepiej. Dom rozumiał takie podejście - sam był tego najlepszym przykładem.

Cztery dni przed planowanym wyjazdem z Jacinto siedział na podwórku u swoich rodziców. Na kolanach trzymał małego Benedicta i zastanawiał się, czy jego syn też będzie kiedyś Gearem. Nigdy, nawet na urlopie, nie zapomniał o wojsku.

-Nie wiesz, czy Marcus widział się ze swoim ojcem?

-zapytała Maria.

-Myślę, że tak.

-To smutne. Mają tylko siebie, a tak wielka przepaść ich dzieli.

-Nie martw się o niego. Da sobie radę. No i ma w końcu nas.

Drzewo, na którym siedem lat temu po raz pierwszy ujrzał przyszlą żonę, teraz było obsypane mnóstwem liści i kładło cień na tył domu. Zamknął na chwilę oczy.

„Dlaczego to dziecko jest takie ciężkie?” - zastanawiał się, czując błogie rozluźnienie rozlewające się po całym ciele.

Jakiś czas walczył z sennością i przez moment wydawało mu się nawet, że wygrał ten nierówny pojedynek, ale mylił się. Z płytkiego snu obudził go dopiero głos ojca. Poderwał się gwałtownie na krzesło, a przestraszony tym nagłym ruchem Benedict rozplakał się.

-Przepraszam cię, Dom - powiedział Ed Santiago i wziął malca na rękę. - Telefon do ciebie. Jakiś adiutant.

- O cholera.

Wiedział, co usłyszy, zanim jeszcze podniósł słuchawkę.

-Szeregowy Santiago?

-Tak, tu Dominie Santiago. A może chodzi o mojego brata, Carlosa?

-Proszę o natychmiastowe przybycie do koszar. Ma pan czas do jutra do godziny dwunastej... I przykro mi, że skracam panu urlop, ale takie otrzymałem rozkazy.

-W porządku, rozumiem. Pewnie nie dowiem się przez telefon, o co chodzi?

- Przykro mi, ale sam nie znam szczegółów. Wiem tylko
tylko tyle, że wzywani są wszyscy komandos.

Nie pamiętał, czy pożegnał się z adiutantem. Rozdygotany wrócił na podwórko, nie będąc pewnym, czy bardziej się cieszy, czy też boi. Przez moment chciał wrócić do domu i zadzwonić do brata, ale ostatecznie uznał, że najpierw powie o wszystkim Marii. Może to tylko jakaś zwykła misja? Ale skoro tak, to dlaczego na samą myśl, że będzie musiał zweryfikować swoje umiejętności na polu walki, czuł przerażenie?

Robił to już wcześniej. W dodatku jako szesnastoletni żołnierz piechoty - ledwie znający podstawy walki, rzucony prosto na linię frontu. Teraz przecież było inaczej. Wierzył w swoje umiejętności. I w siebie.

- Wiedziałam, że tak będzie - powiedziała Maria i zdołała się na uśmiech, z jakiego korzystała w takich sytuacjach każda żona Gearsa. - Koniecznie daj znać, czy wrócisz przed rozwiązaniem.

„A dlaczego miałbym nie wrócić?” - przemknęło mu przez myśl. „Byłem przy narodzinach Benedicta, to i tym razem przyjadę”.

- Właśnie dzwoniłem do Carlosa - oświadczył Ed San tiago, wychodząc na taras. - Wygląda na to, że cały dwudziesty szósty jest wzywany. Nie tylko ty.

Dom przestał się martwić. W przeszłości zdarzały się dziesiątki, a nawet setki takich wezwań i większość z nich okazywała się tylko sprawdzeniem ich gotowości. Nie było powodu, aby twierdzić, że tym razem będzie inaczej. Ale jednocześnie podświadomie czuł, że to nie jest zwykła próba.

Musiał się spakować. Nienawidził tego.

Hoffman znał topografię Punktu Aspho lepiej niż układ mebli w swoim mieszkaniu. Spędził wiele godzin na analizowaniu planów i żaden szczegół nie był mu teraz obcy. Pomyślał, że nawet gdyby udało mu się na stałe związać z Niną Kladry, i tak zostawiłaby go dla kogoś, kto nie poświęcałby tyle czasu na pracę. Jego przeznaczenie miało twarz Margaret.

Kochanie, nie będzie mnie na kolacji.

Przepraszam, znowu muszę zostać dłużej.

Najsmutniejsze było to, że jego żona nawet nie podejrzewała go o romans. I właściwie miała rację. Wiedziała, jak bardzo oddał się armii i ile obowiązków go przytłacza.

Hoffman przechadzał się wokół stołu i rozmyślał o roli, którą grał w tym spektakularnym przedstawieniu.

Model ośrodka badawczego już dawno trafił na makietę zawierającą wszystkie, nawet najmniejsze szczegóły terenu Punktu Aspho, ale facet z wywiadu cały czas coś jeszcze poprawiał. Hoffman zastanawiał się, czy robi to dla zwykłej przyjemności, czy tylko dba o dokładność. Złapał się na tym, że wlepia bezmyślnie wzrok w maleńkie figurki, które w zamierzeniu miały obrazować plutony COG. Usiadł na krześle, oparł się łokciami o stół i położył brodę na zaciśniętych w pięści dłoniach. Wyglądał jak dziecko, które z niecierpliwością oczekuje na rozpoczęcie zabawy.

Ktoś postawił przed nim filiżankę kawy. Spojrzał w górę i zobaczył agentkę Louise Settile. Zawieszony przy jej pasku pęk przepustek wyglądał niczym jakieś dziwaczne trofeum. Usiadła na sąsiednim krześle i siorbnęła z własnego

kubka w najbardziej niekobiecy sposób, jaki można sobie wyobrazić.

-Kiedy zorientuje się pan, majorze, że słyszy głosy i widzi duchy, radzę natychmiast położyć się spać - powiedziała. Była młoda i nieszczerólnie ładna, ale za to cholernie dobrze wykonywała swoje obowiązki. - Nie potrzebujecie więcej ludzi?

-Nie wewnątrz. Gdybyśmy rzucili tam większą grupę, sami by się zdeptali. Ważniejsze, żeby kontrolować teren na zewnątrz, bo tam będzie najgorzej. Trzeba dać czas tym w środku, odepchnąć ewentualny kontratak i zabezpieczyć drogę odwrotu. - Wyprostował się i sięgnął po kawę. - Wszystko byłoby prostsze, gdybyśmy nie musieli likwidować móżgowców w białych fartuchach.

-Większy kłopot będzie z tymi, których macie dostarczyć żywych.

-Czy oni naprawdę są aż tak ważni? Wiem, że jestem trochę wścibski, ale musi pani zdawać sobie sprawę, że to jest dla nas... pewna niedogodność.

-Staramy się, aby nasi specjaliści pracowali równie szybko, ale wciąż za mało wiemy. Nie mamy pojęcia, jak tamci rozwiązali pozycjonowanie celów, nie znamy też budowy ich satelity, a szczególnie jego systemów paliwowych. Nasze symulacje komputerowe nie mogą uporać się z pozyskaniem odpowiedniej siły nośnej, która pozwoliłaby osiągnąć optymalną orbitę, a bez tego nasze uderzenia będą miały zbyt wielki rozrzut.

Hoffman niewiele rozumiał z tego, co mówiła Settile, ale nie musiał - zalecenia przewodniczącego Dalyella i tak były wystarczająco jasne: personel najwyższego szczebla ma wyjść bez szwanku.

-Myśli pani, że oni zgodzą się na współpracę? - zapytał.

-Istnieje taka możliwość - odparła i wyjęła dokumenty ze swojej aktówki. - Ale jeśli zginą, nigdy się tego nie dowiemy... Mniejsza z tym, tu są zdjęcia z ostatniego zwiadu powietrznego. Żadnych ważniejszych zmian.

Hoffman sięgnął po fotografie i rozłożył je na stole. Na jednej z nich dostrzegł zwoje rozciągniętych wzdłuż linii brzegowej przewodów częściowo przykrytych jakimś materiałem, który najprawdopodobniej został wyrzucony niedawno przez wodę. Nic niezwykłego - to wybrzeże często nawiedzały gwałtowne sztormy.

- Nie wydaje się pani, że ci z UIR jakoś słabo zadbali o obronę tego terenu? W końcu to ich priorytetowy projekt.

Settile uniosła brwi.

-Gdybym pana nie znała, pomyślałabym, że ma pan moich kolegów z wywiadu za niekompetentnych przygłupów.

-Nigdy nie ośmieliłbym się powiedzieć czegoś takiego przy kobiecie. - Uśmiechnął się dwuznacznie. - Ale przyzna pani, że macie u siebie niezłą gromadkę opieprzających się dupków.

-Jest tak, jak mówimy.

-Tak czy siak, zajmiemy ośrodek w Asphe, bo taki dostałem rozkaz.

-Widzę, że jest pan sceptykiem...

-Niestety nie. W przeciwnym razie nie przemilczałbym, że wszystkim kieruje cywilny rząd.

Settile spojrzała na niego uważnie. Najwyraźniej usiłowała rozebrać usłyszane przed chwilą zdanie na części

pierwsze, chcąc odkryć jego ukryty sens, ale po chwili zrezygnowała.

- Kiedy znajdziecie się w Ostri, pogoda nadal będzie kiepska. Dlatego zresztą nie spodziewają się ataku przed latem, jeśli w ogóle się go spodziewają.

Hoffman był odpowiedzialny tylko za szturm na ośrodek. Całą resztę - lądowanie oddziałów, zabezpieczanie terenu, atak od strony morza w razie potrzeby - powierzono komuś innemu. Ale i tak miał sporo roboty. Do południa miał oddać generałowi Iwerowi nowy, lepszy plan akcji i nie chciał się spóźnić.

-Kapitan Michaelson będzie tu za kilka godzin...
-Wstał i jeszcze raz spojrzął na makietę. Odludne wybrzeże, zero klifów i wzmocnienia daleko od miejsca działań. Bułka z masłem.

-Czy mógłby pan tutaj spojrzeć przed odejściem?

-Settile rozłożyła kolejne zdjęcia na stole. - Tak wygląda produkcja komponentów żyroskopowych, których my nawet nie widzieliśmy na oczy. Cztery lata poświęciliśmy na zdobycie tych fotografii. Chciałabym, żeby to się skończyło tylko na szpiegostwie przemysłowym, na skopiowaniu danych oraz planów i wycofaniu się bez zbędnego zamieszania. Ale to nie wystarczy. Nie tym razem. Musimy być jedynymi, którzy posiadają tę broń.

-Rozumiem.

-Zamierza pan osobiście wziąć udział w akcji?

-Oczywiście.

-Nie lepiej zostać w Centrum Dowodzenia?

-Nie. Mam dwadzieścia pięć lat doświadczenia, a tam znajdują się siedemnastoletni chłopcy, których wysłę na...

być może... pewną śmierć. Nie umiałbym spojrzeć sobie w twarz, gdyby nie było mnie przy nich.

Hoffman rzadko pozwalał sobie na takie komentarze, ale ta banda szpiegów zawsze umiała zasiać w nim ziarno wątpliwości. Cóż, taką mieli pracę. Całkiem prawdopodobne, że nawet nie zdawali sobie sprawy, jaki mają wpływ na ludzi, a już na pewno nie ktoś tak sympatyczny jak Settile.

„Czy powinienem tam jechać?” - spytał się w duchu. „Czy obserwowanie przebiegu misji ze sztabu naprawdę byłoby ponad moje siły?”

Wiedział, że najgorsi dowódcy to tacy, którzy nie potrafią stać z boku i delegować podwładnych do samodzielnych zadań, miał jednak nadzieję, że nikt go nie posądzi, iż zniżył się do tego żalosego stanu. Robił to w imię wyższych celów. Wierzył w swoich żołnierzy i chciał, żeby oni wierzyli w niego.

- No cóż - zaczęła Settile - ktoś kiedyś powiedział, że nie ma nic lepszego dla podniesienia morale armii niż przypadkowa śmierć generała.

-Ja jestem majorem.

-Jest pan? - zapytała dwuznacznie.

OSIEM

A może ja nie chcę ochrony COG. Może martwię się, głupie dupki, że zapłacę za nią zbyt wysoką cenę. A jeśli kiedyś wszystko wróci do normalności, nie jestem pewien, czy zaakceptuję to, co nią będziecie nazywać.

FRANKLIN TSOKO
ODRZUCONY ODMAWIAJĄCY DOMOWI
PRZYŁĄCZENIA SIĘ DO ODDZIAŁÓW COG

TERENY ROLNICZE. NORTH GATE
DZIEŃ OBECNY. 14 LAT PO DNIU WYJŚCIA

To właśnie drób sprawił, że Dom porzucił rozmyślenia o przeszłości.

Gdy jego APC minął punkt kontrolny, wjeżdżając na teren fermy, poczuł duszący, obcy zapach, na który głównie składał się kwaśny fetor kurzych odchodów. Ale choć śmierdziało jak w wychodku, wokół nie było ani jednego ptaka.

Zatrzymał wóz, wysiadł z kabiny i podszedł do mundurowego kierującego ruchem.

-Jedźcie wzdłuż oznakowania, mięśniaki - rzucił mężczyzna.

Wyglądał na starszego od Hoffmana. Na plakietce miał napisane: Parry L. i służył w stopniu sierżanta sztabowego. Nie warto było z nim zadzierać.

- Pamiętajcie tylko, że miejsce załadunku musi pozostać przejezdne - ciągnął zachrypniętym głosem. - Ciężaówki potrzebują sporo miejsca, żeby zawrócić. Najlepiej zaparkujcie swoje wozy koło bramy.

Parry przyłożył dwa palce do ust i wydał przenikliwy gwizd. W tej samej chwili wyrosła przy nim garstka mężczyzn i kobiet ubranych w szare kombinezony.

- Dobra, bierzcie się do roboty - rzucił sierżant.

Dom rozpoznał u przybyłych insygnia korpusu inżynierskiego COG Uświadomił sobie, że niezwykle rzadko widywał saperów, nie wspominając o zamienieniu z nimi choćby kilku słów. Nie wyglądali na kogoś, kto dostaje trzy posiłki dziennie - byli ledwie cieniami Gearów. Hoffman mawiał, że w armii jest, jak to nazywał, hierarchia potrzeb: najpierw pierwsza linia, potem wsparcie. Santiago zastanawiał się, czy ci wychudzeni ludzie, zdani przecież tylko na siebie, nienawidzą ich tak samo jak Odrzuceni.

Wrócił do kabiny, skierował APC we wskazane miejsce i zaparkował tuż pod ogrodzeniem. Marcus zeskoczył na ziemię po drugiej stronie wozu, rozglądając się po placu, który przypominał jedno wielkie składowisko magazynowe. Saperzy działali według ustalonego wcześniej planu - był cokolwiek chaotyczny, ale sprawdzony. Kolejne wjeżdżające samochody rozstawiano tak, aby wózki widłowe mogły precyzyjnie się między nimi, a jeśli to okazywało się niemożliwe, ciężkie worki i pudła dźwigali tragarze. Wszystko działało jak trzeba.

Rojas wdrapał się na dach APC, żeby mieć lepszy widok.

- Ale jaja, to wszystko wygląda jak wyreżyserowane - powiedział z podziwem. - Niesamowite...

Wielki dźwиг właśnie opuszczał gigantyczne, połyskujące kadzie na platformę jakiegoś szesnastokółowca.

-Co to za ludzie? Nigdy ich nie widziałem. - Rojas wskazał grupkę saperów. - Jak oni, do diabła, spakowali to wszystko w kilka dni?

-Nie śpiąc i nie jedząc - odpowiedział jakiś żołnierz w szarym kombinezonie, przechodzący koło ich APC. - A zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego miasto jeszcze funkcjonuje, chociaż Szarańcza raz po raz niszczy główne ujęcia wody?

Mówiąc to, saper wydawał się wzburzony. No cóż, ich robota faktycznie była gówniana, a przy tym kompletnie niedoceniana. Kiedy zawrócił, Marcus ruszył za nim, doganiając go po kilku metrach. Rozmawiali o czymś przez chwilę, ale stali za daleko, żeby Dom mógł cokolwiek usłyszeć. Dostrzegł, że Fenix dyskretnie sięga ręką do małej sakwy przyczepionej do paska i wyjmuje z niej coś. Nie musiał się wysilać, żeby załapać, że to kilka racji żywnościowych. Były nie tylko nieformalną walutą w wojsku, ale także sposobem na porozumiewanie się - na przeprosiny, okazanie uznania, podkreślenie braterstwa. Nawet na wyrażenie poczucia winy.

-Może potrzebują pomocy? - zapytał Dom, kiedy Marcus wrócił do wozu. - Mamy tu kilku osiłków gotowych do pracy. Nie będziemy chyba tak stali i gapili się, jak harują dla nas jak woły.

-Nie - odpowiedział tamten, podnosząc właz z tyłu APC i uwalniając Jacka. - Mówią, że sami dadzą sobie radę.

Robot uniósł się w powietrze, rozłożył swoje ramiona i zawisł w gotowości, czekając na instrukcje. Fenix przełączył radio na daleką transmisję.

-Delta do bazy. Właśnie doprowadziliśmy konwój do North Gate. Są jakieś nowe informacje?

-Tu baza - usłyszeli głos Anyi Stroud w słuchawkach.

-Ostatni komunikat o ataku Szarańczy mieliśmy godzinę temu, ale przed chwilą zarejestrowaliśmy osiadanie terenu mniej więcej dwa kilometry na wschód od was.

-Dobra, wysyłam tam Jacka. Przejmij nad nim kontrolę, Anya.

-Dziękuję, Marcus.

Dom nie odezwał się ani słowem, a Rojas chyba nie zauważył, że rozmawiająca para była w bardzo zażyłych stosunkach. Nikt zresztą nie zdążyłby cokolwiek powiedzieć, gdyż Armadillo Hoffmana zaparkował zaraz obok ich wozu.

- Tyle wolnego miejsca - mruknął Fenix - a ten musi stawać akurat tutaj.

Pułkownik wysiadł z kabiny i podszedł do nich, patrząc, jak Jack znika za ogrodzeniem. Ostatnia partia samochodów przejechała przez bramę, a za nim ich trzeci APC zamykający kolumnę.

-Horda porusza się zaledwie z prędkością dziesięciu do piętnastu kilometrów na godzinę - poinformował ich Hoffman. - To daje nam więcej czasu, niż zakładaliśmy. Ale musimy być ostrożni, bo nigdy nie wiadomo, co te śmierzdziele zrobią. Przygotujmy się na najgorsze...

-A może przekopują się głębiej? - Baird wszedł mu w słowo.

-Macie jakąś teorię, kapralu?

- Tak jest, pułkowniku, mam. Analizujemy tok myślenia Szarańczy i zakładamy, że postąpi w określony sposób, ale przecież ona wcale nie musi kierować się ludzką logiką. Być może Horda zmierza do innego celu, niż nam się wydaje.

Dom czasami potrzebował takiego właśnie kopa, żeby przypomnieć sobie, dlaczego w ogóle tolerują Damona w swoim oddziale i dlaczego warto go karmić, chociaż potrafił zeżreć trzy razy więcej, niż wynosił przydział. Baird potrafił świetnie walczyć, a do tego był niezłym mechanikiem, ale poza tym znał się na Szarańczy jak mało kto. Augustus twierdził, że to dlatego, iż kiedyś kręcił z jedną z ich panienek, ale sam dobrze wiedział, że kumpel z oddziału miał o ich przeciwniku większą wiedzę niż niejeden naukowiec. Dzięki temu ciągle jeszcze żyli.

Hoffman w milczeniu patrzył na mechanika tak długo, aż ten zdjął gogle zasłaniające mu oczy.

- Mamy więc jeszcze jeden powód, żeby jak najszybciej się stąd wynosić - oświadczył w końcu, a potem ruszył w stronę Parry'ego stojącego obok jakiejś ciężarówki i sprawdzającego ładunek ze swoim grafikiem. - Sierzancie, można na sekundę?

Rozkład dnia oddziału Delta nie był zbyt skomplikowany, ale wystarczało, aby nie mieli czasu na zbędne rozważania. W trakcie misji nieustannie zachowywali czujność, na wypadek gdyby nagle pojawił się wróg, a w chwilach wolnych jedli tyle, ile zdołali, żeby mieć siłę do walki, lub po prostu spali. Rzadko budzili się sami - najczęściej wyryczał ich ktoś z towarzyszy, szarpiąc ich do momentu, aż odzyskiwali świadomość; rzadziej robiła to syrena alarmowa, której przeraźliwe wycie zazwyczaj powodowało łomotanie serca. Teraz, kiedy mieli chwilę oddechu, Dom nie

bardzo wiedział, co ma ze sobą począć. Czasami, kiedy podobne przerwy się przeciągały, szedł szukać Marii. Chodził wtedy po opuszczonych ulicach i zaczął Odrzuconych w nadziei, że może któryś z nich ją widział.

„Dziesięć lat” - pomyślał. „Dziesięć pieprzonych lat... Nawet nie pamiętam, jak ona wyglądała”.

Ale nigdy nie przestanie jej szukać.

Bernie pojawiła się po czterech latach, a Maria zniknęła dopiero na dziesięć, więc może za cztery też się odnajdzie? Tyle tylko, że Mataka była specjalistką w dziedzinie przetrwania, a jego żona miała znacznie mniej doświadczenia, żyła w mieście i...

Zbeształ się w myślach. Często spierał się sam ze sobą w ten sposób.

Kiedy wrócił do rzeczywistości, zdał sobie sprawę, że przez cały ten czas ślepo spoglądał na swój karabin, trąc palcami po ostrych zębach piły zamontowanej przy Lance-rze. Usłyszał, że ktoś podchodzi do niego od tyłu, a potem poczuł czyjąś rękę na barku.

-Jeśli chcesz, to pożyczę ci mój pilniczek do paznokci - powiedziała Bernie.

W głębi duszy był jej wdzięczny, że wyrwała go z apatii.

-Wiesz, Mataka, pamiętam cię. I tego biednego kurczaka.

-Zastanawiałam się, ile czasu ci to zajmie - zaśmiała się. -Ja za to pamiętam twojego kumpla, który miał problemy ze zrobieniem rosołu. Jak on się nazywał? Georg...?

-Timiou. Zginął rok po Carlosie.

Na twarzy kobiety pojawił się jakiś nieokreślony grymas.

- Wciąż nie umiem się z tym oswoić - powiedziała smutnym głosem. - Wiem, że większość Gearów, których szkoliłam, dawno już nie żyje, i powinnam do tego przywyknąć, ale po prostu nie mogę...

Dom zauważył, że Marcus, Rojas i Cole ładują skrzynki do małej, podniszczonej furgonetki. Być może robili to z poczucia winy, a może po prostu się nudzili. Przy pozostałych tragarzach wyglądali niczym jacyś cyklopi. Oparty o metalowe ogrodzenie Baird przypatrywał się ich pracy w milczeniu, zaś Kaliso raz po raz zerkał na niego, jakby oczekiwał, że mechanik zaraz podejdzie i poczęstuje ich jednym z tych swoich filozoficznych wywodów na temat życia, śmierci i Szarańczy. Te kilka sekund wystarczyło Domowi, aby po raz kolejny potwierdzić swoją opinię o członkach oddziału.

Wciąż jednak mało wiedział o Bernie.

-Wiem, że to głupie pytanie - zaczął - ale jak zdołałaś przetrwać tyle lat?

-Dużo mnie to kosztowało. Czasami ledwie dawałam radę. Do tego jeszcze byłam Gearem.

-A co w tym niezwykłego?

-Nie wiedziałam, kto jest ze mną, a kto przeciwko mnie, a nie mogłam liczyć na żadne wsparcie. Szybko się przekonałam, jak łatwo ludzie zmieniają się w morderców, gwałcicieli i zwykle gnidy, kiedy tylko przestają obowiązywać zwykłe normy. - Bernie sięgnęła do szyi i przetarła dłonią po karku. - Ale całe to gówno miało też swoje dobre strony. Przeżyłam sporo ciekawych przygód.

-Domyślasz się, dlaczego pytam, prawda?

-Z powodu twojej żony, tak?

- Tak - odpowiedział i z wysiłkiem przełknął ślinę. - Po śmierci naszych dzieci Maria wpadła w głęboką depresję. Bardzo głęboką. Tygodniami się nie odzywała, nic nie jadła. A gdy wróciłem pewnego dnia do domu, po prostu zniknęła.

Spojrzał na Bernie. Na jej twarzy malowało się zatroskanie, ale też zrozumienie. Uśmiechnęła się, a Dom poczuł ulgę. Sierzanci zawsze potrafili podnieść na duchu i sprawić, że najgorsze koszmary mijały. Nawet Marcus posiadał tę umiejętność, dając z siebie w takich sytuacjach wszystko mimo swej oschłości i dystansu.

- OK, pomogę ci jej szukać - powiedziała tak po prostu. - Znajdziemy ją, zobaczysz.

Po tylu latach cierpienia słowa te natchnęły Dorna nadzieją, jakiej nigdy wcześniej nikt mu nie dał.

-Dzięki. Już teraz wiem, dlaczego Carlos tak cię cenił. On zawsze znał się na ludziach. Opowiesz mi kiedyś waszą historię?

-Pewnie. - Skinęła głową, ale w duchu obiecała sobie, że nigdy do tego nie dopuści.

Postanowili nie czekać bezczynnie i poszli dołączyć do grupy tragarzy. Każdy samochód wypełniony był wszystkim po trochu. Saperzy celowo się o to zatroszczyli.

- To na wypadek gdybyśmy stracili parę pojazdów - wyjaśnił jeden z kaprali. - Tym sposobem zachowamy część zapasów.

Hoffman pracował na równi z innymi. Zarzucał kolejne worki ze zbożem na plecy i starannie ładował je na tył jednej z ciężarówek, budząc tym powszechne zdziwienie. Augustus przeszedł obok Doma i szturchnął go.

- Cholera - zaklął cicho. - Swój chłop. Jak na pułkownika.

„Ale Marcusa prawie zabił” - pomyślał Dom. „Został go w więzieniu i zakazał ewakuacji...”

Zastanawiał się, czy Fenix słyszał Cole'a i czy coś powie, ale zanim to nastąpiło, usłyszeli w słuchawkach głos Anyi Stroud:

-Baza do Deltę. Rekonesans Jacka wykazał, że Szarańcza jest na powierzchni. Zmierza w waszym kierunku. Mamy wolny helikopter i możemy ich zaatakować.

-Wyślij go tutaj - włączył się Hoffman. - Niech nas do nich zabierze i wyrzuci gdzieś w pobliżu.

-Tak jest, panie pułkowniku. Bądźcie gotowi za piętnaście minut.

Hoffman ożywił się i przez moment przypominał tego samego człowieka, który lata temu brał osobisty udział w operacji „Niwelator”.

- Rojas, zostajesz przy wozach. Będziemy ich jeszcze potrzebować. Reszta, za mną - rozkazał.

Ton jego głosu był niemal uprzejmy, ale pułkownik zawsze tak mówił. Co innego zastanowiło Dorna. Nie rozumiał, dlaczego Federic miał zostać. Być może Hoffman nie chciał brać na akcję niedoświadczonego żołnierza. A może -Santiago aż się wzdrygnął, odkrywając to - rodzina chłopaka straciła już zbyt wielu synów.

„Do diabła, ciągle się przekonuję, że ludzie są nieprzewidywalni...” - przemknęło mu przez głowę, ale jednocześnie pojawiła się inna myśl.

Jeśli Hoffman tak bardzo starał się być fair wobec wszystkich, dlaczego inaczej traktował Marcusa?

**KRÓLEWSKI KRUK A-108, DWA KILOMETRY NA WSCHÓD
OD NORTH GATE**

-Pułkownik - powiedział szef załogi, opierając się o karabinek pokładowy - możemy was ochraniać.

-Nie ma sensu wystawiać się na niepotrzebny ostrzał, Barber. Po prostu wysadźcie nas tutaj i odlatujcie.

Hoffman nie używał Lancera od bardzo dawna i nie miał takiej wprawy jak kiedyś. Czuł na sobie pełne politowania spojrzenia pozostałych. Zastanawiał się, czy myślą, że robi to, aby udowodnić, iż nadal jest tym samym starym wygą co kiedyś. W istocie chyba tylko Mataka wiedziała, dlaczego znalazł się tutaj, z nimi. Rozumowała jak on - i dlatego wróciła po czternastu latach.

„Kiedy uświadamiasz sobie - stwierdził w duchu - że więcej jest już za tobą niż przed tobą, wszystko widzisz z innej perspektywy. Tak naprawdę nie boimy się śmierci, ale tego, że w końcu okażemy się niepotrzebni”.

-Pułkownik, czy to pana ostateczna decyzja? - do rozmowy przyłączył się pilot Sorotki. Być może nie chciał widzieć kolejnego martwego towarzysza. - Na pewno nie chcecie naszego wsparcia?

-Co jest? - odpalił Hoffman. - Myślicie, że bez pilotów helikopterów świat nie mógłby istnieć?

-Obawiam się, że to prawda, pułkownik - powiedział Sorotki i gwałtownie skierował helikopter w dół, zrównując się z linią dachów.

Podążali wzdłuż czegoś, co niegdyś było główną drogą na południowe wybrzeże. Po obu jej stronach wyrastały kikuty biurowców i bloków mieszkalnych. Zniżyli się o ja-

kies pięć metrów, lecąc dalej między budynkami, ale nawet z tej wysokości wypatrzenie Szarańczy graniczyło z cudem. Jedyne sensowne rozwiązanie to kierowanie się wytycznymi z bazy, które opierały się na informacjach uzyskanych z rekonesansu Jacka. Inna sprawa, że taka metoda także nie gwarantowała bezpieczeństwa. Robot miał niewielki zasięg i przez to nie mógł sprawdzić tak dużego terenu, jak by chcieli. Poza tym był łatwym celem dla Szarańczy, a przecież w obecnej sytuacji potrzebowali każdego sprzętu. Hoffman pamiętał czasy, gdy dostarczono im pierwszą partię automatycznych zwiadowców - tak naprawdę od razu powinny wylądować na wysypisku śmieci. Były przestarzałe i miały więcej wad niż zalet.

- Pułkowniku, sądzi pan, że wojna się kończy? - zapytał nagle Barber. - Odrzuceni tak mówią. Są jak szczury, które wyczuwają wszystko na kilometr. Zresztą ostatnio Szarańczy jest jakby mniej niż kiedyś...

Chciał powiedzieć coś pocieszającego, ale nic wystarczająco dobrego nie przychodziło mu do głowy.

-Nie tylko ty chciałyś to wiedzieć - stwierdził w końcu. - Od lat słyszę to pytanie i zawsze odpowiadam tak samo. Nie wiem, po prostu nie wiem... Kiedyś myślałem, że Wojny Wahadłowe skończą się, gdy tylko zdobędziemy Młot Świtu. I jak było? Wszystko trwało jeszcze przez wiele lat, pochłaniając Bóg wie ile ofiar...

-Trzydzieści tysięcy, pułkowniku - powiedział cicho Kaliso. Trzymał swój karabin pionowo, obejmując lufę obiema dłońmi, i wyglądał w tej pozycji jak wartownik służby honorowej na pogrzebie. - Trzydzieści tysięcy pięćset dziesięć.

Nikt nie spytał Taia, dlaczego zapamiętał tę liczbę, ale Hoffmanowi i tak było wstyd. Wiedział, że to on powinien ją znać. Rozejrzył się po kabinie i napotkał wzrok Marcusa. Próbował odgadnąć, co kłębiło się w głowie tamtego. Małomówność Feniksa nikogo już nie dziwiła, ale nigdy wcześniej nie miał takich oczu - wciąż drapieżnych, lecz pozbawionych nienawiści czy złości. Przypominał kogoś, kto ma zaraz dostać nożem między żebra.

„Gdybym to ja spędził cztery lata w tym gównianym więzieniu - pomyślał - a potem został porzucony na pastwę losu, kiedy zaatakowała Szarańcza, sam bym wyglądał jak dźgnięty nożem”.

Sąd wojenny spędził długie godziny na wysłuchaniu zeznań oraz opinii dotyczących dezercji młodego Feniksa. Wszyscy wiedzieli, że opuścił posterunek bez pozwolenia, ponieważ chciał ratować ojca, ale to go przecież nie usprawiedliwiało. Ten cholerny bohater, odznaczony najwyższymi medalami, zignorował rozkazy, przyczyniając się do śmierci wielu dobrych żołnierzy. Dlaczego ktokolwiek miałby to tolerować albo wybaczać?

Marcus odwrócił wzrok. Jego twarz na powrót przybrała beznamiętny wyraz, kiedy patrzył na Kaliso i jego kolczyk w dolnej wardze. Augustus także wgapił się w srebrną ozdobę.

- Czy to metalowe badziewie nie utrudnia ci kontaktów z kobietami? - zapytał ten ostatni. - Wiesz, nie każda lubi całować się z człowiekiem-zszywaczem.

Wszyscy wybuchnęli głośnym, beztróskim śmiechem, a Hoffman uświadomił sobie, jak bardzo chciałby być jednym z nich. To właśnie takie więzi stanowiły o sile armii.

To one trzymały wojsko razem - bardziej niż jakakolwiek flaga.

-Tai, pożyczysz mi kilka takich kolczyków? - Mata-ki wyciągnęła otwartą dłoń. - Chciałabym raz na zawsze zamknąć jadaczkę Bairdowi. Wreszcie mielibyśmy święty spokój.

-Bernie, a ty dlaczego nie masz żadnych tatuaży na twarzy? - spytał Cole.

-Mieszkałam na innej wyspie - wyjaśniła krótko, spoglądając przez ułamek sekundy na prawy biceps Santiago, gdzie widniało wytatuowane imię jego żony. Hoffmanowi nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby w taki sposób uwiecznić pamięć Margaret. - Mieliśmy inne zwyczaje.

-I tak trudno byłoby je odszyfrować przez te twoje zmarszczki - rzucił szydlerczo Damon.

-Uważaj, bo tobie trudno będzie usiąść na tyłku, jak ci go zaraz skopię - warknęła.

-Mamy coś - zakomunikował Sorotki. - Pięćset metrów na wprost mała grupa. Dziesięć, może więcej osobników. Idą w naszą stronę.

Szarańcza już wiedziała, że nadlatują.

- Wyrzuć nas tutaj i trzymaj się z daleka - wydał rozkaz Hoffman.

Z powodu hałd gruzu zalegających ulicę zrezygnowali z siadania na ziemi. Zamiast tego helikopter zawisł półtora metra nad gruntem, umożliwiając Gearom wyskoczenie z kabiny.

- To czyste szaleństwo - krzyknął Fenix, lądując z łośkotem obok pułkownika.

-Jestem bezpieczny, sierżancie - odpowiedział tamten i walnął się pięścią w osłonięty pancerzem tors.

- Nie chcę za pana robić całej tej papierkowej roboty, jeśli coś się nie powiedzie.

Hoffman podejrzewał, że mówiąc to, mężczyzna naprawdę tak myślał. W jego głosie nie odkrył krzty troski.

Szli ulicą jeden za drugim, raz po raz potykając się o cegły, kawałki wypiętrzonego asfaltu oraz doszczętnie zniszczone i pokryte grubą warstwą pyłu meble. Po lewej stronie rozciągał się wojskowy cmentarz. Nie było potrzeby tam iść - nikt nie chciał przypominać sobie o poległych. Okolica wyglądała niczym jedno wielkie rumowisko i poza kilkoma małymi szczegółami wszystko tu wydawało się inne niż kiedyś. Dobrze pamiętał przepiękne żelazne balustrady balkonów zdobione motywami kwiatowymi. Teraz, pokryte rdzą, niebezpiecznie zwiisały na pojedynczych żerdziach, jakby czekały na odpowiedni moment, żeby spaść komuś na głowę. Tylko jedna z nich pozostała w całości, przyczepiona do posępnego muru.

Zwinął dłoń w trąbkę i przyłożył ją do ucha, dając drugą ręką znak, aby wszyscy się zatrzymali. Przez chwilę słyszał chrzęst gruzu pod butami pozostałych, a potem zapadła głucha cisza. Uświadomił sobie, że to oczywiste, iż Szarańcza nie będzie tutaj kopać tunelu - straciłaby wówczas element zaskoczenia.

„Dlaczego ja to robię, do diabła?” - skarcił się w myślach.

Może dlatego, że zwyczajnie nie potrafił elegancko się zestarzeć. Sam Prescott powiedział, że cywilizacja się zmieniała. Teraz albo jesteś użyteczny, albo martwy.

Wszyscy ukryli się w niszach lub znaleźli inne bezpieczne kryjówki. Hoffman uklęknął na jedno kolano obok Bernie, która kilka razy sprawdziła, czy włącznik piły dzia-

ła poprawnie. Fenix przykucnął obok nich, jak gdyby nie chciał zostawić Hoffmana samemu sobie.

-Nigdy nie zabiłeś żadnego gnojka z tak małej odległości, co? - spytał szeptem.

-Dla mnie wszystko poniżej sześciuset metrów to „mała odległość”.

- Zaufaj mi, im bliżej jesteś, tym większa satysfakcja.

Hoffman pomyślał, że to przekomarzanie się ma mu dodać otuchy, ale wyraz twarzy Marcusa mówił co innego - to nie będzie normalna walka, to będzie osobista zemsta.

W zasięgu ich wzroku pojawiły się trzy Trutnie.

- Są moi - syknął Marcus.

Za tamtymi nadeszły kolejne. Pięć... Dziesięć... Cała ta parszywa zgraja kłębiła się zaledwie kilkanaście metrów od nich. W sumie naliczył dwudziestu zbrojnych.

Przywarł mocno do ściany. Był śmiertelnie przerażony i serce waliło mu jak oszalałe, ale po raz pierwszy od wielu, wielu lat czuł, że naprawdę żyje.

- Załatwmy ich! - krzyknął i otworzył ogień.

Pięć ciał zwały się na ziemię z głuchym łoskotem. W tym samym czasie reszta Trutni odwróciła się w stronę Hoffmana, ukazując swoje zdziwione, karykaturalne gęby, rozświetlane błyskami wystrzałów. Kiedy opróżnił magazynek, skrył się za ścianą, pozwalając, aby zmienił go Baird. Załadował ponownie broń i odwrócił się, ale nie zauważył koło siebie ani Bernie, ani Marcusa. Był za to Tai, który wykonał płynny skok ponad stertą gruzu, oddając kilkanaście strzałów na oślep. Sekundę potem mężczyzna zwarł się z jednym z napastników. Obaj runęli na ziemię, Kaliso jednak wstał szybciej i wbił ostrze uruchomionej piły

w tors leżącego. Przerażliwy warkot zagłuszył wszystkie inne dźwięki dookoła. Oprócz krzyku Taia, który darł się Trutniowi prosto w twarz.

Hoffman dostrzegł Bernie gdzieś w połowie drogi między sobą a oddziałem Szarańczy. Skrywała się za kolejnymi osłonami, nie przestając przeć do przodu i strzelać. W głowie kołatało mu, że długo tak nie wytrzymają. Stracą całą amunicję i będzie po nich. Ale wszystko działa się za szybko, było niczym seria żywych obrazów, całkowicie od siebie niezależnych. Błysk, wystrzał, świst, fetor. Wiedział, że wystarczy jeden zabłąkany pocisk, by skończył martwy jak te budynki wokół, ale nie myślał teraz o tym. Czuł błogi spokój.

Cielsko jednego z Trutni padło mu prosto pod nogi. Na głowie stwora widniało głębokie rozcięcie, ale Hoffman i tak użył swojego bagnetu.

Nie miał kontroli nad tym, co robił. Działał instynktownie, powodowany uśpionymi od dawna, prymitywnymi instynktami. Był tym zachwycony i zarazem przerażony. Jego ciało mówiło: „Zostaw to mnie, samo sobie poradzę”. I nie zamierzał tego zmieniać.

Niespodziewanie ogromny Truteń wyrósł przed nim jak spod ziemi. Stwór właśnie szykował się do ataku, ale stojący za nim Marcus pochwycił go za kark i obrócił się dookoła własnej osi, wystawiając potężne cielsko na grad wrogich kul. Kiedy martwy napastnik zwiotczał, Fenix cisnął go na hałdę gruzu, cofnął się kilka kroków i strzelił dla pewności w wijące się konwulsyjnie truchło. Ucichło.

Obok nich pojawił się Augustus, cały umazany krwią i wciąż jeszcze rozdygotany. Chwycił swojego dowódcę za ramię.

- Nie załatwiłiśmy wszystkich - krzyknął. - Kilku uciekło. Nienawidzę zostawiać niedokończonej roboty.

Baird i Dom skakali po rumowisku, raz po raz strzelając do martwych już wrogów. Damon zachowywał się tak, jakby wciąż jeszcze nie mógł zapanować nad emocjami.

- Giń, gnoju! Zdychaj! - powtarzał.

Koniec akcji.

Hoffman rozluźnił mięśnie. Wszystko dookoła wirowało - budynki, ludzie, droga. Dopiero teraz zauważył swoje spodnie i but podziurawione jak sito. Wkurzył się. Wcale nie z powodu bólu, który tak naprawdę przyszedł dopiero później, gdy wrócili do bazy. Wiedział, że nawet jako pułkownik będzie musiał się sporo nagimnastykować, żeby wydali mu nowy mundur. Szlag by to trafił.

Włączył radio, chcąc wezwać helikopter. Sapał jak stary astmatyk.

„Ech, trzeba będzie popracować nad kondycją” - pomyślał z rozbawieniem.

Nagle zdał sobie sprawę, że brakowało Bernie.

- Gdzie Matak? - zapytał pozostałych. Nie mogła przecież tak po prostu rozpuścić się w powietrzu; teren nie był aż tak rozległy. - Gdzie, do cholery, jest Matak?!

Zobaczył ją daleko w przodzie. Trzymała jakiegoś uciekającego Trutnia na muszce. Te dranie poruszały się naprawdę szybko, kiedy chciały - a ten najwyraźniej był wyjątkowo dobrym sprinterem. Kobieta nacisnęła spust, ale jej Lancer tylko głucho szcękął. Gdy sięgnęła do kieszeni po amunicję, okazało się, że wykorzystwała już cały zapas. Podobnie jak uciekinier, który nagle zatrzymał się, spojrzął w tył i ruszył w jej kierunku.

- No chodź, chodź - krzyknęła, uświadamiając sobie, że do tej pory nigdy nie musiała używać piły. - Zobaczymy, na co cię stać, bydlaku!

Truteń zbliżał się nieubłagane, a ona zaczęła przestępować z nogi na nogę, naładowana adrenaliną. Włączyła ostrze, które natychmiast zawirowało ze złowieszczym warkotem. Byli od siebie o krok. Bernie usiłowała wbić zębatkę w brzuch stwora, ale ten zrobił unik i rzucił się na nią, uderzając z całej siły w twarz. Zatoczyła się, ale nie upadła. Jakaś ukryta moc dała jej nowy impuls. Skoczyła dziko na Trutnia. Nie miała masy Geara, nie była też tak wysoka jak większość z nich, ale wściekłość i determinacja okazały się w tym momencie ważniejsze. Zatoczyła piłą obszerny łuk - od góry do dołu. Stalowe zęby wgrzyzły się w masywny bark, rozrywając obojczyk. Kawałki zakrwawionego mięsa wystrzeliwały w powietrze, a stwór drgał w spazmach bólu. W końcu odcięte ramię upadło pod nogi kobiety. Struga ciemnej posoki trysnęła jej prosto w twarz i miała wrażenie, że ktoś rzucił w nią garść igieł.

Kolejne uderzenie piły. Ostrze szarpnęło, jakby trafiło na coś metalowego. Pod wpływem silnego odrzutu Mataki gwałtownie zachwiała się, nie przestała jednak ciąć. Chciała dokończyć to, co zaczęła. Kierował nią nieopisany gniew i pragnienie zemsty. Nie widziała teraz nic poza rozdzieloną gębą Trutnia, który opadł na kolana, a potem przewrócił się twarzą do asfaltu.

- Bernie! - zawołał ktoś za jej plecami. - Bernie, gnojek na piątej.

Obejrzała się przez ramię. Chciała wyrwać piłę z martwego ciała, ale ta utknęła na dobre. Jedyne, co mogła zrobić, to wyjąć pistolet. Czy wcześniej go załadowała?

I wtedy pojawił się Cole. Przeskoczył mur i otworzył ogień. Z odsłoniętej głowy stwora wystrzeliły kawałki czaszki i po chwili leżał rozciągnięty na rumowisku. Było po wszystkim.

Bernie uświadomiła sobie, że po raz pierwszy słyszy samą siebie dyszącą ciężko, jakby właśnie przebiegła kilka kilometrów bez odpoczynku.

- Kurwa - zakłęła, z trudem łapiąc powietrze. - Ale jatka.

Na brodzie poczuła coś mokrego. Schowała pistolet do kabury i wytarła twarz ręką.

- No, no, kobieto, uczysz się gotować - zażartował Augustus. - Nie przejmuj się, to nie twoja krew.

W ustach wciąż uwierał ją jakiś ostry przedmiot. Wypluła go na otwartą dłoń.

-Co to jest, do cholery? - spytała, spoglądając na brunatną drzazgę. - Czy to kawałek kości?

-Jasne! To się zdarza, kiedy używasz piły - powiedział mężczyzna.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej brudną chusteczkę i zaczął troskliwie wycierać twarz Matakii, tak jakby była jakąś małą dziewczynką z zasmarkanym nosem. Po chwili przerwał, zmieszany swoją troskliwością.

-Na przyszłość uważaj - przestrzegł ją. - Kość może trafić w oko. Nic przyjemnego, wierz mi.

-Szlag by to trafił. Do tej pory nie musiałam uważać na czyjeś flaki.

Była z siebie zadowolona. Zrobiła wszystko jak należy. Wiedziała, jakie części ciała zaatakować i jak ciąć. Nawet te maskary miały swoje czułe miejsca - tętnice, klatkę piersiową, gardło...

Zaczęła wyciągać Lancera z ciała martwego Trutnia. Pomogło dopiero mocne szarpnięcie. Rozumiała, że z tego rodzaju bronią nie ma żartów. Nie powinna była przelęczać piły na najwyższe obroty i atakować metalu oraz kości. Następnym razem, gdy zdarzy się taka sytuacja, nie będzie niespodzianek - żadnych wnętrzości na jej twarzy. Nagle olśniło ją, dlaczego większość Gearów nosiła gogle.

„Psiakrew, nikt mi o tym nie powiedział” - zdziwiła się w duchu. „Już ja sobie z nimi porozmawiam”.

Ale to, co tak naprawdę ją zaskakiwało, to przemożne pragnienie powtórzenia walki. Chciałaby zniszczyć każdego parszywego Trutnia jeszcze raz, jednego po drugim, bez wyjątku. To było coś nowego, ponieważ dotychczas nie miała okazji spotkać się z wrogiem oko w oko. Zazwyczaj zabijała z dużej odległości. Zajmowała pozycję, namierzała cel i strzelała. Bez emocji, bez wysiłku. Jedna kula, jedna śmierć. Tym razem zaś musiała w ten pojedynek włożyć wszystkie swoje siły i umiejętności. I czuła się z tym wspaniale.

- Dzięki za pomoc, Cole - powiedziała, uspokajając oddech.

Poklepała go po szerokich plecach. Dla niej był największym człowiekiem, jakiego w życiu spotkała. Bez wątplenia jego ogrom onieśmiał większość ludzi - i to nawet pomimo życzliwego usposobienia - ale ona patrzyła na to inaczej. Przebywanie w pobliżu tego wielkoluda kojarzyło jej się z siedzeniem pod potężnym, rozłożystym dębem, kiedy człowiek ma wrażenie, że nic nie może mu się stać.

Inna sprawa, że to dąb z karabinem.

- Ciężko walczy się piłą - stwierdziła.

-Musisz nabrać masy, kobieto. Przybędzie ci w tyłku, ale nie przejmuj się tym. - Uniósł swojego Lancera jak zabawkę. - Widzisz?

-Łatwo ci powiedzieć.

-Osobiście dopilnuję twojej diety. Od dziś koniec z kocimi i szczurzymi przekąskami. Nie mają odpowiedniej ilości protein.

-Mysz ma trzydzieści kalorii, jeśli już chcesz wiedzieć...

Z oddali dobiegł ich warkot nadlatującego helikoptera. Bernie odwróciła się i spojrzała na Marcusa, który taszczył coś ciężkiego.

- Co to jest? - zawołała.

Fenix skręcił w ich stronę. Kiedy podszedł, zobaczyli, że w rękach trzyma metalową płytę z wystającymi kablami. Na jej podniszczonej krawędzi wciąż zaciskała się odcięta dłoń jakiegoś Trutnia.

-Drań, nie chciał mi jej oddać - powiedział, widząc pytające spojrzenie kobiety. - Tak naprawdę nie wiem, co to jest, ale Baird się tym zajmie.

-Wszyscy cali? - Skinęła głową w stronę reszty oddziału.

-Wszyscy, nie licząc Szarańczy. No i Hoffman ma poszarpaną łydkę. Trzeba coś z tym zrobić.

Bernie spodziewała się pochwał ze stron Marcusa, ale ten najwyraźniej nie zamierzał podejmować tego tematu.

Królewski Kruk zniżył lot, wzbijając tumany kurzu, a potem osiadł na ulicy kilkanaście metrów od nich. Osłaniając twarze, zaczęli biec w kierunku maszyny. Dom cały czas przytrzymał kuśtykającego Hoffmana, który kłął cicho pod nosem.

W wejściu do kabiny pojawił się kapral Barber - jedną ręką trzymał się poręczy zamontowanej nad drzwiczkami, drugą zaś wyciągał w ich stronę. Mataki zawsze lubiła ten moment. Widok szefa załogi był dla niej jak obietnica zbawienia, a sam Kruk kojarzył się wtedy z portalem, który zaraz przeniesie ją do bezpiecznego świata. Do miejsca, w którym nikt nie walczy, nie krzyczy, nie ginie. Do domu.

Wciągnęli Hoffmana na pokład.

- Może i jesteście emerytami, ale wciąż nie tak łatwo nas złamać - powiedział z uśmiechem do Bernie.

Kiedy lecieli z powrotem do North Gate, stłoczeni w ciasnej kabynie jak sardynki, dowcipkowali i śmiali się, zadowoleni z walki i jej wyniku. Nastrój zmienił dopiero Dom, który wcisnął się pomiędzy Mataki i Cole'a, niemal przygniatając tego ostatniego.

- No dobra - zaczął. - Może teraz opowiesz mi coś o Carlosie?

-Jak chcesz - odrzekła, ale w duchu marzyła, żeby coś przerwało tę sytuację.

Zerknęła ukradkiem na Marcusa, który - jak się okazało - cały czas obserwował ją z kamienną twarzą. Zrezygnowana odwróciła głowę i spojrzała na Santiago. Samo wspomnienie starych czasów powodowało u niej ból serca.

- Opowiem ci o twoim bracie tyle, ile musisz wiedzieć. Ale ostrzegam, że są rzeczy, które mogą cię zabołec.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odpowiedział Dom. Szczerze wątpiła. Nie miał przecież pojęcia, co zamierzała mu powiedzieć.

DZIEWIĘĆ

Piechota, wojska pancerne, artyleria - to fundament naszej armii. Mamy czołgi, mamy działa oraz superdziała, mamy Gearów - i do tej pory to wystarczało. Nigdy nie musieliśmy wychodzić poza doktrynę wojenną, która bazowała na siłach lądowych. Sprawdziliśmy ją podczas ostatniego konfliktu i dzięki niej wygraliśmy. Nadchodzi jednak czas, kiedy trzeba będzie działać sprawniej, we współpracy z siłami morskimi i powietrznymi, a może nawet z policją i jednostkami paramilitarnymi. Musimy być bardziej elastyczni, by w razie konieczności dostosować się do nowych warunków. Ponieważ następny wróg może nie myśleć naszymi kategoriami.

PROFESOR ADAM FENIX
DO ZARZĄDU DEPARTAMENTU OBRONY
NA SEMINARIUM W UNIWERSYTECIE LACROIX

**POLIGON BAZY MORSKIEJ MERRENAT,
PÓŁNOCNO-WSCHODNIE WYBRZEŻE TYRUSU
16 LAT WCZEŚNIEJ, 2 LATA I 3 MIESIĄCE PRZED DNIEM WYJŚCIA**

Carlos źle ocenił głębokość wody. Zeskoczył z rampy bar-
ki desantowej z nadzieją, że zanurzy się maksymalnie
na kilkanaście centymetrów. Kiedy znalazł się w ciemno-
ściach, na ułamek sekundy stracił orientację.

Wstał. Zanurzony do pasa, spojrział w stronę plaży. Pięćdziesiąt metrów przed nim mokre głązy na brzegu odbijały zielone i czerwone światła sygnalizacyjne.

Ruszył przed siebie. Cały czas miał kłopoty z utrzymaniem równowagi i raz po raz przewracał się, łykając lodowatą słoną wodę. Jego ręce bezskutecznie szukały oparcia w spienionych falach, ale i tak cały czas modlił się tylko, żeby nie zgubić Lancera. To miejsce w niczym nie przypominało bezpiecznego basenu, w którym ćwiczyli wcześniej. Tutaj przedzierał się przez ciemną, rzadką breję pełną wodorostów i szlamu. Ciężki plecak przytłaczał go, dodatkowo utrudniając ruchy. Był przekonany, że utonie, że zginie na zwykłych cholernych ćwiczeniach.

Upadł i otoczyła go cisza.

- Mam cię, spokojnie - głos dochodził jakby z oddali. - Już dobrze...

Ktoś chwycił Carlosa za pasy od rynsztunku i szarpnął w górę. Kiedy jego głowa wychynęła na powierzchnię, łączywie wciągnął powietrze i zaraz się zakrztusił. Nad sobą ujrzał uśmiechniętą twarz Marcusa. Przyjaciel podciągnął go do pionu i przytrzymał, pozwalając pewnie stanąć na dnie. Potem poklepał po plecach i wskazał głową brzeg.

Carlos resztkami sił dowlóknął się do kamienistej plaży. Kilku Gearów przebiegło obok niego. Grząski grunt zasyssał ich buty i wyglądali, jakby zaraz mieli się przewrócić. Zanim ruszył ich śladem, puścił najgorszego pawia w swoim życiu - przez chwilę nawet zdawało mu się, że flaki zaraz wyjdą mu nosem. Marcus stał przy nim i cierpliwie czekał.

- Fenix! - usłyszał. - Fenix, kurwa! Czy powiedziałam, że możesz zrobić sobie piknik? Powiedziałam?!

To krzyczała Stroud, major Helena Stroud. Posługiwała się akcentem charakterystycznym dla osób z wyższych sfer, co czasami nie brzmiało zbyt pięknie w zestawieniu z rynsztokowym słownictwem. Carlos zdołał się wyprostować, ale jego oczy wciąż były zażawione, gdy major podeszła i szturchnęła go z całej siły w ramię.

- Psiakrew, Santiago! Zdechłbyś tu, na tej plaży, podziurawiony jak sito! Zmiataj stąd, zanim nakopię ci do dupy!

W dziennym świetle była cholernie atrakcyjną kobietą -nawet jak na swój wiek. Miała promienny, miły uśmiech i jasną skórę, a jej sylwetka zdradzała, że dysponuje niezwykłą wprost sprawnością fizyczną. Teraz jednak, w świetle reflektorów, cały jej wdzięk prysł. Przemoczona od pasa w dół, z gniewem wymalowanym na twarzy, przypominała jakiegoś upierdliwego, złośliwego kaprała.

Carlos walczył z emocjami. Nie był jakimś tam początkującym rekrutem ani załęczoną córką major Stroud -Anyą. Wolałby umrzeć, niż pokazywać się w tak żenującej sytuacji. Zrobił z siebie totalnego dupka przed przyjacielem - i to martwiło go bardziej niż wrzeszcząca przełożona, która na odchodne bez skrępowania nazwała go fiutem.

Przemierzyli kamienisty brzeg, docierając w pobliże młodnika. Fenix nie odstępował go na krok. W końcu znaleźli dogodne miejsce, gdzie mogli usiąść. Sprawdzili swoje Lancery.

- Wszystko w porządku? - zapytał Marcus.

-Jasne, dzięki - wymamrotał Carlos, sięgając po swoje gogle, a potem sprawdzając słuchawkę. O dziwo, sprzęt działał bez zarzutu. - Cholera, woda sięgała mi najwyżej do pasa. Do pasa, rozumiesz? A może nawet do kolan?

-Nie przejmuj się. To pierwsza taka akcja w nocy. Pewnie wylądowałeś w jakiejś dziurze. Albo w zagłębieniu skalnym. Zresztą nieważne. Podczas prawdziwej akcji nie będzie takich niespodzianek, zobaczysz.

-Dobra, ruszać się! - wrzeszczała Stroud.

Podczas prawdziwej akcji? Jakiej akcji? Carlos wstał na równe nogi i zaczął biec zygzakiem od jednego krzewu do drugiego. Wreszcie dotarł do zagajnika. W jego głowie wciąż kołatały słowa Feniksa. Wszyscy oni wiedzieli tylko tyle, że mają wyjść na ląd i na jakiś czas przejąć teren.

Cokolwiek to było, Dom na pewno znał szczegóły.

Nie widział się z bratem od dnia, gdy wezwali go z urlopu. Jego listy też były inne niż zwykle. Suche i ogólnikowe, jakby nie chciał albo nie mógł pisać o tym, co aktualnie robił. Zupełnie nie w jego stylu. Najwyraźniej chodziło o jakąś grubszą sprawę, w którą wtajemniczono tylko nielicznych.

„A czy nam ktoś coś powie? A skąd!” - rozmyślał. „Jak zawsze, dadzą tylko zdawkowe informacje. Nic ponad to, co musimy wiedzieć. A i tak będą z tym czekać do ostatniej chwili”.

Nienawidził tego braku wiedzy, ok, niektóre rzeczy należało chronić, ale więcej danych naprawdę pomogłoby im lepiej skupić się na przygotowaniach. Czy nadal darzono Gearów pełnym zaufaniem?

Wpadł między niskie drzewa, a chwilę potem wyskoczył na otwarty teren, oczekując pozorowanego ataku wroga. Po kilku sekundach powietrzem wstrząsnęły eksplozje. Świece dymne zasnuły szarymi kłęбами teren wokół niego.

Carlos odkasznął, a smak słonej wody na powrót wypełnił jego usta. Spomiędzy drzew wyszedł Fenix i z całej siły dzielił go kilka razy między łopatki.

-W porządku, spadaj do lekarza - powiedział. - Nie wygląda to najlepiej.

-Nic mi nie jest.

-Cholera, idziesz do lekarza i koniec. Chyba że nie chcesz być w naszym oddziale?

- No co ty, to tylko trochę pieprzonej wody morskiej.

-Wtórne podtopienie. Trzeci rozdział podręcznika pierwszej pomocy. Nie chcę cię transportować do domu w plastikowym worku.

- Tak jest, mamusiu.

-Nie żartuję - powiedział Marcus tym swoim kapral-skim tonem, a potem włączył radio, żeby wezwać sanitariuszy. - Pewnie masz wodę w płucach.

-W porządku, ale nie traktuj mnie, jakbym stracił nogę.

Nagle w radiu rozległ się głos major Stroud:

- Santiago, słyszysz rozkaz? Wykonać, ale już!

Carlos był wściekły, a kiedy na miejsce dotarli sanitariusze, jego złość osiągnęła apogeum. W duchu dziękował, że pozwolili mu iść samodzielnie. Wiedział, że powinien być wdzięczny przyjacielowi za uratowanie życia, ale upokorzenie sprawiło, że miał to kompletnie gdzieś. Czuł się beużyteczny. Schodząc z poligonu, raz po raz odwracał głowę, z rozżaleniem patrząc na toczące się pełną parą ćwiczenia.

W namiocie służb medycznych zaspany lekarz kazał mu się rozebrać do pasa.

- To niepotrzebne, panie doktorze.

-Potrzebne - mruknął porucznik. - Ktoś odstrzelił ci tam mózg?

-Nic mi nie jest, więc po co tyle zachodu?

-Tak, tak. Słyszałem to dziesiątki razy. A teraz przy-
mknij się, bo muszę cię osłuchać.

Po badaniu lekarz wygłosił krótką przemowę na temat utonięć oraz podtopień wtórnych, a także o szkodliwości słonej wody i innych duperelach, które miały najprawdopodobniej sprawić, żeby poczuł się lepiej, albo chociaż był mniej zły na dowódcę oddziału, który go tu przysłał.

-Jeśli nie umrzesz za cztery godziny - powiedział na koniec porucznik - to znaczy, że wszystko z tobą w porządku. A teraz nie ruszaj się z tych noszy i jeśli tylko poczujesz ból w klatce piersiowej lub spłylenie oddechu, natychmiast wezwij kogoś na pomoc.

Santiago spędził w namiocie medycznym dwie koszarne godziny. Przez większość tego czasu liczył gwiazdy widoczne przez niewielkie okienko i słuchał odgłosów wal-ki toczącej się gdzieś w oddali. Wydawało mu się zabawne, że tak chuchano na niego z powodu jakiegoś głupawego podtopienia, a kiedy na jednej z misji dostał postrzał, który zafundował mu niezły przedziałek na głowie, kompletnie to zignorowano. Ale tak właśnie było w armii.

Zanim jego kwarantanna dobiegła końca, słońce zdążyło już wychynąć zza horyzontu. Lekarz, wyraźnie już spokojniejszy, poinformował go, że jest żywy i nie utonął. Na pożegnanie kazał iść do koszar, żeby się umył.

Prowizoryczne koszary mieściły się około stu metrów od doków stoczni. Carlos poczuł kuszący zapach ciepłego śniadania przygotowywanego w baraku kuchennym za drucianym ogrodzeniem. Gdy Marcus go zauważył, pod-

szedł do niego, pocierając nos wierzchem dłoni. Nie wyglądał dobrze - miał czerwone od dymu oczy i mętny z niewyspania wzrok.

-To tylko ćwiczenia - powiedział, wysuwając ramiona do przodu, jakby oczekiwał bójki lub kłótni.

-Wiedziałaś, że dałbym radę. Wiedziałaś, tak?

-Tak, ale nie chciałem ryzykować. Coś ci się mogło stać, a ja będę cię potrzebował podczas prawdziwej akcji.

To miało sens, ale Carlos znał przyjaciela. Wiedział, że jego słowa są jak te wszystkie poematy wyspiarzy, które mówią jedno, a znaczą drugie. Fenix nigdy nikogo nie potrzebował. Po prostu zawsze troszczył się o niego. I o Dorna. To zresztą działało także w drugą stronę. W tym sensie słowo „przyjaźń” miało właściwe znaczenie.

-Ażebys wiedział, że będziesz mnie potrzebował -skwitował, szczerząc zęby.

Aromat potraw chłopaków z marynarki nawet na odległość pobudzał wszystkie zmysły. Gearom nie pozwalano utrzymywać z nimi kontaktów, siedzieli więc osobno między drzewami i zajadali swoje samogotujące się racje żywnościowe. Santiago podszedł do nich - wciąż nie czuł się najlepiej.

Mataki ukucnęła obok Taia i potrzęsnęła swoją porcją, żeby wymieszać składniki.

-Co masz? - zapytała Kaliso.

-Dyzenteria z chili, a ty?

-Sracczkę curry. Zamienimy się?

Przekazali sobie pudełka - bez jednego uśmiechu, jakby ta transakcja była całkiem na serio. Wyspiarze to jednak dziwny naród.

Marcus nawet nie spojrział na swoje danie. Ciekawe, co pomyślałby o synu profesor, gdyby wiedział, że na co dzień je jakieś gówniane żarcie i mówi rynsztokowym językiem. I że jest z tym szczęśliwy. Był tym typem człowieka, który poradzi sobie w każdym miejscu i w każdych okolicznościach. Nawet w laboratorium, gdyby zaszła taka konieczność. Carlos nie raz widział, jak jego przyjaciel obrywa od życia, ale nigdy nie spotkał się z tym, żeby narzekał - wręcz przeciwnie, zawsze w takich sytuacjach podejmował trud na nowo, i to z jeszcze większą determinacją. Tak, Fe-nix nie uznawał półśrodków.

- Cholera, ci dranie mogli podpłynąć bliżej i wyciągnąć rampy na suchy ląd - powiedziała Mataka i zaczęła dźgać widelcem szaroburą papkę. - Nienawidzę wody. Dobra jest pod prysznicem albo w szklance. Ale to tutaj to jakieś jaja.

Santiago zinterpretował to jako subtelny wyraz współczucia.

-Myślałem, że pochodzisz z wysp? - spytał.

-Owszem, pochodzę - odpowiedziała. - Ale mieszkałam na lądzie, a nie w morzu. Pieprzona woda.

Z nieba zaczął siąpić deszcz ze śniegiem. Zanim zdążyli się schronić, podeszła do nich major Stroud z jakimś młodym kadetem. Carlos nie miał pojęcia, kim był chłopak, ale uznał, że to na pewno nikt z rodziny, bo w jego twarzy nie dostrzegł najmniejszego podobieństwa do kobiety. Towarzyszyła im także Anya, która w założeniach matki pewnie miała się zahartować i oswoić po tych wszystkich przyspieszonych kursach na akademii.

Helena Stroud nigdy nie faworyzowała swojej córki. Ba, nawet nie okazywała, że coś ich łączyło. Nie była ani

szorstka, ani wrogo nastawiona - po prostu zachowywała zawodowy dystans. Pod tym względem w jakiś niezwykle sposób przypominała ojca Marcusa. Z tą tylko różnicą, że major nie była tak wycofana jak profesor. Wypełniała sobą każde pomieszczenie, do którego wchodziła, emanując spokojem i pewnością siebie. Tak wyglądają zwycięzcy.

W odróżnieniu od niej z Anyi bił tylko profesjonalizm. Współczuł jej. Bledsza i niższa, zdawała się gorszą kopią swojej matki - jakby sam fakt dorastania w cieniu wielkości jednego z rodziców sprawił, iż nie mogła w pełni rozwinąć skrzydeł. Bez wątpienia nie zdawała sobie także sprawy ze swojej urody. Nawet w tej kwestii major Stroud nie pozwoliła jej nigdy poczuć się pewnie. Inne ładne dziewczyny zawsze ostentacyjnie okazywały, że są świadome swojej atrakcyjności - ale nie ona.

- Ile razy wam powtarzałam, że macie poważniej podchodzić do ćwiczeń? - huknęła kobieta, a Carlos, podobnie jak inni, aż wstrzymał oddech. - Do tej pory wszystkie nasze operacje przeprowadzaliśmy na lądzie, ale teraz będzie inaczej. Dlatego musicie przyłożyć się podwójnie. To cholernie ważne. Indie nie spodziewają się, że możemy zaatakować od strony wybrzeża.

Wybrzeże - słowo klucz. Ale Sera miała długą linię brzegową, nadal więc ich cel pozostawał zagadką.

-Z całym szacunkiem, pani major - odezwał się Marcus, celowo używając swojego wyuczonego akcentu charakterystycznego dla dziedzica dynastii. - Czy moglibyśmy, jeśli to możliwe, poznać szczegóły dotyczące misji?

-Nie - odparła krótko.

-Na przykład gdzie będziemy lądować? I czy to inwazja?

- Łatwo się nie poddajesz, Fenix - oświadczyła sucho Stroud. - Nie musicie tego wiedzieć. Poza tym nie wyda je mi się, żebym potrafiła udzielić ci prawidłowych odpowiedzi.

Najwyraźniej ton głosu Marcusa i to, w jaki sposób się wysławiał, otworzyły major. Być może poczuła, że prowadzi dialog z człowiekiem o tych samych korzeniach. Z kimś, kto wie, jakiego widelca i noża używać podczas oficjalnej kolacji. Ale słowa, które usłyszeli, nadal niczego nie wyjaśniały.

Na polygon wrócili kilkoma transporterami, ale tylko w towarzystwie samych Gearów. Oprócz tych krótkich momentów, kiedy szkolili się, jak wejść na barkę i jak z niej bezpiecznie zejść, nie tonąc w morzu, ich kontakty z marynarzami były ograniczone do minimum. Czuło się, że sztabowcom bardzo zależy, aby dowiedzieli się tylko tyle, ile muszą. W kółko przy tym powtarzano, że wszędzie czają się agenci wywiadu UIR. „Pamiętajcie, ściany mają uszy” - słyszeli na każdym kroku. I tak mogło być w istocie; Intel rzadko mylił się w takich kwestiach. Santiago usłyszał major Stroud, która krzykiem pouczała dwóch przerażonych kadetów, jaki to zaszczyt być żołnierzem i że to nie miejsce dla mięczaków. Najwyraźniej chciała pokazać tym dzieciakom, jak wygląda prawdziwe życie w armii. Stara, dobra Stroud.

- To jakaś psycholka - szepnął Marcus.

Spojrzenia Carlosa i Anyi spotkały się przypadkowo, trwało to jednak ledwie ułamek sekundy, bo dziewczyna zaraz przeniosła wzrok na Feniksa, wpatrując się w niego pomimo karcącego grymasu na twarzy matki.

„Co za syf” - pomyślał z zazdrością. „Ale w końcu nic dziwnego. Przecież ona nic o mnie nie wie?”

- Potrzebujemy takich świrów - powiedział na głos.

Pocieszające było to, że randka z Anyą oznaczałaby poważne kłopoty z major Stroud, a w rezultacie być może nawet koniec kariery. Już lepiej niech spotyka się z Marcusem - on tak łatwo się nie poddaje.

- Świrów, którzy potrafią wygrywać - dodał.

Przypomniawszy sobie, że obiecywał zadzwonić do Doma. Maria niedługo miała rodzić i prosiła go, żeby skontaktował się z bratem. Bała się, że sama nie da sobie rady, i pewnie mówiła to szczerze. W końcu była tylko siedemnastolatką oczekującą drugiego dziecka. A Dom? Też nie lepszy. Stanie się pełnoletni dopiero za kilka tygodni. To wszystko wydawało się Carlosowi trochę przerażające. Do tego chodziły słuchy, że komandosi zostaną podobno wysłani na jakąś tajną i niebezpieczną misję. Z całego serca nienawidził tego określenia.

„Nie ma się co martwić” - stwierdził w duchu. „Bracia Santiago *to* urodzeni szczęściarze. Nic złego nie może nam się stać. A nawet jeśli...”

Nie, nie chciał o tym myśleć.

SALA ODPRAW, BUDYNEK RZĄDOWY KOALICJI. EPHYRA

- Słyszałem wiele pochwał na temat pańskiego syna, profesorze - powiedział Hoffman do Adama Feniksa, wyciągając dłoń na przywitanie.

Przybyły gość ani na jotę nie był podobny do Marcusa. Może z wyjątkiem oczu - biła z nich ta sama inteligencja i przenikliwość, od której człowiekowi aż cierpła skóra na plecach.

-To urodzony żołnierz - dodał.

-Miło mi to słyszeć, majorze - stwierdził mężczyzna beznamietnym głosem, ściskając rękę zadziwiająco mocno. - Syn zawsze był perfekcjonistą.

Większość ojców zazwyczaj mówiło w takiej sytuacji, jak dumni są ze swojego dziecka, i Hoffman tego właśnie oczekiwał. Z tym większym zaskoczeniem odkrył, że profesor tak skrupulatnie waży każde swoje słowo.

„A może marzyło ci się, żeby twój chłopak został oficerem?” - spytał się w duchu.

-Dokładnie tak jest, panie Fenix. - Wskazał ręką krzesło. - Zapewne zna pan również przyjaciół syna, braci Santiago? Młodszy z nich, Dominie, służy w moim oddziale. To roztropni i odważni żołnierze. Potrafią zachować zimną krew.

-Tak, znają się od dzieciństwa.

Hoffmana coraz bardziej drażniła cała ta sytuacja. Rozumiał, że czeka ich spotkanie objęte tajemnicą służbową, ale to jeszcze nie znaczyło, że nie mogą wcześniej porozmawiać o rzeczach błahych, jak dwaj normalni ludzie. Zwłaszcza że tak uprzejmie wyrażał się o Marcusie. A może profesor wołał usłyszeć podobne pochwały od Heleny Stroud? Było nie było, stała się teraz kimś ważnym w ich życiu.

-Zakładam, że pański syn nie domyśla się, iż pracuje pan nad projektem związanym z Młotem Świtu? - spytał wprost.

-Oczywiście. Wie tylko tyle, ile powinien.

To mu wystarczyło, aby wydać ostateczny sąd na temat Feniksa. Nie lubił go. Po prostu. Zawsze potrafił szybko ocenić, czy ktoś zasługuje na jego sympatię, czy nie.

Do pokoju weszła agentka Settile w towarzystwie kapitana Michaelsona. Pod pachą trzymała teczkę z dokumentami. Wyjęła je i zaczęła przypinać na tablicy.

Ze względów bezpieczeństwa ilość ludzi biorących udział w tego typu spotkaniach ostatnio drastycznie zmalała. Głównie z tego powodu Hoffmanowi wydawało się dziwne, że w odprawie ma wziąć udział także Adam Fenix. Z drugiej strony nie miał pojęcia, jak wyglądały inne narady ani kto na nich bywał. Brał udział tylko w takich, które bezpośrednio dotyczyły działań wojskowych w Punkcie Aspoho.

„Mam nadzieję - pomyślał - że ten dupek rozumie powagę sytuacji”.

Jako ostatni przybył generał Iver. Wszedł do pokoju i od razu wskazał na fotografie powieszzone na tablicy przez Settile, które przedstawiały spory kawałek wschodniego wybrzeża Ostri i kilka sąsiednich miast.

- Zmiana planów - powiedział bez zbędnych wstępów. - Spójrzcie na to.

Podobnie jak poprzednio, zdjęcia satelitarne ukazywały niezamieszkałe tereny wraz z opuszczonymi gospodarstwami, a także trzy podstawowe cele: ośrodek badań i dwie bazy UIR, których wielkość sugerowała, że nie stanowią poważnego zagrożenia. Ale tym razem było coś jeszcze. Wzdłuż drogi prowadzącej do zatoki pojawiły się wozy bojowe. Rozstawione w szyku, wyraźnie miały strzec obszaru wokół delty rzeki.

- Czy to wymaga komentarza? - zapytała retorycznie Settile. - Obserwujemy ten rejon od kilku lat i obecne ruchy wojsk wykraczają poza normę. Bez dwóch zdań, UIR wzmacnia Punkt Aspoho od północy. Wyjaśnienia są dwa:

albo umieścili tam nowy sztab i wprowadzili dodatkowe siły dla jego ochrony, albo... Albo poznali nasze plany.

Agentka przerwała, a Michaelson wstał i podszedł do tablicy, żeby przyjrzeć się zdjęciom z bliska. Hoffman z rozżaleniem uświadomił sobie, że czas, który poświęcił na przygotowanie szturm na ośrodek, właśnie poszedł w diabły.

- Ale gdzie, u diaska, mógł być przeciek? - zapytał. - Przecież wszystko trzymaliśmy w ścisłej tajemnicy. Pod czas ćwiczeń nie podawaliśmy żadnych szczegółów. Nawet nie dostarczyliśmy odpowiedniego sprzętu, żeby nie budzić podejrzeń. Nie rozumiem, co się mogło stać.

Iver wzruszył ramionami.

- Możliwe, że Indie w końcu zrozumieli wagę swojego projektu. Albo planują wreszcie przetestować tę cholerną broń.

Najprostsza trasa do Punktu Asphe biegła wzdłuż południowej części wybrzeża, drogą ciągnącą się obok portu w Berephus aż do samej zatoki. Stromy teren przy brzegu w miejscu lądowania oznaczał, że było tam wystarczająco głęboko, aby zwodować barki desantowe i mieć zarazem pewność, że nikt ich nie namierzy. Odrzucenie tego wariantu oznaczało, że będą musieli wybrać punkt, w którym poziom wody jest niski, czas infiltracji - zbyt długi, a ryzyko wcześniejszego wykrycia - ogromne.

- Więc jak to teraz rozegramy? - zapytał Michaelson. - Możemy wysłać fałszywe sygnały, że mało nas obchodzi przegrupowanie w tym rejonie, i tym samym zmniejszyć ich czujność. Oczekujemy kilka tygodni i wtedy zaatakujemy. Inna sprawa, że do tego czasu mogą zakończyć badania. Może jest jakieś inne wyjście? Na czym najbardziej nam zależy? Na danych, sprzeczcie, naukowcach?

Settile przewertowała papiery i podała wybrany plik Feniksowi.

- To ostatnie dane techniczne, które udało nam się zdobyć. Przepraszam za braki, ale materiały pochodzą z pod słuchów.

Hoffmanowi wydało się szalone, że profesor był jedyną osobą w tym pokoju, a możliwe, że jedyną w całej cog, która potrafiła zrozumieć i ocenić zawartość dokumentacji. Czuł się nieswojo ze świadomością, że sam nie ma pełnego oglądu sytuacji i musi polegać na kimś trzecim.

Wszyscy w milczeniu patrzyli na mężczyznę, który swoim przenikliwym wzrokiem studiował zawartość kolejnych kartek. Cierpliwie czekali, aż przedstawi im swoje wnioski w przystępny dla zwykłych śmiertelników sposób. Nie byli laboratoryjnymi analitykami - umieli tylko walczyć, a to za mało, aby samodzielnie podjąć decyzję w tych nowych okolicznościach.

„No dalej, człowieku, znasz to na pamięć” - irytował się Hoffman. „Po co te gierki?”

- Czekamy, profesorze - ponaglił go łagodnie. - Jeśli nie będziemy znali szczegółów, równie dobrze możemy wysłać tam całe nasze lotnictwo i kazać mu wszystko zbombardować.

Naukowiec nie podniósł wzroku, jednak bardziej denerwujące było to, że nawet generał Iver nie przerywał ciszy, wyglądając jak jakiś chłopiec na posyłki.

- OK - odezwał się wreszcie Fenix. - Upewnijcie się, że podczas misji nie zabraknie wam robotów. Jeśli mamy przejąć projekt i zostawić ich z niczym, będziemy musieli wyczyścić system komputerowy w Punkcie Asphe. I lepiej załóżcie, że trzymają gdzieś kopię zapasową. Musieliby być

szaleni, żeby się nie zabezpieczyć. Jeśli zdobędziemy dane i szefów projektu, z resztą poradzimy sobie już bez problemu. Oczywiście na wszelki wypadek zniszczcie także cały ośrodek.

- Świetnie, myślałem, że będziemy potrzebowali osobiwej asysty naszych jajogłowych - powiedział niepewnie Michaelson, który nie stronił od takich dziwacznych określeń; czasami wydawało się, że sam nie potrafi ocenić, czy robi to z sympatią, czy z lekceważeniem. - Major ma właśnie jeden problem z głowy. A co z pozostałą obsługą ośrodka?

Przez chwilę profesor wpatrywał się w dokumenty, bezgłośnie poruszając ustami, jakby analizował jakiś trudny do rozwiązania problem.

-Pytacie mnie jako człowieka, naukowca czy żołnierza? - odezwał się w końcu, podnosząc głowę.

-Pytamy lojalnego obywatela - Settle wyręczyła Michaelsona - który z pewnością nie chce, żeby UIR zaatakowała swoją brońią którekolwiek z naszych miast. Jeśli wystarczą nam same dane i główny zespół, reszta nie będzie już potrzebna. Czy się mylę?

-Chce pani powiedzieć, że należy ich wszystkich zabić?

-A byliby w stanie zrekonstruować tę broń od zera?

-Te dane to nie jakaś tam tabliczka mnożenia, którą można zapamiętać. - Fenix był wyraźnie poirytowany i mówił nieco chaotycznie, mrugając przy tym nerwowo powiekami. - Ale można odtworzyć metodologię. Ta zawsze pozostaje niezmienna. Więc tak, z czasem na pewno udałoby się im odbudować cały system. To oczywiste.

-W takim razie wszystko jasne. Dziękujemy, profesorze.

-Proszę pamiętać, pani sierżant, że to cywile.

Settelle zdobyła się na beznamiętny uśmiech.

-Którzy budują broń masowego rażenia - stwierdziła.

Nikt nie odezwał się ani słowem.

-Czy do listy zadań mam dopisać także likwidację personelu placówki w Punkcie Aspho? - wtrącił się Hoffman.

-Będę to musiał skonsultować z przewodniczącym Dalyellem, majorze - odparł generał. Nie należał do zbyt lotnych dowódców, ale miał wysokie aspiracje polityczne i najwyraźniej nie chciał, aby jedna pochopna decyzja przekreśliła jego karierę. - Potrzebuję wyraźnej zgody.

- W takim razie poczekam na instrukcję.

Priorytety - to właśnie one ich różniły. Hoffman nie myślał jak Iver. Nie martwił się, w jakim stopniu ucierpi jego dobre imię, jeśli zabiją grupę cywilnych pracowników, ale jak ci cywilni pracownicy zaszkodzą innym, jeśli nie zostaną usunięci.

-To będzie morderstwo - nie poddawał się Fenix. - Co gorsza, dokonane na bezbronnych ludziach.

-Możliwe, że mrugając - zaczął powoli Hoffman - nie zauważył pan jednego istotnego szczegółu. Ci bezbronni ludzie budują najgroźniejszą broń na tej planecie.

-Panowie, proszę o spokój - Iver postanowił włączyć się do dyskusji.

-Owszem - ciągnął Hoffman, ignorując słowa generała - ta wykwalifikowana kadra nosi fartuchy, a nie mundury. Być może dlatego czuje się pan z tym nieswojo, w końcu to pana koledzy po fachu. Ale jeśli mnie pamięć nie myli, służył pan kiedyś w armii i zna pan to stare powiedzenie: my albo oni.

-To jest... niemoralne - cicho stwierdził Fenix. - Po prostu niemoralne.

-Dlaczego? Myśli pan, że oni nie wiedzą, co budują? Gdzie w tym wszystkim jest ich moralność?

-Jeśli to ma być, majorze, zabawa w „kto kogo przegada”, to w porządku, wygrał pan. Ja jednak nadal pozostanę przy swoim zdaniu i nie będę popierał masowych egzekucji tylko dlatego, że ktoś dysponuje wiedzą większą od naszej.

- Czyli wszystko ustalone - wtrąciła nagle Settile. - My unicestwimy kwiat inteligencji, a wy, nasi naukowcy, skupicie się na odtworzeniu broni, która zabije wrogich żołnierzy i masy niewykształconych obywateli.

Hoffman nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Iver chrząknął z zakłopotaniem, ale nie ośmielił się zwrócić kobiecie uwagi, która przywołałaby ją do porządku. I to nie tylko dlatego, że była agentem wywiadu. Miała w sobie coś onieśmielającego, co dawało jej przewagę nad innymi i pozwalało bezkarnie mówić nawet rzeczy niewygodne. Nie patrzyła przy tym, czy dostanie awans albo czy będzie lubiana. Zawsze miała jasny, prosty cel - dobrze wykonać powierzone zadanie.

„Zuch dziewczyna!” - pomyślał.

Profesor uśmiechnął się obco. Zdołał już nad sobą zapanować i jego twarz na powrót przybrała obojętny wyraz.

- Zgadza się, agentko Settile - odpowiedział. - Zrobimy, co do nas należy.

Generał rozładował sytuację najlepiej jak potrafił. Po prostu wstał i uderzył dłonią w stertę leżących na stole dokumentów.

- No cóż, nikomu z nas nie jest łatwo z takimi decyzjami - oświadczył. - Tak... Skupmy się lepiej na zaplanowaniu nowego wariantu ataku. Czasu mamy coraz mniej.

-Jeśli pomyślą, że interesujemy się portem w Berphus - powiedział Michiaelson - nie wyprowadzajmy ich z błędu. Niech podejrzewają, że zamierzamy zaatakować Pelles od strony morza. Przeprowadźmy pozorowany rekoniesans całego tego terenu, rozpuśćmy informacje, że chcemy przejąć ich zapasy imulsji, i wzmóźmy aktywność marynarki na północ od Aspho.

-Ale przecież to spowoduje, że wyślą w ten obszar jeszcze więcej oddziałów - stwierdził Hoffman.

-Tak, ale jednocześnie będą zmuszeni rozproszyć swoje siły na całym wybrzeżu, prawda?

-Tylko do momentu, kiedy zorientują się, że tak naprawdę interesuje nas wyłącznie Punkt Aspho.

-Możemy to przetestować - przytaknęła Settile. - Dezinformacja to nie problem. Gorzej będzie z organizacją pozorowanego desantu. To musi wyglądać tak, jakbyśmy naprawdę przygotowywali się do dużej inwazji. Przynajmniej dla ich służb wywiadowczych.

Przez następny kwadrans z uwagą studiowali mapę. Nie mieli wielkiego wyboru. W większości teren był płaski i istniało ryzyko zbyt szybkiego wykrycia jednostek szturmowych. Dlatego skupili się na szlaku prowadzącym przez stary kanał porośnięty częściowo trzcina i trawami.

- Musimy wejść od południa, przez słone bagna - za wyrokował Hoffman. - Potrzebne będą minimum trzy oddziały. Jeden do założenia ładunków wybuchowych, drugi do pozyskania danych, trzeci do zneutralizowania perso-

nelu. Najlepiej byłoby przeprowadzić akcję w nocy. Oczywiście, moim zdaniem.

-W ciągu tygodnia nikt nie opuszcza placówki - stwierdziła agentka. - A więc decydujemy się na dzień powszedni, wieczór. Ten szczegół pozostaje niezmienny.

-Pamiętajmy o robotach - wtrącił Michaelson. - Ich transport na pewno nas nieco opóźni.

-Dostaniecie oddział góralski z Pesang wyselekcjonowany z sił sojusznicych i komandosów z Dwudziestego szóstego Pułku Królewskiej Piechoty Tyrańskiej - powiedział Iver. - Podobno są najlepsi w COG.

Na te słowa Hoffman gwałtownie uniósł brwi.

-To normalni ludzie - powiedział. - Mają dwie ręce, dwie nogi i jeden tyłek, generale.

-W rzeczy samej. Gdy już będą gotowi, kompania C z dwudziestego szóstego pod dowództwem major Stroud zabezpieczy teren wokół ośrodka i zatrzyma potencjalnych intruzów nadciągających od strony lądu. Wszystko jasne, majorze?

-Tak jest - potwierdził.

Ciekawiło go, jak profesor Fenix czuł się, wysłuchując tych planów. Jego syn służył właśnie w kompanii C. Wydawało mu się niezwykle, że Marcus do ostatniej chwili nie będzie miał pojęcia, gdzie przyjdzie mu walczyć, gdy tymczasem jego ojciec pozna wszystkie szczegóły dużo, dużo wcześniej.

-Dotarcie do celu i akcja sabotażowa powinny razem zająć godzinę - oszacował.

Dla takich operacji jak ta była to w istocie cała wieczność, ale Hoffman wolał mieć drobny zapas, na wypadek

gdyby pojawiły się jakieś komplikacje. W końcu nie robił rozpoznania osobiście i w ostatniej chwili zawsze mogło coś wyskoczyć. Wszystkie dane, jakimi dysponował, pochodziły od Settile, ale choć wywiad naprawdę się postarał, bardziej przypominało to zbiór pobożnych życzeń niż konkretne informacje. Nie miał nawet dokładnego planu budynków ośrodka, tylko opisowe raporty szpiegów oraz jakieś pojedyncze informacje od przedsiębiorców budowlanych, sprzętaczy i przypadkowych cywili, którzy odpowiadając na pozornie niewinne pytania, nieświadomie przyczynili się do zgromadzenia ogólnikowej dokumentacji topograficznej.

-A potem musimy się stamtąd wycofać szybciej, niż wkroczyliśmy - Hoffman celowo użył liczby mnogiej. Nie był już młodzikiem, ale nadal dobrze się trzymał. Taka wyprawa nie mogła obyć się bez niego.

-Generale, mam pomysł - odezwał się nagle Michaelson. - Tylko że to całkiem nowe rozwiązanie, którego nigdy wcześniej nie próbowaliśmy. I kosztowne...

-W obecnej sytuacji, kapitanie, finanse nie są problemem - powiedział Iver z komicznym wyrazem na twarzy. -A mówię to po raz pierwszy w swojej karierze.

Fenix zebrał papiery, które wcześniej otrzymał od Settile i skinął głową, co znaczyło, że zamierza wyjść ze spotkania. Agentka natychmiast zaszła mu drogę i wyciągnęła rękę.

- Te dokumenty nie mogą opuścić budynku, profesoro - oznajmiła stanowczym głosem. -Jeśli zechce się pan z nimi zapoznać jeszcze raz, proszę bez wahania zadzwonić do mojego biura. Pracujemy na trzy zmiany i zawsze z chęcią witamy gości.

Naukowiec nie sprawiał wrażenia urażonego. W końcu nie powiadomił o niczym swojego syna, który weźmie udział w operacji, więc taka drobnostka nie mogła go dotknąć. Nie żegnając się, wyszedł z pokoju, zaś Hoffman uświadomił sobie, że znaleźli się z Settile sam na sam.

-Jeśli trzeba będzie, zajmę się tym osobiście - powiedział. - To znaczy personelem z ośrodka.

Kobieta wyglądała tak, jakby za chwilę miała poklepać go po ramieniu, ale ostatecznie złożyła tylko ręce na piersi.

-Nie ma w tym niczego niemoralnego, majorze - stwierdziła. - Walczy się po to, by zwyciężyć. Nieważne jak. Liczy się tylko wygrana. Fair play dobry jest w thrashballu, na wojnie obowiązują inne zasady. Minimum strat po naszej stronie. Wszystko inne nie ma znaczenia.

Hoffman wzruszył ramionami. Miał swoje przekonania i pewnych granic nigdy nie przekraczał - ale rozprawienie się z grupą naukowców w niczym go nie przerażało.

-Dostarczcie nam jak najwięcej informacji na temat tych ludzi - poprosił, - Musimy umieć ich zidentyfikować. Nie chcemy przecież sprzątnąć szefa zespołu, a zabrać ze sobą dozorczy.

-Właściwie to moglibyśmy zająć się tym z powietrza. Mamy dość Petreli.

-Ludzie potrafią przeżyć najcięższe bombardowania, agentko, ale zazwyczaj padają martwi, gdy dostaną kulkę w tył czaszki.

Settile zmieszała się. Ze złością pomyślał, że być może uważała go za bohatera. A on nie był bohaterem. Po prostu wykonywał rozkazy. Miał przy tym prosić dzieciaki, takie jak Dom Santiago, żeby zrobili to, co im każe -jedną z tych okropnych rzeczy, które przerażają nawet komandosów.

-Jest pan człowiekiem honoru, majorze.

- Nie. Jestem po prostu dowódcą, który nigdy nie wymaga od swoich ludzi więcej niż od siebie. To wszystko.

„A kiedy stanie się inaczej - odpowiedział w duchu -będę wiedział, że nie ma już po co żyć”.

Hoffman wyszedł z budynku i zdziwił się - jak zawsze, gdy opuszczał tego rodzaju nasiadówki - że na zewnątrz było już jasno. Postanowił iść koło Grobu Nieznanego Żołnierza. Mauzoleum upamiętniało Gearów, którzy polegli na polu walki w rozmaitych konfliktach. Umieszczono tam również pomniki ku czci bitew, takich jak ta pod Anvil Gate, a także groby bohaterów odznaczonych Gwiazdą Embry. Zawsze kiedy odwiedzał to miejsce, czuł nieokreśloną więź ze wszystkim tymi generałami, oficerami i zwykłymi rekrutami leżącymi jeden obok drugiego. Czasem nawet prowadził z nimi niemy dialog. Rozważał wtedy, ile ryzyka było w tym, co robił, i ile może stracić, co niezmiennie kończyło się stwierdzeniem, że jego wybór był słuszny i że stał po tej dobrej stronie.

Zatrzymał się przed jednym z granitowych nagrobków, na którym wryto ozdobną czcionką: sierżant J. Grame.

Dla Hoffmana nie liczyło się, ile orderów dostał leżący tu Gear. Ważniejsze, że tu był. Właśnie tutaj, nieopodal miejsca, w którym wydano mu rozkazy.

„Pal licha medale” - pomyślał. „Czy byłbym gotów zamienić się z tobą miejscami, sierżancie?”

Nie musiał odpowiadać.

Dzień, w którym zacznie mieć wątpliwości, będzie oznaczał, że powinien przestać dowodzić ludźmi i odejść na emeryturę.

**OKRĘT WOJENNY CNV POMEROY, POLIGON MARYNARKI,
STREFA ZAMKNIĘTA**

Dom stał nieopodal lądowiska na pokładzie Pomeroya, z zadowoleniem myśląc, że wreszcie wszystko wraca na swoje tory.

Morski Kruk dostojnie osiadł na metalowej płycie. Model ten, stosowany wyłącznie w marynarce, był udoskonaloną i większą wersją standardowego Królewskiego Kruka, ale poza tym niczym się nie różnił od zwykłego śmigłowca. Dla każdego Geara widok helikoptera oznaczał, że zaraz znajdzie się w bezpiecznym miejscu. Albo że wkrótce wyląduje w ogniu walki. Kochali je. Uwielbiali warkot ich silnika i podziwiali szalonych pilotów.

Santiago podszedł do maszyny w towarzystwie chłopaków z oddziału - Younga, Morgana i Benjafelda. Dopiero z bliska zauważył, iż ta konkretna jednostka miała dodatkowo poszerzone drzwi załadunkowe. Kiedy dołączyły do nich także dwie grupy komandosów z Pesang, złapał się na tym, że bezceremonialnie patrzy na górali. Nie mógł uwierzyć, że tak drobni mężczyźni, którzy w dodatku noszą jedynie lekkie pancerze, cieszą się reputacją bezwzględnych zabijaków.

- Zmiana planów, majorze? - zapytał Timiou.

Hoffman wyskoczył na płytę lądowiska i zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie. Nadal infiltrujecie wybrzeże w Marlinach - powiedział, wskazując na oficera marynarki, który także wysiadł z kokpitu. - Kapitan Michaelson ma pewien pomysł. Dzięki niemu będzie trudniej was namierzyć.

- Sądzę, że dawno już należało zastosować tę metodę - powiedział oficer, a potem uściśnił dłoń każdego z Gearów. Dom nie był przyzwyczajony do tego typu powitań z wyższymi rangą żołnierzami. - Jak wiecie, nasze łodzie motorowe mają zasięg najwyżej sześćdziesięciu kilometrów. Co gorsza, musimy zabrać ze sobą masę sprzętu, a to dodatkowo obniży tę granicę. To oznacza, że nasze okręty powinny podpłynąć bardzo blisko wybrzeża w Aspho. Moglibyśmy wypuścić je z łodzi podwodnych, ale tam jest za płytko. Dlatego pomyślałem, że najlepszym rozwiązaniem byłby zrzut z powietrza.

Dom założył, że chodziło o zrzucenie na wodę kilku pontonów, w których chłopcy mogliby szybko się zainstalować, ok, był na to gotowy. W ciemnościach będzie to trochę ryzykowne, ale co tam - dadzą radę. Dostrzegł, iż górale patrzyli na dowódców z uwagą i skupieniem. Oni także należeli do wojsk lądowych, więc podobnie jak reszta mieli przed sobą całkiem nowe zadanie i najwyraźniej nie do końca czuli się z tym dobrze.

A jeśli Michaelson kombinował coś innego? Może zamierzał pokazać, że marynarka potrafi nie tylko transportować na akcje broń i sprzęt. Santiago zdał sobie sprawę, że wszystko, nawet COG, przesiąknięte było polityką. Ale polityką przez małe „p”. Poczul ogromne przygnębienie. To powinien być wspólny wysiłek. Jak inni, składał przysięgę, która mówiła, że wszyscy oddają część siebie w walce o lepsze jutro i że łączą siły w imię jednej słusznej sprawy. Bez żadnych gier.

„Super” - pomyślał. „Weźmiemy udział w eksperymencie. Jeśli się uda, ktoś po prostu stworzy sobie swoją własną sekcję”.

-Dobra - powiedział w końcu Hoffman. - Za chwilę startujemy. Skupcie się, bo ćwiczenia nie potrwają za długo...

-Najważniejsi są piloci - przerwał mu Michaelson.

-Wy musicie tylko wypuścić Marliny z helikoptera i płynąć w wyznaczonym kierunku.

-To będzie ich więcej?

-Dwa Kruki, dwa Marliny - oświadczył kapitan. -W jednej motorówce zmieści się maksymalnie dwanaście osób. To najlepsza kombinacja, biorąc pod uwagę, że zabieracie ze sobą także roboty. A właśnie, proponuję na czas ćwiczeń załadować zamiast nich jakiś bezwartościowy balast. Jeśli coś pójdzie nie tak, nie stracimy cennego sprzętu. Nie mielibyśmy czym go potem zastąpić.

Timiou wydał dziwny dźwięk, który brzmiał jak stłumiony kaszel - zupełnie jakby chciał zasugerować, że komandosów też niełatwo zastąpić.

- Nadal nie łapię idei - powiedział po chwili.

Mina Michaelsona mówiła sama za siebie.

- Morskie Kruki posłużą nam - zaczął wyjaśniać - za swego rodzaju transportery. Coś jak okręt desantowy, tyle że powietrzny... Mówiąc najprościej, wyrzucimy Marliny z wami w środku prosto z pokładu.

Dom przez kilka długich sekund zastanawiał się, czy dobrze usłyszał. Wiedział, że utrzymywanie helikoptera metr nad wzburzonym morzem to czyste szaleństwo - nawet dla doświadczonych pilotów. W takich warunkach tylko cudem unikną katastrofy. A przecież potem czekała ich jeszcze walka z silną falą wzbudzoną płatami wirnika.

Hoffman otrzymał zezwolenie na start. Wnieśli motorówkę do Kruka i umiejscowili ją na tyłach maszyny, w czę-

ści załadunkowej. W środku siedziało już dwóch żołnierzy ubranych w jasnożółte kombinezony ratunkowe, na wypadek gdyby wpadli do wody.

- Ruchy, ruchy, panowie - ponaglił ich jeden z nich, najprawdopodobniej szef załogi helikoptera. - Usiądźcie na końcu łodzi, łatwiej będzie nam was zepchnąć. Wiesz przynajmniej, jak tym sterować, chłopcze?

Malcolm Benjafield wcześniej zgłosił się na sternika jako ochotnik.

-Mój tata ma ślizgacza - stwierdził nieśmiało.

-Super, przynajmniej szybciej utoniecie.

Motorówki zostały tak zaprojektowane, żeby sterowanie nie sprawiało najmniejszego kłopotu. Inna sprawa, że morze to nie jezioro, po którym sunie się jak po maśle. Dom znał się trochę na rzeczy, ale to Malcolm miał przejąć stery.

-Cholera - powiedział Benjafield, bacznie przyglądając się otwartej rampie. - Naprawdę zamierzacie nas wyrzucić?

-Hm... a co, wolałbyś sam tam popłynąć? - odpowiedział szef załogi, przymocowując pasami Marlina do pokładu. Wszyscy wiedzieli, że był niezłym dowcipnisiem, choć kapitan nie mówił o nim inaczej jak „przemądrzały dupek”. - Kto wie, może wcale się nie potopicie. Przygotowaliście kamizelki ratunkowe? Dobrze. Zobaczmy w takim razie, jak ta ptaszyna radzi sobie w wodzie.

Władowali się do łodzi i zajęli pozycje. Obok nich na podgumowanej podłodze leżały skrzynki, które spełniały funkcję balastu. Ludzie z Pesang wyszczerzyli zęby w uśmiechach, a z ich oczu zniknęła wszelka niepewność. Dom usiadł obok Hoffmana i przyrzekł sobie, że kiedyś

opowie tę historię swoim dzieciakom. Oczywiście, gdy podrosną. No i Carlosowi oraz Marcusowi. Do tej pory musiał wszystko trzymać w tajemnicy. Nawet Maria wiedziała tylko tyle, że szkolono go do jakiejś morskiej operacji. Ta myśl nie dawała mu spokoju. Bycie komandosem często wiązało się z takimi sekretami, ale tym razem sprawa była naprawdę wielkiego kalibru i aż go korciło, żeby opowiedzieć o wszystkim chociaż najbliższym.

- ok, słuchajcie - odezwał się Malcolm. - Kiedy zejdzie my niżej, rampa na chwilę zanurzy się w wodzie i helikopter nie będzie mógł odlecieć, dopóki jej nie opuścicie.

Dom czuł się nieswojo ze świadomością, że sternikiem był jego kumpel, a nie on sam.

-Pamiętacie procedury wodowania? - spytał Benjafield.

-Cholera, Mai, musisz o tym w kółko gadać? - rozzłościł się Morgan.

-Tak, musi - warknął Hoffman. - Jesteście komandosami czy nie? Godzinami zanudzacie panienki opowieściami o tym, jacy jesteście dzielni i nieustraszeni, więc teraz pokażcie, na co was stać.

Nawet jeśli ten stary drań trząsał tyłkiem ze strachu, nigdy tego po sobie nie okazywał. Dom nawet go lubił. Nie miał w sobie nic z rodzicielskiej troski i ta jego szorstkość zawsze dodawała wszystkim otuchy. Fakt, miał także wybuchowy charakter i czasem potrafił nieźle dać w kość, ale Santiago podejrzewał, że w ten właśnie sposób ukrywał swój lęk przed śmiercią. Każdy się bał i każdy radził sobie z tym strachem inaczej. Ponadto Hoffman był dowódcą i zawsze musiał świecić przykładem. Do tego niemłodym dowódcą, co dodatkowo utrudniało mu sytuację.

-Żony, nie panienki, majorze - powiedział po chwili Dom.

-Kolejny potomek w drodze, tak?

-Tak jest.

-Więc nie spieprz tych ćwiczeń i wracaj do domu, bo jesteś tam teraz bardziej potrzebny. A przy okazji, znajdź sobie inne pieprzone hobby. W takim tempie niedługo będziesz miał całą drużynę thrashball do wykarmienia, synu.

Zamknięto rampę i Morski Kruk wzniósł się w powietrze, kierując się w stronę otwartego morza. Widoczność coraz bardziej ograniczały nadciągające ciemności i wkrótce mogli już tylko obserwować łagodne fale pod nimi, oświetlane przez zewnętrzne reflektory. Kiedy helikopter w końcu zwolnił, a potem zawisł w miejscu, Dom dojrzał przez boczne okienko czarną otchłań rozciągającą się pod nimi, chłostaną silnymi podmuchami bijącymi z płatów wirnika. Dowódca załogi podszedł powoli do grodzi, cały czas trzymając się bocznej poręczy. Rampa odchyliła się i przestrzeń wypełniły małe, wirujące krople. Tył maszyny wciąż unosił się równolegle do powierzchni wody.

Nie, był już w wodzie!

W głowie Santiago uparcie kołatało się, że cała ta operacja to samobójstwo. Z przerażeniem patrzył, jak morze wdziera się po rampie do kabiny. Ogłuszający hałas sprawił, że przypomniał sobie o zatyczkach do uszu. Założył je pośpiesznie, obserwując, jak woda wciąż wlewa się do środka.

- Kurwa, co się dzieje? - zaklął pod nosem Hoffman.

Szef załogi, który właśnie skończył odpinać pasy bezpieczeństwa, dał znak Benjafieldowi, aby ten przygotował się do odpalenia silnika. Kiedy dziób Kruka uniósł się nie-

znacznie, Dom nie miał pojęcia, czy pilot wykonał ten manewr celowo, czy po prostu tył maszyny był już tak przeciążony - to jednak wystarczyło, aby Marlin zaczął ześlizgiwać się po pokładzie. Obydwaj członkowie załogi helikoptera chwycili za boczne olinowanie i jednym mocnym szarpnięciem wypchnęli łódź z rampy.

Przez kilka dobrych sekund Dom nie widział prawie nic. Miał tylko wrażenie, że ze wszystkich stron otaczał ich sztorm. Lodowata fala uderzyła go w twarz i przez chwilę zwątpił, że wyjdą z tego żywi. Na szczęście Benjafield wreszcie włączył silnik i zaczęli płynąć.

- Udało się! - krzyknął Mal. - Kto by pomyślał...

- Nie żartuj, chłopie - odpowiedział Dom.

Benjafield zatoczył Marlinem wąski łuk. Z niedowierzaniem patrzyli na helikopter przed nimi.

- Boże, kogoś tu popieprzyło! - zawołał Morgan.

W zdumieniu obserwowali, jak skąpany w falach kilkunetonowy Kruk łagodnie osiada na powierzchni morza, a potem - jak gdyby nigdy nic - unosi się, przechyla do tyłu i pozbywa nadmiaru wody z taką łatwością, jakby robił siku pod drzewem w parku. Dom znał to uczucie.

Gdy przyszedł czas na odławianie Marlina, poziom adrenaliny wyraźnie u wszystkich spadł. Za pomocą wciągarki uniesiono Marlina z komandosami znad wody, a potem podwieszono w miejscu, gdzie zazwyczaj znajduje się ładunek. I tyle. Cała akcja.

-Nie było tak źle - powiedział Dom do szefa załogi, kiedy wrócili już na Pomeroya.

-Poczekaj, kiedy zielonka zakipi...

Choć górale z Pesang potrafili bełkotać jak nikt inny, czasami to ich Dom rozumiał lepiej, niż marynarzy.

Uśmiechnął się, nie chcąc pokazać, że nie ma pojęcia, co oznacza kipienie jakiejś zielonki - domyślał się tylko, że to coś bardzo niedobrego.

-Skoro tak łatwo wypychacie motorówkę z helikoptera, dlaczego nie wciągacie jej z powrotem? - zapytał Ben-jafield. - To chyba szybsze rozwiązanie niż używanie wciągarki?

-Zgłaszasz się na ochotnika? - Mężczyzna w żółtym kombinezonie spojrział na chłopaka, jakby ten oszalał.

-Jasne!

-Być może kiedyś będziesz miał taką okazję, ale najpierw musisz znaleźć pilota, który lubi, jak mu Marlin ląduje na karku.

-A więc nigdy nie próbowaliście?

-Owszem, raz. Ale dla ciebie to za wysokie progi, kolego.

Wkrótce przydzielono im kajuty i na resztę nocy dostali wolne. Benjafield został nieoficjalnie awansowany na dowódcę łodzi, więc wypili po kilka piw, żeby to uczcić. Odprężeni i zadowoleni, głośno wymieniali uwagi na temat ćwiczeń. Wiedzieli, że wzorowo wypełnili powierzone im zadanie, i wierzyli, że mogą sprostać każdemu wyzwaniu.

- Na drugi raz zrobimy to jeszcze lepiej - oświadczył Malcolm. - Ale ty, Morgan, będziesz musiał bardziej się przyłożyć.

Hoffman zrzucił na podłogę swój rynsztunek i sięgnął po szklankę soku. Dom obserwował każdy jego ruch, ale nie potrafił rozszyfrować, o czym tamten myślał.

- Od dwudziestu lat doskonalimy szkolenie komandosów - powiedział w końcu - ale i tak wciąż jesteśmy w lesie. Pomyślcie tylko, ile byśmy mogli osiągnąć, gdyby udało się

nam obejść te wszystkie przestarzałe doktryny COG Więcej jednostek specjalnych, więcej współdziałania. Szybka reakcja, celne uderzenia, elastyczna strategia...

-Za przeproszeniem, majorze, to jakieś herezje - odezwał się Timiou. -Jeśli zmieni się strukturę wojska, zmieni się także funkcjonowanie Koalicji. Teraz wszystko działa, ponieważ każdy zna swoje miejsce. I wszyscy wiedzą, co mają robić...

-Do cholery, kto tutaj przysłał tego intelektualistę?
-Hoffman wybuchł śmiechem. - Tak, wiem, synu, wiem.

Dom był szczęśliwy. Nie mógł się doczekać, aż zadzwoni do Carlosa i przekaze mu nowiny - że podtopili Morskigo Kruka, że akcja się udała, że dali radę.

Potem zatelefonuje do Marii, ale podczas rozmowy z nią skupi się wyłącznie na dziecku i porodzie. Nie piśnie ani słówka o tym, jak minął mu dzień.

Jeszcze zdąży jej wszystko opowiedzieć - kiedy już załatwią ośrodek w Aspfo i położą kres Wojnom Wahadłowym.

DZIESIĘĆ

Panie przewodniczący, może myśli pan, że to są oddziały rządowe, ale na polu walki to ja nimi dowodzę i ja za nich odpowiadam. To moi ludzie i moje sumienie.

MAJOR HELENA STROUD.

26. PUŁK KRÓLEWSKIEJ PIECHOTY TYRAŃSKIEJ

**BAZA MARYNARKI FESOR, PÓŁNOCNY REJON JETTY
GODZINA 5 RANO, 2 DNI PRZED OPERACJĄ „NIWELATOR”, 16
LAT WCZEŚNIEJ**

Carlos zastanawiał się, czy kompania C będzie mogła wyjść na pokład, kiedy już nadejdzie dzień.

Do poranka pozostało zaledwie kilka godzin. Było diabelnie zimno, a powietrze śmierdziało ropą i spalenizną. Spojrzał na szary klif wyrastający ponad suche doki, a potem na przycumowany do nabrzeża okręt - brudny, zapuszczony, z dziobem pokrytym czerwoną, łuszczącą się farbą.

Nawet ktoś kochający CNV Kalona nie nazwałby go dumą floty. Gdyby nie flaga COG wisząca na maszcie, można by pomyśleć, że to jakiś dziwaczny statek towarowy.

Dziwaczny, bo zamiast standardowej rufy posiadał coś, co przypominało tylną część promu, na którego dachu dodatkowo umieszczono spore lądowisko dla helikopterów. Koszmar. Ale Kalona nie musiała zachwycać - nie była jednostką reprezentacyjną, ale desantową i służyła do przewożenia piechoty morskiej, barek i sprzętu. W tym zaś sprawdzała się idealnie.

- Przynajmniej mają schody - powiedział Carlos, spoglądając na mały pomost. - Tym razem nie wpakuję się do wody jak jakiś dureń.

Grupa Gearów ustawiła się w kolejce i cierpliwie czekała na wejście na pokład. Większość z nich stała, niektórzy jednak przysiedli na plecakach i położyli głowy na ramionach, chcąc wykorzystać okazję do krótkiej drzemki. Wiedzieli, że gdy pojawi się oficer lub gdy padnie rozkaz zamustrowania, któryś z kolegów obudzi ich kuksańcem. Mieli wszystko, czego potrzebowali - poza snem. Zwłaszcza w ostatnim tygodniu.

Santiago zastanawiał się, czy też nie powinien się zdrzemnąć.

-To trap, nie schody - powiedział Marcus.

-Dziękuję za wyjaśnienia, admirale Fenix.

-Dobra już, dobra... Dzwoniłeś wczoraj do Dorna?

-Zostawił mi wiadomość, a ja jemu. Cokolwiek robi, jest poza zasięgiem. Maria mówiła, że rozmawiała z nim przez telefon. Przez trzydzieści sekund.

-Szybko się uwinął.

-Nie słyszałem tego. - Carlos pochylił się do przodu, żeby na chwilę odciążyć plecak. - Powiesz wreszcie?

-Co?

- No widzę przecież, że jesteś na coś wkurzony. Dzwoniłeś do starego czy jak?

Przyjaciel stał przed nim i nie widział jego twarzy, ale i tak domyślał się, jaką minę zrobił.

- Taaa.

-I?

- Powiedziałem mu, że wypływamy. Życzył powodzenia. To wszystko.

Przez moment zamierzał uświadomić Feniksowi, że jego staremu na pewno trudno było wyrazić, jak bardzo się o niego boi, że jest tym wszystkim przerażony i że wołałby, aby jego syn nigdy nie zaciągnął się do wojska. Ale zrezygnował. Z tego samego powodu, dla którego profesor milczał na temat swojej żony - cokolwiek to było - nie potrafił także okazać miłości własnemu dziecku. Zresztą Marcus niewiele się od niego różnił.

„Co za porąbana rodzina” - pomyślał Carlos.

Cieszył się, że jego ojciec i matka przyjadą do Fesor, żeby pomachać mu na pożegnanie. Nikt nic nie wiedział o tym, że wypływają. Nie zaproszono żadnych mediów ani orkiestr. Gearom zakazano nawet pokazywać się na pokładzie, nie chcąc, żeby ktokolwiek zaczął coś podejrzewać. Tylko rodziny wiedziały, że ich bliscy wyruszają na misję, ale bez zbędnych szczegółów.

-Powiedziałeś mu, że to Kalona, tak? - spytał.

-Nie, nie powiedziałem. - Fenix odwrócił się. Wyglądał bardziej na zmieszanego niż wkurzonego. - A on nie zapytał.

-Wyjaśnicie sobie wszystko, kiedy wrócimy - stwierdził Carlos, chcąc dodać przyjacielowi otuchy. - Będiesz wtedy bohaterem i nawet twój stary to doceni.

- Taaa... - odpowiedział tamten i zwrócił się twarzą do statku. - Jakby wcześniej doceniał, kiedy wracałem ze zwycięskich walk.

Grupa marynarzy na statku wychyliła się zza poręczy i spojrzała na Gearów czekających na nabrzeżu.

- Hej tam - krzyknął jeden z nich. - Pewnie liczycie na luksusowy rejs, co, ociążałe dupki?

Gearzy przywykli do gorszych epitetów. W dodatku ta obelga była raczej oznaką sympatii niż nienawiści. Gorzej, gdyby marynarze przywitali ich bez słowa - wtedy mieliby się czym martwić.

Ludzie z floty zawsze się z nich śmiali. Bawiły ich nieporęczne plecaki oraz ciężkie pancerze, przez które chodzili jak słonie. W pewnym sensie naprawdę wyglądali jak ociążałe dupki, a tamci wręcz lubowali się w przypominaniu im o tym na każdym kroku.

-O czym rozmawialiśmy? - zapytał Marcus, głuchy na zaczepki. - A, o wiadomości od Dorna. To co u niego słychać?

-Belkotał coś o jakiejś tajnej misji i o ćwiczeniach. I że nie może nam teraz wszystkiego wyjaśnić. Od czasu gdy wstąpił do komandosów, całkiem mu odbiło. Zaczynam się o niego martwić.

-A mnie się zdaje, że jemu jest tam całkiem dobrze.

Może to i prawda. Dom zawsze był szczęściarzem. Znalazł piękną żonę, miał zdrowe dziecko, a drugie w drodze i do tego robił to, co lubił. Słowem, wiódł spokojne, ustabilizowane życie. I to w tak młodym wieku. Większość ludzi na jego miejscu poddałaby się, ale nie on - zamiast tego zamienił porażkę w tryumf. Naprawdę mógł być z siebie dumny.

Carlos przypomniał sobie nagle, że nie kupił nic bratu na urodziny. Załatwi to, gdy wróca.

-Idzie - mruknął Fenix, spoglądając przez ramię.

-Przygotować się - zagrzmiała major Stroud z odległości dobrych kilkunastu metrów, wchodząc na nabrzeże.

Nikt ze znanych im dowódców nie miał tak donośnego głosu jak ona. Nawet jeśli się jej nie zauważyło, gdy tylko się odezwała, wszyscy wiedzieli, z kim mają do czynienia. Salutując, przeszła wzdłuż szpaleru Gearów, a potem wbiegła po trapie na statek, by przywitać się z oficerem czekającym na pokładzie. Po chwili pojawiła się także Anya, ubrana w szary uniform.

- Wykapana matka - szepnął Carlos. - Po cholere wy syłają ją na pierwszą linię? Kadeci powinni siedzieć w szta bie i przyglądać się wszystkiemu z bezpiecznej odległości.

Marcus zerkał ukradkiem w stronę dziewczyny, nie odchylając przy tym głowy, jakby nie chciał pokazać, na kogo patrzy. Gapił się, jak młoda Stroud wchodziła chwiejnym krokiem po pomoście w przepisowych czarnych czółenkach na obcasach.

- Lepiej powiedz - także wyszeptał - dlaczego każą kobietom chodzić w wojsku w takich butach? Można zła mać sobie kark.

Stojący przed nim Gear stęknął teatralnie, jakby wzdychał do ukochanej uwięzionej w wysokiej wieży.

- Z chęcią udzieliłbym jej wtedy pierwszej pomocy - powiedział żołnierz. - Ale i tak wszyscy wiedzą, że tylko jeden medyk ją interesuje.

- Widzę, że zabieramy ze sobą jednoosobowy kabaret - odpalił szorstko Fenix.

Żołnierz zamilkł.

Kolejka w końcu zaczęła przesuwać się do przodu, a trapez łączący Kalonę z nabrzeżem aż rozdygotał się pod naporem ciężkich butów. Całe wieki zajęło im rozlokowanie się na okręcie. Obciążone pełnym rynsztunkiem grupy Gearów krążyły chaotycznie po ciasnych korytarzach i wędrowały w górę i w dół po stromych schodkach oraz drabinkach. W końcu Carlos z przyjaciółmi znaleźli się w mesie 1E2 -tak przynajmniej informował napis na drzwiach, wymalowany czarną farbą. I tylko tyle wiedzieli. Żaden z nich nie miał pojęcia, dokąd ich zabierano.

-Ja pierniczę -jęknął Kaliso. - Widzieliście kiedyś coś takiego? Mój kibel jest większy.

Mesę wyposażono w rząd wąskich, dwupiętrowych koi, na których z ledwością zmieściłoby się nawet dziecko. Tak przynajmniej im się zdawało. W pomieszczeniu było tak mało miejsca, że żaden z nich nie mógł się nawet swobodnie obrócić ze swoim plecakiem.

- Uważaj z tym tobołem, Tai - upomniał towarzysza Marcus.

Kaliso wspiął się na górę pierwszego z brzegu łóżka. Spojrzał na marynarza stojącego w drzwiach, rozmieszczającego Gearów w ich kwaterach.

-Ten statek najwyraźniej został zbudowany dla kurdupli - wypalił.

-Proszę się nim nie przejmować - usprawiedliwił kolegę Carlos. - On zawsze gada bez sensu... Czy jest tu gdzieś jakiś punkt, z którego widać port?

Marynarz wskazał ręką korytarz po brzegi wypełniony kotłującymi się Gearami.

-Pójdiesz tędy, potem po drabinie i w stronę rufy. Właz otwiera się na lądowisko, pod którym właśnie jesteśmy. Ale nie wychodź, zanim nie usłyszysz gwizdka.

-Fajnie, nie ma co.

Głośniki zatrzeszczały krótko, a cały statek zaczął mrużyć i drgać. Nie pozostało im nic innego, jak tylko czekać i wdychać zapachy nowego miejsca. Z nudów starali się jakoś zinterpretować niewyraźnie brzmiące słowa dochodzące z interkomu.

- Cała załoga na stanowiska - zawołał jakiś anonimowy głos. - Rzucić cumy.

- Czy to znaczy, że już płyniemy? - zapytał Santiago.

Fenix chrząknął. Ściśnięty na górnej koi, wyglądał co najmniej komicznie - jakby leżał w trumnie i sprawdzał, czy pasuje na długość.

-Można tak powiedzieć - odparł, poprawiając poduszkę pod głową.

-Muszę sprawdzić, czy przyszli mnie pożegnać.

Było jeszcze widno i gdyby wydostali się na zewnątrz, mogliby zobaczyć, kto z bliskich przyjechał do portu. Wyszli na korytarz, a potem skręcili gdzieś w bok. Otworzyli drzwi i wychylili głowy. Nie usłyszeli żadnych hucznych pożegnań, żadnych fanfar. W głębi pokładu kręcił się jakiś technik w gumowcach, który zwijał liny i kable.

-To drzwi czy właz? - zawahał się Carlos.

-Drzwi - odpowiedział Marcus. - Włazy są w pokładzie. Zazwyczaj.

-Nic nie widzę, musisz się posunąć.

- Oj, patrz i nie marudź.

Santiago obrzucił uważnym spojrzeniem nabrzeże i morze. Potem przeniósł wzrok na stary mur okalający port. Zobaczył przy nim małą grupkę ludzi, kulących się z zimna.

„Jasna dupa, dlaczego nie zabrałem ze sobą lornetki?”
-skarcił się w duchu, mrużąc oczy, żeby lepiej widzieć.
„Ciekawe, czy wiedzą, że tu jestem?”

- Tam - zawołał Fenix. - Twoja mama! Widzisz?

Faktycznie, rodzice Carlosa stali na skraju grupki, a obok nich... Maria. Zaskoczyło go to, gdyż żona Dorna była w zaawansowanej ciąży i nie powinna tak ryzykować -nawet dla niego.

- Pieprzyć to - zaklął pod nosem. - Skoro ona mogła przyjść...

Przestał martwić się o zakazy. Wyszedł na pokład, wychylił się przez barierkę i pomachał. Tak, teraz na pewno go zobaczyli.

- Cholera - doszło go z tyłu.

W pierwszej chwili pomyślał, że to jedno z tych standardowych przekleństw, które Marcus zwykł używać w chwili łamania rozkazów, ale zaraz potem zobaczył profesora, stojącego z rodzicami i Marią. Właściwie nie z nimi, lecz obok, jednak wystarczająco blisko, żeby domyślić się, iż przybyli tu razem. Mężczyzna powoli uniósł dłoń i poruszył nią - zdawkowo, jakby przypadkiem.

Carlos nie odwrócił się. Chciał patrzeć na swoją rodzinę, nacieszyć się ich widokiem na zapas. Mało go interesowało, czy jego przyjaciel także wyszedł na pokład, by pożegnać się z ojcem. W pewnym momencie usłyszał za sobą kroki, a potem ciche westchnięcie.

„A więc jednak się zdecydowałeś” - przemknęło mu przez głowę. „Dobry początek, stary”.

Santiago cały czas machał jak oszalały - nawet wtedy, gdy okręt znalazł się za bojami sygnalizacyjnymi i minął mierzeję. Nabrzeże robiło się coraz mniejsze i mniejsze, aż w końcu całkiem zniknęło mu z oczu. Odwrócił się do Marcusa, który wciąż wlepił wzrok w oddalający się ład.

-Zimno jak diabli - powiedział, starając się pokazać, że to, co zobaczył, ani trochę go nie wzruszyło.

-Fakt. Wracajmy na dół.

-Widzisz, podobno nie mówiłeś staremu, kiedy i skąd odpływasz, a on i tak cię odnalazł i przyszedł.

Z całych sił pragnął, żeby tych dwóch kiedyś zbliżyło się do siebie. Żeby w końcu zachowywali się jak normalni ludzie, których łączy nie tylko wspólne nazwisko, ale coś o wiele więcej. Życie jest za krótkie, żeby marnować je na niedopowiedzenia.

- On się stara, Marcus. Naprawdę.

-Tak, znalazł mnie. Ale ciekawsze, skąd wiedział, gdzie szukać?

HANGAR POKŁADOWY, CNV KALONA 2

GODZINY PÓŹNIEJ

W końcu Mataka dowiedziała się, dokąd dokładnie płynęli.

Wszyscy z kompanii C siedzieli lub kucali w równych rzędach na wprost wielkiego ekranu przymocowanego do ścianki oddzielającej sąsiednie sektory hangaru. Wyglądali

jak spragnieni rozrywki widzowie czekający na występ komika lub zonglera.

Obsługa Centrum Dowodzenia i sternicy barek desantowych rozluźnili się, gdy major Stroud wyłączyła odtwarzacz.

- To są informacje, które udało nam się wylapać z nasłuchu - poinformowała grupę, kiedy wybrzmiał ostatni dźwięk. - UIR ma na nas oko.

Wszystkie drzwi były zamknięte i strzeżone przez wartowników. Bernie nie mogła zrozumieć, dlaczego tak przesadzano ze środkami ostrożności, skoro i tak wszyscy na statku słyszeli już o celu misji. Czyżby prawda różniła się od oficjalnej wersji?

Ekran rozbłysł. Kiepskiej jakości film z jakichś wiadomości telewizyjnych przedstawiał okręty wojenne COG płynące w kierunku północnej części Ostri, a potem ukazał oddziały UIR grupujące się na granicy z Pelles. Politycy obydwu tych krajów musieli być naprawdę wściekli. Zebrani w hangarze nie musieli znać ich języka ani czytać napisów na dole ekranu, aby domyślać się, o co im chodziło.

Major Stroud zatrzymała obraz i stanęła przed ekranem.

- Same bzdety - powiedziała swoim tubalnym głosem. - Zapewne zdajecie już sobie sprawę, że nie zamierzamy przeprowadzać żadnej operacji w tym obszarze, skoro pokazują to w serwisach informacyjnych. Wręcz przeciwnie, gdy tamci będą szykowali się na nas na północy, my popłyniemy na południe, aby wesprzeć szturm naszych oddziałów na placówkę naukową w Punkcie Aspho. To będzie szybka, sprawnie przeprowadzona operacja. Jej kryptonim

to „Niwelator”. Wylądujemy na plaży i pozbawimy lokalne jednostki wroga jakiegokolwiek szansy na obronę ośrodka, który tam się znajduje. Dzięki temu nikt nie przeszkodzi naszym komandosom wykonać ich części zadania. Wy robicie swoje, oni swoje, a potem grzecznie wracamy na pokład. Zanim UIR się spostrzeże, będzie po wszystkim. Jakież pytania? W takim razie spójrzcie na mapę.

Stroud opowiadała o szczegółach akcji z takim zapamiętaniem, jakby nic innego nigdy nie zaprzętało jej głowy.

-Dlaczego to miejsce jest tak ważne? - spytał ktoś z tłumu, kiedy skończyła pokaz.

-Chodzi o badania nad bronią - odpowiedziała major.

-Żeby wam to dokładniej wytłumaczyć, musiałabym być o wiele lepszym fizykiem. To wam musi wystarczyć.

Marcus siedział na prawo od Bernie. Usłyszała, jak powoli i cicho wypuścił powietrze.

-A więc to o tym nie mógł nam nic powiedzieć - mruknął Carlos, siedzący po jej drugiej stronie.

-Kto nie mógł nic powiedzieć? - zapytała.

-Dom - odparł Santiago. - To musi być ta akcja, do której tak się przygotowywał.

Na ekranie zaczęto wyświetlać zdjęcia z ostatniego rekoniesansu powietrznego. Stroud wskazywała na nich oddziały rozlokowane przy rzece i mostach. Zwróciła także uwagę na obszar nazywany Polami Asphe, który jednak w najmniejszym stopniu nie przypominał zwykłych pól czy pastwisk. Co gorsza, te otwarte mokradła tylko w kilku miejscach porastały kępy krzewów mogące dać osłonę. Opisując to miejsce, major położyła nacisk na konieczność

szybkiego pokonania tego rejonu, a Bernie z ulgą pomyślała, że przynajmniej nie spędzą całego dnia w wodzie po pas.

- Zwiad zrobiono dwadzieścia sześć godzin temu - do dała - więc dane są aktualne. Jak widać, jeśli nas wykryją, będą musieli skorzystać z lądowych szlaków komunikacyjnych. Ostatnie zdjęcie satelitarne pokazuje, że UIR przeniósł jedną brygadę o pięćdziesiąt kilometrów na północny-wschód, wzmacniając baterię w pobliżu portu w Berephus. To właśnie tam dobijemy i to będzie nasz pierwszy kontakt. Te dwie bazy w rejonie Aspfo, tutaj i tutaj, nie stanowią większego zagrożenia. Ich łączna siła to zaledwie jedna kompania. Ale nie zapominajmy, że zawsze istnieje ryzyko ataku z powietrza. Dlatego pamiętajcie, cała operacja ma zostać przeprowadzona błyskawicznie. Wchodźcie, robicie swoje, wychodźcie. Macie na to godzinę, góra dwie.

Na środek wystąpiła Anya Stroud.

- Służby meteorologiczne twierdzą - odezwała się ci cho - że warunki pogodowe będą kiepskie, silny wiatr i może nawet sztorm, więc musimy naprawdę się postarać, żeby nie opóźnić lądowania na plaży.

Marcus przez cały ten czas patrzył na zdjęcia ze zmarszczonym czołem, jakby rozważał coś ważnego i bardzo osobistego.

- Mam pytanie - powiedział, podnosząc rękę. - Być może nie zostaniemy zauważeni podczas desantu, ale co się stanie, kiedy pierwszy żołnierz UIR dostanie kulkę w łeb? Przecież oni mogą ściągnąć tam kilka nowych brygad w ciągu kwadransa, a helikoptery - najwyżej w pół

godziny. Czy nie lepiej byłoby ostrzelać ośrodek z okrętów, zrównując cały Punkt Aspfo z ziemią, a potem wysłać tam kilka Kruków, żeby dokończyły robotę?

-Nie możemy zniszczyć wszystkiego - odparła major, odrywając się od mapy rozłożonej na stoliku obok ekranu. -Zależy nam na kilku pamiątkach z tej operacji.

-Czy to takie same pamiątki, jakie kolekcjonuje mój ojciec? - zapytał retorycznie z zadziwiającą swobodą w głosie.

Carlos spojrział na Bernie i ruchem głowy dał znać, że wie, o co chodzi jego przyjacielowi, i że wszystko jest pod kontrolą - ale nawet to jej nie uspokoiło. Nie dowodziła już plutonem Feniksa. Może powinna porozmawiać z Danielem Kennenem, a on już by dopilnował, żeby sprawy rodzinne nie dekoncentrowały Marcusa podczas misji?

Znała go od dwóch lat, ale pomimo wielu godzin spędzonych razem w oddziale nadal nie miała pojęcia, jaki miał stosunek do rodziców. Nawet nie wiedziała, kim byli. Prawdę mówiąc, lepiej znała Hoffmana i jego bliskich niż tego skrytego milczka.

Po chwili namysłu zarzuciła zamiar ingerowania w tak prywatne sprawy. Do operacji zostały im już tylko godziny, a ona powinna skupić się na innych rzeczach niż zabawa w niańkę.

Helena Stroud kilkakrotnie podkreślała, jak ważne są Stompery, granatniki zamontowane na każdym pojeździe używanym przez pluton. Chodziła między Gearami, sprawdzając, czy odpowiednio przygotowali barki desantowe, broń i cały rynsztunek. Najwyraźniej zamierzała w ten sposób zmotywować wszystkich do jeszcze wiek-

szego wysiłku. Mataki nigdy specjalnie nie marzyła o karierze wojskowej, ale zmieniła zdanie, gdy jeden z sierżantów w komisji rekrutacyjnej oznajmił jej, że kobiety są beznadziejnymi żołnierzami, a zwłaszcza snajperami. Przypomniała sobie słowa, które wtedy usłyszała, i obiecała, że teraz udowodni, jak bardzo mylił się tamten dupek - zrobi to specjalnie dla major.

Motywacja. Istnieje milion sposobów, aby nakłonić kogoś do działania, ale zawsze trzeba wiedzieć, jaką strunę poruszyć.

- Daj spokój, dziewczyno - mruknęła do siebie. - To zwykły palant.

Carlos przeszedł obok Bernie, dźwigając skrzynkę z amunicją. Dyszał ciężko, a na czoło wystąpiły mu krople potu.

-Chodzi ci o starego Feniksa? - spytał, słysząc jej słowa.

-Nie, o takiego jednego... A co?

-Jego ojciec przyszedł się pożegnać, gdy wypływaliśmy. Ale najdziwniejsze jest to, że Marcus nie powiedział mu, że to będzie Kalona. - Położył pudło na ziemię i otarł ramieniem czoło. - Na pewno brał udział w zaplanowaniu całej tej operacji. I nic nie powiedział synowi.

-Takie rzeczy są zawsze objęte ścisłą tajemnicą i czasem nawet rodzina o niczym nie może wiedzieć.

-To nie jest jedyna rzecz, jakiej mu nie zdradził. A kilka z nich wcale nie dotyczyło spraw zawodowych. Myślę, że to najbardziej wkurza Marcusa.

Zastanawiała się, jak zręcznie zakończyć tę rozmowę. Rozumiała już wszystko - pomimo całej swojej dojrzało-

ści i inteligencji Fenix wciąż był wrażliwym chłopakiem, którego łatwo zranić, zwłaszcza jeśli chodzi o ojca. Dobry sierżant pamięta o takich detalach.

- Więc to też jest zwykły palant - stwierdziła.

CNV POMEROY, 200 KILOMETRÓW NA PÓŁNOC OD PUNKTU ASPHO

- Majorze, co pan powie mojej rodzinie, jeśli zginę? - usłyszał Hoffman, gdy starał się wygładzić zagniecenia na swoim mundurze.

Podniósł głowę i ujrzał młodego chłopaka stojącego w drzwiach; nie sprawiał wrażenia szczególnie przygnębionego. Zazwyczaj komandosi nie martwili się tym, że mogą zginąć podczas akcji i Ludovic Young nie był tu wyjątkiem - lubił jednak mieć wszystko poukładane.

-Powiem im prawdę - odparł Hoffman. Nie lubił cytować z pamięci tych wszystkich bredni mających przekonać rekrutów, że nikomu na pewno nic się nie stanie. Zdarzyło mu się powiedzieć tak tylko jeden raz i bardzo się wówczas pomylił. - Oczywiście, na ile pozwalać mi będzie tajemnica wojskowa, którą jestem związany.

-Dziękuję, majorze. Nie chciałbym, żeby ktoś ich okłamywał - stwierdził chłopak.

Hoffman uznał, że w obecnych warunkach nikt nie zwróci uwagi na jego pognieciony mundur. Zamiast doprowadzać się do porządku, wolał spędzić czas ze swoimi ludźmi, podnosząc ich morale. Nie był w tym najlepszy - nie wiedział, jak dodawać otuchy. Jedyne, co potrafił, to mówić podwładnym, co o nich myśli i czego oczekuje,

a gdy już mieli wykonać swoje zadanie, dołączał do nich i robili to razem. Ten system działał.

- Young, zbierz wszystkich w hangarze - rozkazał. - Za kilka minut do was dołączę.

Nienawidził czekać, dlatego najpierw poszedł do Centrum Operacyjnego. Chciał znaleźć Michaelsona i zapytać go o obecne pozycje ich okrętów. W pomieszczeniu panował półmrok. Przed monitorami siedzieli ludzie z obsługi, uważnie obserwując każdy obiekt, który się na nich pojawiał. Hoffman nie bardzo wiedział, na którym ekranie wyświetlano aktualne rozmieszczenie floty.

-Jaka sytuacja? - zapytał.

Pierwszy oficer Pomeroya, Fuller, wskazał mu wyświetlacz pokryty mnóstwem ponumerowanych znaczników. Kilka kilometrów na północ od ich pozycji mrowiło się duże skupisko punktów. Wyglądało, jakby cała armada szykowała się do ataku na przybrzeżne miasta Bonbourg i Berephus oraz kanał ciągnący się od Ostri aż do Pełleś.

-Przekonujący manewr - rzucił. - Czy Indie już łyknęły przynętę? Nie mam żadnych wiadomości od generała Ivera.

-Za czterdzieści pięć minut dostaniemy nowe zdjęcia satelitarne. Wtedy będziemy wiedzieć, czy podstęp się udał.

Hoffman nie do końca ufał tym wszystkim nowinkom technicznym. Nie ma to jak dobry pieszy rekonesans, wykonany przez grupę czujnych Gearów. Owszem, zespół Settile może i zrobił kawał dobrej roboty, ale tak naprawdę nadal wiedział mniej, niżby chciał. Nie miał jednak wyjścia i musiał ufać raportom Intelu. W końcu już raz udo-

wodnili swoją przydatność, zbierając dane na temat ośrodka w Aspho.

„W przyszłości, kiedy już udowodnimy swoją skuteczność - pomyślał - zadbam o to, żeby mieć własne oddziały zwiadowcze. Żadnych zewnętrznych struktur wywiadowczych. Tylko Gear wie, jakie informacje mogą przydać się innemu Gearowi”.

Wszystkie ich ostatnie wysiłki w istocie nie sprowadzały się wyłącznie do sprawnego przeprowadzenia operacji „Niwelator”. To było coś więcej, furka do nowej doktryny - innej od tej, którą znali od lat. Być może właśnie nadarza się okazja, żeby pójść dalej. Hoffman wierzył, że najlepsze efekty przynoszą małe, wyspecjalizowane grupy, współdziałające ze sobą podczas walki.

Do pomieszczenia wszedł Michaelson i obsługa powstała z krzesel.

-Spocznij. Kalona jest już w drodze - poinformował wszystkich. - Możliwe, że będzie na miejscu przed dwudziestą trzecią. Cysterna dotrze koło pierwszej trzydzieści.

-Świetnie, zaraz przekażę to moim chłopcom. Jeden z nich ma brata i kumpla w kompanii C, więc pewnie się ucieszy.

-Każda okazja do podniesienia morale jest dobra.

-Ich morale jest już wystarczająco podniesione.

-Przy okazji - zmienił temat Michaelson, widząc stanowczą minę swojego rozmówcy. - Mój admirał pytał Da-lyella, jaki jest plan, na wypadek gdyby twoi ludzie zawiedli.

Hoffman kompletnie się nie spodziewał tej wypowiedzi, ale znał dalszą jej część, zanim jeszcze ją usłyszał.

- Przewodniczący zarządził - powiedział pytającym to
nem - żeby w takiej sytuacji użyć wszelkich dostępnych
środków i doszczętnie zniszczyć Punkt Aspfo, tak?

Michaelson skinął głową.

-Pomyślałem, że powinienes wiedzieć.

-Byłbym zdziwiony, gdyby zadysponował inaczej
-ciągnął Hoffman. - A więc nie ma już odwrotu.
Musimy doprowadzić to do końca.

-Oczywiście wszystko zależy od tego, jak zinterpre-
tuje się fakty. To znaczy w którym momencie
uznamy, że zawiedliście.

Może to właśnie o to chodziło? Może w ten sposób Mi-
chaelson chciał mu przekazać, na kogo spadnie odpowie-
dzialność w przypadku porażki? A może usiłował dać do
zrozumienia, kto tak naprawdę dowodził tą misją?

-Byłem przekonany, że to operacja Ivera - stwierdził
major.

-Może i tak. Ale musimy myśleć o każdym wariantcie.
Zwłaszcza takim, kiedy nie uda się przejąć broni.

-Skończmy te spekulacje, Quentin - zakończył temat;
przez lata służby nauczył się unikać konfrontacji z
innymi dowódcami. - Powiedziałem moim
chłopakom, żeby byli przygotowani na każdą
ewentualność. Nawet na ugryzienie w tyłek.

Hoffman poszedł do hangaru. Grupa komandosów koń-
czyła właśnie czyścić broń, zaś górale z Pesang rozmawiali
o czymś cicho, siedząc po turecku, jak grupa grzecznych
przedszkolaków.

- Proszę o uwagę - powitał ich. - Mam dobre wieści.
Kalona już płynie i jeszcze dziś w nocy dotrze do celu. Na
ład zejdzie nasza piechota. Będzie was ochraniać od strony

Pól Aspho, więc stamtąd nic wam nie grozi. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wejdziecie i wyjdziecie, zanim ktokolwiek zdąży się zorientować.

Spojrzał na Doma, który miał dziwnie tajemniczy wyraz twarzy.

-Przykro mi, Santiago, że nie wspomniałem o tym wcześniej, ale to kompania C - dodał.

-Czy powiedzieli im chociaż, komu będą pomagać?

-zapytał chłopak z uśmiechem na twarzy.

-Nie mam pojęcia. Dowiem się.

„A przynajmniej spróbuję” - pomyślał. Nie lubił, gdy trzymano go w niewiedzy, i równie niechętnie pozwalał sobie na to wobec innych.

- Czy czegoś potrzebujecie, sierzancie? - zwrócił się do dowódcy oddziałów z Pesang.

Bai Tak ukazał rząd równych zębów i potrząsał skórzaną pochwą wiszącą u jego pasa. Była tak długa, że jej koniec niemal dotykał podłogi.

- My wszystko, co musimy mieć, sah - odpowiedział swoją dziwną, pokrętną mową.

Górale byli wyjątkowo niscy. Cały czas się uśmiechali, uważnie obserwując otoczenie swoimi migdałowymi oczami. Sprawiali wrażenie ludzi wiecznie zadowolonych z siebie i z życia. Pochodzili z odległych terenów cog i zajmowali się hodowlą bydła, które wypasali na trawiastych halach. Ale to musiał być ciężki kawałek chleba i niewykluczone, że dorabiali na boku w jeszcze inny sposób. Nie darmo ich noże, z którymi nigdy się nie rozstawali, nie miały sobie równych pod względem wielkości. Nie wyglądały przy tym na jakieś obrzędowe kordziki. Całości do-

pełniał fakt, iż byli świetnymi zabójcami, którzy potrafili unieszkodliwić każdego przeciwnika szybko i po cichu.

Najlepiej pokazali to podczas oblężenia Anvil Gate.

- ok, będę u siebie - poinformował Hoffman. - A teraz wyśpijcie się.

Resztę wieczoru spędził na pisaniu listu. Zawsze tak robił przed misją. Na koniec starannie wykaligrafował imię żony na kopercie i poszedł wręczyć ją Michaelsonowi, prosząc o przekazanie, gdyby stało się to najgorsze.

Miał za sobą już wiele takich pożegnań i za każdym razem słowa przychodziły mu z coraz większą łatwością. Za pierwszym razem przerażała go świadomość, że być może kreśli ostatnie zdania w swoim życiu, ale to było dawno temu i zdążył się już z tym oswoić. Czasami pragnął, żeby Margaret przeczytała choć jeden z tych listów - tylko po to, aby sprawdzić, jak zareagowałyby na treść. Ale ostatecznie za każdym razem po skończonej akcji odzyskiwał powierzoną komuś kopertę i palił ją.

Wiele rzeczy zmieniło się przez te wszystkie lata - jego uczucia także. Tak naprawdę tylko w Anvil Gate pisał szczerze, od serca. Cała reszta była jedynie mniej udaną kopią tamtych słów.

Dzisiaj patrzył zresztą na to inaczej. Nie wątpił, że pewnego dnia Margaret przekazałaby jego testament do muzeum pułkowego KPT. Dlatego zawsze starał się pisać jak najlepiej o swoich ludziach.

JEDENAŚCIE

Santiago jest wzorowym żołnierzem, jednym z najodważniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałem. Ale mimo jego wyjątkowych zasług i dokonań nie mogę zarekomendować jego osoby do awansu na stopień kaprala. Jego lojalność w stosunku do Feniksa może okazać się silniejsza niż lojalność wobec coc A nawet jeśli się myślę, jego decyzja dotycząca złożenia zeznań na temat wspomnianego Geara musi wzbudzać kontrowersje. Niemniej mimo sprzeciwu w kwestii awansu Santiago muszę prywatnie stwierdzić, że podziwiam jego hart ducha, dzięki któremu nie opuścił przyjaciela w tej trudnej dla niego sytuacji, będąc przy tym w pełni świadomym, jakie konsekwencje za tym idą.

PORUCZNIK JAMEK AMSTIN
OCENA DOKONAŃ OOMINICA SANTIAGO
KRÓTKO PO PROCESIE MARCUSA FENIKSA
PROWADZONYM PRZEZ SĄD WOJENNY

MAGAZYN ŻYWNOŚCI, NORTH GATE DZIEŃ

OBECNY, 14 LAT PO DNIU WYJŚCIA

Rany! - krzyknął Rojas. - Kto ci to zrobił? Stał na lądowisku i ze zdziwieniem przyglądał się wysiadającej z helikoptera Mataki, która miała podbite oko i rozciętą wargę.

- A jak myślisz, baranie? - odpowiedział za kobietę Dom.

Bez hełmu na głowie Federic wyglądał na jeszcze młodszego, niż był w rzeczywistości.

- Bernie chciała pogadać z Trutniem - wtrącił się Augustus. - Wiesz, tak od serca: o tym, co nas łączy, a co dzieli...

-I co? - dopytywał chłopak. - Bili się na pięści czy jak?

- Bardzo bym chciała, żeby to była prawda, ale muszę zaprzeczyć. Po prostu walnął mnie, a ja wbiłam piłę w jego cielsko.

- Kurczę, szkoda, że nie poleciałem z wami.

Kobieta poklepała go po ramieniu.

- Nie martw się, jeszcze będziesz miał okazję - powie działa i ruszyła w stronę wozów.

Hoffman wysiadł z Kruka ostatni i omal nie upadł na ziemię. Wyprostował się, chwając się na nogach. Stojący w drzwiach helikoptera porucznik Barber pokazał mu za jego plecami środkowy palec, ale kiedy się odezwał, w jego głosie dało się słyszeć troskę.

- Naprawdę uważam, że ktoś powinien na to spojrzeć, pułkowniku - stwierdził. - Ten opatrunek długo nie wytrzyma. Na pewno nie chce pan wrócić z nami?

-Jakoś przeżyję - mruknął mężczyzna. - Wracajcie lepiej do bazy.

Marcus nie podszedł, aby pomóc Hoffmanowi. Zrobił to za niego Cole. Wsadził rękę pod ramię pułkownika, tak że ten nie mógł się żadnym sposobem wyrwać z jego objęć. Potem zaprowadził go do Armadillo, posadził na stopniu przy drzwiczkach i wyjął z paska strzykawkę ze

środkiem przeciwbólowym. Zaszeleściło sterylne opakowanie.

- Chce pan, żebym ja to zrobił, czy poradzi pan sobie sam? - zapytał.

-Aż tak mnie nie boli. Schowaj strzykawkę, Cole. -Hoffman najwyraźniej czuł się zawstydzony całą tą sytuacją. Odsznurował but, podwinął nogawkę spodni i zaczął oglądać opatrunek. - Ten zastrzyk zrobisz sobie w tyłek, jak już nie będziesz w stanie wytrzymać z Bairdem w drodze powrotnej.

-Według rozkazu, pułkowniku. Damon faktycznie jest upierdliwy, ale czasami bardzo się przydaje.

-Gdzie jest Jack? Powinien już tu być.

Marcus przyłożył rękę do ucha, nasłuchując trzasków w słuchawce.

-Porucznik Stroud podaje nam kierunki - powiedział po chwili. - Sprawdza drogi odwrotu... Sporo Odrzuconych się tam kręci... Mamy też dwa zgłoszenia o aktywności Szarańczy, ale daleko stąd.

-Coś jeszcze?

-Na razie to wszystko, pułkowniku, ale Anya chce jeszcze sprawdzić kilka rzeczy. Ostrożności nigdy za wiele.

Dom spojrział na zegarek, a potem na niebo. Nadciągające zza horyzontu chmury oznaczały, że szybciej zrobi się ciemno. Z niechęcią pomyślał o jeździe po omacku. I o Kryllach, które pojawiały się w nocy. Od czasu użycia bomby lightmassowej spotykano je znacznie rzadziej, ale nie zmieniało to faktu, że natknięcie się na nie podczas powrotu mogłoby okazać się tragiczne w skutkach. Tutaj zresztą też nie mieliby większych szans. Przy takim tłoku

trudno byłoby znaleźć bezpieczne schronienie przed ostrymi jak brzytwa skrzydłami.

Z cichym trzaskiem włączyły się lampy łukowe i cały plac spowiła jasność. Światło - to najlepsza broń przeciw Kryllom.

Santiago ze zdziwieniem skonstatował, że od jakiegoś czasu nie słyszy kur. Na pół serio zastanawiał się, czy ptaki nie ostrzegały się nawzajem i dlatego zamilkły. Czyżby postanowiły pozostać w kurnikach w obawie, że jakiś bezwzględny człowiek pochwyci je za nogi i bestialsko skreci kark?

Sierżant Parry przeszedł zamaszystym krokiem koło rzędu samochodów i skierował się w ich stronę, spoglądając przy tym znacząco na zegarek. Po chwili przyspieszył kroku, a nawet zaczął powoli biec.

-Długo jeszcze? - zapytał Hoffman.

-Najwyżej pół godziny - stwierdził sierżant. - Pierwsza sekcja jest już gotowa do wyjazdu.

-Świetnie.

-Wszystkiego i tak nie załadowaliśmy. Tylko rzeczy z listy. No i kilka zapasowych części, tych najważniejszych. Nie wiadomo, czy jeszcze kiedykolwiek tu wrócimy.

-Dobra robota, Parry... Fenix, wóz na pozycję.

Dom wśliznął się na miejsce kierowcy i spojrzał na siedzącego obok Marcusa. Ciekawiło go, jak zniósł wszystkie te lata w więzieniu. Czy dostawał jakieś listy albo paczki? Od tygodni nosił się z zamiarem zapytania go o to, ale miał świadomość, iż minął zbyt krótki czas od uwolnienia, aby drażnić tak drażliwe tematy. Wystarczyło, że nagabywał Bernie, w kółko pytając ją o Carlosa.

„Po czterech latach spędzonych w więzieniu - pomyślał - nikt nie wychodzi na wolność bez szwanku. Zwłaszcza z takiego miejsca”.

-Myślę, że Bernie jest na mnie zła - powiedział, gdy czekali na Rojasę.

-Ona nigdy na nikogo nie jest zła. - Fenix wzruszył ramionami. - No, chyba że na Bairda.

-Pytałem ją już dwa razy o Carlosa. Obiecała, że wszystko mi opowie, i nic.

-Tak, słyszałem. - Marcus przez moment patrzył wprost przed siebie, a po chwili ponownie spojrzął na przyjaciela. -Jesteś pewien, że chcesz to wszystko od niej usłyszeć?

-Ty tego tematu unikasz. A ostatnio coraz częściej mnie to dręczy. Wiesz, jak to jest... Kiedy nagle zdajesz sobie sprawę, że być może zostało ci niewiele czasu... Chcesz wtedy ujrzeć ludzi, których wieki nie widziałeś, albo przynajmniej poznać ich losy...

-Tylko że ty jeszcze długo pożyjesz.

-Bernie była ze mną szczerą. Powiedziała, że to, co usłyszę, może mnie dotknąć. To już coś.

Marcus na moment wstrzymał oddech.

- On wyleciał w powietrze - powiedział w końcu. - Mam ci to opowiedzieć w szczegółach? Nie lepiej cieszyć się, że dostał Gwiazdę Embry? Gdyby nie pojawiła się Szałańcza, już dawno ktoś zrobiłby o nim jakiś pieprzony film. O nim i jego bohaterskich czynach...

Pokład wozu zadudnił i na tylne siedzenie spadł rozpromieniony Rojas. Dom był wściekły i aż chciało mu się wyć. Właśnie przerwano im rozmowę, na którą czekał od kilku długich lat.

- Przepraszam, chłopaki - powiedział Federic i wcisnął łeb pomiędzy przednie siedzenia.

Teraz gdy miał na głowie hełm, wyglądał dokładnie jak swój brat, Jan. Zmarły brat. I to było jeszcze bardziej frustrujące. Czy zmarli będą im dziś towarzyszyć cały dzień?

-Pomagałem właśnie Taiowi wyjechać Armadillo -ciągnął chłopak. - Jakiś cywil zastawił go podnośnikiem. Kurczę, myślałem, że Tai zje gościa żywcem, kiedy go znalazł.

-Mylisz się - Marcus na powrót przybrał swoją starą maskę. - Kaliso jest niegroźny. Nawet jeśli się komuś odgraża, to i tak całą agresję zostawia na Szarańczę.

Temat wcześniejszej rozmowy bezpowrotnie odszedł w przeszłość i Dom uświadomił sobie, jak ciężko mu będzie znaleźć następną taką okazję. Zastanawiał się, jak straszna musiała być śmierć brata. I jak bardzo różniła się od tego, co sobie wyobrażał przez ostatnie szesnaście lat.

-Baza do Deltę - w słuchawce zabrzmiał głos Anyi Stroud. - Namierzyłam Szarańczę. Jack robi rekonesans i właśnie nadzoruję jego działania. Miejcie oczy szeroko otwarte.

-Tak jest - odpowiedział odruchowo Santiago.

-Aha, chłopaki. Podobno dziś na kolację będą klopsiki. Mam nadzieję, że to was zmotywuje do powrotu. Pyszne, delikatne i smakowite...

-Żaden Truteń nie stanie Gearowi na drodze do jego klopsików - zażartował Dom.

-To rozumiem. Bez odbioru.

-Popatrz, popatrz - stwierdził Rojas z tylnego siedzenia. - Laska ma poczucie humoru.

-Znamy się nie od dziś.

-Rozuuumiem.

-Żadne „rozumem”, dobra?

Nie lubił, kiedy sugerowano mu zainteresowanie innymi kobietami. Dla niego zawsze liczyła się tylko Maria. Nikt inny.

Po dziesięciu minutach w słuchawce znowu rozległ się czyjś głos.

- Wyjeżdżaj, Santiago - rozkazał Hoffman. - Kierowcy samochodów, proszę pamiętać o odstępach. I żadnego za trzymywania się. W razie ataku zmieniacie kierunek i czekaliście na instrukcje. I żeby mi nikt nie wyłączał radia. Ani nie zaśmiewał eteru pogaduszkami. Bez odbioru.

Dom uruchomił silnik i ruszył w kierunku bramy. Niebo spurpurowiało, a lampy łukowe zdawały się świecić o wiele słabiej. Włączył reflektory.

Pamiętał Ephyre z czasów, gdy jej światła sięgały aż chmur. Łunę można było wtedy dostrzec z odległości kilku kilometrów. Teraz większość miasta *co* noc spowijały nieprzeniknione ciemności, zaś latarnie zapalano tylko przy głównych ulicach - a i to ledwie przez kilka krótkich godzin. Energia to dziś najcenniejsza rzecz.

Dom przyspieszył, a po kilku sekundach skręcił w jedną z uliczek pogrążonych w półmroku. Nawet tutaj, w tych wyludnionych zakamarkach miasta, cały czas rozglądał się i szukał Marii.

CENTRUM KONWOJU

Łydka piekła jak diabli, ale Hoffman nie narzekał. Musieli być czujni i skoncentrowani. Ból nie był zresztą najgorszą

rzeczą. Za każdym razem, gdy najechali na jakąś przeszkodę, Kaliso zerkał na niego przepraszająco i to rozsierdzało go jeszcze bardziej.

Pieczenie wciąż rosło i zaczynał żałować, że mimo wszystko nie wziął środka przeciwbólowego, kiedy była okazja.

„Stary dureń ze mnie” - pomyślał. „A gdybym zginął? Kto przejąłby dowództwo? Reid? McLintock? Każdy z tych dupków wykończyłby nas w ciągu miesiąca”.

Hoffman nie planował przechodzić do historii jako facet, który przyczynił się do upadku ludzkości. I nie pocieszał go wcale fakt, że potem i tak nie miałby go kto osądzać. Najgorsze, że nie był przecież wieczny, a wybór odpowiedniego następcy stawał się z roku na rok trudniejszy. Już teraz powinien zaplanować, komu przekazać dowództwo na wypadek swojej śmierci. Fenix świetnie by się nadawał do tej roli, gdyby nie jego gburowaty i popędliwy charakter.

„A może trzeba po prostu dać mu szansę?” - spytał się w duchu, jednocześnie odkrywając ze zdziwieniem, że po raz pierwszy nie patrzył na Marcusa jak na zdrajcę. „Co za gówno”.

Nigdy nie bał się pobrudzić sobie rąk, teraz jednak poczuł wyrzuty, że zostawił Feniksa w więzieniu na pastwę losu. Nawet psu skraca się cierpienia, a on nie potrafił zaoferować tej ostatniej przysługi człowiekowi, którego uznał za dezterera. W ostatnich dniach często myślał o śmierci. Rozważał nawet samobójstwo. Znał się na wojnie i wiedział, do czego to wszystko prowadzi. Kończyła się woda i jedzenie, a Szarańcza w każdej chwili mogła wyjść na powierzchnię i zadać ostateczny cios. Czyż ludzie nie zasługują na to, aby samymi decydować o swoim końcu? I czy miał

prawo pozbawiać Marcusa tego wyboru? Czy sam chciałby, aby mu go odebrano?

Pamiętał tamtą chwilę, kiedy musiał podjąć kolejną trudną decyzję. I swoje słowa: „Mamy wypuścić tych wszystkich gnojków? Włącznie z Feniksem? Nigdy. Dla mnie on może zgnić w tych lochach. Ja muszę myśleć o całej reszcie porządnym ludzi”.

Potem przeładował broń i poszedł rozwiązywać kolejny kryzys.

Nie powiedział wtedy tego wszystkiego z powodu jakichś zasad czy przemyśleń. Po prostu to była jedna z wielu decyzji, jakie musiał podjąć tamtego dnia. I do końca sam nie wiedział, dlaczego użył takich, a nie innych słów - jakby wypowiadał je nie on, ale ktoś inny, obcy. Ta kwestia dręczyła go od lat i wróciła ze zdwojoną mocą, kiedy zobaczył znów Feniksa, wysiadającego z Kruka zaraz po tym, jak z narażeniem życia uwolnił go z więzienia Santiago. Stali tam razem - lojalni przyjaciele - a on patrzył im prosto w oczy.

„A najgorsze jest to - stwierdził - że Fenix nadal chciał wtedy walczyć. Nawet po tym całym gównie, które go spotkało. Po tym jak kazałem go zostawić...”

Przez chwilę zastanawiał się, jak Dom postrzega swojego przyjaciela. Zapewne widzi w nim bohatera. A on?

„Dość! Zrobiłeś, co zrobiłeś” - zbeształ się. „Czasu nie da się cofnąć”.

Droga przed nimi ciągnęła się aż po horyzont. Żadnych podziemnych przejazdów, żadnych zakrętów czy ślepych uliczek. Do tego mieli nawet dobrą widoczność. Gdyby nie zniszczone budynki, okolica wyglądałaby jak jakaś zwyk-

ła zaniedbana dzielnica - i najpewniej taką właśnie była przed Dniem Wyjścia. Odrzuceni opierający się o mury lub siedzący na schodach wyglądali przyjaźnie. Pili, palili i bawili się, jakby to miała być ostatnia noc w ich życiu. Nawet wszystkie te wyciągnięte pięści z wyprostowanym palcem środkowym nie wydawały się groźne.

Tak nie wygląda zasadzka.

A jednak... Hoffman dostrzegł kątem oka, że Tai mocno zacisnęła palce na kierownicy. Sam również czuł napięcie. Uważnie rozejrzał się dookoła, wypatrując oznak zagrożenia. Nie dostrzegł żadnych śladów walki, a potrafiłby je rozpoznać na pierwszy rzut oka - uczono go tego, gdy jeszcze należał do rekrutów, i dzisiaj miał to we krwi. Ulice nie opustoszały, drogi nie zastawiały żadne pojazdy, a wokół nie działo się nic, co przykuwałoby uwagę. Ale mimo całego tego pozornego spokoju w środku aż mu krzyczało, że za chwilę stanie się coś nieuchronnego.

Kaliso prowadził jedną ręką, drugą zaś trzymał w gotowości na broni. On też miał wrażenie, że coś się święci.

- APC-jeden do wszystkich pojazdów - głos Fenixa za brzmiał w słuchawce. - Wyczuwamy wyraźne drgania.

To jeszcze nic nie znaczyło. Mógł się zawalić jakiś stary kanał ściekowy albo po prostu osiadały płyty tektoniczne wzruszone ostatnim wybuchem ich bomby. Znacznie poważniejszym sygnałem było znikanie z ulicy Odrzuconych. Hoffman ufał ich zwierzęcemu instynktowi bardziej niż jakiegokolwiek technologii. Choć urządzenia pomiarowe też potrafiły im czasem pomóc.

- Wóz dowodzenia do bazy - powiedział. - Stroud, od czuwamy drgania. Sprawdź źródło.

-Już się robi, pułkowniku. Jack jest kilka kilometrów przed kolumną. Wysłałam go z powrotem.

Anya miała inteligencję po matce. Wiedziała, że zasadzki mogą czaić się wszędzie. Wiedziała, że...

- Kurwa!

Krzyk w słuchawce był tak głośny, że Hoffman poczuł świdrujący ból w uchu. Nie miał pojęcia, który z kierowców zaklął. Żadnego potwierdzenia czy wskazówki.

- Cholerni cywile - rzucił do Taia. - Zero dyscypliny.

Kaliso wciąż utrzymywał prędkość. Jak wszyscy w wojsku, miał dwie zasady. Jeśli nie jedziesz w zasadzkę, jedź dalej. Jeśli jedziesz w zasadzkę, daj po hamulcach i szybko się wycofaj.

- Dwa-dwadzieścia pięć! Oberwaliśmy! Leżymy na da chu! - Te liczby mówiły, że to jeden z pojazdów na tyłach konwoju. - Kurwa, Szarańcza!

Hoffman usłyszał strzały w słuchawce, a potem ich echo odbijające się od budynków na zewnątrz. Doszło go też kilka eksplozji, jedna po drugiej, które brzmiały, jakby ktoś użył Boomshota. Zobaczył Jacka, który otworzył ogień na wysokości głowy - pocisk poleciał gdzieś za nich.

Ponieważ między samochodami utrzymywano dwudziestometrowe odstępy, cała kawalkada musiała mieć teraz jakiś kilometr długości, ale trudno było określić, gdzie dokładnie zatrzymał się pojazd 2-25. I czy znajdowała się tam jakaś boczna droga, w którą mogłyby wjechać podążające za nim wozy. Hoffman i inni kierowcy mogli zrobić tylko jedno - nasłuchiwać i czekać. Tylko Jack swoimi elektronicznymi oczami potrafił zorientować się w sytuacji. A Jackiem kierowała Anya.

- Stroud, co widzisz?

- Baza do dwa-dwadzieścia siedem. Kierujcie się w lewą stronę. Powtarzam, w lewą stronę. Wszystkie pojazdy w tyle: trzymacie się za dwa-dwadzieścia siedem.

„Wychodzi na to, że 2-26 też dostał” - pomyślał. „Dlatego Anya skierowała komunikat do następnego kierowcy”.

Jeśli Szarańcza planuje dostać się aż tutaj, powinni jak najszybciej zmienić trasę. Tyle tylko, że konwój powinien się wtedy cały czas poruszać, a oni teraz stali.

-Dwa-dwadzieścia siedem, mam tylko jednego robota i nie obejmę nim całego terenu. Informujcie mnie o swoim położeniu na każdym skrzyżowaniu, żebym mogła was pokierować.

-Baza, tu dwa-dwadzieścia siedem. Skręcamy w prawo na Parkway - głos należał do kobiety. Była wystraszona, ale skupiona na poprawnym podawaniu kierunków. Nieźle, jak na cywila. - To Trutnie, widzimy ich. Na przodzie jest czysto.

-Stroud, niech Jack nadal sprawdza teren - zarządził Hoffman, dając znak Kaliso, żeby zawrócił i pojechał na tył konwoju. - Cofamy się, żeby przyjąć z odsieczą. Jacyś ranni?

-Pojazdy dwa-dwadzieścia pięć i dwa-dwadzieścia sześć zatrzymały się. Są doszczętnie zniszczone. Dwa-dwadzieścia sześć stanął w ogniu. Widzę kierowcę i kanoniera... nadal w środku. Nie ruszają się. Dwa-dwadzieścia pięć... kierowca i kanonier nie żyją. Samochód przewrócony na lewą stronę.

-Na pewno nie żyją?

-Na sto procent - zawyrokowała Anya. - Totalna miazga.

Wierzył jej. Koordynatorzy z bazy zazwyczaj mieli dobry ogląd sytuacji dzięki kamerom podczerwonym robotów i wszystkim tym nowoczesnym bajerom.

W takich sytuacjach zawsze sprawdzały się podstawowe zasady. Jedna z nich mówiła: jedź do strefy zagrożenia i oczyść teren, co teraz oznaczało, że muszą rozwalić wszystkie cholerne Trutnie. I to właśnie zamierzali zrobić.

Hoffman wychylił się za siedzenie, sięgając po swój granatnik. Nie czuł już bólu, który wcześniej tak mu dokuczał. Adrenalina potrafi działać skuteczniej niż najlepszy środek przeciwbólowy. Przed sobą, po lewej, zobaczył rząd reflektorów samochodowych. Przygotował granatnik i wyciągnął rękę, aby unieść pokrywę kabiny Armadillo. Kiedy minął ich ostatni samochód, zaczęli spoglądać w dal, w ciemnościach nie dostrzegli jednak niczego poza płonącym 2-26.

- Pewnie ich już tam nie ma - stwierdził Kaliso. - Ale na pewno nie odeszli daleko.

Zatrzymali APC kilka metrów od wraku samochodu. W środku leżały martwe ciała, ale płomienie uniemożliwiały wyciągnięcie ich i zabranie ze sobą. Nieopodal w kałużach mazistej cieczy wałały się zwłoki Trutni. W pierwszej chwili Hoffman pomyślał, że to rozlany olej, ale kiedy podszedł bliżej, stwierdził, że to krew. Na moment oślepił go snop światła bijący gdzieś kilkanaście metrów dalej. To nadjeżdżający samochód zgodnie z zaleceniami Stroud właśnie skręcał w boczną uliczkę. Za nim ciągnął się szereg następnych ciężarówek.

Gdzieś na tej drodze, daleko w tyle, był także APC z Matakami, Bairdem i Cole'em w środku.

- Baza do konwoju, mamy Szarańczę na powierzchni. Horda idzie aleją prowadzącą do Parkway - powiedziała przez radio Anya. - Co najmniej trzydzieści osobników. Przeszukują budynki.

Kierowcy z pewnością słyszeli wyraźnie każde jej słowo. Hoffman miał nadzieję, że nie narobili jeszcze w gacie ze strachu i nie rozpierzchli się po bocznych ulicach. Jak dotąd, nieźle dawali sobie radę, a najważniejsze, że robili dokładnie to, co kazała im Stroud.

- APC-trzy do pułkownika - to był Baird. - Czy mamy zmienić kierunek i odwrócić uwagę tych śmierzdźli? Jeśli skręcimy w Canal Walk, możemy weisnąć się przed nich i przechwycić przy Rotundzie.

Kopanie tuneli zajmowało Szarańczy dużo czasu i zawsze traciła na to sporo energii - w przeciwieństwie do ludzi, którzy poruszali się na powierzchni. Jeśli więc tamci są tak zmęczeni, jak myśli, to mają całkiem przyzwoite szanse na zwycięstwo. Był tylko jeden problem: jak wykryć kogoś, kto porusza się także pod ziemią. Nie mieli ze sobą żadnego radaru ani rezonatora, więc śledzenie każdego ruchu Hordy było po prostu niewykonalne, a to oznaczało ryzyko. Może Trutnie chcą ich ściągnąć w pułapkę, zanim zaatakują pełnymi siłami?

Ale Baird często zdawał się myśleć jak Szarańcza.

-Tył konwoju jest czysty, pułkowniku - stwierdziła Anya.

-APC-trzy. Zmieńcie kierunek i zróbcie to, co proponowaliście - rozkazał Hoffman.

Żałował, że nie dysponuje większą ilością APC. Najgorsze, że każdego dnia, walka po walce, sprzęt powoli zamieniał się w złom, a moce produkcyjne COG nie pozwalały na

wymianę wyposażenia. Maszyny stawały w płomieniach lub psuły się w krytycznych momentach, a w ich miejsce nie pojawiały się nowe.

-Jedźmy na tyły - oświadczył, wsiadając do kabiny.
-Teraz jest odpowiedni moment, żeby działać. Rozprawimy się z nimi z obydwu stron.

-Tak jest, pułkowniku.

-Nie chcę pana martwić - w słuchawce odezwał się Marcus - ale jeśli Trutnie skierują się w prawą stronę, będą szły prosto na nas.

Kaliso ruszył z piskiem i manewrując Armadillo, omijał jadące w drugą stronę samochody. Nie było sensu zmieniać ich trasy, jako że konwój znajdował się za rzeką, a do tego miał pod sobą solidne granitowe podłoże. Jeśli Horda chciała się tutaj dostać, musiała przekroczyć most.

- Fenix - zawołał Hoffman do mikrofonu - nie pozwól im przejść na drugą stronę.

Ostatnie słowa nabierały wyjątkowego znaczenia, kiedy Dom Santiago znajdował się tak blisko, i w jednej chwili odżyły w nim stare wspomnienia. Przypomniwał sobie bohaterską śmierć Carlosa na Polach Aspfo, gdzie razem z Marcusem stawili opór, pozwalając jego komandosom dokończyć ich misję.

Może to zdanie miało takie samo znaczenie dla Feniksa? A może wcale nie? Hoffman dałby sobie jednak rękę uciąć, że dowódca Delty pomyślał dokładnie o tym samym.

Deska rozdzielcza rzucała słaby poblask, w której Kaliso wyglądał jak ucieleśnienie wszelkich koszmarów, jakie mogą obudzić się w człowieku. Metalowe kolczyki i tatuaże zmieniały go w jakąś obcą, przerażającą istotę. Mężczyzna nie odzywał się, tylko wpatrywał w drogę przed nimi. Gdy

dotarli do miejsca pierwszego ataku, zwolnili nieco i popatrzyli na wrak ciężarówki. Odrzuceni kłębili się wokół i usiłowali wymontować wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, a nie zostało strawione przez ogień. W sfoferce nadal leżały zwłoki dwóch emerytowanych Gearów w starych, podniszczonych mundurach.

„Ci bohaterzy już spłacili swój dług wobec ludzkości” - przemknęło Hoffmanowi przez głowę.

Nie powinni się zatrzymywać. To strata czasu, a do tego złamanie zasad. Ale jeśli Kaliso nie zahamowałby pierwszy, sam wydałby mu taki rozkaz.

- Proszę o pozwolenie na wyjście z pojazdu - mruknął cicho wyspiarz.

Powinni byli w tej chwili brać udział w akcji i bronić tych, którzy pozostali przy życiu. Obaj zdawali sobie z tego sprawę.

- Macie moją zgodę, żołnierzu.

Tai wziął w ręce granatnik z kolan pułkownika i powoli podszedł do ciężarówki, ruchem ręki odganiając od nich Odrzuconych. Hoffman wysunął się z kabiny i stanął na stopniu drzwiczek Armadillo. Broń trzymał w pogotowiu.

-Trzymajcie się z daleka! - krzyknął Kaliso. - Bezczescie poległych!

-To własność COG - dołączył się Hoffman w nadziei, że jego słowa przekonają jakoś tę bandę szumowin. - Ani kroku dalej, bo otworzę ogień! Jasne?

Tamci unieśli głowy i tępym wzrokiem spojrzeli na przybyłych. Zazwyczaj taki tekst działał, ale nie w każdej sytuacji. Tak jak tym razem, kiedy część dała za wygraną, a część nadal nie odpuszczała, nie przerywając wynoszenia z pojazdu niewielkich skrzynek. Jeden z Odrzuconych

nawet podszedł do zbiornika z kanistrem i próbował ściągnąć z niego resztki paliwa.

-Przecież to wszystko i tak jest pokryte jakimś gównem - powiedział. - Będziecie to żarli czy jak? My tu głodujemy. Zdychamy, rozumiesz?

-To jest mogiła - warknął Hoffman i przygotował broń do oddania strzału. - Wy głodujecie, a my ginimy.

Tłum rzucił się do ucieczki, szukając osłony przed ewentualnymi strzałami. I wtedy Kaliso wypalił z granatnika. Pocisk trafił w środek ciężarówka i płomień oraz chmura dymu wzbily się w powietrze. Odczekał jeszcze chwilę, zmarszczył brwi, a potem odwrócił się do budynku, do którego wbiegł Odrzucony z kanistrem.

-Jeszcze tu wrócimy - krzyknął w ciemność. - Spróbuj tknąć to miejsce swoimi parszywymi łapskami, a odstrzelę ci je, zanim zdążysz pomyśleć.

Tai wrócił na miejsce.

-Co to, do cholery, było? - spytał Hoffman.

-Tak jak pan powiedział, to mogiła - stwierdził, wiskając pedał gazu. - Kremacja jest najlepszym rozwiązaniem, pułkowniku. Czy będziemy mogli potem wrócić po poległych?

Tak naprawdę niewiele zostało z ciała, ale Hoffman doskonale rozumiał, że Kaliso nie chciał dopuścić, aby banda jakichś pasożytów przetrząsała ciężarówkę i profanowała zwłoki. Wysadzanie wszystkiego w powietrze wydało mu się dziwnym sposobem na okazywanie szacunku zmarłym, ale to podziało - Odrzuceni odeszli.

- Tak, możecie - odpowiedział Hoffman. - Nikogo nie zostawiamy. Żywego czy martwego.

Mówił szczerze. Traktował takie rzeczy jako obowiązek, z którego zawsze starał się wywiązać. W czasach takich jak te podobne zasady były towarem deficytowym. Równie ważnym jak chronienie tych, którzy liczyli na ich pomoc. Gdyby postępowali inaczej, czym różniliby się od Szarańczy?

Był w podobnej sytuacji nie raz. I do tej pory nigdy nie zawiódł.

APC NA CZELE KONWOJU, OKOLICE RZEKI

- Boże, jak ja tego nienawidzę - powiedział z niechęcią Dom.

Odgłosy dookoła, rozkazy Hoffmana i komunikaty z bazy były teraz jedynym źródłem wiedzy na temat sytuacji, w jakiej się znaleźli. Cały czas gryzł się, że miał tylko szczątkowe informacje, które musiał uzupełniać domysłami. Cała ta sytuacja przypominała mu jakieś dziwaczne słuchowisko radiowe z powycinanymi w połowie dialogami, przez co trudno zrozumieć sens całości. Słuchowisko, w którym wszyscy bohaterowie umrą, jeśli coś pójdzie źle.

-Jakie straty? - zapytał Rojas.

-Dwóch cywilnych kierowców i dwóch emerytowych Gearów. - Marcus studiował mapę leżącą na jego kolanach. - Plus kilka ton żywności.

-Dwa-czterdzieści pięć do bazy - w radiu odezwał się jakiś kierowca. - Mam problem ze skrzynią biegów. Coś cieknie. Kontrolki się zapaliły.

-Cholera. - Marcus nawet nie uniósł głowy. - On wiezie każdą z zaczynem fermentacyjnym. Pewnie przeciążył wóz.

-Możesz na chwilę stanąć? - usłyszeli głos Stroud.

-Nie - odparł kierowca. - Jeśli się zatrzymam, zablokuję drogę innym ciężarówkom. Mam ze sobą kilka cystern i APC.

Na mapie każda trasa mogła wydawać się przejezdna, ale od lat nie wyremontowano na obrzeżach Jacinto nawet ćwierć metra drogi. Szarańcza mogła zniszczyć nawierzchnię, a i okoliczne budynki mogły runąć i zatorować przejazd. Anya sugerowała się tym, co widziała na obrazach rekonesansu prowadzonego przez robota. Tylko dzięki Jackowi mogła podawać pozostałym nowe informacje o stanie przejezdności na poszczególnych odcinkach.

-Dwa-czterdzieści pięć, sto metrów za College Green jest skręt w prawo. Dostaniesz się tamtędy na pierwotną trasę i dołączysz do głównego konwoju - powiedziała. -Masz jak zawrócić?

-Spróbuję. Ten złom i tak zaraz padnie, więc nie mam nic do stracenia.

-Anya, możesz przekierować pozostałe wozy objazdem - wtrącił się do rozmowy Marcus. - Wtedy będziemy mogli przejąć załogę. Po ciężarówkę wrócimy później.

-Jeśli stanie gdzieś z boku, mogę spróbować naprawić tego rupiecia - zaferował Baird przez radio.

-No dobra, mogę tak zrobić - powiedział po chwili kierowca. - Wolałbym nie zostawiać wozu, bo te gnojki rozkradną wszystko, a każdą, którą wiozę, jest nam chyba nawet bardziej potrzebna niż myko.

-Powiedziałem, że ci to naprawię - wycodził przez zęby Damon.

-Widzę zakręt. To gdzie miałem dalej jechać?

-W porządku, dwa-czterdzieści pięć. Skręć w prawo przy College Green. Pozostałe samochody jadą prosto.

-APC-trzy, zmiana kierowcy - usłyszeli Bairda.

-Co ty wyprawiasz? - zapytał Marcus przez radio.

-Wysiadam, żeby pomóc dwa-czterdzieści pięć.

-Baza, przejmuję wóz - potwierdził Augustus. - Dupek dał mi kluczyki, ale powiedział, że mam być w domu przed północą.

Fenix uznał, że szkoda mu czasu na kłótnie z Damonem. Zwłaszcza że tamten miał rację. Jeśli ktokolwiek może naprawić tego rzęcha, to na pewno właśnie on.

-Nasz mechanik? Zatrzymał się, żeby pomóc? - zażartował Dom. - Dziwne... Czyżby ktoś go palnął w czaszkę i naprostował mu mózg?

-Wszystko słyszę, baranie...

-Aaa, już rozumiem - nie mógł się powstrzymać Cole.

-Damon chce się pochwalić swoim wielkim... kluczem.

Hoffman słyszał każde słowo.

- Zamknijcie się wreszcie! Pieprzycie jak przekupy na targu. Mówiłem, żeby nie urządzać sobie pogaduszek w eterze.

Dom dostrzegł światła po drugiej stronie mostu Timgad. Były dokładnie na wprost nich. Pierwsza ciężarówka niedługo dojedzie na miejsce, cała. Za jakiś czas będą mogli zawrócić i zająć się maruderami.

- Anya, jak wygląda sytuacja? - spytał.

-Jack zgubił Trutnie. Poruszają się wewnątrz budynków.

- Czy coś wskazuje, że idą w stronę mostu? - wtrącił się Marcus.

- Nie, jeszcze nie.

Tylko Trutnie. Żadnych Reaverów, Nemacystów, Berserkerów. Od wybuchu bomby lightmassowej nikt ich nie widział. Dom nie chciał zapeszać, ale wyglądało na to, że Szarańcza naprawdę powoli się wykrusza. Inna sprawa, że nie wierzył, iż znikną ot tak, z dnia na dzień. A oni z dnia na dzień nie tracą czujności.

- Baza, jedziemy w kierunku Rotundy - powiedział Augustus.

Niegdyś miejsce to było znanym centrum kultury - z galerią sztuki i dwoma muzeami zbudowanymi wokół ogromnego placu z muszlą koncertową. Często organizowano tu występy muzyczne i teatralne. Zamykano wówczas ruch uliczny, a mieszkańcy przychodzili tłumnie, korzystając z darmowych wejściówek. Dom nie przepadał za takimi imprezami. Wolał przechadzać się pobliskimi alejkami parkowymi i wypić piwo w jednym z tamtejszych lokali, w których jedna butelka kosztowała dosłownie krocie.

Teraz także było to idealne miejsce... żeby stoczyć tam walkę. Jeśli oczywiście Trutnie wyświadczą im tę przysługę i zdecydują się wejść na ten teren.

- Nie ma bata, muszą tamtędy iść - stwierdził.

W radiu rozległ się głośny pomruk silnika, a po chwili Bernie zakłęła. Najwyraźniej były zawodnik thrashballa przypomniał sobie czasy i wykombinował, że pojedzie jakimś skrótem, który przypominał tor przeszkód.

- APC-trzy, zbliżamy się do was od południa - odezwał się Hoffman. - Widzimy ich. Cholera, oni też nas widzą.

Powietrzem wstrząsnął wybuch.

- Ruszamy do was, pułkowniku - rzucił Cole. - Mataki stęskniła się za gotowaniem.

Santiago wiedział teraz dokładnie, co zazwyczaj musi czuć Anya. Serce waliło mu jak młotem i kłął w duchu, że nie może być tam, gdzie go potrzebują.

-Zaraz zwariuję, jak czegoś nie zrobimy - powiedział do przyjaciela.

-Mam sygnał od Jacka - odezwała się Stroud. - Trutnie jest coraz więcej. Nie widzę żadnych szczelin ani kopców, ale skądś muszą wylazić.

-Powinniśmy im pomóc. - Dom patrzył, jak mijają ich kolejne samochody. Słyszeli tylko warkot silników, który oznaczał, że misja dobiega końca. - Nie możemy tak tu beczynnienie siedzieć i czekać.

-Jeszcze piętnaście minut i wszystkie ciężarówki będą po drugiej stronie - powiedział Rojas. - To ich maksymalna prędkość, szybciej się nie da.

-Jestem przy dwa-czterdzieści pięć - do rozmowy włączył się Baird, dysząc, jakby dopiero co skończył bieć. -Uszczelka nawaliła. Mam tylko taśmę, ale zrobię, co się da. A potem... o kurwa!

- Tu dwa-czterdzieści pięć. Trutnie na horyzoncie. Są tuż przed nami - to kierowca 2-45, który sprawnie zaczął raportować sytuację.

Dom słyszał ciężki oddech Bairda, który wyraźnie coś kombinował. Potem usłyszał potężną eksplozję.

-Są wszędzie - stwierdził cicho Hoffman.

-Pułkownik, nie wydaje mi się, żeby chcieli zaatakować konwój - wyjaśniła Anya. - Ich celem jest... grupa Gearów. To zasadzka.

Anya miała rację i wszyscy to nagle zrozumieli.

-Jedziemy do nich - rzucił krótko Marcus. - Nie możemy ich tak zostawić.

Trutnie może i wyglądały na debili, ale miały swój rozum. Wiedziały, że tacy ludzie jak Hoffman i żołnierze z oddziału Delta szybciej będą kontratakować po napotkaniu zasadzki, niż uciekać. A to z kolei dawało im możliwość zastawienia kolejnej, jeszcze gorszej zasadzki podczas ich odsieczy.

Dom z piskiem opon zawrócił APC. Wyteżał wzrok, by nie przegapić pomiędzy rzędami samochodów skrót do Rotundy i College Green. Obydwa te miejsca były zaledwie kilka przecznic dalej. Reszta konwoju nie zmieniała trasy.

-Zostań na miejscu - powiedział Hoffman. - Kurwa, Fenix, czy ty kiedykolwiek trzymałeś się jakiegoś planu?

-Anya powie nam, jeśli będziemy tu potrzebni - odparł Marcus.

-Skąd te gnojki wyłażą? - zapytał Dom.

Mówiąc to, na chwilę zapomniał, że wszyscy słyszą każde jego słowo. Ale to działało w obie strony, więc Santiago także słyszał każde przekleństwo i każdy krzyk, który rozbrzmiewał teraz w radiu. I czuł złość, że nie mógł zrobić nic, by to powstrzymać.

-Już to przerabiałem - dodał po chwili Fenix, mówiąc raczej do siebie niż do Hoffmana. -I nie popełnię tego samego błędu drugi raz.

DWANAŚCIE

Nigdy nie spotkałem żołnierza, który sam siebie uważałby za bohatera. I powodem tej wstrzemięźliwości wcale nie jest jakaś fałszywa skromność. W swoim mniemaniu po prostu wykonują tylko rozkazy. Sumiennie i z oddaniem. Robią to dla towarzyszy broni, bo dobrze wiedzą, że jeśli odpuszczą sobie choćby na ulamek, zawiodą ich na całej linii. Dla Gearów poczucie obowiązku jest silniejsze niż strach, a fakt, że postrzegamy to jako coś nadzwyczajnego, nie świadczy o nas najlepiej. Gdybym mógł wybierać, chciałbym żyć w świecie, który zaludniają tylko tacy ludzie - nie mielibyśmy wtedy żadnych wojen.

GENERAŁ JOLYON IVER
DOWÓDCA SIL LĄDOWYCH COG

CNV POMEROY, KILKADZIESIĄT KILOMETRÓW

OD WYBRZEŻY OSTRI

4 GODZINY PRZED OPERACJĄ „NIWELATOR”, 16 LAT WCZEŚNIEJ

Kabina przypominała jedną z tych ulicznych kapliczek pełnych zdjęć i palących się świec, które ludzie naprędce ustawiają po trzęsieniu ziemi albo po innym kataklizmie. Z tą różnicą, że tutaj na ścianie nie wisały fotografie

zabitych i zaginionych, ale wciąż żyjących pracowników ośrodka UIR.

Hoffman starał się zapamiętać rysy twarzy każdego z nich. Kiedy już tam dotrą i wejdą do środka, wołał mieć pewność, że zdejmą właściwe osoby. W milczeniu spoglądał naukowcom prosto w oczy.

„Będę musiał zabić cywili” - pomyślał. „Kolejny raz”.

Nie brzmiało to dobrze, ale zdawał sobie sprawę, że za późno już na wątpliwości. A może nie? Nie dowie się tego, dopóki nie stanie przed tymi wszystkimi ludźmi.

Ktoś zapukał we framugę drzwi. To Bai Tak, który przyszedł do niego z parującą filiżanką.

- Sah mówi kawa, więc ja mieć.

Cudaczny sposób wyrażania się górali z Pesang zawsze wszystkich niepomnie dziwił, ale Hoffman zdążył się już do niego przyzwyczaić.

- Dziękuję, sierzancie - powiedział.

Młody żołnierz podszedł do majora i wyciągnął rękę, w której trzymał spodek.

-On martwić tym? - spytał, spoglądając na ścianę.

-Może.

Na fotografiach widniały także kobiety. Zawsze był wobec nich uprzejmy, ale nie miał złudzeń co do ich charakterów. Wiedział, że często są o wiele bardziej zdeterminowane niż mężczyźni i że potrafią zabijać z zimną krwią. Tak jak Stroud, która pokieruje grupą Gearów podczas operacji.

- Od dziecka uczono mnie przestrzegania zasad. Także w walce. A morderstwo łamie je wszystkie jednocześnie.

-Jeśli tak brzmi, to głupie - stwierdził bez ogródek Bai Tak. Jego oddział składał się z samych nowych rekrutów,

których cog starannie wyszkoliła, robiąc przy okazji porządne pranie mózgu.

- Mylisz się. One są wszystkim, co teraz mamy. Prawie wszystkim.

-Ja widzi inaczej, sah. Jeśli jakiś ma pistolet, ja strzelam, ukrywam albo mówię. Ale gdy ono trzyma broń, co wybija miliony, trzeba zabić. Zabić, nim ono zabije świat.

Hoffman przyznał mu w duchu rację. Ten młody chłopak ujął wszystko w o wiele prostszy sposób, niż jemu kiedykolwiek by się to udało. Określił niebezpieczeństwo i szukał najprostszych rozwiązań na jego wyeliminowanie. Tymczasem on analizował dziesiątki przepisów, regulacji prawnych i politycznych podstaw, które usprawiedliwiałyby tak drastyczne posunięcie jak rozstrzelanie cywili. To pewnie dlatego górale z Pesang uważani byli za urodzonych komandosów. Ich doktryna głosiła: zrób to, co musisz, i nie czekaj, aż ktoś cię ubiegnie. Brzmiało to barbarzyńsko, ale miało swój bardzo praktyczny sens.

„I pomyśleć, że to jak powiedziałem kiedyś Adamowi Feniksowi, żeby porzucił sentymenty" - przemknęło mu przez głowę.

- Ma pan absolutną rację, sierżancie - rzucił na głos. - Moim zadaniem jest przede wszystkim chronić cog i jej ludzi. Moralne dywagacje zostawmy na później.

Bai Tak wzruszył ramionami.

- Tamci szczęśliwi - odparł - że satelity zabijają ludzi i nie martwić o swoje dusze. Sah musi też. Chociaż jeden trzymać odwagę.

Hoffman dopił kawę kilkoma szybkimi haustami i oddał pustą filiżankę góralowi, który wyszedł z kabiny, po-

gwizdując. Został sam. Czuł się o niebo lepiej niż przed kilkoma minutami. Wrócił do zdjęć personelu ośrodka. Settile mówiła, że wszyscy oni wyróżniają się wybitnymi umiejętnościami. Tacy jak oni szybko nie znajdą godnych następców. Jeśli w ogóle znajdą.

„Bettrys... Ivo... Meurig...” - wymienił w myślach nazwiska osób, które jako jedyne miały ocaleć z całego tego grona i które zostaną dostarczone na Pomeroya.

Zamknął oczy i starał się przypomnieć sobie najbardziej charakterystyczne cechy trzech naukowców. A może teraz wyglądają zupełnie inaczej? W końcu były to tylko fotki z ich identyfikatorów. Przez moment zastanawiał się, czy poznałby sam siebie, gdyby bazował wyłącznie na wizerunku ze swojej przepustki.

„Ustawimy ich w rzędzie” - zdecydował. „Tak na wszelki wypadek. A potem będę widział, co robić...”

Spojrzał na plan sytuacyjny i zaczął oceniać czas potrzebny na przedostanie się do budynków mieszkalnych. Jeszcze raz przypomniał sobie podstawowe założenia:

Komunikacja - zniszczyć anteny.

Zasilanie - zostawić generator nietknięty, żeby nie uruchomić procedur zabezpieczających i zapewnić robotom dostęp do systemu komputerowego.

Pracownicy - trzech eskortować na Marliny, resztę zlikwidować.

Na całą operację mieli najwyżej godzinę. Nie było czasu na niespodzianki. Najważniejsze, żeby nie zostawili żadnych danych, które pozwoliłyby na odbudowanie projektu.

„Jutro o tej porze będzie już po wszystkim” - pomyślał. „A może będę martwy?”

Przez pokładowy interkom wezwano załogę lądowiska, która miała przyjąć nadlatującego Kruka. Hoffman zignorował ten komunikat i dalej analizował przebieg misji. Krok po kroku odtwarzał w wyobraźni kolejne etapy ataku. Zerknął na wiszący na ścianie zegar, odliczając czas do ostatniej odprawy. Za jego plecami ktoś znowu zapukał we framugę drzwi.

- Majorze - powiedział szef łączności - agentka Settile

i profesor Fenix są już na pokładzie. Kapitan Michaelson pyta, czy przyjdzie pan do ich kabiny?

-Jak to: na pokładzie?

- Mają dokonać oceny materiałów, które uda się panu zdobyć. Tu, na miejscu. Nie możemy polegać na transmisji danych przez satelity. Rozumie pan, w przypadku problemów technicznych cała operacja stanęłaby pod znakiem zapytania.

Tak, to jedyny sposób, aby być pewnym, że zdobyli to, czego szukali - i muszą to potwierdzić, zanim jeszcze opuszczą wybrzeża Ostri. A to, czego nie uda im się zdobyć, muszą zniszczyć.

- Daj mi pięć minut - poprosił Hoffman.

-Jeszcze jedno, majorze. Chodzi o faksogram dla jednego z pańskich ludzi, niejakiego... Dorna Santiago. Jego żona urodziła wcześniej, niż się tego spodziewano, ale dziecko czuje się dobrze. Co mam z tym zrobić?

- Daj mi to - odpowiedział.

Przeczytał wiadomość i schował dokument do kieszeni. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, aby przekazać tę informację dopiero po akcji, jednak z drugiej strony wizja Dorna umierającego w nieświadomości, że ma córkę, nie należała do najprzyjemniejszych.

„Zdecyduję później, co z tym zrobić” - obiecał sobie.

Settile i Fenix porządkowali kabinę, przerabiając ją na bazę operacyjną. Na podłodze stał rząd małych metalowych skrzynek z czarnymi uchwytami, a na stole leżały sterty papierów i teczek. Michaelson milczał, ale każdy mięsień jego twarzy zdawał się krzyczeć: „Tylko spróbujcie mi porysować ten cholerny blat”.

-Pogoda jest fatalna - stwierdziła Settile, widząc Hoffmana w drzwiach. - Czy w tych warunkach, majorze, decyduje się pan kontynuować operację?

-Wydałem już rozkazy.

-Najważniejsza jest opinia załóg Morskich Kruków -wtrącił Michaelson. - Jeśli potwierdzą, że będą w stanie rozmieścić Marliny, wchodzimy do akcji. Dalyell uzależnia od tego swoją zgodę.

Hoffman spojrział na zegar.

-Cholerni politycy, zawsze muszą mieć ostatnie słowo -powiedział. - Dobrze, czekamy w takim razie do ostatniej chwili i na miejscu zdecydujemy. Jeśli pogoda się nie poprawi, a oni nadal będą twierdzić, że mogą lecieć, ruszamy.

-Pamiętajmy przy tym, majorze - odezwał się Fenix -że Ostri nie kupi drugi raz tego samego numeru. Mają swój własny wywiad i prędzej czy później zorientują się, co planujemy.

-Wiem o tym, profesorze. Gdyby to było możliwe, posłalibyśmy komandosów helikopterami do samego ośrodka, ale odległość jest za duża, a nie możemy dołożyć więcej paliwa kosztem ładunku.

-Jeśli już pan o tym mówi - czy kompania C wraca na Kalonę po zakończeniu misji?

- Taki jest plan.

-W takim razie chciałbym zobaczyć się z synem, jeśli to możliwe.

-Z tym, proszę, nie do mnie - zastrzegł Hoffman, ale zaraz dodał, nie chcąc wywoływać niepotrzebnych sprzeczek. -Jestem jednak pewien, że odpowiedni dowódca będzie w stanie coś zaaranżować.

Przez kilka sekund zastanawiał się, co takiego naukowiec miał do powiedzenia Marcusowi i dlaczego nie mogło to poczekać do ich powrotu do Ephyry. Przypomniał sobie o faksogramie, który nadal czekał zwinięty w jego kieszeni. Stwierdził, że to dobry moment, żeby zebrać ludzi i porozmawiać. Zacznie od wiadomości dla Dorna Santiago.

CNV KALONA, GDZIEŚ NA PÓŁNOCNYM WSCHODZIE OD CNV POMEROY

Ostatnia odprawa miała odbyć się niezależnie od warunków pogodowych, ale wcale się na to nie zapowiadało.

Krótko po zachodzie słońca wiatr się wzmógł i Kaloną kołysało na wszystkie strony. Carlos jeszcze nie odczuwał symptomów choroby morskiej, ale słysząc innych Gearów przewracających się na kojach i biegających jeden po drugim do ubikacji, bał się, że zaraz sam puści pawia. Zwłaszcza kiedy dobiegały go odgłosy rzygania. Na razie jednak się trzymał i sam był tym zdziwiony.

Z zaskoczeniem stwierdził, że kiedy zamknął oczy lub wpatrywał się w jeden punkt, kołysanie zdawało się tak nie dokuczać.

Ścianę koło jego koi pokrywały suche, małe placki kleju. Poprzedni załogant przykleił tu całe mnóstwo zdjęć, a po-

tem, po zakończeniu swojej misji, zabrał je ze sobą. Santiago mógł się jedynie domyślać, kogo przedstawiały. Dziewczyny? Żony? A może mężów? Kobiety też służyły w wojsku.

„Jesteśmy już spóźnieni” - pomyślał. „A może z powodu sztormu odwołano akcję?”

Zerknął na zegarek. Wyznaczona godzina spotkania dawno już minęła. Po dwudziestej drugiej zarządzono ciszę nocną i większość ludzi z kompanii C - to znaczy ci, którzy akurat nie rzygali - drzemała. Carlos słyszał ich ciężkie pochrapywania, przerywane raz na jakiś czas krzątaniem za drzwiami. Był świadomy, że długo to już nie potrwa. Najdalej za cztery godziny, podczas przypływu, załoga opuści Kalonę i skieruje się na plażę w Aspho.

Od jakiegoś czasu nie mógł pozbyć się wrażenia, że okręt kręci się w kółko. Zupełnie jakby rzucił kotwicę i krążył na uwięzi, niczym jakaś wielka karuzela. Wiedział, że to niemożliwe, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy. W istocie był zielony, jeśli chodzi o morskie podróże. Podczas ćwiczeń przekazano mu ledwie garść podstawowych informacji, a to za mało, by móc ocenić w takich momentach, co się naprawdę dzieje.

Nagle usłyszał czyjeś kroki. Jakiś mężczyzna podszedł do jego koi i szturchnął go w ramię.

- Szeregowy Santiago? - spytał półszepem. - Carlos Santiago?

-Tak.

-Wiadomość z Pomeroya. Masz siostrzenicę, Sylwię Carłę.

- Rany, super - na moment zapomniał o swoim żołądku.

Biedna Maria. Urodziła wcześniaka, a jej mąż był daleko, gdzieś na środku oceanu. Jak on teraz.

-Mogę skontaktować się z Domem? - zapytał.

-A kto to jest?

-Mój brat. Ojciec dziecka.

-Niestety, wydano ścisły zakaz nawiązywania łączności, z wyjątkiem spraw dotyczących operacji. Sam się dziwię, że przysłali ci tę wiadomość z Pomeroya. Ale... zobaczę, co da się zrobić.

-Dzięki, stary. Jeśli dasz radę, powiedz mu, że... że stawiam piwo. Albo nie, dwa.

Marynarz wyszedł. Koją nad Carlosem zaskrzypiała i znad krawędzi łóżka wychynął Marcus, zwisając głową w dół.

-No, no, gratulacje, wujku - powiedział i po przyjacielsku klepnął go w ramię. - Misja świetnie się zaczyna. To dobry znak.

-No właśnie, wujku Marcusie. Jesteś w rodzinie, jeśli dobrze pamiętam.

Okazało się, że paru z tych, którzy nie rzygali, też nie spało.

-Hej, Santiago - krzyknął ktoś z drugiego końca mesy.

-Twój mały braciszek drugi raz zapylił?

-Tak, tym razem to dziewczynka.

Nie minęło kilka sekund, a rozległy się chichoty dochodzące niemal z każdej koi:

- Pewnie Dom wie wszystko o pieluchach.

-Jasne, sam ich jeszcze używa.

- Tym komandosom dają zdecydowanie za dużo wita min.

- Santiago, czy wy przypadkiem nie zamierzacie spłodzić swojej małej rodzinnej armii?

Lampki nad drzwiami zaczęły migać na przemian. Ktoś chrapanął cicho, a zaraz potem odezwał się interkom:

-Inżynierowie LCT proszeni są do przepompowni. Oddziały desantowe przygotowują się do zejścia na pokład hangaru po dalsze instrukcje.

-Czy to już? - spytał Carlos.

To była ostania rzecz, o jakiej teraz marzył. Czuł się szczęśliwy i pragnął celebrować tę chwilę jak najdłużej. Sama świadomość, że miałyby za chwilę wskoczyć do morza i brnąć w lodowatej wodzie ku plaży, powodowała, że żołądek podchodził mu do gardła. Obawiał się tego bardziej niż samej walki.

Zawsze istniała możliwość, że niepostrzeżenie zejną na ląd i nie dojdzie do wymiany ognia.

- Nie - odpowiedział mu sierżant Kennen. - To znaczy, że czekamy na sygnał. Pogoda jest do dupy. Nie możemy wysłać barek w taki sztorm. I z góry uprzedzam pytanie: nie, nie wiem, jak długo będziemy tu jeszcze siedzieć.

Nikt głośno nie narzekał, ale nie obyło się bez szemrania. Nikt nie miał pojęcia, jak wyglądała ich obecna sytuacja, a nawet gdyby miał, i tak nie potrafiłby zrobić z tego użytku. Wiedzieli tylko, że jeśli nie zmieszczą się w oknie czasowym, będą musieli czekać na następny przypływ. A to oznaczało kolejne dwadzieścia sześć godzin na morzu.

-Boże, nie mam już czym rzygać - odezwał się jakiś zachrypnięty głos. - Nie wytrzymam jeszcze jednego dnia, sierżancie.

-Wsadzisz sobie korek i po sprawie, synu - powiedział Kennen i skierował się do wyjścia. - Ktoś jeszcze ma prób-

lemy? Jeśli tak, niech natychmiast zgłosi się do punktu medycznego po lekarstwa. Nie chcę, żeby jakieś odwodnione dupki potopiły mi się podczas desantu. To nie wyglądałoby ładnie w moich papierach.

Jak na sygnał, w mesie zakotłowało się. Stłoczeni przed drzwiami pobladli żołnierze kolejno wypadali na korytarz. Kiedy zrobiło się luźniej, Carlos wysunął się ze swojej koi i zaczął zakładać buty. Marcus zeskoczył na podłogę obok.

- Czy ty kiedykolwiek zdejmiesz to coś z głowy? - zapytał Santiago. - Bez kitu, raz widziałem, jak brałeś prysznic z tą chustą na głowie.

Tamten przesunął dłonią po czarnym materiale.

-Po wojnie - oświadczył poważnym głosem.

-Mam nadzieję, że Stroud jest dzisiaj nabuzowana i nie wycofa się z akcji. Chcę już to mieć za sobą.

-To nie zależy tylko od niej. Ale jeśli nie zrobimy tego dzisiaj, Indie zyskają kolejny dzień i w końcu domyśla się, dokąd płyniemy. A wtedy wszystko pójdzie się ciąć.

-Myślisz, że twój tata zna szczegóły tej operacji?

-Prawdopodobnie. - Fenix miał nieobecny wzrok, który oznaczał, że analizuje wszystko n-ty raz. - Zresztą jakie to ma znaczenie?

Ale Carlos widział, że jego przyjaciel tylko udaje obojętność. Rozumiał też, że profesor był związany tajemnicą i po prostu nie mógł niczego zdradzić synowi. A nawet gdyby mógł, co miałby mu powiedzieć? I co by to zmieniło?

- Najważniejsze, że przyszedł cię pożegnać - stwierdził.

Od ostatniej ich wizyty hangar pokładowy zmienił się nie do poznania i z trudem znaleźli wolne miejsce, żeby

usiąść i posłuchać ostatnich instrukcji. Ci, którzy w porę nie zajęli krzeseł, tłoczyli się teraz pomiędzy skrzyniami oraz Morskimi Krukami, których dla ochrony przed sztormem nie wystawiono na zewnątrz.

- Pani major, czy będziemy używać helikopterów? - za pytał Marcus.

Stojąca obok Helena Stroud właśnie upinała włosy, trzymając niedbale swój hełm między kolanami.

- Owszem, jeśli zajdzie taka potrzeba - odparła. - Jeste śmy tylko wsparciem, więc pewnie nie będzie źle. Ale jeśli coś pójdzie nie tak, te maszyny mogą się nam przydać.

Każda kobieta, kiedy była uzbrojona po zęby, wygląda ła zupełnie jak facet. Ochroniacze na klatce piersiowej ukrywały wszelkie krągłości i wcięcia, a reszta rynsztunku - zwłaszcza potężne buty - powodowała, że porusza ła się w typowy dla Gearów, nieco ociężały sposób. Rzadko spotykano je na polu walki. Głównie dlatego, że skrupu latnie sprawdzano, czy są w stanie zrobić wszystko to, co potrafią mężczyźni. Carlos uważał, że to całkiem rozsąd ne podejście. Co ważniejsze, każdą kobietę, która potrafi ła by go pokonać w walce wręcz, traktował z szacunkiem. I nie miał wątpliwości, że major Stroud bez trudu by go załatwiła.

- Słuchajcie, ludzie - krzyknęła, a jej głos natychmiast przerwał rozmowy zebranych w hangarze żołnierzy. - Na dał czekamy na raport ze służb meteorologicznych, ale ja jestem gotowa ruszyć nawet w takich warunkach, jeśli tylko dostaniemy zielone światło. Kiedy przybędzie Mer rit w towarzystwie eskorty, zacznie ostrzeliwać wybrzeże Ostri przy Berephus. To da nam czas na dopłynięcie bar kami w pobliże plaży i rozpoczęcie desantu.

- Pani major - ktoś podniósł rękę - ze sprzętem, który posiadamy, nie odeprzemy ataku z powietrza.

Stroud nałożyła na głowę hełm. Wyglądała teraz zupełnie jak jedna, a raczej jeden z nich - nie licząc insygniów wojskowych, które najprawdopodobniej chciałby mieć każdy z obecnych tu Gearów.

- Nie będą tak głupi - stwierdziła - żeby niszczyć własne instalacje. Jeśli przeprowadzimy wszystko zgodnie z planem, nie damy im szansy na powstrzymanie nas. A potem sami znajdą się w trudnej sytuacji i będą musieli uważać podwójnie. Bo to ich ośrodek badań, a nie nasz. Kiedy skończymy, bez względu na to, czy osiągniemy wyznaczony cel, czy nie, wycofujemy się, a nasze siły zrównają to miejsce z ziemią. Wszystko jasne?

W sumie prosta sprawa. Tak samo jak zarobienie kulki w łeb. Carlosowi przez chwilę przyszło na myśl, że to może być jego ostatnia misja w życiu, ale zaraz otrząsnął się z tego. Będzie, co będzie. Stanął za Marcusem w kolejce do windy, która miała ich zawieźć na odpowiedni pokład. Kiedy zamknęły się jej drzwi, uznał, że to właśnie moment, w którym operacja „Niwelator” się zaczęła.

Na dole czekały na nich cztery barki desantowe. Stojąc w ich pobliżu, obserwowali światła sygnałowe obok zamkniętej wciąż rampy. Fale uderzały o statek, wydając głuchy, złowieszczy dźwięk, i zdawało się, że siedzą w ogromnej, pustej puszczy, która zaraz zostanie zgnieciona przez jakąś niewidzialną siłę.

-Wszystko w porządku? - szepnął Marcus, który wcisnął się między Carlosa i sierżanta Kennena.

-Nie, nie w porządku - odpowiedział Santiago. - Ale będzie, gdy już znajdziemy się na plaży.

Carlos czuł, jak wzbiera w nim przerażenie na myśl o zanurzeniu się w wodzie. Na suchym łądzie szanse na przeżycie zawsze są większe. Można uciec, skryć się, czołgać. W morzu tylko się tonie. Bez jednego wystrzału, bez walki.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Spotkamy się na brzegu. A potem na statku, kiedy już wrócimy.

W sumie Marcus miał rację. Nie ma się co przejmować. Stoczył już tuzin walk i jeśli wtedy dał radę, to teraz też się uda.

Oddziały rozmieszczono na barkach. Stroud zajęła miejsce obok Mataka. Rozmawiając z nią, energicznie potrząsała głową, a potem sięgnęła dłonią do słuchawki w uchu, jakby kontaktowała się z kimś przez radio. Nagle odwróciła się, spojrzała w górę i pomachała ręką komuś, kto stał na niewielkiej metalowej antresoli zamontowanej pod sufitem na drugim końcu pomieszczenia. Carlos nie musiał tam spoglądać, aby wiedzieć, że osobą tą była córka major. Trzymając się jedną ręką metalowej poręczy, Anya dała matce znak, że wszystko jest dobrze, i zniknęła za metalowymi drzwiami.

- Biedne dziecko - skomentował Kennen.

Santiago ponownie spojrzał na zegarek. Teraz albo nigdy. Fale przyływu pomogą im dostać się na brzeg znacznie szybciej. W przeciwnym razie będą musieli się zmagać z cofającą się falą i wylądują w miejscu, gdzie czeka ich przeprawa przez błotną równinę.

- Wyływamy! - krzyknęła Stroud. - Wyływamy, lu dzie!

Światła przygasły, a rampa zaczęła powoli opadać - coraz niżej i niżej. Wzburzone morze wdarło się do pomiesz-

czenia z ogłuszającym hukiem. Mataki powiedziała coś do stojących obok wyspiarzy i wszyscy ryknęli śmiechem. Cokolwiek to było, Carlos nie miał pojęcia, co ich tak mogło rozbawić. Woda zalała już cały dok i cztery barki wpłynęły prosto w przerażającą ciemność.

Skierowali się w stronę lądu.

Spojrzał w tył, ale ledwie udało mu się dostrzec kontury statku. Za to za każdym razem, gdy barka znajdowała się na grzbiecie wysokiej fali, widział światła na brzegu. Było dokładnie tak, jak sobie wyobrażał - no, może poza milionem zimnych, słonych kropel, które jak igły wbijały się w twarz i zalewały oczy. Bryza, która wystrzeliła zza burty, zalała mu usta i zakrztusił się. O tak, zdecydowanie poczuje ulgę, kiedy już postawi nogę na suchym lądzie.

- Cholera, no to się zaczęło - powiedział głośno Fenix.

Carlos wyciągnął szyję, ale nie udało mu się zobaczyć nic poza bezkresem morza. I właśnie wtedy jego oczy poraził jasny błysk światła, który aż odbił się od chmur. To ostrzał prowadzony z Merit.

-Dasz radę, Dom - powiedział do siebie.

-Tak, Dom, pokaż im, co potrafisz - dokończył Marcus.

MORSKI KRUK SR-4467, NIEOPODAL WYBRZEŻA OSTRI

- Koniec wycieczki - powiedział pilot. - Bawcie się dobrze. Do zobaczenia w mesie.

Szalejący dookoła sztorm zagłuszał nawet warkot silnika śmigłowca i Dom musiał mocniej przycisnąć słuchawkę do ucha, żeby w ogóle cokolwiek usłyszeć.

Byli dwa kilometry od wybrzeża. Kawał drogi, ale gdyby polecili dalej, mogłoby zabraknąć paliwa na powrót do Pomeroya.

Przez całą drogę pilot trzymał reflektory włączone i nawet teraz, kiedy opuszczał rampę, nie zapalił ich, nie przejmując się, że helikopter może znaleźć się w złej pozycji i nabrać zbyt wiele wody. Dom za wszelką cenę nie chciał utonąć. Tak jak nie chciał zginąć od kuli czy w jakikolwiek inny sposób. Nie w obecnej sytuacji.

„Mam córkę” - pomyślał. „Moją małą Sylwię. Kiedy wrócę, wezmę ją w ramiona i będę tulił bez końca. I na pewno już więcej nie zostawię Marii. Razem wychowamy nasze dzieci”.

- Cholera, dlaczego po prostu nie skoczmy na spa dochronach. Potem wrócilibyśmy piechotą do Tyrusu i po sprawie - Benjafield wrzeszczał z całych sił, chcąc przez krzyczeń warkot rotoru, wycie wiatru i szum morza. - Hej, stary! Wszystko w porządku?!

Cho Ligan, drugi sternik, który w razie czego miał zastąpić Malcolma, wyszczerzył zęby i wyciągnął pięść z kciukiem uniesionym do góry. Santiago zastanawiał się, czy istnieje na świecie coś, co byłoby w stanie przestraszyć Geara z Pesang. Do tej pory nigdy nie widział u nich najmniejszych oznak bojaźni. To dobrze, jeśli miał podejmować ryzyko, chciał robić to z najlepszymi.

„Jesteśmy komandosami. Możemy wszystko. Tak jak ten świr w kabinie...”

- Dalej - powiedział pilot. - Ruszajcie, zanim was wypchnę.

Motorówka zaczęła ześlizgiwać się w morze. Benjafield chwycił mocno za ster, a pozostali komandosi opuś-

cili nisko głowy. Oprócz Dorna i Malcolma w łodzi siedzieli jeszcze Hoffman, Bai Tak i ośmiu górali. Timiou, Morgan i Young razem z resztą żołnierzy z Pesang zostali przydzieleni do drugiego Marlina i lecieli w osobnym Kruku.

Kiedy barki znalazły się już w wodzie, obydwie helikoptery wzbily się i po kilkunastu sekundach zniknęły na horyzoncie. Sztorm ciągle szalał, a upiorne wrażenie potęgowały panujące dookoła ciemności. Założyli noktowizory, ścierając ze szkieł gogli smużki, które rzeźbiły drobne krople. Gdzieś w oddali zamajaczyły słabe światła.

- To właśnie Punkt Aspho - powiedział Hoffman. - Jak tam nasze położenie, Benjafield?

- Jesteśmy w zaplanowanym punkcie, majorze.

Kiedy dotarli do starego kanału i wpłynęli w jego koryto, wiatr nieco zelżał. Albo tak im się wydawało. Poza tym poruszali się o wiele szybciej niż na wzburzonym morzu. Zaczumowali Marlina przy opuszczonej przystani, wyładowali materiały wybuchowe i uruchomili roboty. Frank, Bruce i Joe unieśli się natychmiast w powietrze, rozkładając swoje manipulatory i zastygając w oczekiwaniu na polecenia. Gdyby nie kontrolki, które rozpały się bladym światłem, automaty byłyby kompletnie niewidoczne.

Hoffman wyglądał, jakby ciężar jego plecaka miał go zaraz wbić w ziemię. Nie był w tym zresztą odosobniony. Nikomu nawet do głowy nie przychodziło, żeby pochyłać się lub kucać, ryzykując utratę równowagi.

- Czas zarobić na żołd - powiedział Hoffman, manipulując przy radiu przymocowanym na piersi. - Czyściciel do Obrońcy, jesteśmy na pozycji.

- Tu Obrońca - odezwała się Stroud. - Zajęliśmy plażę. Kierujemy się na most.

Ruszyli truchtem w stronę ogrodzenia okalającego ośrodek. Dom nie miał zielonego pojęcia, przed kim miałyby chronić ta metalowa siatka - cała okolica zdawała się kompletnie wyludniona. W dodatku za płotem znajdowało się ledwie kilka podniszczonych dwupiętrowych domów z cegły, stojących na cementowym podłożu gdzieś pośrodku podmokłego i gąbczastego terenu, zaś nieco dalej rozciągał się niewielki parking zastawiony kilkoma starymi samochodami. Biorąc pod uwagę kiepskie środki bezpieczeństwa, obskurne zabudowania i ogólną nijakość całej placówki, można było podejrzewać, że mieści się tutaj co najwyżej jakaś podupadła stacja meteorologiczna. I z pewnością UIR chciała, żeby tak właśnie myślano. Nikt zresztą nie oczekiwał, że zastanie nad bramą wielki, kolorowy neon: „Produkcja bomb, zapraszamy”.

Jak dotąd, Intel spisał się na medal. Żadnych niespodzianek. Wszystko zgodnie z planem.

Metalowy maszt radiowy, który łączył Punkt Aspno ze światem, stał na tyłach budynków. Przymocowano do niego także coś, co przypominało zwykłą antenę telewizyjną.

-Jeśli ktoś z ochrony ogląda teraz transmisję meczu -szepnął z uśmiechem Benjafield - nawet nie zauważy, że weszliśmy.

Rozdzielili się. Pierwsza grupa ruszyła w stronę głównego wejścia, zaś Morgan z sześcioma góralami i robotem poszli poszukać tylnej furtki do ośrodka. Podczas takich akcji zawsze warto myśleć o planie B, nawet jeśli brama otwarta jest na oścież.

Timiou dał znak jednemu z dwóch pozostałych robotów, który zaraz do niego podleciał.

- Frank, otwieraj zamek - rozkazał.

Kilka sekund później usłyszeli ciche kliknięcie w zamku elektronicznym i obydwie skrzydła bramy uchyliły się bezgłośnie.

-Jeśli dalej też pójdzie tak łatwo - powiedział Dom -będę niepokieszony.

Ale wiedział, że to tylko początek. Tego rodzaju misje nigdy nie szły zgodnie z planem i jeszcze wiele się mogło zdarzyć.

Weszli na teren ośrodka, a Timiou kazał Frankowi na powrót zamknąć bramę na zamek. Wiatr gwizdał między budynkami, a gdzieś w oddali trzaskały uchylone okiennice. Mieli idealne warunki - naturalne odgłosy zagłuszały każdy ich krok.

-Niebieski-jeden, jak tam u was? - spytał Hoffman.

-Prawie jesteśmy na miejscu, majorze - wysapał Morgan. - ok, dotarliśmy. Wchodzimy.

Dom najbardziej nienawidził czekania. Uniósł wyżej swojego Lancera, poprawił gogle i wychylił się zza rogu. Nieopodal dostrzegł parę świecących oczu. Domyślił się, że to kot, który ukrył się pod kontenerem na śmieci, jednak sama świadomość, że ktoś na niego patrzy, sprawiła, iż przeszedł go dreszcz. Dowódca drugiej sekcji cały czas ciężko dyszał w słuchawce.

-Jesteśmy przy maszcie radiowym - powiedział.

-Szukamy generatora... Jest... Bruce, włącz światła na zewnątrz...

Santiago spodziewał się, że przygaśnie tylko kilka latarni, ale robot okazał się niezawodny i cały teren pokryły ciemności. Genialne, jeśli nawet ktokolwiek z obsługi zauważy awarię, z pewnością zwali to na pogodę, a oni właśnie zyskali przewagę.

Budynek mieszkalny postawiono równolegle do wybrzeża, dzięki czemu większość okien wychodziła wprost na morze. I nic w tym dziwnego, nawet naukowcy lubią piękne widoki. W słoneczny dzień z pewnością było tu całkiem ładnie. Ale zaraz przestanie być.

- W porządku - powiedział Hoffman. - Ja i Czerwoni przeczesujemy kwatery. Santiago i Zieloni pilnują wejścia frontowego i przygotowują roboty. Morgan i Niebiescy rozmieszczają ładunki. Benjafield i Cho zostają na czujce.

Domowi nigdy nie przyszłoby na myśl, że major traktował ich misję wyłącznie jako sprawdzian swoich umiejętności. Razem z nimi, niczym jeden ze zwykłych komandosów, miał strzelać do bezbronnych ludzi. Takie wyzwanie z pewnością wymagało od niego wiele wysiłku. Już prędzej sprawdziłaby się tu Matak. Snajperzy postrzegali świat inaczej. Musieli.

- Ruszamy - powiedział Hoffman, otworzył drzwi kopniakiem i wpadł do środka.

TRZYNAŚCIE

Fizycznie komandosi niczym nie różnią się od przeciętnego obywatela - chyba że ostro trenowali w wojskowej siłowni. Za to psychicznie stanowią zupełnie odrębny gatunek. Uczymy ich, że są w stanie osiągnąć wszystko, i po ukończeniu szkolenia święcie w to wierzą. Dla nich nadrzędną wartością jest zaufanie do rozkazów i wytrwałość w ich wykonywaniu. I właśnie dlatego nasi komandosi są wyjątkowi.

PUŁKOWNIK KIMBERLEY ANDERS
SZEFSZKOLENIAKOMANDOSÓWPODCZASWYSTĄPIENIA
PRZEDKOMISJĄCOG, WYRAŻAJĄCPOPARCIEOLAIDEI
STWORZENIAZAWODOWYCHSIŁSPECJALNYCH

BUDYNEK MIESZKALNY, PUNKT ASPHO
OPERACJA „NIWELATOR”. 20 MINUT PO PRZYBYCIU NA MIEJSCE

Wolałbym być pod ostrzałem" - pomyślał Hoffman. „To przynajmniej miałoby jakiś sens". Gdy przemierzał z Czerwonymi korytarz budynku i sprawdzał każde drzwi, ostatnią rzeczą, jaką chciał ujrzeć, był nieuzbrojony, przerażony człowiek. Przez chwilę nawet pragnął, aby wchodząc do kolejnego pokoju, natknąć się na grad kul. Wiedział dokładnie, co robić w takich sytuacjach - nie raz już to przeżył. Ale nie łudził się, że dojdzie

do tego tutaj, w ośrodku. Naukowcy nie mieli broni, a on będzie musiał ich zabić. Znał rozkazy. Wszyscy je znali. Rozmawiał o tym z Settile, która nie miała żadnych wątpliwości, rozmawiał także z Adamem Feniksem, który przedstawił mu powagę sytuacji - jednak teraz nie czuł w sobie tej samej determinacji co wtedy i zastanawiał się, czy naprawdę będzie umiał rozstrzelać tych wszystkich ludzi.

Kolejny kopniak.

Drzwi stały otworem i jego oczom ukazało się pomieszczenie rozświetlone bladą poświatą bijącą od okien. W pokoju stały regały uginające się od książek. Biblioteka? Jak dotąd, wszystko szło zgodnie z planem. Informacje przekazane przez Intel zgadzały się z rzeczywistością. A to oznaczało, że sypialnie znajdowały się gdzieś po lewej stronie - dziesięć pokoi umieszczonych po obu stronach korytarza.

„Podstawowa obsługa mieszka pewnie w ośrodku na stałe, a naukowcy na weekend wyjeżdżają do domów. Ale teraz jest zwykły dzień...”

Hoffman nie wiedział, gdzie mieszkali poszczególni pracownicy. Nie musiał. Najważniejsze, żeby znalazł Meuriga, Ivo i Bettrysa. Pozostali się nie liczyli.

Wiatr na zewnątrz cały czas wyl - posępnie, wręcz złowieszczo. W oddziale nikt się nie odzywał. Komandosi polegali jedynie na mowie ciała. Zachowywali się tak samo jak podczas ćwiczeń. Byli świadomi, że nawet najmniejsza pomyłka może wszystko zniweczyć.

Na lewo - poinformował gestem jeden z górali.

Według planu sporządzonego przez wywiad znajdowały się tam podwójne drzwi z prostym, wpuszczanym zamkiem.

Gdy Hoffman sunął wzdłuż korytarza, w pewnej chwili w soczewkach jego gogli błysnął krótki refleks. To kamera ochrony - w obecnej sytuacji bardziej paradoksalna niż niebezpieczna. Czy nikt, do cholery, nie słyszał tu przeszukiwania pokoi? Może po prostu nie zdawali sobie sprawy z zagrożenia? Cywile często byli nieświadomi takich rzeczy. Nawet ci, którzy konstruowali najgroźniejszą na świecie broń.

Odwrócił głowę. Bai Tak i reszta stali po obu stronach korytarza. Za przeszklonymi drzwiami panował spokój.

Trzy, dwa, jeden...

Teraz!

Góral wyważył nożem zamek i cały oddział wparował do środka. W pomieszczeniu podniósł się wrzask, tak bardzo kontrastujący z poprzednią ciszą. Leżący w łóżkach ludzie wyraźnie byli przerażeni nagłym wtargnięciem intruzów, a oślepiające ich diody celowników laserowych jeszcze bardziej potęgowały ich strach. Twarze komandosów zdawały się mówić: „Jesteśmy gotowi na wszystko”.

Wywlekli pracowników na korytarz i ustawili ich rzędem pod ścianą. Hoffman przyglądał im się po kolei, wspomagając się latarką. Uważnie wpatrywał się w twarze kobiet i mężczyzn, którzy najwyraźniej nie mieli pojęcia, co się działo. Widział ich zalęknione oczy, w których nie znajdował ani krzty woli walki. Błdzi, niemal sini, znajdowali się na granicy paniki - oślepieni ostrym światłem latarek, otoczeni grupą uzbrojonych po zęby żołnierzy, którzy krzyczeli do siebie i na nich.

„Tak trzeba” - pomyślał. „Inaczej jakiś bohater uruchomi alarm i dobranoc, Ephyro...”

Nie wyglądali na ludzi, którzy zdają sobie sprawę, jak niebezpieczną broń budują.

- Z powrotem do pokoju - zarządził. - Szybko. Musiemy ich zidentyfikować.

Gdyby nie okoliczności, Hoffman mógłby zachować się zupełnie inaczej. Tych, którzy stanowili zagrożenie, kazałby rozstrzelać na miejscu, zaś pozostałych zamknąłby w pokoju i zastanowił się nad ich losem później. Jednak tę operację zaplanowano zupełnie inaczej. Oprócz danych musiał znaleźć także personel najwyższego szczebla i dostarczyć na Pomeroya, a to wiele zmieniało.

Jedenastu naukowców w piżamach zagnano z powrotem do pokoju i kazano im położyć się na podłodze, twarzą do dołu. Nieubłaganie zbliżał się moment, w którym komandosi mieli dokonać najtrudniejszego wyboru w ich życiu. Czy sprostatą temu zadaniu? Czy on sprosta?

- Nazwiska - warknął Hoffman. - Rozumiecie, co do was mówię?

Nie wiedział, czy znają tyrański. Spora część obywateli UIR posługiwała się jego językiem, ale ci tutaj mogli być wyjątkiem.

- Ty - trącił butem pierwszego z brzegu mężczyznę - zacznij od siebie.

- Kim wy jesteście? - zapytał tamten.

A więc rozumieli go.

-Ja tu zadaję pytania - powiedział twardo.

Po kolei podchodził do jeńców. Czekał na trzy słowa: Meurig, Ivo i Bettrys. To wszystko, czego potrzebował -dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Słuchając obco brzmiących nazwisk, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu,

że nie będzie potrafił zabić tych wszystkich ludzi z zimną krwią. Właściwie mógłby kazać ich związać, a gdy zakończą misję, po prostu puścić ich wolno. Zanim jeszcze zacznie się bombardowanie z Petreli, które zrówna to miejsce z ziemią. Adam Fenix zapewne pomyślałby, że to miłosierdzie, ale tak naprawdę to jedynie sucha kalkulacja.

- Mauris Ivo - powiedział ktoś leżący pod ścianą.

Bai Tak podniósł go i przytrzymał, świecąc latarką prosto w twarz. Tak, to on, ten sam człowiek co na zdjęciu - w średnim wieku, z brodą, ale nieco bardziej wychudzony. Hoffman skinął głową, a sierżant przekazał mężczyznę w ręce innego górala, który go natychmiast skuł i wyprowadził z pomieszczenia.

Pułkownik wrócił do przesłuchania. Rozpoznawał kilku pracowników. Było nie było, godzinami gapił się na fotografie w swojej kabinie i analizował każdą zmarszczkę, każdy pieprzyk, każdą bliznę. Wciąż jednak nie mógł znaleźć dwóch pozostałych naukowców.

Kiedy zidentyfikowali Colluana Bettrysa, okazało się, że przytył kilkanaście kilogramów i był całkiem niepodobny do człowieka ze zdjęcia, które dostarczył Intel. Jego również wywlekli na korytarz. Reszta w milczeniu czekała na rozwój wypadków, wciąż leżąc na podłodze. Wiedzieli na razie tylko tyle, że są rozdzielani i że ich życie wisi na włosku. Ktoś zaczął histerycznie płakać.

Następna w kolejce kobieta nie odpowiadała na pytania. Przyjrzał jej się. Przypominała nieco poszukiwaną, ale wyglądała znacznie młodziej.

- Gdzie jest Anna Meurig? - spytał ostro Hoffman.

- Nie ma jej tu - dziewczyna dała w końcu za wygraną. - Wyjechała.

Do tej pory wywiad nie zawodził, ale przecież trudno oczekiwać, żeby jego analitycy przewidzieli wszystkie okoliczności i zdarzenia, jakie mogły ich spotkać.

-Sierżancie - zwrócił się do Baia Taka - przeszukać jeńców i zatrzymać wszystkie dowody tożsamości. Potem przekażcie imiona i nazwiska do centrum operacyjnego i spytajcie, czy zadowolą się kimś, kto nie był w planie?

-Dobra. Jestem jej córką - krzyknęła dziewczyna z zaciętą miną. - I tak nie dorwiecie mamy. Jest daleko stąd, skurwysyny.

Hoffman odetchnął - wreszcie coś miał. Meurig zapewne będzie bała się o swoje dziecko.

-Dobrze, więc zamiast niej weźmiemy ciebie - oświadczył. - Sierżancie, zabezpieczcie teren, zwiążcie pozostałych, a tych troje zabierzcie na Marliny.

-Co z nami zrobicie? - dopytywał się wrzaskliwie Bettrys szamoczący się na korytarzu. -Jesteśmy zakładnikami?

-Spokojnie - odpowiedział Hoffman, wychodząc do niego. - Zaoferujemy wam nową pracę. Bardzo atrakcyjną, jeśli zgodzicie się kooperować. Zresztą nie macie chyba wyboru.

Zabrał ze sobą dwóch górali i pobiegł do Niebieskich, aby osobiście nadzorować rozkładanie ładunków wybuchowych. Nie było to jakoś wyjątkowo skomplikowane zadanie - mógł je wykonać pierwszy lepszy policjant. Choć on pewnie nie wysadzałby obiektów mieszkalnych.

Zmierzając na tyły budynku, przeanalizował sytuację i ocenił, że jak na razie wszystko idzie jak po maśle. Dobrze to zaplanował.

„Do tej pory nie musiałem nikogo zabijać” - stwierdził w duchu. „I nadal nie muszę. Czy czuję się z tym lepiej?”

- Co reszta, sah? - zapytał Bai Tak.

Hoffman jeszcze raz spojrzął na swój zegarek. Dziewięć minut. Tylko dziewięć minut minęło od momentu, w którym przeszli przez bramę.

- Zabierz ich do budynku głównego. Gdy pozyskamy dane i przygotujemy ładunki, puścimy ich wolno i powie my, żeby pobiegli tak daleko, jak tylko potrafią.

Dlaczego nikt się jeszcze nie zorientował, że coś było nie tak? Jak to możliwe, że UIR tak łatwo dawała się wodzić za nos? A może Młot Świtu wcale nie był tym, za co go wszyscy uważają? Może jego przejęcie nie odwróci biegu historii, jak twierdzą Dalyell i Fenix?

- Nic lepszego nie mogę im zaoferować - dodał, zanim Bai Tak odszedł. - Niech się cieszą, że dostają choć taką szansę.

Naprawdę nie mógł ich zabić. A najgorsze, że do końca swoich dni nie będzie wiedział, czy to była słuszna decyzja.

PUNKT ASPHO, BUDYNEK GŁÓWNY. ZIELONI

A więc te wszystkie opowieści o góralach z Pesang mówiły prawdę?

Kiedy kilka sekund temu robot otworzył drzwi zabezpieczone kodem, Dom pierwszy wparował do pogrążonego w półmroku lobby, stając twarzą w twarz z pracownikiem ochrony ośrodka. Trzydziestoletni, misiowaty mężczyzna, ubrany w niebieski uniform, miał przy sobie jedynie pałkę i wyglądał zupełnie niegroźnie. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Shim Kor wyciągnął maczetę i przeciął nią powietrze z szybkością błyskawicy. W pomieszczeniu rozległ się głuchy świst, przypominający dźwięk wydawany przez metalową łopatę wyciąganą gwałtownym ruchem z mokrej ziemi.

Santiago stał przez chwilę jak wryty, a potem z obrzydzeniem odwrócił wzrok od rozplatanego gardła i już tylko usłyszał, jak strażnik, krztusząc się i rżąc, upada z łomotem na podłogę.

-Ja pierdolę - wydusił z siebie Timiou, odskakując od rozlewającej się po podłodze kałuży krwi.

Shim wytarł ostrze o zwłoki, a potem dał znak, że będzie zabezpieczał schody prowadzące na piętro. Dom wydał polecenie robotom, żeby im towarzyszyły, a następnie wskazał Georgowi jeden z dwóch korytarzy. Według informacji z Intelu na parterze mieściły się warsztaty, magazyny oraz serwerownia, ale nie podano im dokładnego układu pomieszczeń i musieli to sprawdzić na miejscu.

Przez jedno z uchylonych do połowy drzwi biła biała, migocząca poświata - zbyt duża, jak na lunę rzucałą przez komputerowe kontrolki. Już prędzej pochodziła od telewizora, na którym ktoś oglądał jakiś film. Tyle tylko, że wciąż nic nie było słychać. Podeszli bliżej. Timiou uniósł swojego Lancera, gotowy w każdej chwili do otwarcia ognia. Dom także przyszykował się na ewentualny atak.

Czasami o wszystkim decydują ułamki sekund i wolał nie ryzykować. Inna sprawa, że jak na razie nie napotkali żadnego oporu.

„Co tu się, cholera, dzieje?” - pomyślał. „Żadnych zabezpieczeń, żadnej ochrony, nie licząc tego biedaka na korytarzu... Może cała ta operacja to jedna wielka pomyłka?”

Podniósł rękę i zaczął liczyć.

Trzy... dwa... jeden... ruszamy!

Gdy wpadli do pokoju, ujrzeni młodą kobietę oglądającą jakiś serwis informacyjny na dużym ekranie telewizora stojącego w rogu. Siedziała na fotelu, tyłem do nich, z nogami położonymi na niskim stoliku. Najpewniej nie chcąc nikogo obudzić, wyłączyła wcześniej dźwięk, korzystając jedynie ze słuchawek. Nic dziwnego, że nawet nie zauważyła ich obecności.

Na ekranie pokazywano migawki z ataku na Berephus. Przez chwilę Dom poczuł się nieswojo. Gdzieś tam toczono inną, pozorowaną batalię, która mieszkańcom Ostri zapewne wydawała się przerażająca, dla niego jednak była niczym więcej jak zwykłym, dobrze wyreżyserowanym filmem akcji.

Podszedł do kobiety i stając na wprost, przyłożył jej lufę Lancera do głowy. Nie krzyczała - tylko niemo poruszała ustami i wpatrywała się w niego przerażonym wzrokiem. Miał na sobie gogle, więc nie mogła zobaczyć jego twarzy, ale wiedział, że to właśnie dzięki nim wyglądał jeszcze groźniej. Chwycił ją za sweter i przycisnął do oparcia fotela.

- Kto jest w budynku oprócz ciebie? - syknął. - Macie jakąś dodatkową ochronę?

-Nie zabijaj mnie, proszę, nie zabijaj... - szeptała dziewczyna.

Szarpnął ją i podniósł do góry, używając tylko jednej ręki.

- Wyjmij to cholerne gówno - krzyknął zirytowany.

Posłusznie wyciągnęła słuchawki z uszu, choć wątpił, aby słyszała jego słowa.

„Bez nerwów, Dom” - uspokajał się w duchu. „Jesteś dobrym i miłym facetem. Nie grozisz kobietom ani ich nie zabijasz. To wszystko robi ktoś inny”.

- Funkcja i nazwisko - rzucił krótko.

Kobieta była nieprzytomna ze strachu, więc kiedy Timiou podszedł do niej od tyłu, o mało nie zemdląła. Z trudem łapała oddech, nie mogąc oderwać od nich oczu.

-Jestem... jestem... z obsługi technicznej - wyjąkała.
-Debrah Humbert. Czego ode mnie chcecie?

- To mi wygląda na serwery - stwierdził Georg, wskazując na rząd komputerów pod przeciwległą ścianą. - Niech się pani nie denerwuje, to tylko ćwiczenia. Musimy być przygotowani na każdą ewentualność. Gdzie wasza ochrona?

„Psiakrew, co on wyprawia?” - zaniepokoił się Dom. - „Tego nie było w planie”.

Przez chwilę obawiał się, że takie podejście zmieni przesłuchanie w farsę, ale ostatecznie postanowił nie przerywać towarzysowi. Debrah kompletnie nie zarejestrowała faktu, że mówili po tyrańsku, więc mogło się udać. A nawet jeśli zarejestrowała, to widać uznała, że to część ćwiczeń i że po prostu doskonale udawali żołnierzy cog? W sumie to nieistotne - najważniejsze, że uwierzyła w historyjkę Timiou.

- A niech to - powiedziała nieco już spokojniejszym głosem. - Zazwyczaj mamy dwóch strażników, a drzwi do

serwerowni są zamknięte od środka. Wszystko zgodnie z regulaminem. Po prostu nie zaczęliśmy jeszcze produkcji, więc czasami pozwalamy sobie na trochę więcej luzu.

„Cholera, czy to oznacza, że nie dostaniemy tego, po co przyszliśmy?”

-Przepisy są po to, żeby ich przestrzegać - oświadczył poważnym tonem Timiou, który najwyraźniej coraz lepiej wczuwał się w swoją rolę. - Zawsze i wszędzie.

-Wiem, wiem. Powinniśmy się bardziej postarać, ale to w końcu tylko serwery zapasowe.

„O w mordę, tego też nie było w planie”.

- Kopie są tak samo ważne jak oryginały, proszę pani - powiedział Georg z kamienną twarzą. - Dlatego muszą być równie dobrze chronione, czego tu, niestety, nie za uważam.

Debrah przybrała pozę osoby głęboko urażonej.

- W Osigcor nie jest lepiej, a to przecież wojsko.

„Jaki Osigcor, do diabła?”

- Oprowdzi mnie pani? - zapytał uprzejmie Timiou, jakby umawiał się na randkę, i ujął ją delikatnie pod łokieć. - Mój towarzysz dopilnuje w tym czasie, żeby nasz robot porządnie sprawdził zabezpieczenia serwerów.

Przepuszczając kobietę w drzwiach, spojrział przelotnie na Doma, ten zaś w lot zrozumiał plan kompana. Kiedy został w pokoju sam, wydał dyspozycje Frankowi, a potem sięgnął do radia, chcąc skontaktować się z Kaloną. Zanim to jednak nastąpiło, w słowo wszedł mu Hoffman, który musiał słyszeć całą ich rozmowę z Debrah na otwartym kanale.

- Czyściciel do sztabu. Co to jest Osigcor? Powtarzam, co to jest Osigcor?

Settile odezwała się niemalże natychmiast:

-To skrót nazwy korpusu, który stacjonuje na północ od was, w Peraspha.

-Dziękuję. I jeszcze jedno. Wychodzi na to, że mamy tutaj tylko kopie zapasowe projektu. Całość trzymają w tym... Osigcor.

-No to pięknie - skwitowała agentka po długiej chwili milczenia. - Siedzimy po uszy w gównie.

-Dokładnie tak.

- Co teraz?

Hoffman chrząknął.

- Mamy dwóch z trojga naukowców, a Niebiescy właś nie kończą podkładać ładunki. Michaelson, słyszysz mnie? Czy Petrele na Merit są gotowe do startu?

-Tak - potwierdził kapitan. - W każdej chwili możemy ich użyć. Przy okazji, kazałem także postawić w stan gotowości powietrzne jednostki desantowe.

- Majorze, za chwilę rozpoczniemy pobieranie danych - wtrącił Santiago.

Z napięciem obserwował robota, który przez cały ten czas krążył pod ścianą i podłączał się do kolejnych portów. Poczuł ulgę dopiero wtedy, gdy w końcu zatrzymał się przy jednym z serwerów i wydając z siebie cichy terkot, znieruchomiał.

-Wreszcie - ucieszył się. - Frank, ładowanie i kaszowanie.

-Czyściciel, gdzie jest trzecia osoba, którą mieliście przechwycić? - zapytała Settile. - Nie żyje?

-Żyje, ale nie ma jej w ośrodku. Dorwaliśmy za to córeczkę. Mamusia na pewno przyjmie naszą ofertę, kiedy jej własne dziecko ją o to poprosi.

- Cieszę się, że myślimy tak samo... Dobrze, zastanowimy się tutaj nad zbombardowaniem Osigcor. Dajcie znać, kiedy będziecie gotowi do odpalenia ładunków. Bez odbiuro.

Robot wciąż unosił się przy wybranym przez siebie serwerze. Dom uznał, że w niczym nie przyspieszy przeszukiwania plików, i wyszedł na korytarz. Już z daleka usłyszał łkanie, a po chwili dostrzegł Timiou, który prowadził rozdygotaną Debrah. Nie był już tak uprzejmy jak wcześniej. Wszystko wskazywało na to, że kobieta zobaczyła leżącego w kałuży krwi strażnika i zrozumiała, iż wcale nie bierze udziału w żadnych ćwiczeniach.

Georg wrzeszczał jej prosto w twarz. Chciał, żeby mu zdradziła, czy mają jeszcze jakieś kopie zapasowe i gdzie się ukrył drugi pracownik ochrony. Krzyk z tej odległości zazwyczaj łamał nawet mężczyzn, ale tym razem przynosił wręcz odwrotny skutek.

-Proszę powiedzieć mi wszystko, co chce wiedzieć - odezwał się Santiago najspokojniej jak potrafił. - To miejsce za kilka minut wyleci w powietrze i lepiej, żeby nie było pani wtedy w pobliżu.

-On miał dwoje dzieci - wydukała, wciąż szlochając.

-Co one teraz zrobią bez Natana? Nie musieliście go zabijać, skurwiele!

„Ja też mam dwoje dzieci” - pomyślał. „I zamierzam wrócić do nich żywy. Bez względu na to, ilu takich Natanów stanie mi na drodze”.

Znał się na żołnierce jak mało kto. Potrafił zastawić pułapkę na przeciwnika, szybko go obezwładnić i związać, a jeśli trzeba - jednym ruchem złamać mu kark, ale postępowanie z cywilami przekraczało jego umiejętności.

Zwłaszcza kiedy miał do czynienia z kobietami. Nawet nie wiedział, jak się zabrać do takiego przesłuchania. Już wolalby zmierzyć się z kimś takim jak Stroud.

- Dobra, olać ją - powiedział do Georga i ruszył do łob by, mając w pamięci schody prowadzące na piętro. - Sam przeszukam budynek.

„Cholera, co ja się tak przejmuję?” - utyskiwał na siebie, wbiegając po stopniach. „Nie jesteśmy w przedszkolu. Ci ludzie produkują broń masowej zagłady”.

Na górze znajdowała się jedynie olbrzymia hala biurowa, która teraz tonęła w półmroku. Dwa pozostałe roboty krążyły od jednego stanowiska do drugiego, raz na jakiś czas zatrzymując się przy wybranych komputerach. Wyglądało to tak, jakby ktoś nimi kierował - i w istocie tak było. Frank ani na moment nie przestawał ich instruować, które stacje zostały odłączone od sieci, nakazując im, aby sprawdziły zawartość ich dysków.

Dom spojrzął na zegarek. Silny podmuch wiatru aż zatrzęsł oknami. Gdzieś na zewnątrz budynku rozległ się odgłos rozbijanych dachówek.

Czuł się zawiedziony. Czekał na prawdziwą walkę, tymczasem wciąż nic się nie działo. Jakaś grupka naukowców, jeden strażnik, rozhisteryzowana kobieta. Nudy.

W słuchawce odezwał się głos Hoffmana:

- Czyściciel do Zielonych. Pospieszcie się z tymi da nymi. Niebiescy już do was idą, żeby podłożyć ładunki, a Czerwoni zaraz zaczną zabezpieczać drogę odwrotu.

Komunikat był jasny, ale na roboty takie ponaglenie w ogóle nie podziało. Dalej wykonywały swoje zaprogramowane czynności, skrupulatnie przeszukując komputery jeden po drugim i nieustannie wymieniając się informacja-

mi. Wszystko to w absolutnym spokoju, jakby ograbianie UIR z wyników wieloletniej pracy nie robiło na nich żadnego wrażenia.

„Mam nadzieję, że starczy im baterii” - pomyślał Dom. „Tutaj nigdzie ich nie naładujemy”.

Cała akcja wyglądała jak podręcznikowy przykład. Weszli tutaj i osiągnęli wszystkie cele w maksymalnie krótkim czasie. W dodatku zabili tylko jedną osobę. Wychodziło na to, że najgorszą częścią całej operacji było wodowanie Marlinów w morzu.

„Dobra, lepiej nie zapeszać”.

Na drugim krańcu hali górale z Pesang metodycznie przetrząsali znajdujące się tam biurka i szafki. Ruszył w ich kierunku. Pomagając im, nie mógł pozbyć się uczucia, że za chwilę coś się wydarzy. Wciąż myślał o drugim strażniku - o tym, gdzie się ukrył i czy w ogóle przebywał na terenie ośrodka.

Jednego był pewien: nawet kiedy się na niego nadzieją, gość nie będzie groźniejszy od biednego Natana, leżącego na dole w kałuży krwi. A jeśli dopisze mu szczęście, dostanie kulkę, zanim w ogóle pomyśli o takiej możliwości. No cóż, świat roi się od farciarzy, ale i od urodzonych pechowców.

Dom uważał siebie za farciarza. Bywało różnie, czasami nawet bardzo źle, ale koniec końców zawsze jakoś cało wychodził z opresji.

- Czujka do wszystkich - w radiu odezwał się głos Benjafiolda. - Na plaży wylądował właśnie ponton z uzbrojonymi ludźmi. Jest ich sześciu... nie, ośmiu. Przemieszczają się teraz wzdłuż brzegu. Odległość: sto metrów.

A więc jednak. Najgorsze, że wszyscy w sztabie spodziewali się ataku od strony lądu, a tu proszę - niezapowie-

dziany desant morski. Dobrze, że chociaż oni przewidzieli w swoich planach taką ewentualność.

- Zostań na miejscu i czekaj na mnie - Hoffman sapął w słuchawce, jakby podnosił ciężary. - Możliwe, że jeszcze nie znają naszych pozycji.

Jeśli komandosi UIR byli tak samo dobrzy jak oni, to taki kontratak wydawał się oczywistością. Dom zakładał nawet, że tamci okażą się od nich lepsi. I wcale nie z powodu jakiejś fałszywej skromności. Po prostu z wyjątkiem majora i górali wszyscy pozostali ledwie ukończyli szkolenie. W innych warunkach COG może i przygotowałyby ich lepiej, ale wojna trwała od dziesięcioleci, a obie strony już dawno temu znalazły się w pacie, więc Młot Świtu miał kluczowe znaczenie, mogąc ostatecznie przeważać szalę zwycięstwa na jedną ze stron.

„Chciałem walki, to ją teraz będę miał”.

POLA ASPHO

OPERACJA „NIWELATOR”, DWADZIEŚCIA MINUT PO PRZYBYCIU

Carlos zajął miejsce za karabinem maszynowym i tępo gapił się przed siebie. Jak inni, czekał, aż Ostri wybudzi się ze snu i zauważy, że pojawiły się kłopoty.

-Żadnych strzałów, żadnych wybuchów - stwierdził, ustawiając głowę tak, aby zminimalizować szum wiatru. Znajdowali się ledwie kilometr od Punktu Aspho i powinni stąd słyszeć odgłosy walki. - Kompletnie nic.

-To są oddziały specjalne - wyjaśnił Marcus. - Wchodzą, załatwiają sprawę i wychodzą, zanim ktokolwiek zdąży się zorientować, że coś jest nie tak.

- Myślisz, że oni są przyszłością armii?

-Jeśli tak, wielu Gearów będzie musiało znaleźć sobie nową pracę.

Może faktycznie czekają ich zmiany, ale tymczasem operacja wciąż trwała. Dom i jego towarzysze szturmowali ośrodek, a oni grzecznie czekali, aż tamci opuszczą rejon działań, zabezpieczając im tyły.

Rozmieszczono ich wzdłuż południowego brzegu kanału, aby skutecznie uniemożliwić im jakąkolwiek odsiecz od strony bagien, ale Carlos i tak częściej patrzył na most oraz prowadzącą do niego drogę. W jego mniemaniu tylko kompletny idiota próbowałby atakować od strony mokradel.

-Cholera, jak one mogą tu przetrwać? - spytał, wskazując kępę karłowatych drzew targanych kolejnymi podmuchami silnego wiatru.

-To gleba bogata w minerały, a do tego, jak widać, niektóre miejsca całkiem dobrze osuszono. No i trzeba ci wiedzieć, że w tej ziemi wcale nie ma tyle soli, ile by się zdawało.

Marcus wyrecytował to wszystko jednym tchem, jakby w głowie miał całą encyklopedię przyrodniczą. Jego ojciec byłby teraz pewnie dumny, że edukacja syna nie poszła na marne.

-Ale wciąż jest jej tyle, żeby nie dać im za bardzo wyrosnąć - powiedział Santiago. - Chyba że one już takie małe są.

-Dobrze, właśnie zdobyłeś dziewięć punktów na dziesięć.

Carlos ponownie spojrzął na zegarek. Na północnym wschodzie od czasu do czasu pojawiały się dalekie błys-

ki i domyślił się, że CNV Merit wciąż prowadził tam swój ostrzał, pozorując atak na Berephus. Obejrzał się i w oddali zobaczył Kennena oraz Mataki podążających wzdłuż wyschniętego rowu melioracyjnego. Dotarli do Stroud i przykucnęli obok niej. Jak na zawołanie, cała trójka podniosła ręce do swoich uszu, patrząc jednocześnie w ziemię. Przez moment przypominali Carlosowi jakieś śmieszne figurki, ale nagle uswiadomił sobie, co to oznacza. Przełączył radio na odbiór i także sięgnął do słuchawki.

- Kalona do Obroncy - usłyszał nagle Anyę.

Taka rozmowa musiała ją cholernie dużo kosztować, bo aż czuło się w jej głosie ogromne napięcie. Carlos uznał, że po zakończeniu operacji dziewczyna powinna dostać medal za odwagę.

-Ładunki rozłożone, a artyleria gotowa do ostrzału, ale wciąż czekamy na potwierdzenie transferu danych. Możliwy kontakt z wrogiem od strony morza. W razie konieczności Czyściciel otworzy ogień.

-Tu Obronca. Poinformujcie nas, jeśli będą potrzebowali wsparcia. Możemy też użyć Longspearów, jeśli dadzą nam odpowiednie namiary. Bez odbioru.

Stroud przełączyła się z powrotem na kanał kompanii.

- Sierżancie - zwróciła się do Bernie - cofnijcie swój pluton o dwieście metrów i sprawdźcie, czy macie dobry widok na Punkt Aspho.

Longspeary, czyli jednorazowe wyrzutnie pocisków ziemia-ziemia, warte były tego, aby targać je ze sobą nawet długie kilometry. Odpalało się je w prosty sposób - i to ze wszelkiego rodzaju pojazdów oraz łodzi. Ale czy uda im się precyzyjnie namierzyć cel w taką pogodę? Z drugiej strony nigdy się tego nie dowiedzą, jeśli nie spróbują.

Najgorsze, że to mogło być wszystko, co zrobią. W swoim życiu Carlos widział już wiele potyczek, które kończyły się jedynie krótką wymianą ognia. I do tego z dużej odległości.

„Cholera, ale tam jest mój Dom” - uświadomił sobie nagle.

W duchu postanowił, że jeśli zajdzie taka potrzeba, pierwszy zgłosi się do grupy ostrzeliwującej ośrodek. Może to nie to samo, co mieć brata u siebie w oddziale i pilnować go na każdym kroku, ale teraz musiało to wystarczyć.

- Przestań się o niego zamartwiać - odezwał się Marcus, jakby czytał w jego myślach. Chwilę obserwował przez celownik wyrzutni bagna na północy, a potem przykucnął obok przyjaciela. - Mamy tylko dwie opcje: albo Indie sprawdzają ośrodek na wszelki wypadek, albo zorientowali się w podstępie. Ale ty i tak nic na to nie poradzisz.

-Jak myślisz, długo tam jeszcze będą?

-A ile danych muszą przerzucić?

-Nie mam pojęcia.

-No właśnie, oni też.

-Słyszałem, że dali im godzinę.

-Niewykluczone. Na pewno konsultowali to z moim ojcem, więc możemy być spokojni.

-Cholera, nie wytrzymam.

-Wyluzuj, stary. Oni tam wiedzą, kiedy się wycofać. Przecież to nie jest misja samobójcza. Wezmą, co się da, a resztę zniszczą.

Tylko Marcus mógł brzmieć tak przekonująco.

- Anya musi teraz wymiękać, co? - powiedział Carlos po chwili milczenia. - Cały czas słyszy, co robi jej matka i w ogóle...

- Tylko nie próbuj wchodzić na kanał Dorna - stwierdził twardo Fenix, domyślając się intencji przyjaciela.

- No co ty, do głowy by mi to nie przyszło.

-Akurat... Ona musi wszystko koordynować, a ty byś tylko do końca ześwirował. Po prostu przestań o tym myśleć. Twój brat sobie poradzi, to zawodowiec. Poza tym jest dorosły i wie, co robi.

- Tylko że to dopiero jego pierwsza misja.

-Jest Gearem, to wystarczy.

-Dobra, już dobra. Psiakrew, chłop ma żonę i dzieciaki, a ja wciąż traktuję go jak szczeniaka.

-Powiem ci jedno, stary. Kiedy sam założysz rodzinę, będziesz najbardziej upierdliwym staruszkim, jakiego znam - mówiąc to, Marcus cały czas obserwował teren nad kanałem przez celownik Longspeara. W pewnym momencie zeszytniał i sięgnął do pokrętła ostrości, nastawiając je na dwa kilometry. - Hej, rzuć na to okiem. Pięć stopni na lewo. Koło tych karłowatych drzew przy moście.

Santiago westchnął ciężko. Przejął wyrzutnię od przyjaciela i chwilę wlepiął wzrok w szamoczące się na wietrze gałęzie i trzciny. Nagle gdzieś z boku mignął jakiś cień. Carlos zamrugał nerwowo powiekami i spojrzał jeszcze raz. Z tej odległości podczerwień dawała nieco rozmazany obraz, ale to z pewnością byli jacyś ludzie. Trzech, może czterech. Znowu zniknęli.

Sięgnął szybko do radia.

- Mam kontakt. Tysiąc metrów, na lewo od drzew.

W eterze na moment zapadła głucha cisza.

- Tak, widzę - powiedziała w końcu Stroud i usłyszeli,

jak przeładowuje broń. - Fenix, przygotuj Longspeara.

- Drugi kontakt. APV albo lekki pojazd bojowy - do rozmowy wtrącił się sierżant Kennen. - Na prawo od drogi. Tysiąc pięćset metrów.

Marcus przełączył wyrzutnię na tryb gotowości i wycelował w grupę koło mostu.

-Potwierdzam cel. Grupa koło drzew. Tysiąc metrów.

-Kolejny APV. Też koło drogi, na prawo. Dwa tysiące metrów.

-Spokojnie, panowie - powiedziała Stroud, na moment przełączając się na daleki zasięg, a potem znów wracając na lokalną linię. - Czyściciel sam zajmie się desantem wroga. My mamy powstrzymać tych tutaj. Czekać na mój sygnał, niech podejść bliżej.

Gdzieś daleko rozległy się strzały.

Na ich dźwięk Carlos aż podskoczył. To oznaczało tylko jedno - w ośrodku badań właśnie rozpoczęła się walka.

Skupił się na przeciwniku, pozwalając dojść do głosu swoim instynktom, ale i tak czuł kołatanie serca - wiedział, że Dom znalazł się w tarapatkach. Gdzieś w górze eksplodowało pomarańczowe światło. To flara wypuszczona w niebo przez Indie. Droga pośród bagien rozświetliła się, ukazując wrogie oddziały. Dziesiątki ludzi i pojazdów.

Słyszał równy oddech Marcusa.

-Majorze, trzymam na muszce pierwszy wóz - powiedział przyjacieli.

-Zaczekaj... Mataki, macie coś na południu?

-Nie, czysto.

-W takim razie idźcie tam i zabezpieczcie drogę odwrotu.

- Tak jest.

Mijały kolejne długie sekundy. Ciszę przerywały tylko serie wystrzałów dobiegające od strony ośrodka.

- Obrońca do sztabu - odezwała się Stroud. - Z Parasphy nadciąga kolumna pojazdów. Wchodzimy do walki.

Miała w głosie ten rodzaj pewności siebie, który sprawia, że każdy Gear bezgranicznie ufa swojemu dowódcy. Carlos był Gearem. I ufał jej.

- Ognia! - usłyszał w słuchawce.

CZTERNAŚCIE

To ważne, aby wiedzieć, jak wróg zamierza zaatakować. Ale jeszcze ważniejsze, żeby wiedzieć, dlaczego to robi. Czego chce Szarańcza? Co próbuje osiągnąć? Dlaczego tak bardzo pragnie nas zniszczyć? I dlaczego pojawiła się akurat w ten konkretny dzień? Jeśli znajdziemy odpowiedzi na te pytania, nasze szanse na zwycięstwo wzrosną.

PUŁKOWNIK VICTOR HOFFMAN
PODCZAS ROZMOWY Z PRZEWODNICZĄCYM PRESCOTTEM

OKOLICE ROTUNDY, JACINTO

DZIEŃ OBECNY, 14 LAT PO DNIU WYJŚCIA

Widzę go - powiedziała Bernie, wychylając się metr ponad górny włącznik APC. Raz po raz zmieniała częstotliwości w radiu, ale w słuchawce wciąż tylko słyszała głucho trzaski.

-Cole, zawracaj - rzuciła do kabiny. - Czy Trutnie potrafią blokować łączność?

-Tak, często to robią - potwierdził mężczyzna. - Trzymaj się, mała!

Wcisnął hamulec i jednocześnie ostro skręcił kierownicą, powodując, iż pojazd obrócił się w miejscu niemal o sto osiemdziesiąt stopni.

Mataki zamierzała skontaktować się z Hoffmanem, ale radio nadawało się teraz tylko na złom. Wciąż widziała wielkiego tira oznaczonego numerem 2-45, który wiózł ogromne kadzie z zaczynem myko. Obok jednego z wielkich kół kłęczał Baird i strzelał do sześciu Trutni zbliżających się od strony Rotundy.

„Pamiętam to miejsce” - pomyślała. „To już tyle lat...”

W pobliżu mechanika nie dostrzegła ani kierowcy, ani jego eskorty, ale uznała, że na ich znalezienie będzie miała czas później. Teraz ważniejszy był Damon. Może i zachowywał się, jak ostatni drań, ale to Gear, a to znaczyło, że wszelkie antypatie powinny zejść na plan dalszy. Byli rodziną, a w rodzinie zawsze się dba o najbliższych - nawet tych najbardziej wnerwiających. Bernie, odkąd pamiętała, zawsze czuła silną więź z innymi żołnierzami - traktowała to zresztą jako oczywistość.

APC zahamował tak gwałtownie, że niemal wypadła z wozu. Zaczęła strzelać, pozwalając towarzyszowi bezpiecznie wysiąść z kabiny. Gdy osilek znalazł się na ulicy, wyglądał niczym jakiś rozjuszony bandzior, któremu ktoś zajął miejsce na parkingu.

To niewiarygodne, jak Augustus płynnie zmieniał się z miłego, dowcipnego gościa w bezwzględną maszynę do zabijania. Kompletnie nie zważając na niebezpieczeństwo, parł do przodu z uniesionym na wysokości bioder Lance-rem i strzelał do wszystkiego, co tylko weszło mu w drogę. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Już po chwili na ziemię padł jakiś Truteń, którego Cole przeciął nieomal na pół. Drugi dostał w klatkę i także runął, przykrywając sobą pierwszego. Bernie, która zdążyła w tym czasie wejść na

pancerz APC, uświadomiła sobie nagle, że w tym miejscu będzie doskonałym celem, ale postanowiła to zignorować. Przeszła broń na tryb automatyczny i także otworzyła ogień. Trafiła. I znów. Poczła satysfakcję. Zabijanie potworów zawsze było łatwe - nie miało się potem kłopotów o wdowach i sierotach.

-Baird! - krzyknęła. - Gdzie jest kierowca?

-Dostał! Wepchnąłem go za jedną z kadzi!

-A gość z eskorty?

-Nie żyje!

Ciężarówka nie miała znaczenia. Pod ostrzałem liczyli się tylko ludzie i to ich musiała stąd wydostać. Olać samochód i jego ładunek - wróć po to później. Odzyskają wszystko, nawet jeśli będą musieli wrywać to z łapsk Odrzuconych.

Augustus oparł się plecami o tira, załadował nowy magazynek i znów otworzył ogień. Mataki oceniła, że to dobry moment, aby zeskoczyć z APC na ziemię. To zabawne, że podczas walki takie lądowanie nigdy nie boli. Zanim się wyprostowała, kątem oka dostrzegła, że Trutnie obezły przyczepę od drugiej strony i próbowały zająć jej towarzysza od tyłu.

„Nie, gnojki!” - zaprotestowała w duchu. „Tak łatwo go nie dostaniecie!”

Rzykowała, ale nie miała wielkiego wyboru. Pomimo iż Cole znalazł się na linii strzału, wypaliła z Lancera. Długą serią powaliła dwa Trutnie, aż zamek trzasnął głucho, szukając kolejnego naboju. Ostatni pozostały przy życiu stworz odwrócił się w jej stronę. Sięgnęła nerwowo do kieszeni po magazynek, patrząc, jak tamten bez pośpiechu

unosi swoją broń. W ułamku sekundy zrozumiała, w jakim niebezpieczeństwie się znalazła. Czas zwolnił.

Wreszcie poczuła chłodny metal pod palcami, jednak nim zdążyła przeładować karabin, pierś Trutnia eksplodowała krwią. Runął na ziemię i znieruchomiał, a zaraz po nim dwa następne stwory, które nadbiegały mu z pomocą. Rozejrzała się i zobaczyła Bairda, który zaczął się po drugiej stronie ulicy. Kucając na jednym kolanie, wpatrywał się w nią z uśmiechem na twarzy.

Wszyscy napastnicy leżeli na ziemi i kanonada uci-
chła.

-Dzięki - zawołała do Damona. - Niezły refleks, blondasku.

-Nie ma za co. Nawet nie wiedziałem, że tam jesteś
-odkrzyknął mężczyzna. - Po prostu lubię zabijać te ścierwa.

Wstał i podszedł do Augustusa, który właśnie oglądał swoje lewe ramię. Choć na twarzy osiłka malował się ból, znów był swojskim, pogodnym facetem. Baird mruknął coś pod nosem i ruszył w stronę Trutni, żeby upewnić się, że żaden z nich nie przeżył. W pewnym momencie zatrzymał się, oparł Lancera o jakiś głaz i odwrócił głowę w stronę Bernie.

- Hej, Mataki. Zobacz, jak to się robi - powiedział, przykucając nad ciałem martwego stwora i wyjmując nóż. - Zaczynasz w pasie, tutaj. Piła wejdzie w tym miejscu mięsko, bo są tu tylko mięśnie. Potem idziesz w górę, w stronę szyi, przez żebro, obojczyk, tchawicę aż po przełyk i aortę. To najskuteczniejsze i najpewniejsze. I nie babrzysz się w cudzych flakach. Można też walić od razu w szyję... Albo

jeszcze lepiej w pachwinę, wtedy gnojek będzie zdychał w męczarniach.

Bez wątpienia Baird znał się na rzeczy. W innych okolicznościach pomyślałaby, że to nawet całkiem sympatyczny facet.

Zerknęła na Trutnia. Czy te stwory miały rodziny, plany, marzenia? O czym myślały, gdy patrzyły na ludzi? Skąd pochodziły? W sumie mało ją to obchodziło. Nie zamierzała przejmować się Szarańczą - tak jak ona nie przejmowała się jej bratem Mickiem, jego dziećmi i wszystkimi mieszkańcami jej rodzinnego miasta.

Cole cały czas gapił się na swoje ramię, przytrzymując je na wysokości barku. Z jego nadgarstka raz po raz ściekały ciemne krople krwi.

- Hej, maleńka - ryknął z rozbawieniem, wskazując głową rozdarty rękaw, pod którym dostrzegła przestrzelony na wylot biceps. - Czy ty przypadkiem nie chciałaś za mienić sobie wyściółki w butach na coś świeższego?

Bernie dopiero teraz uświadomiła sobie, że to ona postrzeliła mężczyznę. Żołądek na moment zaciążył jej jak wielki, zimny kamień.

-Przepraszam, stary - powiedziała - ale wyszłam trochę z wprawy.

-Wyluzuj, kobieto. Oni zdechli, a ja żyję. Dzięki tobie. Jak dla mnie masz wprawę jak jasna cholera.

W ogniu walki postrzelenie kogoś z własnego oddziału zdarzało się często, ale Bernie i tak miała wyrzuty sumienia. Podjęła decyzję, wiedząc, że sporo ryzykuje. Snajperzy takich błędów nie popełniają. Z drugiej strony Augustus miał rację. Najważniejsze, że wyszli z tego cało. Uśmiech-

nęła się do niego przeproszająco. Choć wciąż wyglądał jak olbrzym gotowy roznieść każdego przeciwnika w drobny mak, było w nim teraz coś, co sprawiało, że najchętniej podałyby mu szklankę mleka i opowiedziały bajkę na dobranoc.

Baird stał na platformie ciężarówki.

-Wyjdzie z tego - rzucił krótko, wskakując na platformę z kadziami i podchodząc do rannego kierowcy. - Gorzej z tym tutaj. Pomożesz mi go przenieść do wozu?

-A co z tirem?

-Zostawiamy, szkoda czasu. Ten facet długo nie pożyje, jeśli go stąd zaraz nie zabierzemy.

-Co za troska - powiedziała Bernie, licząc, że ranny tego nie słyszy. - Na pewno pomożesz mu takim gadaniem.

Mężczyzna leżący przy kadziach cicho postękiwał. Dostał w brzuch i udo, choć nie krwawił tak mocno, jak można by się spodziewać. Prawdopodobnie kula ominęła najważniejsze arterie. O wiele mniej szczęścia miał gość z eskorty. Pocisk trafił go u nasady nosa i wyszedł potylicą, odrywając z tyłu głowy spory płat czaszki.

- Dobra - powiedział do niego Cole. - Wskakuj, czło wieku. Wracasz do domu.

Pochylił się nad zwłokami i zarzucił je sobie na zdrowy bark. Bernie pomyślała, że kogoś takiego powitano by z otwartymi ramionami w każdym oddziale. Ten wysoki, zwalisty Gear naprawdę dawał poczucie bezpieczeństwa, dzięki któremu wszyscy zapominali o śmierci. I nie chodziło wcale o jego siłę - o wiele większe znaczenie miał wieczny optymizm, który nie znikał nawet w najtrudniejszych momentach.

Mataki uniosła lekko głowę kierowcy i oparła ja na swoim kolanie. Było z nim naprawdę źle. Na jego mundurze dostrzegła naszywkę z napisem: J. Tatton.

-Co oznacza ten inicjał? - zapytała, chcąc zająć czymś umysł rannego i sprawić, aby nie stracił przytomności.

-Jeff - wyszeptał. - Co z ładunkiem?

-Daj spokój, Jeff, olej to. Wrócimy tu później i naprawimy tira. Najpierw musimy zająć się tobą, nie? Jesteśmy już całkiem blisko. Trzymaj się. Wszystko będzie dobrze.

-Założę mu opatrunek uciskowy - powiedział Damon i zaczął przetrząsać swoje kieszenie. - Przytrzymaj go... Spokojnie, kolego...

-No proszę, a jednak stać cię na ludzkie odruchy, blondasku.

Na twarzy mechanika pojawił się szyderczy uśmiech, który wystarczył jej za wszystkie słowa. A może inaczej nie umiał się śmiać?

- To łatwiejsze - odezwał się po chwili - niż ciągle wy słuchiwanie, że nie potrafię prowadzić samochodów.

A więc miał także drugą twarz. Bernie nie była jednak pewna, czy ma wystarczająco dużo cierpliwości i chęci, aby się jej doszukiwać.

Znajdowali się zaledwie trzydzieści metrów od APC. Mataki pomyślała, że być może łączność została już przywrócona, i sięgnęła do słuchawki. Zanim włączyła radio, potężna eksplozja powaliła ją na ziemię niczym szmacianą lalkę. Ogromna chmura wzbila się ku nocnemu niebu, a ona patrzyła na nią ze zdziwieniem, słysząc tylko głuche dudnienie w uszach. Spojrzała w bok na Jeffa. Nie poruszał się.

Wciąż leżąc na ziemi, wyciągnęła rękę do jego szyi i sprawdziła puls. Robiąc to, obiecała sobie, że jeśli kierowca

okaże się martwy, wstanie, weźmie karabin i zabije każdego skurwiela, jaki stanie jej na drodze. Na szczęście pod palcami wyczuła słabe uderzenia.

- Żyje - powiedziała do siebie z ulgą.

Chaos wokół wciąż trwał. Jak zza jakiejś niewidzialnej ściany dobiegały ją przekleństwa stojącego nad nią Bairda i wystrzały z jego broni. Znowu eksplozja, ale nieco mniejsza. Poczowała na twarzy ciepło i oślepił ją ostry blask. Nie miała pojęcia, jakim cudem słońce weszło w środku nocy.

- Macie, gnidy, to za mój wóz - wrzeszczał Damon, wałąc z Lancera do kogoś za nią. - Cholera, Mataki, spadamy stąd! Szybko!

Podniosła się i zobaczyła, że ich APC zamienił się w kupę dymiącego złomu. Ktoś podbiegł do niej i trącił ją w ramię. To Cole.

- Bernie, musimy iść! Jesteś cała?

Nawet gdyby chciała, nie miała teraz czasu, aby mu odpowiedzieć. Ze wszystkich sił próbowała podnieść Jeffa. Widząc to, Baird chwycił rannego za ramię i dopiero razem go dźwignęli. Kierowca miał zakrwawioną twarz, ale nie widzieli żadnych nowych obrażeń.

Augustus w tym czasie z niemałym trudem zarzucił sobie na plecy martwego chłopaka z eskorty.

-Daj spokój - powiedział Baird. - Nie dasz rady iść z nim taki kawał.

-Nie zostawię go tutaj na pastwę tych drani. Mogą go zeżreć albo cholera wie co... Gość zasługuje na normalny pochówek.

Nadal brakowało łączności. Jedyne, czym mogli się kierować, to odgłosy walki oraz warkot silników.

-Jesteś durnym mięczakiem, Cole - stękał po drodze Damon, starając się przenieść na swoje barki cały ciężar ciała omdlałego z bólu Tattona. - Dorośnij wreszcie.

-Jak sobie życzysz, skarbie, ale nie teraz.

Bernie nie czuła nóg. Miała wrażenie, że niosą ją same, bez najmniejszego udziału świadomości, i nie zamierzała tego zmieniać.

Gdy mijali ciało zabitego Trutnia, koło którego leżał granatnik, Baird przystanął na moment i kopnął go z całej siły w tors. Z rozplatanego brzucha wylały się cuchnące wnętrzności.

- To za mojego APC, gnido - syknął.

BUDYNEK TEATRU MUZ., OKOLICE ROTUNDY, KILKA ULIC DALEJ

- To Boomshot - stwierdził ponuro Kaliso, pochylając głowę na bok. - A to znaczy, że ktoś z naszych ma kłopoty.

Granatnik eksplodował blisko i Hoffman uznał, że mógł trafić tylko wóz 2-45 albo APC. Razem z Taiem przemierzali teraz lobby rozsypującego się teatru, kierując się do skrzyżowania przy College Green.

Wciąż nie mieli łączności i sami musieli sprawdzić, co się stało.

Trutnie przerwały ostrzał, ale wyraźnie słyszał, że się zbliżają. Wyspiarz podszedł do zniszczonej balustrady, oparł o nią swojego Lancera i spojrzął przez celownik optyczny. Hoffman zatrzymał się za nim.

- Widzisz coś? - zapytał cicho.

- Zaczaiły się gdzieś tam, pułkowniku.

Obaj dobrze wiedzieli dlaczego.

Jeśli Szarańcza zniszczyła APC, to na pewno były też ofiary. A ranni to doskonała przynęta.

„Cole, Matak, Baird” - pomyślał. „Moi najlepsi ludzie”.

Anya miała rację, Horda chciała zabić jak najwięcej Gearów. Gdyby pozbyła się ich wszystkich, mogłaby wkroczyć do Jacinto, nie kłopotując się budowaniem podziemnych tuneli. Byli ostatnią nadzieją ludzkości, zaporą, która chroniła ich cywilizację przed całkowitą zagładą.

Szarańcza zdawała sobie sprawę, że żaden z nich nigdy nie zostawiłby towarzyszy broni w potrzebie, a świadomość tego dawała jej przewagę. Zapewne te potwory uznawały takie zachowanie za zwykłą słabość. Hoffman uzmysłowił sobie, jak bardzo obecna sytuacja różniła się od tej z czasów Wojen Wahadłowych. Wtedy mógł podać rękę jeńcom UIR, nie bacząc na to, że byli wrogami. Podziwiał ich męstwo i zawsze żałował, że musi prowadzić wojnę z tak dzielnymi ludźmi. Fakt, nie miał wtedy innego wyboru, ale jednocześnie nigdy nie zapominał, że to tacy sami żołnierze jak on. Zupełnie inaczej niż te śmierdziele. Dla niego byli tylko odrażającym wybrykiem natury - okrutnym i bezwzględny wrogiem, którego nienawidził z całego serca.

- Wiesz, że oni gwałcą, żeby się rozmnażać? - zapytał.

-Kto?

- Oni. Słyszałem, że osobniki żeńskie, Berserkery, muszą być związane, żeby w ogóle kopolować. Same, z własnej woli, nie dopuszczają do siebie nikogo. To wszystko o nich

mówi, nie sądzisz? Te potwory żyją tylko agresją. Nie szanują nawet przedstawicieli własnego gatunku. Nie ma w nich nic, co zasługiwałoby na nasz szacunek. Kaliso nadal uważnie obserwował teren.

-Są inteligentni - odparł po chwili.

-Podobnie jak Jack... Podziwiasz ich?

-Podziw nie musi być równoznaczny z szacunkiem.

Hoffman zawsze uważał Taia za niezłomnego wojownika, teraz jednak ze zdziwieniem odkrył, że wyspiarz ma także naturę filozofa, i poczuł się tym zaintrygowany.

- No cóż - westchnął. - Mnie w każdym razie przeszka dza, że walczę z wrogiem, którym mogę jedynie gardzić...

Sam nie miał pojęcia, dlaczego to powiedział. Jeszcze raz przemyślał swoje słowa i doszedł do wniosku, że chyba wybrał zły moment na takie rozmowy - nie zmieniło to jednak jego opinii, że naprawdę czuł do Szarańczy wyłącznie odrazę. Nie miał żadnych skrupułów, żeby przy pierwszej nadarżającej się okazji wytepić całą ich rasę, co do jednego ścierwa. Najgorsze w tym wszystkim było to, że wojna z takim przeciwnikiem zazwyczaj zmusza do przekraczania wszelkich granic i zasad, a to dawało pewność, że każdy z nich - kobieta czy mężczyzna - prędzej czy później sam stanie się bestią.

- Ale nawet to nie spowoduje, że zadrży mi ręka, gdy będę musiał zabijać ich dzieci - dokończył, kierując te słowa ni to do Taia, ni to do siebie.

-Jeśli ci dranie wstrzymują się z atakiem, to znaczy, że ktoś z naszych przeżył - Kaliso zmienił temat, przywracając go do rzeczywistości. - I wiedzą, że nie mamy łączności.

- Zgadza się.

Hoffman nosił mundur z dumą od czterdziestu lat. Podczas całej swojej służby brał udział w niezliczonej ilości potyczek i nie raz się przekonywał, że szczęście wciąż mu sprzyjało. Ale teraz, po raz pierwszy w swoim życiu, nie wiedział, co robić. Zastanawiał się, czy nie wysłać wyspiarza z powrotem do Armadillo; w końcu nie mogli pozwolić sobie na utratę kolejnego pojazdu. Z drugiej strony powinien szukać tych, którzy przeżyli ostrzał z Boomshota. Czas naglił, a on wciąż nie potrafił zdecydować. Brak łączności sprawiał, że czuł się głuchy i ślepy w mieście, w którym kiedyś dorastał. Przeciw niemu były nawet siły natury, które każdego dnia zmieniały rozkład ulic, przez co dokładne niegdyś mapy coraz bardziej odbiegały od rzeczywistości. Przypomniawszy sobie o kompasie, z którym nigdy się nie rozstawał - nawet najlepsza technologia nie zastąpi na polu walki starych, sprawdzonych metod.

Zatrzymał się i określił kierunki świata.

- Tędy - wskazał przed siebie.

Przeszli przez wyrwę w murze i znaleźli się na otwartej przestrzeni. Na ścieżce prowadzącej do amfiteatru dostrzegli grupę Trutni i natychmiast otworzyli ogień, ale Horda szybko wycofała się w jedną z alejek. Hoffman nie miał najmniejszych wątpliwości: parszywe dranie próbowały ich zwabić w pułapkę. I miał to kompletnie gdzieś. Bez względu na konsekwencje sprawdzi, czy ktoś z zaatakowanego APC przeżył. Nie potrafiłby postąpić inaczej - tak po prostu odjechać ze świadomością, że nie zrobił wszystkiego, co było w jego mocy, aby pomóc swoim żołnierzom.

- Zostawiłbyś mnie w takiej sytuacji? - spytał.

Tai zwolnił kroku.

- A co, jeśli ich znajdziemy, pułkownika? Bez urazy, ale sam jest pan ranny...

To fakt, cały czas czuł piekący ból w nodze, a Kaliso najwyraźniej widział, jak utyka, choć bardzo starał się to ukryć.

- O mnie się nie martw - powiedział z uporem. - Dam radę.

Mieli najdalej dziesięć metrów do uliczki prowadzącej wprost na College Green. Hoffman widział z daleka granitowe ściany galerii sztuki i odtworzył w wyobraźni mapę tego terenu. Tak, będą musieli iść na prawo. Powinni wyjść na przejezdną drogę. Przynajmniej taka była, kiedy robili tu ostatnio rekonesans. Ruchem ręki dał znak wyspiarzowi, który natychmiast zatrzymał się w miejscu.

-Gotowy? - Spojrzał na Kaliso.

-Tam siedzi Szarańcza, pułkownika. Niech pan mnie ubezpiecza, a ja pójdę przodem.

I nagle radio ożyło, a oni usłyszeli znajomy głos:

-Baza do Hoffmana... Baza do Hoffmana... Baza do Hoffmana...

-Any, tu Hoffman - rzucił do mikrofonu; nigdy nie przypuszczał, że można się tak cieszyć ze zwykłego połączenia. - Co się stało z APC Cole'a?

-Został zniszczony. Wcześniej zabito też chłopaka z eskorty tira. Ale pozostali żyją. Idą teraz pieszo do punktu zbornego. Za chwilę przejmie ich Fenix.

-A reszta konwoju?

-Tyły zabezpiecza oddział Gamma.

Tai zwinął dłoń w pięść i machnął nią tryumfalnie.

-Udało się, pułkownik. Jesteśmy górą.

-Tak, jesteśmy... - odparł, ale w duchu szczerze w to powątpiewał, wciąż myśląc o zachowaniu Trutni. - Anya, czy Jack mógłby zbadać teren wokół nas? Podejrzewaliśmy, że Szarańcza chciała nas zwabić w pułapkę, ale skoro tam nie ma rannych, to sami już nie wiemy, o co tu chodzi.

-Jedną sekundę... Dobra, za chwilę tam będzie.

Hoffman cały czas nie mógł pozbyć się wrażenia, że przeoczył coś ważnego. Zerkając raz po raz na wyspiarza, czekał w milczeniu na raport z rekonesansu. W radiu słyszał jakieś strzępki rozmowy pomiędzy Cole'em i Domem i domyślił się, że obie grupy właśnie się spotkały.

- Nic nie widzę, pułkownik - odezwała się w końcu Stroud. - Trutnie po prostu stoją na drodze i patrzą w waszym kierunku... Ale chyba was nie widzą...

Uniósł głowę w nadziei, że ujrzy gdzieś robota, ale ten albo znajdował się za budynkami, albo po prostu przeszedł na tryb maskujący.

- W takim razie będziemy wspaniałomyślni i tym razem nie skopimy im tyłków. Wracamy do naszego wozu. Bez odbioru.

Wycofali się tą samą drogą, którą tu przyszli, aż wreszcie dotarli do zaparkowanego pod łukowatym wejściem Armadillo.

- Hoffman do Feniksa - powiedział. - Za chwilę wszyscy ruszamy.

Czuł ogromną ulgę, że wreszcie miał kontakt z resztą oddziału. Szczerze podziwiał górali z Pesang, którzy potrafili obyć się bez stałej łączności, posługując się na odległość jedynie gestami. Niektórzy podobno posądzali ich o zdol-

ności telepatyczne, ale tylko idiota mógłby wymyślić coś takiego.

-Marcus, przejąłeś wszystkich? Nikt nie został?

-Tak jest, pułkowniku, mamy tu komplet. Jeden z kierowców jest ciężko ranny i potrzebuje natychmiastowej pomocy. Tira zostawiamy na miejscu.

-W porządku. Sierżant Kaliso ze swoim oddziałem wróci po niego rano. A teraz wracajmy do konwoju. I miejcie oczy szeroko otwarte...

Dokładnie w momencie, kiedy wypowiadał te słowa, Tai zatrzymał się i na kilka sekund zastygł w bezruchu. Potem powoli podszedł do pojazdu, ukucnął obok i z uwagą coś oglądał.

- Nie, pułkowniku - powiedział wreszcie. - To my mu simy mieć oczy szeroko otwarte.

Hoffman także podszedł do Armadillo i zatrzymał się obok wyspiarza. Dopiero po chwili dotarło do niego to, co zobaczył. Był wściekły na siebie i na swoją bezdenną głupotę.

„I kto tu jest teraz idiotą?”

Tak bardzo chcieli uratować swoich ludzi, że zostawili pojazd bez ochrony. A przecież stara zasada mówiła, żeby zawsze zostawić kogoś na czujce. Na tym właśnie polegał problem, gdy załogę stanowiły tylko dwie osoby.

-Kurwa - zaklął głośno.

-Spokojnie, pułkowniku, mogło być gorzej. Dobrze, że to zobaczyłem. Zawsze uważnie oglądam wóz ze wszystkich stron, zanim do niego wsiądę. To stary nawyk. Koledzy z oddziału mnie tego nauczyli.

Trutnie były diabelnie sprytne, to prawda, ale oni na szczęście też mieli swój rozum. Zresztą trudno przeoczyć

coś takiego jak wyraźnie odcinające się od koloru podłoża miny.

A może o to właśnie chodziło? Bo nawet jeśli nie wysadzili się w powietrze, to przecież teraz, kiedy czekała ich piesza wędrówka, będą o wiele łatwiejszym celem. Przez moment poczuł się jak zwierzyna, na którą ktoś poluje.

-Pograli sobie z nami - warknął Kaliso. - Ale jeszcze zobaczymy...

-Pułkowniku - w słuchawce odezwała się Anya, która cały czas miała ich na linii - wszystko dobrze?

Hoffman spojrzął na Taia i położył palec na ustach. Jeśli powiedzą Stroud, co się stało, na pewno wyśle do nich pomoc, a wtedy znowu ktoś będzie ryzykował własne życie i sytuacja się powtórzy. Poza tym żaden nie zamierzał pozwolić Szarańczy, aby dyktowała im warunki.

- Tak, w porządku. Bez odbioru.

Przełączył radio na tryb nasłuchu i przełądował Lancera.

Kaliso zrobił to samo.

APC NA CZELE KONWOJU, PUNKT ZBORNÝ, DROGA NA JACINTO

- Baza do Feniksa - w słuchawce Dom usłyszał głos Stroud.

Chcąc oszczędzić rannemu kierowcy niepotrzebnego cierpienia, od kilku minut kierował APC tak, aby ominąć wszelkie kamienie i wyrwy w asfalcie. Obok niego na miejscu pasażera siedział Marcus, który od czasu do czasu spoglądał do tyłu, obserwując, jak Baird tamuje krwotok.

-Tak, Anya - powiedział z niepokojem w głosie dowódca Deltę; porucznik zazwyczaj nie wzywała ich bez ważnego powodu. - Jakiś problem?

-Chyba tak... Hoffman przełączył radio na tryb nasłuchu.

Santiago był pod wrażeniem. Z drugiej strony wiedział, że dziewczyna miała za sobą lata praktyki i potrafiła wychwycić najmniejsze odstępstwa od reguły, określając zarazem ich stopień ważności. Kierowała się przy tym jedynie słuchem oraz danymi z rekonesansów, a to już wyższa szkoła jazdy.

-Ale co masz na myśli? - Fenix ruchem ręki kazał mu nieco zwolnić. - Pułkownik ma problemy z radiem czy jak?

-To tylko przypuszczenia, ale myślę, że oni tam mają kłopoty i z jakichś przyczyn nie chcą, żebyśmy wysyłali wsparcie. Mam wezwać Kruka?

-Nie, zaczekaj - powiedział gwałtownie. Nikt nie wzywa Kruka w nocy, jeśli nie ma naprawdę pilnej potrzeby. Nawet lot za dnia to dla pilota duże ryzyko.

-Jesteśmy niedaleko. Sprawdzimy, co się tam dzieje.

-Chcesz mieć Jeffa na sumieniu, dupku? - zaproponował Baird. - Twój wybór. Ale pomyśl, że kosztem porządnego Geara ratujesz gnojka, który zostawił cię w pierdłu na pewną śmierć.

-Wal się - warknął Marcus, a Santiago aż podskoczył, słysząc te słowa; Damon musiał dotknąć naprawę czułego punktu. - Zatrzymajmy się tutaj.

-Fenix, jesteś takim samym pajacem jak Hoffman - Damon nie przestawał marudzić. - Pewnie marzysz o Gwieździe Embry, co? Ty, a może chcesz mu się podlizać?

-Zamknij się, blondasku - warknęła Bernie. -Ja pójde po pułkownika. Znam go dłużej niż wy. Technicznie rzecz biorąc, służymy razem od tak dawna, że moglibyśmy być przyjaciółmi.

-Nie sądzę, żeby ci się to udało - oświadczył enigmatycznie Dom, zatrzymując wóz.

Za dobrze znał swojego przyjaciela i zdawał sobie sprawę, co kombinuje. Wiedział też, że jeśli ten wariat coś postanowił, nikt i nic nie było w stanie tego zmienić. Na szczęście on też potrafił być uparty. Odwrócił się i szturchnął Augustusa.

-Poprowadź za mnie. I postaraj się nie podrapać lakieru.

-Przykro mi, stary, ale zostajesz - rzucił Fenix, wysiadając z APC. - Bernie też. Ja się tym zajmę.

Santiago udał, że nie słyszy tych słów, i także wyskoczył z kabiny.

-Ale nie sam, chłopie - powiedział. - Jedźcie bez nas, Cole.

-To ja tu wydaję rozkazy.

-Idę z tobą i kropka - mówiąc to, Dom ruszył ulicą. -A jeśli chcesz mnie zatrzymać, to strzelaj. No, dalej...

Marcus mruknął coś groźnie pod nosem, ale nie protestował więcej i w końcu podążył za przyjacielem.

Augustus dodał gwałtownie gazu i wkrótce APC zniknął w ciemnościach. Pozostawieni na ulicy mężczyźni zaczęli biec w kierunku College Green.

-Anya, namierzyłaś już Hoffmana? - zapytał Fenix.

-Tak. Jest gdzieś na skrzyżowaniu Unity Street i Porto, na zachód od Rotundy. Znałabym jego pozycję dokładniej, gdyby miał aktywne radio.

- Dzięki, bez odbioru - rzucił do mikrofonu i dogonił Doma. - Nic mi nie jesteś winien, rozumiesz?

„Skąd on wie, u diabła, o czym ja teraz myślę?" - zastanawiał się Santiago. „Pieprzony mądrała".

-Nie przysłużyłem ci się zbyt, kiedy byłeś w pierdłu

- odparł - więc czas, żeby to nadrobić.

-Dziwne, bo ja myślałem, że to właśnie dzięki tobie tam nie zgniłem.

-Musimy o tym poważnie porozmawiać, Marcus. Prędkiej czy później.

-Lepiej później.

-Co cię gryzie, człowieku?

-Dzięki, że nie pytasz, dlaczego chcę pomóc Hoffmannowi.

-Nie muszę, znam odpowiedź. Ciekawi mnie za to, co takiego powiedział Baird, że się na niego wściekłeś.

-Nie dostajesz zadyszki, gdy tak ciągle mielesz jęzorem?

-Nie. I nie zmieniam tematu.

Chwilę czekał na ripostę, ale Fenix zamilkł na dobre. Ulica przez kilka długich sekund rozbrzmiewała dudnieniem ich kroków. To zadziwiające, ile hałasu potrafią zrobić sprzączki od butów.

- No dobra, powiem ci - burknął wreszcie przyjaciel. - Dawno temu nie pomogłem pewnym ludziom, którzy mnie potrzebowali. Tak jak Hoffman teraz. Wszyscy zginęli. Za chowałem się wtedy jak ostatni fiut i już nigdy nie popełnię tego samego błędu.

Do tej pory Dom był przekonany, że kiedy w grę wchodzi ludzkie życie, Marcus zawsze podejmował właściwe decyzje. Dlatego słysząc te słowa, zdziwił się, że coś tak dra-

matycznego mogło mu się w ogóle przytrafić. Postanowił, że później na pewno do tego wróca. Cokolwiek się wtedy wydarzyło - był tego pewien - wciąż dręczyło tego faceta.

Od Rotundy dzieliło ich już najwyżej kilka bloków. Wokół kręciło się coraz więcej Odrzuconych, którzy przemylkali w światłach latarni, by zaraz potem skryć się w mrocznych zakamarkach bram. Nie zwracali na siebie wzajemnie uwagi. Dla jednych i dla drugich liczyło się tylko to, czy w pobliżu znajduje się Szarańcza.

-Ja też chcę ci coś powiedzieć. Od dnia, kiedy zamknęli cię w więzieniu, nie było godziny, żebym nie kombinował, jak cię z niego wyciągnąć. Nigdy o tobie nie zapomniałem.

-Myślisz, że o tym nie wiem?

-Zawracałem tylek wszystkim możliwym szychom, które mogły mieć jakikolwiek wpływ na twoją apelację. Ministrom, urzędnikom, oficerom - wszystkim po kolei. Jednemu gościowi chciałem nawet zapłacić, żeby zorganizował dla ciebie ucieczkę.

Mówił prawdę. Gdyby okazało się to konieczne, oddałby nawet swoją Gwiazdę Embry, żeby wypuszczono Feniksa na wolność. W Jacinto wciąż mieszkało wielu zagorzałych kolekcjonerów, którzy zrobiliby sporo, żeby zdobyć taki medal. Dla niego nie miał on wówczas żadnej wartości - bez tych, których kochał i dla których go zdobył, był jedynie kawałkiem zwykłego metalu.

-Dostawałeś w więzieniu moje listy?

-Jeden, może dwa.

-Pisałem do ciebie co tydzień.

-Wiem.

-Do jasnej cholery, Marcus! - Dom na moment zapomniał o Hordzie. Nie potrafił przestać się zadreć, że jego najlepszy przyjaciel spędził tyle lat w celi z jakimiś mętami, nie mając żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. - Co mam powiedzieć? Przepraszam...

-Wyciągnąłeś mnie stamtąd. To wystarczy.

Zwolnili, starając się znaleźć jakiś punkt orientacyjny. Poruszanie się o własnych siłach nie należało do najłatwiejszych czynności - zwłaszcza w mieście, które zmieniało się każdego dnia. Znacznie łatwiej podróżowało się przez te ulice w APC.

- Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Wiem to, więc nie myśl o tym więcej.

Ale Dom nie potrafił. Kiedy zginął Carlos, kuczowo trzymał się Marii i dzieci. Najbliżsi byli wtedy dla niego wszystkim i kiedy choć na chwilę tracił ich z oczu, wręcz wpadał w panikę. Musiał minąć rok, zanim przestał się o nich tak obsesyjnie bać. Gdy jednak Marcus trafił do więzienia, wszystko wróciło i poczuł się tak, jakby znów stracił brata. Nie zamierzał przeżywać tego po raz drugi. Nie był na to gotowy. I już nigdy nie będzie.

„Gdybym tylko mógł wtedy walczyć na Polach Aspho razem z nimi...”

Wizja umierającego Carlosa nawiedzała go już tysiące razy. Tak, tysiące - liczył każdą chwilę, kiedy wracał wspomnieniami do tamtego dnia. Wiedział też, że jeśli byłiby wówczas we trójkę, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Oczywiście, że rozumiał, dlaczego Fenix chciał uratować Hoffmana i Kaliso. Rozumiał to doskonale.

PIĘTNAŚCIE

To nie karabiny i bomby zabijają ludzi, a naukowcy, którzy projektują całą tę śmiertelność broń. Większość Georów, nie umniejszając ich talentom, byłaby zdolna stworzyć co najwyżej włócznię albo luk. Proszę się więc nie oburzać, kiedy twierdzę, że to świństwo nazywać moich ludzi mordercami, podczas gdy pańscy wykształceni koledzy za to samo dostają atrakcyjne granty. I to zanim jeszcze zaczną pracę nad kolejnym gównem, nad którym potem nie będą mieli żadnej kontroli.

MAJOR VICTOR HOFFMAN
ROZMOWA Z JEDNYM ZE STUDENTÓW
UNIWERSYTETU LACROIX PODCZAS DNI OTWARTYCH
(4 LATA PRZED DNIEM WYJŚCIA)

PUNKT ASPHO

OPERACJA „NIWELATOR”, PÓŁ GODZINY PO WKROCZENIU, 16 LAT WCZEŚNIEJ

Uwaga, dwa stanowiska z karabinami maszynowymi w pobliżu bramy wjazdowej - powiedział Benjafield.

-Pozostała szóstka powinna być gdzieś w okolicy, ale nie mogę ich namierzyć. Cho, widzisz coś? - Trzech iść na tyły. Ma ich śledzić?

- Nie, zaczekaj przy łodziach - wtrącił się Hoffman. - Morgan i Bai Tak, zajmijcie się tym. Cho i Benjafield, jeśli zajdzie taka potrzeba, odpływacie z naukowcami. Roboty dołączą do was po drodze. Są tak zaprogramowane, żeby w razie czego was odnaleźć. Pamiętajcie, jesteśmy tu po dane i personel. Tylko to się liczy.

Santiago przykucnął w drzwiach do głównego budynku. Cały czas przysłuchiwał się rozmowie, obserwując przez noktowizor, jak Georg chowa się w sitowiu obok przystani. Potem przeniósł wzrok na pułkownika, który wraz z kilkoma góralami zaczął się w pobliżu wejścia do bloku mieszkalnego. Wszyscy pozostali byli tylko bezcielesnymi głosami w radiu i jedyne, co mógł zrobić, to odtworzyć w wyobraźni plan ośrodka, rozmieszczając na nim swoich towarzyszy.

Pierwsza wymiana ognia była krótka - tak jakby kontratakujący nagle zmienili zdanie na temat szturmowania budynku - i teraz wokół panowała absolutna cisza.

Możliwe, że Indie zdali sobie sprawę, że nie mają przewagi liczebnej? Albo zamierzali się przegrupować i uderzyć od północy. W sumie to nieistotne. Cokolwiek tamci planują, oni nie dadzą się zaskoczyć.

Z głębi ładu, od strony Pól Aspho, dochodził głuchy pomruk kanonady. Z pozycji, którą Dom zajmował, nie mógł dojrzeć niczego poza czerwonymi łunami flar na niebie. Przypomniawszy sobie o swoim narwanym braciszku.

„Carlos, nie zawieź mnie. Słuchaj rozkazów Marcusa .

- Na pewno domyślają się, że mamy zakładników - powiedział Hoffman. - Podczas ataku mogliby ich przypad-

kowo zabić, dlatego nie będą ryzykować. A to daje nam przewagę.

Timiou znajdował się w pomieszczeniu socjalnym umieszczonym w parterowej przybudówce, na prawo od lobby. Siedział tam razem z przeniesionymi tu pracownikami ośrodka i pilnował, żeby żaden z nich nie uciekł. Bez cywili ta misja byłaby z pewnością o wiele łatwiejsza, ale z drugiej strony stali się teraz ich żywą tarczą i to właśnie dzięki nim mogli dyktować warunki. Cóż, niewiele to miało wspólnego z czystą grą, ale w takich sytuacjach każdy sposób jest dobry. Poza tym nie mieli innego wyboru -biegający po polu walki, rozhisteryzowani naukowcy tylko pogorszyliby sprawę.

„Pamiętaj, że oni nie są niewinnymi ofiarami” - upomniął się w duchu. „To ludzie, którzy budują broń zdolną unicestwić całe miasta. Zresztą na naszym miejscu zachowaliby się pewnie tak samo. Albo jeszcze gorzej”.

- Najważniejszy jest Frank - odezwał się znów Hoffman. -Jeśli go stracimy, profesor Fenix nie zrekonstruuje Młota Świtu. Santiago, miej go na oku i traktuj jak własne dziecko.

„Cholera, zupełnie zapomniałem, że urodziła mi się córka. Jak mogłem...”

Dom wrócił do serwerowni. Robot wciąż unosił się nieruchomo przed regałem z komputerami. Dookoła niego rozchodziła się niebieskawa poświata, a obydwa ramiona wetknięte miał w porty stacji.

- Frank - powiedział, ze zdziwieniem odkrywając, że czuje zmieszanie, jakby przerywał komuś badania nad do niosłym odkryciem - nie czekaj na nas, gdy skończysz. Od razu leć do Benjafielda, rozumiesz?

Przez krótką chwilę spodziewał się, że maszyna przerwie pracę, odwróci się do niego i odpowie *coś* w rodzaju: „Tak, proszę pana”, ale zaraz uzmysłowił sobie, jak absurdalne było to oczekiwanie. W końcu to tylko maszyna. I dobrze, przynajmniej nie będzie musiał go przekonywać, żeby zostawił towarzyszy w ogniu walki.

Wrócił do drzwi wyjściowych i ponownie ukucnął na progu.

-U Franka wszystko w porządku, majorze - powiedział. - Wydałem mu dyspozycje, żeby po zebraniu danych natychmiast dołączył do Malcolma.

-W porządku, Santiago. Zbierz wszystkich cywili w lobby. Gdy będziemy się wycofywać na brzeg, weźmiemy ich ze sobą, a potem, w ostatnim momencie, puścimy wolno.

-Czy wykorzystamy ich jako osłonę?

-Jeśli będziemy musieli, to tak. Ale tylko w ostateczności.

Dom wyciągnął dłoń z uniesionym w górę kciukiem, a potem skierował się do pomieszczenia socjalnego. Po chwili wszedł do zaciemnionego pokoju. Timiou siedział pod oknem z Lancerem opartym o parapet, gotowy w każdej chwili odeprzeć niespodziewany atak. Nie miał łatwego zadania - szyba uniemożliwiała obserwację terenu za pomocą podczerwieni, więc musiał polegać na swoim wzroku, a jednocześnie cały czas pilnował jeńców.

Więżniowie wciąż leżeli skrępowani na podłodze. Z zaklejonymi taśmą ustami i szeroko otwartymi oczami wydawali się bezbronni i przerażeni, a na ich twarzach wypisane było tylko jedno pytanie: „Co z nami zrobicie?”.

Santiago pochylił się i wyjął nóż, żeby rozciąć linki krępujące im kostki. Chcąc okazać dobre maniery, postanowił

zacząć od kobiet. Kiedy podchodził do pierwszej z nich, ujrzał na twarzy zakładniczki bezgraniczny strach. Domyślał się, że nie widziała w nim miłego, kochającego męża oraz ojca dwójki dzieci, ale bezwzględного oprawcę z goglami na oczach i olbrzymim karabinem u boku.

-Spokojnie, wyprowadzamy was do drugiego budynku - powiedział, ale jego uprzejmy ton głosu najwyraźniej nie zrobił na niej większego wrażenia. - Na wypadek gdyby ten wyleciał w powietrze.

-Ciszej - syknął Timiou, spoglądając nagle w górę i wskazując sufit lufą swojego Lancera. - Tam ktoś jest, na dachu. Słyszę kroki.

Santiago stał na środku pomieszczenia, pomiędzy pracownikami a wyjściem - na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy coś tak głupiego jak ucieczka. Nastawił uszu, wpatrując się nieruchomo w okno, które rozciągało się na całej długości ściany. Wychodziło na morze i kropelki wody przyniesione tu z wiatrem połyskiwały na szybie niczym małe kryształki. Jeśli te dranie faktycznie dostały się na górę, to zaraz zaczną się atak.

-Głowa nisko - szepnął do kobiety, ruchem ręki każąc jej przykucnąć. - Wasi komandosi nie będą nikogo legitymować podczas ostrzału.

-Czyszciciel, chyba mamy kogoś nad pomieszczeniem socjalnym - powiedział cicho Timiou. - Możliwa próba odbicia zakładników.

Nie trzeba było być geniuszem, żeby domyślić się, jak Indie przeprowadzą całą akcję - rozproszą się, zajmą odpowiednie pozycje, a potem uderzą wszyscy naraz. I zrobią kompletną jatkę.

Czy wcześniej ćwiczili w ośrodku taki wariant? Komandosów z KPT ominął ten punkt podczas zajęć - po prostu, nie mieli na to czasu. A szkoda, bo teraz jakakolwiek dokładniejsza wiedza na ten temat bardzo by się przydała.

-Jakiś gość wchodzi po maszcie radiowym - odezwał się w słuchawce Morgan.

Nie podał ani jednego szczegółu więcej, jakby zapomniał języka w gębie. To była ich pierwsza poważna akcja i z każdą chwilą ujawniały się kolejne braki w wyszkoleniu. Dom nie wątpił, że Hoffman miał pełną świadomość tej sytuacji.

- Bai Tak może go w każdej chwili zdjąć - znów za brzmiał głos Morgana. - Są dwaj kolejni. Idą do nas. Na pewno wejdą drzwiami koło generatora.

Morgan zamilkł gwałtownie i przez chwilę słychać było tylko odgłosy wystrzałów, dochodzące z wnętrza budynku. Chwilę potem w radiu eksplodowały przekrzykujące się głosy:

-Są wewnątrz! Dwóch wewnątrz!

-Kurwa, gdzie?!

-On na dachu już nie ma! Ja go zdjąć!

-Shim, wszystko w porządku? Odezwij się!

-Young - to Hoffman - nie daj im przedrzeć się do robotów!

-Wybiegli, majorze.

Nadal nie znali położenia pozostałych Indie. Trzech komandosów, których nie można zlokalizować, to dużo. Dom wciąż nasłuchiwał, czy na dachu faktycznie ktoś się przyczaił.

„Na sto procent wiedzą, gdzie jesteśmy. Ale skąd? Nie-
możliwe, żeby sami się domyślili. Nikt nie jest aż tak spryt-
ny. Ktoś musi im pomagać”.

- Majorze - powiedział do mikrofonu - jestem pewien,
że oni mają kogoś w środku.

Nagle rozległ się głośny trzask pękającego szkła. Przez
chwilę Santiago myślał, że Timiou nie wytrzymał napięcia
i wybił szybę, żeby otworzyć ogień, okazało się jednak, że
to ktoś z zewnątrz wskoczył przez okno wprost do po-
mieszczenia, zwieszając się z dachu na linach i strzelając na
oślep. Przez ułamek sekundy w świetle rozbłysków widział
twarze w goglach i maskach przeciwgazowych. Bez namy-
słu wypalił ze swojego Lancera w kierunku najbliższego
napastnika. Kilka pocisków przebiło pancerz z głuchym
pogłosem i mężczyzna padł martwy na podłogę. Chwilę
potem runął także drugi, zaś trzeci wycofał się w róg po-
koju, szukając schronienia przed ich ostrzałem, ale zanim
mu się to udało, jego także dosięgnęły kule. I wtedy, jak
za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, umilkły wrzaski
zakładników, a lufy karabinów przestały pluć ogniem. Na-
stała nieznośna cisza.

Dom podszedł do komandosa w rogu pokoju i przyj-
rzał mu się uważnie. Potem wpakował w niego cały ma-
gazynek, a Timiou zrobił to samo z dwoma pozostałymi.
Musieli mieć pewność, że nikt im już nie zagraża. Gdy
przeładowywali broń, w pomieszczeniu rozległo się głoś-
ne szlochanie.

-Jacyś ranni? - krzyknął Santiago, potrząsając kilkoma
zakładnikami, aby sprawdzić, czy żyją. - Zostańcie na
miejscach.

- Ci tutaj też są cali - powiedział Georg. - Zielony-dwa do Cząściciela, załatwiliśmy trzech intruzów. Wychodząmy.

Ilu jeszcze ich zostało? Dwóch przy stanowiskach z karabinami maszynowymi i dwóch gdzieś na zewnątrz. To wciąż o czterech za dużo.

- Zginiemy tu - mamrotał nerwowo Georg. - Kurwa, wszyscy tu zginiemy.

Dom w duchu nie zgadzał się z nim. Nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, ale wydało mu się kompletnie absurdalne, że człowiek, który właśnie pozbawił życia trzech świetnie wyszkolonych komandosów i który za chwilę miał się osłaniać żywą tarczą złożoną z pracowników ośrodka, widzi wszystko w tak czarnych barwach.

„Zginęlibyśmy, ale tylko wtedy, gdybyśmy nie mieli tych ludzi”.

Wyszli całą grupą z pomieszczenia, kierując się korytarzem do lobby. Na spotkanie wyszedł im Hoffman, który wracał od strony serwerowni. Dom poprosił Timiou, żeby wezwał do pomocy Morgana, a sam podszedł do majora.

-Jestem pewien, że ktoś od nich jest w tym budynku - powiedział. - Doskonale znają nasze rozstawienie. Wiedzieli nawet, w którym pomieszczeniu przetrzymujemy jeńców. Oczywiście może to wszystko przypadek, ale przecież nadal nie wiemy, gdzie jest drugi strażnik.

- Czy to teraz ważne, Santiago? - zapytał dowódca, wyrażnie czymś zniecierpliwiony. - Gdy tylko do tamtych do trze, że ich pierwsza próba się nie powiodła, na pewno zaatakują jeszcze raz. Powinniśmy się stąd jak najprędzej wynosić.

-Frank jeszcze nie skończył?

-Nie - warknął i ruszył drzwi wyjściowych. - Ale i tak najpierw musimy załatwić tych drani na zewnątrz.

POLA ASPHO

Wiatr osłabł i zaczął wiać od strony lądu. Carlos poczuł to na twarzy.

Miał też wrażenie, że wszystko lepiej słyszał. Jak każdy Gear, bez kłopotu zidentyfikował warkot silników dochodzący od strony terenów położonych w głębi lądu, gdzieś za wzgórzem, które oddzielało stare farmy od terenów przybrzeżnych Aspho.

-Indie mają tam co najmniej kilka opancerzonych wozów - krzyknął do radia. - Nadciągają od północnego zachodu.

-Kurwa, fatalnie - zaklęła Stroud.

Zdawała sobie sprawę, że wczorajsze rozpoznanie z satelity było teraz kompletnie bezużyteczne. Tamci posuwali się bardzo szybko i jakiegokolwiek dane o ich wcześniejszym położeniu dawno już straciły swoją wartość. W dodatku panowały kompletne ciemności i musieli polegać wyłącznie na sprzęcie posiadanym na miejscu. I na własnych oczach.

- Czy ktoś ich namierzył? - dodała. - Czy ktoś ich w ogóle widzi?

-Jeszcze nie - odpowiedział Kennen. - Cały czas są za tym cholernym wzniesieniem. Tylko ich słyszymy.

- Te maszyny mają jedynie cztery koła i są wyjątkowo ciężkie - wtrącił się Marcus. - Na bagnach by utknęli, więc raczej będą się trzymać głównej drogi.

-Standardowo samochody są uzbrojone w AA i ciężkie karabiny maszynowe - dodał Carlos. - Nie muszą podjeżdżać aż tak blisko.

-Spokojnie, to nie my jesteśmy ich głównym celem - stwierdziła Stroud. - Ich interesuje Punkt Aspcho.

-Przecież mają tam już swoich komandosów - wypowiadając te słowa, Santiago pomyślał o bracie i miał nadzieję, że nic mu nie groziło. - Frontalny atak na pewno zniszczyłby cały ośrodek.

-Wątpię, żeby się tym przejmowali - odparła major. - Jeśli nie zniszczymy Osigcor, mogą bez obaw rozpieprzyć swoją placówkę w drobny mak. Przynajmniej uniemożliwią nam przejście danych.

-A pracownicy?

-No właśnie... Ale pewnie wkrótce przekonamy się, jak bardzo Indie są zdeterminowani i czy faktycznie pogodzili się ze stratami.

Marcus usiadł na ziemi z rozstawionymi nogami i założył Longspeara na ramię. Jego pięty grzęzły w miękkim podłożu.

-Spójrz na mapę, stary - powiedział, celując w jakiś obiekt. - Będą musieli pokonać ten most. To jedyna droga, przez którą może przejechać tak ciężki sprzęt.

-Możliwe... Jak myślisz, naprawdę odważą się zrównać swój ośrodek z ziemią?

-Cisza mi tu - warknęła major przez radio. - Łączy używamy tylko do komunikacji taktycznej, a nie do pieprzonych pogaduszek. Cholera, czy do was to nie dociera?

Santiago odsunął mikrofon od ust i poczuł się jak skarcony uczeń - gniew Stroud był dla niego dotkliwszy niż świadomość zbliżającego się niebezpieczeństwa.

-Nigdy nie wiem, kiedy trzymać język za zębami - rzu-
cił półgłosem do przyjaciela.

-Niestety - zaśmiał się Marcus. - Na co oni czekają?

Cały obszar wokół nich - błotne, porośnięte trawą rów-
niny usiane labiryntem płytkich rowów melioracyjnych
- wciąż ryły pociski wystrzeliwane z moździerzy Indie, coraz
mocniej rozdzielając ich kompanię na dwie oddzielne gru-
py. Jedyne miejsce, które mogłoby dawać jakieś takie schro-
nienie, znajdowało się daleko od nich, na wysepce suchego
lądu porośniętego rzadkimi krzewami. Tu, gdzie się teraz
ukrywali, mogli tylko pochyłać się jak najniżej, licząc, że
żaden z nich nie oberwie jakimś odłamkiem.

„Mamy pomóc Domowi” - pomyślał. „Wszystko inne
się nie liczy”.

Problem w tym, że nie mieli pojęcia, w jakim kierunku
pójdzie główny atak, i nie mogli przygotować się na kontr-
ofensywę. W dodatku wróg najwyraźniej miał znacznie
większe siły, niż przewidywał to Intel. Inaczej Indie nie
wysłaliby tylu opancerzonych wozów, kiedy tylko zorien-
towali się, że w Aspho wylądował desant.

„Jak oni to odkryli? A może od początku to była za-
sadzka?”

Nagle w oddali zauważył posuwający się naprzód po-
jazd.

- Lekki AA - ocenił, wiedząc doskonale, że ten wóz po
trafił poruszać się także w trudnym terenie. - Uwaga, obro
na przeciwnicza kieruje się na północ. Dwa kilometry
od nas.

- Co oni kombinują? - wymamrotała Stroud i umilk-
ła na chwilę. - Kalona, poinformujcie tych na Merit, żeby

przygotowali Petrele do startu. Będziemy też potrzebowali Kruków do ewakuacji rannych.

Moździerze znowu zadudniły za wzgórzem. Brzmiały tak, jakby ktoś z całej siły uderzał młotkiem w metalową skrzynkę. Zanim Carlos schylił głowę, usłyszał huk eksplozji tuż za swoimi plecami. Wilgotny piach wzbił się w powietrze i mokre grudki ziemi zaczęły spadać na jego pancerz. W słuchawce usłyszał, że ktoś wzywał medyków do Gearów, którzy oberwali. Indie strzelali coraz celniej.

„Jeśli pozwolimy im rozstawić obronę przeciwlotniczą, będziemy mieli przechłapanie”.

-Walić to - jęknął wściekle Marcus, przestawił Longspear na długi zasięg i wypalił w stronę stanowisk artyleryjskich wroga. Pocisk pomknął łagodnym łukiem i po chwili na szczycie wzniesienia pojawiła się wielka kula ognia. - Te gnojki strzelają do nas jak do kaczek.

Wystrzały w ośrodku badań umilkły, a przynajmniej tak im się zdawało. Operacja, która w założeniach miała być spacerkiem po parku, zamieniła się w rozpaczliwą obronę. Jedyne, co mogli teraz robić, to po prostu nie dać się zabić.

Kolejny pocisk eksplodował gdzieś na lewo od ich pozycji.

-Obrońca do Kennena - krzyknęła Stroud. - Sierżancie, co z wami? Psiakrew, chyba go trafili. Medyk, gdzie jest medyk?

-To chyba ASP - powiedział Marcus z wahaniem w głosie. - Kolejny... I kilka lekkich wozów opancerzonych. Są na odcinku od siedem-pięć-siedem-zero-zero-jeden do siedem-sześć-jeden-trzy-trzy-zero. Mają siedem...nie, osiem

LAY-ÓW.

Pojazdy szły kawalkadą, plując w ich stronę ogniem ze wszystkich luf. Jeden prosty atak z powietrza załatwiłby sprawę w ułamku sekundy, ale nie mieli teraz takich możliwości. Carlos przez moment pomyślał o tym moście.

-Cholera, chcę nas odciąć od Punktu Aspfo - rzuciła Stroud. - Kalona, widzimy opancerzone pojazdy AA. Kierują się w stronę ośrodka. Dziesięć sztuk. Gdzie nasze wsparcie lotnicze?

-Obrońca, dwa Petrele są już w powietrzu - na linię weszła Anya, ale jej sygnał był bardzo słaby. - Będą u was za dziesięć, góra piętnaście minut.

-Niech od razu zajmą się bazą w Osigcor. Dajmy Indie powód do większych zmartwień niż nasz desant tutaj.

-Jesteście pewni, że tego chcecie?

-Tak. Najpierw baza, potem my.

-Potwierdzam. Bez odbioru.

-Mataki do Obrońcy - włączyła się Bernie, która miała za zadanie obserwować także Punkt Aspfo. - Widzę błyski w ośrodku. Na dachu głównego budynku. Tam jest jakaś niska wieżyczka, z której ktoś nadaje sygnały świetlne. Nie mogę dokładnie zrozumieć przekazu, ale Hoffman powinien chyba wiedzieć, że mają kreta.

-Obrońca do Czyściciela. Macie u siebie niezłego cwa-niaka. Siedzi na dachu głównego budynku, w jakiejś wieżyczce, i kontaktuje się z Indie - powiedziała Stroud. -Jak znam życie, pewnie ma zwykłą latarkę. Stare, sprawdzone metody zawsze są najlepsze.

-Dzięki, Obrońca - usłyszeli głos Hoffmana. - Zaoszczędziliście nam szukania. Bez odbioru.

- Chyba coś nadlatuje - stwierdził przez radio Kaliso, leżący nieopodal w jakimś leju po pocisku z mózdzierza. - Ale to raczej nie są nasze Kruki.

Cały czas czekali na ewakuację rannych. Carlos zastanawiał się, jakie miejsce byłoby najbezpieczniejsze do lądowania, uświadamiając sobie, że gdziekolwiek ich helikoptery usiądą, na pewno napotkają mocny ostrzał.

-Co z Kennem? - zapytała major.

-Nie żyje - odparł medyk.

Stroud zamilkła na dłuższą chwilę. Nie ona jedna -wszyscy wstrzymali oddech i czekali na potwierdzenie. To było coś więcej niż tylko śmierć towarzysza. Stracili najlepszego żołnierza, podporę kompanii.

-Kurwa mać - zaklęła w końcu, cedząc każde słowo.

-Mataki? Teraz ty jesteś dowódcą. Pozbieraj pluton Kenne-na i podejdźcie bliżej do kanału. Nie pozwólcie, żeby LAV-y przejechały przez most.

-Tak jest.

-Tu Kaliso. Słyszę śmigłowce Indie. Nadlatują od strony morza. Jeszcze ich nie widzę, ale to na pewno Chimery.

„Mój sierżant nie żyje” - powtarzał w myślach Santiago.

Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Uważał swojego dowódcę za niepokonanego i teraz nie potrafił pogodzić się z jego śmiercią. Z jakiegoś irracjonalnego powodu wciąż miał nadzieję, że medyk po prostu się pomylił, że Kennen był tylko ranny i że można go jeszcze uratować. Ale jakaś jego część wiedziała, że to tylko głupie, naiwne życzenia.

„Nie żyje... Naprawdę nie żyje...”

Wyteżył słuch. Chciał namierzyć nadlatujące helikoptery, ale wiatr i pociski z moździerzki skutecznie zagłuszały wszystkie dźwięki. Może Kaliso się przesłyszał, może to jednak ich Kruki?

Marcus przyjął wygodniejszą pozycję i sięgnął po kolejnego Longspeara.

-To przedostatni - mruknął cicho. - Nawet jeśli inny pluton ma ich więcej, i tak zabraknie na wszystkie pojazdy.

-Fenix, Kennen nie żyje - odezwała się Stroud.

-Słyszałem.

-Skup się. Musisz zatrzymać te cholerne wozy.

Carlos nie mógł uwierzyć, że śmierć dowódcy ich oddziału nie zrobiła na przyjacielu żadnego wrażenia. Spojrzał na niego akurat w momencie, kiedy przymykał na chwilę oczy, pochylając przy tym głowę, i przypomniał sobie, że dokładnie tak samo wyglądał, kiedy dowiedział się o zaginięciu swojej matki. Nic nie mówił, nie płakał - po prostu czekał, aż emocje miną i znów będzie mógł racjonalnie myśleć.

- Dobra - powiedział do niego Santiago. - Rzucamy parę granatów i przechodzimy na drugą stronę. Potem zdejmujemy kilka wozów i blokujemy most.

Na wpół zarośnięty kanał był wystarczająco głęboki i szeroki, żeby stanowić dla opancerzonych pojazdów Indie przeszkodę nie do pokonania.

- Nie. Czekamy na rozkazy.

Cały Fenix - wzorowy Gear, który wykonuje wszystko zgodnie z regulaminem. Owszem, Stroud była najlepsza, ale nawet ona nie miała jasnego obrazu sytuacji. Na pewno

nie z miejsca, w którym teraz się ukrywała. Zresztą w ogniu walki mało kto potrafi zdobyć się na chłodną analizę. Wszystko zmienia się wtedy z sekundy na sekundę i należy podejmować natychmiastowe, czasem nawet bardzo ryzykowne decyzje, których trafność zweryfikuje dopiero rzeczywistość. I nawet jeśli później okażą się pomyłką, i tak lepsze to niż siedzenie na tyłku i czekanie.

Gotując się w środku, Carlos niemo obserwował kolumnę pojazdów przez celownik optyczny swojego Lancelota. Tamci wciąż znajdowali się poza granicami zasięgu ich Longspeara, ale to mogło zmienić się w każdej chwili.

„Gdybym był bliżej...” - pomyślał. „Chociaż o kilka metrów... Zajęłoby mi to minutę...”

-Fenix do Obrońcy. Mogę zająć się najbliższym ASP, tym po lewej. Wszedł mi w pole. Już go namierzyłem.

-Poczekaj...

Usłyszeli warkot nadlatujących śmigłowców. To na pewno nie były Kruki. Wkrótce dostrzegli toporne kształty szturmowych Chimer należących do wroga. Nie mieli pojęcia, czego się spodziewać. Helikoptery mogły równie dobrze chcieć rozgromić kompanię C, jak i od razu skierować się do Punktu Aspoho. Najgorsze, że zestrzelenie takiej maszyny z Longspeara równało się niemalże z cudem.

- Pieprzone dupki - wymamrotał Marcus, skupiając się na pojeździe widzianym na czarno-zielonym ekranie CLU. - Dalej, Dom, zróbcie, co macie zrobić, i wynoście się stamtąd.

Wiatr wreszcie ustał. Zapowiadająca się od paru godzin burza nie nadeszła. A może przeniosła się w inne miejsce. Tam, gdzie naprawdę była groźna.

PUNKT ASPHO

- Mała zmiana planów - powiedział Hoffman. - Mamy w budynku kogoś, kto przekazuje sygnały do Indie. Musimy go znaleźć i unieszkodliwić. Zajmę się tym osobiście, a ty,

Bai Tak, zlikwiduj w tym czasie tych dwóch przy bramie.

Był na siebie wściekły. Ten cholerny strażnik naprawdę siedział na dachu i jakimś cudem wiedział, gdzie trzymają zakładników. Posiłki na pewno już nadchodziły i mieli coraz mniej czasu.

-Ja już robi, sah.

Bai Tak, Shim i czterech innych górali sięgnęło po swoje maczety. Wysoka trawa rosnąca w pobliżu bramy wjazdowej zakotłosała się leniwie na wietrze i Hoffman dostrzegł dwa stanowiska karabinów maszynowych rozstawione od siebie w odległości niecałych pięciu metrów. Gdzieś od strony morza wciąż dobiegał go cichy pomruk rotorów. Nie miało znaczenia, czy Chimery zamierzają wyrzucić kolejne oddziały komandosów, czy po prostu ostrzec ich z powietrza - obie ewentualności oznaczały dla Gearów nowe kłopoty.

- Santiago, jak tam pobór danych? - zapytał przez radio.

-Jeszcze dziesięć minut.

-Gdzie jesteś?

-Na piętrze, razem z robotami.

-Zaraz u ciebie będę.

Rozejrzał się, uświadamiając sobie nagle, że kompletnie stracił górali z oczu. Weszli gdzieś w chaszczę i teraz nie potrafił ich zlokalizować nawet przez noktowizor.

„Tak trzymać, chłopaki" - pomyślał z satysfakcją.

Powinien czym prędzej iść do Dorna, ale nie mógł się do tego zmusić. Z ukrycia wciąż patrzył w stronę bramy. W oddali mignął jakiś cień, a w chwilę potem ktoś stanął za żołnierzem UIR i zakrył jego usta ręką. Sekundę później mężczyzna wierzgnął nogami i zaczął konwulsyjnie drgać, a potem opadł bezwładnie na ziemię. Hoffman przeniósł wzrok na drugiego z żołnierzy. Karabin maszynowy stał na swoim miejscu, ale w pobliżu nikogo nie zauważył. Nagle z trawy wyłoniły się dwie głowy i zaraz z powrotem zniknęły. Za każdym razem, gdy widział górali w akcji, nieodmiennie czuł dumę, ale i lęk. Miał świadomość, że nie byli zwykłymi Gearami.

-Dwóch odjąć, sah - powiedział Bai Tak, kiedy wrócił na stanowisko.

-Dobra robota, sierżancie. Teraz idźcie do łodzi i wypatrujcie helikopterów wroga.

-Majorze, potrzebuje pan pomocy? - usłyszał w słuchawce Benjafiolda. - Przpracowuje się pan.

-Nie martw się o mnie. Lepiej pilnuj łodzi. Mam nadzieję, że pamiętasz, co robić, kiedy wszystko się schrzani.

-Tak, biorę naukowców i spadamy.

Hoffman wszedł do głównego budynku, z rozmachem otwierając podwójne, oszklone drzwi na oścież. Na podłodze w lobby siedzieli pracownicy ośrodka, pilnowani przez samotnego Timiou. Wciąż mieli związane ręce i usta zaklejone taśmą.

„Przynajmniej nikt nie panikuje” - pomyślał. „Dobre i to”.

Morgan i jeden z górali strzelali gdzieś na tyłach do dwóch ostatnich Indie. Dom zszedł po schodach, nasłuchując uważnie odgłosów walki.

-Chyba szykują się do kolejnego ataku - wyjaśnił.

-Albo czekają na posiłki.

-Wiem, ale ty pójdziesz ze mną. Hej, Morgan - krzyknął głośno - popraw im humor na kilka minut.

Razem wbiegli po schodach. Na piętrze Young sprawdził Bruce'a. Major rozejrzał się po hali w poszukiwaniu schodów pożarowych lub jakiegokolwiek innego wyjścia, które prowadziłyby na dach. Niczego takiego nie umieszczono na planach budynku, które dostali od Settile, i musieli teraz polegać wyłącznie na własnej intuicji.

-Strażnik jest gdzieś na górze - powiedział, szturchając Dorna w ramię. - Podobno ukrył się w jakiejś wieżyczce. Może to maszynownia albo kanał wentylacyjny. Znajdź drogę i daj mi znać.

-Ten koleś jest już gotowy - oznajmił z uśmiechem Young; nigdy nie potrafił zaakceptować, że ma do czynienia jedynie z maszynami, i zawsze mówił o nich jak o ludziach.

-Dobra, zabierz robota do Benjafelda. A gdzie Joe?

-Właśnie kończy. Wygląda na to, że główne dane przetrzymywali tylko na serwerach, ale dla pewności wyczyściliśmy także dyski stacji lokalnych. Nigdy nic nie wiadomo.

Hoffman skinął głową, a potem machnął ręką, dając Youngowi do zrozumienia, żeby przerwał pracę i jak najszybciej wynosił się z hali z całym sprzętem. To zabawne, że roboty, które początkowo miały tylko wspomagać Gearów w niektórych działaniach, z czasem stały się ważniejsze niż życie obsługujących je żołnierzy.

- Tam są jakieś schody - powiedział Santiago, wskazując jeden z rogów pomieszczenia.

-Zakładam, że gnojek się nas spodziewa - stwierdził zimno Hoffman, nasłuchując przez moment warkotu rotorów i oceniając, czy zdążą przed przybyciem helikopterów. -Nie wiem jak i skąd, ale on dokładnie wie, gdzie jesteśmy. Zupełnie jakby śledził każdy nasz ruch.

-Myśli pan, że jest z sił specjalnych?

-Całkiem możliwe. Do tej pory udawało mu się nas zwodzić.

Dotarli na miejsce.

- Dobra, Santiago, standardowa procedura. Wchodzimy na górę, forsujemy drzwi i jeśli trzeba, otwieramy ogień.

Idąc po schodach, trzymali się blisko ściany, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Wkrótce stanęli przed wąskim, niskim wejściem, nasuwającym nieodparte wrażenie, że prowadzi wprost do domu dla lalek. Pomieszczenie za nimi także było niewielkie i bardziej wyglądało jak wnętrze dużej szafki kuchennej niż pokój. Na drugim końcu znajdowały się kolejne drzwi. Dom machnął Lancerem, jakby chciał zapytać, czy po wejściu ma od razu otworzyć ogień.

Hoffman zaprzeczył ruchem głowy. To nie dałoby im żadnej gwarancji, że zabiją znajdującego się gdzieś w środku człowieka. A musieli mieć pewność, bo nawet ciężko ranny zawsze mógł odpowiedzieć ostrzałem albo, co gorsza, odpalić bombę pułapkę. Wskazał na zamek, podniósł jedną rękę i zaczął odliczać.

Na jego znak Dom wypalił z Lancera prosto w dziurkę od klucza, wparował do pomieszczenia i... zniknął mu z oczu. Podążając za podkomendnym, przez ułamek sekundy Hoffman mógł zarejestrować najdrobniejsze nawet szczegóły wnętrza oświetlonego blaskiem bijącym od ja-

kiegoś włączonego monitora - zupełnie tak, jakby każdy detal wokół był najważniejszą rzeczą w jego życiu. Nie widział tylko jednego.

„Gdzie jest podłoga?!“ - krzyczał w duchu, lecąc w dół.
„Gdzie jest, kurwa, podłoga?!“

Uderzył kolanami o coś twardego. Podniósł głowę i oniemiał zaskoczony widokiem, który roztaczał się przed jego oczami. Światło z lampy taktycznej karabinu Santiago kierowało się prosto na mężczyznę w niebieskim uniformie ochrony. Miał około dwudziestu lat, może trochę więcej. Balansując na stercie skrzyń, usiłował dosięgnąć jakimś przedmiotem do okienka tuż pod sufitem, teraz jednak zamarł w tej nienaturalnej pozie, jak zwierzę przyszpilone na drodze przez reflektory samochodowe. Po chwili, niczym w zwolnionym filmie, zaczął unosić drugą rękę. Kiedy dostrzegli w niej pistolet, nie czekali dłużej i pierwsi otworzyli ogień. Światło trzymanej przez strażnika latarki jak oszalałe biegało po całym pomieszczeniu, chwilami niemal kompletnie ich oślepiając.

Zdawało się, że mężczyzna nadawał do ostatniej chwili.

Przestali strzelać. Ogluszony hukiem Hoffman rozejrzał się dookoła i uświadomił sobie, że znajdowali się w swego rodzaju szybie, w którym podłogę umieszczono metr poniżej poziomu drzwi - co znaczyło, że spadli z tej właśnie wysokości. Z kolei sufit wyraźnie wystawał ponad linię dachu, ale nie na tyle, aby zdjęcia satelitarne mogły zarejestrować ten szczegół. Nic dziwnego, że Intel okazał się tu bezsilny.

- A więc to jest ten gnojek - mruknął Dom, wpatrując się w nienaturalnie wykrzywione ciało pracownika ochrony.

- A więc to jest ten bohater - poprawił go major i jednocześnie zdał sobie sprawę z potwornego bólu, który szarpał go gdzieś w okolicach prawej rzepki.

Szkolenie, któremu poddawano Gearów, uczyło ich walczyć niezależnie od tego, jak ciężką ranę odnieśli. Umieci wyprzeć z umysłu wszelkie cierpienie, pozwalając, aby adrenalina utrzymywała ich przez cały czas w pełnej aktywności. Ale mózg Hoffmana nie zamierzał poddawać się tym wyuczonym zachowaniom i protestował przeciw każdemu, najmniejszemu nawet ruchowi.

„W COG ten człowiek zasłużyłby sobie na medal” - świadomie postanowił odwrócić uwagę od nogi. „I być może go dostanie, tyle że w UIR”.

Zaczął budować profil strażnika. Młody mężczyzna, który mógłby służyć w armii, a nie służył. Do tego umiał nadawać sygnały świetlne. I inteligentny, bo potrafił znaleźć dogodny punkt obserwacyjny, dzięki czemu ze swojej kryjówki wysyłał komunikaty, które pozwoliły siłom Ostri na szybki kontratak. Wniosek nasuwał się sam - były żołnierz.

- Wszystko w porządku, majorze? - usłyszał za sobą Dorna.

„Ale dlaczego były? Nie wygląda na inwalidę wojennego”.

- Tak, tak - odparł, zatrzymując się na chwilę przy martwym chłopaku.

Odwrócił go na plecy i spojrzał mu prosto w twarz. Chociaż tyle mógł dla niego zrobić.

Gdy przeszukali pomieszczenie, szybko odkryli, jakim cudem strażnik znał ich rozlokowanie. Okazało się, że wszystkie pomieszczenia ośrodka monitorował najprostszy

system przeciwpożarowy, który rejestrował, gdzie i kiedy otwierały się drzwi, wykrywając przy okazji ciepłość ciała. Klasyczny numer - zawsze znajdzie się jakiś cholerny szcegół, który zrobi z człowieka idiotę.

- Świetnie to wykombinował - powiedział Hoffman ni to do siebie, ni to do Santiago. - Użył inicjatywy i dzięki swojemu sprytowi nasłał na nas siły lądowe i powietrzne Ostri.

„Może i istnieje jakieś inne wyjaśnienie na to, co tutaj zaszło” - pomyślał z goryczą. „Ja jednak wiem, że zabiłem prawdziwego bohatera”.

Na odchodne sprawdzili jeszcze, czy strażnik nie miał przy sobie jakichś ważnych dokumentów, ale niczego nie znaleźli.

- Idziemy, majorze? - zapytał Dom, wskazując na niską drabinkę stojącą obok wejścia do pomieszczenia.

Hoffman skinął głową.

„Napiszę raport” - postanowił. „Niech Indie wiedzą, co ten człowiek zrobił. Chociażby dlatego muszę jeszcze trochę pożyć”.

-Może pomóc?

-Nie, dam sobie radę - odparł, ale kolano wciąż bolało jak diabli. - Pospiesz się. Aktywujmy detonatory i spadajmy stąd.

„Nie pozwolę Indie zniszczyć ośrodka. Zrobimy to pierwsi”.

SZEŚNAŚCIE

Marcus, pogadaj wreszcie ze swoim starym. On nie będzie żył wiecznie. Wybacz jemu. Wybacz sobie. Gdy już go nie będzie, oddasz wszystko, żeby spędzić z nim choć minutę.

CARLOS SANTIAGO

PRÓBUJĄCY NAPRAWIĆ STOSUNKI MIĘDZY FENIKSAM I

POLA ASPHO, LINIA FRONTU

GODZINA 1.45. 16 LAT WCZEŚNIEJ

Radio Carlosa znowu ożyło. - Tu Kalona, dwa Petrele lecą właśnie na północny wschód. Trzymajcie głowy nisko, tak na wszelki wypadek. Słyszał obydwie samoloty, zanim jeszcze je zobaczył. Z narastającym grzmotem nadciągały od strony morza, kierując się na Perasphe. To był słodki dźwięk. Oznaczał, że wszystko będzie w porządku. Indie zaraz dostaną za swoje.

-Śmiało, chłopaki - powiedział, wyciągając szyję, żeby mieć lepszy widok. - Skopcie im te tłuste tyłki.

-A mówią, że nie da rady skrzyżować myśliwca z bombowcem - stwierdził niespodziewanie Marcus. - Cholera, spójrz na to...

Jego głos utonął w huku kolejnych eksplozji. Bez gogli noktowizyjnych pole walki przypominało wielką, pogrążoną w mrokach scenę, którą ktoś niewidzialny raz po raz rozświetlał chaotyczną feerią światel. Nagle ogromny wybuch na kilka sekund rozjaśnił okolicę gdzieś na prawo od Carlosa. Wziął głęboki oddech, chcąc wiwatować, ale w tym samym momencie zorientował się, że tak nie brzmiała żadna bomba. Spojrzał w górę. Kula ognia rozproszyła się już po niebie i tylko płonące strzępy spadały na ziemię niczym deszcz meteorytów. Czyjś krzyk w słuchawce sprawił, że żołądek ścisnął mu się w bolesnym skurczu.

-Dostali go! Kurwa, zestrzelili naszego Petrela!

-Obrona przeciwlotnicza - prawie wyszeptał Marcus.

-Fenix, musimy rozwalić ich ASP - powiedziała Stroud.

-Jeśli tego nie zrobimy, wszystko pójdzie się pieprzyć.

Nadal słyszeli ryk drugiego samolotu, który właśnie zawracał nad Pola Aspho ogromnym łukiem. Nagle rozległ się świst gorącego gazu i zobaczyli, jak pocisk Indie szybkuje wysoko ku zachmurzonemu niebu. Na kilka sekund wstrzymali oddechy. I znowu potworny huk, a zaraz po nim druga ogromna kula ognia.

-Cholera, kolejny Petrel - to był głos Mataki. - W jaki sposób mogą być tak precyzyjni?

-Nie mam pojęcia - powiedziała Stroud. Znajdowała się teraz zaledwie kilka metrów od nich. - Fenix, zdejmij pierwszy wóz, ten na lewo. Jakovs, ile macie jeszcze Longspearów?

-Dwa.

- Więc ich nie zmarnujcie. Zajmijcie się drugim ASP i tym AA stojącym obok.

Ręczne wyrzutnie były obsługiwane tylko przez jednego człowieka, ale Carlos nie zamierzał siedzieć bezczynnie. Przysunął się do pleców przyjaciela i podparł go kolanami. Marcus rzadko pułdował, ale na wszelki wypadek wołał za dbać o to, żeby miał jak największy komfort podczas celowania. Pocisk wystrzelił dokładnie w tym samym momencie, w którym wóz obrony przeciwlotniczej ruszył i...

- No żeż! - Fenix jęknął z irytacją w głosie, widząc, jak ASP skręca ostro w prawo, a biała smuga dymu mija go ledwie o metr.

Eksplozja rozświetliła pobliskie drzewa, łamiąc jedno z nich na pół. Santiago sięgnął po ostatniego Longspeera.

- Szybko - krzyknął. - Bo nam ucieknie.

Siedzący nieopodal Jakovs także nie miał szczęścia. Jeden z celów, manewrując podobnie jak poprzedni, dostał jedynie w rurę wydechową. Żołnierze UIR dobrze znali słabe strony ich wyrzutni, a zwłaszcza duży rozrzut przy większych odległościach.

Gdzieś po prawej zobaczyli APC należącego do Indie, który nieświadomie wszedł w pole ich rażenia. Marcus bez zastanowienia wypalił i pocisk trafił wóz z boku. Zobaczyli, jak detonacja rozrywa pancerz i rozrzuca jego kawałki w promieniu kilkunastu metrów. W każdej innej sytuacji cieszyliby się z tego trafienia jak dzieci, teraz jednak wiedzieli, że na tym ich ostrzał się skończył.

-Cholera - zaklął Fenix, kiedy Stroud podbiegła do niego i ukucnęła obok. - Przepraszam, majorze.

-W porządku, dobrze się spisaleś. Jednego skurczybyka mniej.

- Nie stresujcie mnie - powiedział spokojnie Jakovs, celując z ostatniego Longspeara.

Kolejna jasna smuga dymu pomknęła gdzieś w mrok i Carlos nawet nie zdążył się zorientować, w co celował kompan z jego oddziału. Dopiero po chwili dostrzegł ASP, który zawracał w stronę grupy innych pojazdów. Nie minęła sekunda, jak jego górna wieżyczka z działkami przeciwlotniczymi zniknęła w oślepiającym błysku ognia.

„Różnica między zwycięstwem a klęską zależy czasem od kilku głupich centymetrów” - pomyślał z satysfakcją.

Marcus wciąż klął pod nosem, trzymając jednocześnie palec na przycisku wyłączającym radio. Wyglądał jak uczeń, który dostał w szkole pałę i nie potrafił się z tym pogodzić. Ale przecież nie powinien się winić - zadanie po prostu było niewykonalne. Santiago zamierzał poklepać przyjaciela po plecach, mówiąc, że losy bitwy nie zależą tylko od niego i że nie ma się czym przejmować, ale wtedy znów usłyszał helikoptery. Wsparł się na łokciu, spoglądając w niebo, nigdzie jednak nie dostrzegł żadnych świateł nawigacyjnych. Dopiero po chwili zobaczył Chimery krążące wzdłuż wybrzeża, jak jastrzębie czekające na swoje ofiary.

- Kalona do Obrońcy - powiedziała Anya. - Merit wysła resztę Petreli.

Będą u was za dziesięć, dwanaście minut. Czyściciel za moment zdetonuje ładunki w ośrodku. Przygotujcie się do odwrotu.

- A co z transportem rannych? - zapytała major. - Ze strzelą nasze Kruki, zanim tu wylądują. Właśnie skończyły nam się Longspeary, a zwykłymi RPG nie rozwalimy ich obrony przeciwlotniczej.

- Pracujemy nad tym - stwierdziła porucznik, a Carlos pomyślał, że zabrzmiało to wręcz jak przeprosiny.

Major najwyraźniej także usłyszała tę dziwną nutę w głosie córki, bo na moment zamilkła, a kiedy się odezwała, jej głos był zupełnie inny niż zwykle.

- Dobrze sobie radzisz, kochanie. Naprawdę bardzo dobrze. Jestem z ciebie dumna.

Na kilka długich sekund w radiu zapanowała głucha cisza, jakby wszystkim odebrało mowę. Major Helena Stroud nigdy do tej pory nie używała łączny do prywatnych zwierzeń - ani w koszarach, ani tym bardziej na polu walki - i teraz nie było Geara, który nie czułby się zaskoczony tą sytuacją. Ale to miało sens i Santiago się go domyślił. Po prostu Stroud wiedziała, że mogła stąd nie wrócić żywa.

Anya zdawała się namyślać całe wieki.

-Ja z ciebie też... majorze - oznajmiła wreszcie.

Marcus zamierzał przerwać niezręczną sytuację i coś powiedzieć, ale Carlos postanowił go uprzedzić.

- Proszę o pozwolenie na podejście do ASP - zwrócił się do kucającej obok Stroud. -Jeden z wozów mogę zniszczyć, ale muszę być bliżej.

-Ja to zrobię - wtrącił się Fenix, wstając. Major pociągnęła go za nogawkę spodni i posadziła z powrotem na miejsce.

- Mam w tym większą wprawę, kapralu. Wy dwaj idźcie na prawo i osłaniajcie mnie - powiedziała i zmieniła kanał. - Alpha, Bravo i Echo, przechodźcie pod dowództwo Mataki. Bernie, chcę, żeby jedna połowa zabezpieczyła teren na plaży co najmniej dwa kilometry stąd, a druga

odwróciła uwagę Indie pozorowanym ostrzałem. Za chwilę się wycofujemy.

-Majorze, jeśli pani pobiegnie do tej kolumny, to oni dorwą panią w mgnieniu oka.

-Bez dyskusji, sierżancie. Znacnie rozkazy.

-Na co czekają te cholerne Chimery? - zapytał Marcus. - Aż tak się nas boją?

Helikoptery wciąż krążyły w okolicach wybrzeża, trzymając się z daleka od ich pozycji. Gdyby wleciały nad ląd, kompania C mogłaby próbować je zestrzelić, ale może ich piloci właśnie tego chcieli uniknąć.

- Mogą tak sobie latać do usranej śmierci, a nasze Kru

ki i tak tu wylądują, czy to się im podoba czy nie - za grzmiała Stroud, pakując kilka granatów za pasek. - Miej cie oko na ASP po lewej. I dajcie mi kilka minut.

Jeszcze raz rozejrzała się po okolicy i skoczyła przed siebie, znikając w ciemnościach. Usłyszeli plusk wody i domyślili się, że zamierzała dojść do celu, wędrując rowami melioracyjnymi.

-To wariatka - stwierdził Carlos.

-Ma rację.

-Fenix, jeśli ona ma rację, to ja też.

Santiago służył razem z kobietami już drugi rok. Dobrze wiedział, że były tak samo sprawne fizycznie jak mężczyźni, ale teraz nie bardzo mu odpowiadało, że major, która równie dobrze mogłaby być jego matką, miała wykonać tak trudne zadanie w pojedynkę. I fakt, że nimi dowodziła, niewiele tu zmieniał.

- Daj spokój, stary. - Marcus szarpnął go za rękaw i za czął czołgać się przez szuwary. - Idziemy na swoje pozycje. Słyszałeś, co powiedziała.

- Pewnie, że słyszał - w radiu odezwała się nagle Stroud. - I ja też cholernie dobrze was słyszę.

„Tak samo jak twoja córka” - pomyślał Carlos.

Gdyby to on ryzykował własne życie, pewnie nie przejmowałby się zbytnio konsekwencjami, ale patrzenie, jak to samo robi ktoś inny, doprowadzało go do szału. Nie wierzył, że jej się uda. Spodziewał się, że w każdej chwili usłyszy krzyk, a potem milknący charkot, kiedy kobieta będzie się dusiła własną krwią, postrzelona przez jakiegoś snajpera. W napięciu czekał na ten moment, jednak w słuchawce wciąż tylko rozlegał się plusk wody i ciężki oddech.

Podnieśli się, ale tak, żeby nie wystawać ponad linię wysokich w tym miejscu traw, i skręcili w stronę oddziału Jakovsa. Na miejscu Carlos o mały włos nie wyrznął w jednego z żołnierzy.

- No i co z tym ASP? - zapytał Marcus.

Jakovs przeładował broń, a potem sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu ostatnich magazynków.

-A co ma być? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

-Musimy go zniszczyć. Inaczej nasze Kruki tu nie wylądują.

-Ja w każdym razie jestem gotów. - Carlos cały czas toczył wewnętrzną walkę, nie mogąc znieść, że ukrywa się w jakichś chaszczach, podczas gdy inni odwalają za niego całą robotę. - Jeśli Stroud potrafi tam dotrzeć, to ja też dam radę.

Gdzieś daleko pojawiła się seria błysków - to salwa wystrzelona z kilku LAV-ów, która wyraźnie wymierzona została w pozycje zajmowane przez oddział Matak. Zdecydowanie udało jej się odwrócić ich uwagę.

- Obrońca do wszystkich - wyszeptała Stroud. - Jestem dziesięć metrów od ASP. Pracuje na jałowym biegu. Facet z obsługi siedzi we włazie, ale mnie chyba nie widzi.

Carlos spojrział w tamtą stronę. Przez gogle zobaczył ciemnozielony cień poruszający się przy samej ziemi.

- Widzę panią, majorze - także szepnął. - Powoli.

Słyszał jej równy oddech, a nawet każde chlupnięcie, gdy szła po wilgotnym podłożu. Nagle w tle odezwał się jakiś męski głos, ale Santiago nie zrozumiał ani słowa z tego, co mówił. Potem już tylko widział, jak Stroud wskakuje na kadłub wozu, wrzuca przez właz dwa, nie, trzy granaty, a potem odwraca się, by zeskoczyć na ziemię. Głowa faceta znika we wnętrzu ASP i wieżyczka zaczyna się obracać, a major... zahacza parcianym paskiem o jakiś wystający element pojazdu. Zostało już tylko kilka sekund. Stroud szarpie klamrę paska. Wyjmuje nóż.

- Kurwa! - krzyczy.

Eksplozja była większa, niż ktokolwiek się spodziewał. Wóz rozerwało dosłownie na strzępy, a jego płonące kawałki przeleciały w powietrzu dobre kilkanaście metrów.

- Majorze! Majorze! - zawołał Carlos, ale w słuchawce wciąż tylko rozlegał się cichy szum. - Obrońca, wszystko w porządku?

Kiedy to mówił, jednocześnie pomyślał, że to najgłupsza rzecz, jaka kiedykolwiek wyszła z jego ust. Ale trzeba mieć nadzieję - czasem Gearzy wychodzą cało nawet z tak beznadziejnych sytuacji. Widział już ludzi, którzy przeżyli postrzał w głowę. I to nie były żadne cuda.

- O kurwa... kurwa... - jęczał Jakovs.

Santiago wciąż się łudził, że jednak usłyszy znajomy oddech. Po tym, co wcześniej zobaczył, zdawało mu się to

kompletnie idiotyczne, ale nie potrafił nad tym zapanować. Dopiero kiedy opadł pył i przygasł nieco ogień, zrozumiał, że Stroud nie miała najmniejszych szans. Marcus chwycił go za pasek i ściągnął na dół.

-Uważaj, durniu!

-Zostaw mnie - wycedził Carlos, gotów pobiec w każdej chwili do wraku i nie zważając na Indie, odszukać ciało ich dowódcy. - Nie możemy jej tam tak zostawić.

-I nie zostawimy - przyznał cicho przyjaciel, a potem sięgnął ręką do słuchawki w uchu. - Mataki, to jest teraz twoje wojsko.

- Wszystko widziałam - stwierdziła przez radio. - Czy to pewne? Czy ona jest... Tango Cztery?

Był to neutralny, beznamiętny kod, który ułatwiał medykom orientację w ich zadaniach i oznaczał typy rannych - od T1, czyli najcięższych przypadków, po T3, czyli żołnierzy z małymi obrażeniami, mogących chodzić o własnych siłach. T4 nie potrzebowali żadnej pomocy. Już nigdy.

Nagle Carlos uświadomił sobie, że Anya słyszała to wszystko przez radio. Podobnie jak inni, ledwie panował nad emocjami i nie było mowy, żeby potwierdził teraz córce, że jej matka jest w kawałkach. Nawet nie potrafił sobie wyobrazić, co czuła. Pomyślał o Dornie i o tym, że też pewnie walczy o życie. Za dużo tego, dłużej nie wytrzyma...

-To pewne, Tango Cztery! - krzyknął wściekle do mikrofonu. - Ale pieprzony ASP też poszedł do piachu! Udało jej się! Wygrała!

-Kalona, zgłoś się - powiedziała chłodnym głosem Mataki. - Obrońca odszedł. Tango Cztery.

Otrzeźwiało. Tak, potrzebny był dystans i jasność przekazu. Dla Anyi.

-Jeszcze jeden ASP - wtrącił się Marcus, kierując swoje słowa wyraźnie do Bernie. - Wciąż mamy problem. Powtarzam, wciąż mamy problem. Indie nadal mogą zniszczyć nasze Kruki.

- Przyjęłam - powiedziała sierżant. - Nic nie kombinujcie. Macie siedzieć na tyłkach i czekać, zrozumiano?

Santiago słyszał Chimery, które niezmiennie krążyły nad wybrzeżem. Zapewne czekały na to, aż Hoffman w końcu wypłynie w morze. Indie wcale nie mieli zamiaru niszczyć ośrodka w Punkcie Aspho.

-Biedna dziewczyna - mruknął pod nosem Fenix. Przełknął ślinę tak głośno, że nawet Carlos mógł to usłyszeć. Wyglądał tak, jakby dokonywała się w nim jakaś niejasna przemiana, wprost na oczach wszystkich, śmierć po śmierci.

-Jakovs, nasłuchuj tych gnojków - znów odezwała się Matak. - Nie wydaje mi się, żeby załatwienie kolejnego ASP rozwiązywało nasze kłopoty.

A więc Anya Stroud była dla swojej matki powodem do dumy. Przynajmniej major zdążyła jej to powiedzieć -większość ludzi nie ma takiego szczęścia. Najgorsze, że nie mogła słyszeć swojej córki teraz, kiedy drżącym głosem robiła to, co należało do jej obowiązków. Carlos słuchał tego z ciężkim sercem.

- Kalona do Pomeroya - powiedziała porucznik. - Obrońca odszedł, Tango Cztery.

Nastąpiła krótka przerwa, jakby łączność została właśnie zerwana, ale po chwili wszyscy usłyszeli ciche chrząknięcie i Anya odezwała się ponownie:

- Powtarzam, Obrońca odszedł, Tango Cztery.

PUNKT ASPHO

1 GODZINA I 10 MINUT PO ROZPOCZĘCIU

OPERACJI „NIWELATOR”

Kiedy Hoffman pędził do głównego budynku po rozmięklej ziemi, grunt pod jego stopami zdawał się aż drżeć. Nie byli już sami.

Chimery krążyły gdzieś w pobliżu, gotowe w każdej chwili zaatakować, a on czuł coraz większą złość. Wiedział, że helikoptery nie przybyły tu na wycieczkę - UIR z pewnością nie pozwoli im uciec i ich Marliny nie przepłyną nawet dwustu metrów. Na co więc im teraz byli potrzebni cywile, którzy wszystko tylko utrudniali?

- Uciekajcie! - krzyknął, wpadając do lobby. - No już, spieprzać mi stąd, zanim cały ten burdel wyleci w powie trze!

Timiou popchnął jedną z kobiet.

- Dalej! - wrzasnął jej prosto w twarz. - Na zewnątrz będziecie bezpieczni.

Ale naukowcy, bosy i nadal ubrani tylko w piżamy, byli zbyt przerażeni, żeby wybiec na otwartą przestrzeń i szukać schronienia z dala od ośrodka. Tam, gdzie każdy Gear dostrzegał szansę na przeżycie, cywile widzieli jedynie eksplozje, świszczące kule i pewną śmierć.

„Co za ironia losu” - pomyślał Hoffman. „Boją się tego, co sami produkują”.

- Wynosić się albo zaczniemy strzelać - syknął, przeładowując broń.

Pomogło. Zakładnicy wreszcie ruszyli się z miejsc i jeden po drugim zaczęli wypadać w ciemność. Na środku

lobby została tylko jedna z pracownic. Na oko miała jakieś trzydzieści lat, ale z bliska wyglądała o wiele starszej. Stała nieruchomo, jakby wrosła w ziemię. Z jej oczu przebijał strach. I bezgraniczna wiara, że pozostanie w budynku to najlepszy wybór.

W drzwiach wejściowych pojawili się Morgan i Young.

- Osiem minut, majorze - powiedział ten ostatni, a po tem podszedł do kobiety, chwycił ją mocno za ramię i nie zwracając uwagi na jej krzyki, zaczął siłą wywlekać z pomieszczenia. - Zegar tyka, mała. Zdechniesz tu, jeśli się nie ruszysz. No dalej!

Po chwili Hoffman biegł już do łodzi. Musieliby mieć niezłego farta, żeby umknąć Chimerom. Wzburzone morze mogłoby im w tym pomóc, ale sztorm, jak na złość, właśnie ustawał.

„Priorytety, priorytety...” - powtarzał w duchu. „Mamy swoich naukowców, ale to dane są najważniejsze”.

- Czyściciel do Pomeroya. Jaki jest zasięg robota z sześćdziesięcioprocentowym obciążeniem?

Zapadło milczenie - znacznie dłuższe, niż się tego spodziewał.

-Jakieś trzy kilometry - odezwał się Michaelson. - Dlaczego pytasz?

-Czy Kruki mogą je namierzyć i sterować nimi z pokładu?

-Tak, jeśli podasz pilotowi współrzędne.

-W takim razie wysyłam je dwa kilometry od wybrzeża. Będą w lokacji... pięć-dziewięć-zero-zero-sześć-osiem. Przejmijcie je.

-Czyściciel, jeśli myślisz, że śmierć Stroud...

- Słyszę Chimery, Quentin. Helikoptery szturmowe kontra nadmuchiwane motorówki to chyba niezbyt mądry pojedynek. Zrób mi przyjemność i po prostu zajmij się tymi cholernymi robotami. Jeśli zdarzy się najgorsze, będziemy przynajmniej wiedzieć, że nie ginimy na darmo.

Frank, Bruce i Joe miały o wiele większe szanse niż oni. W przeciwieństwie do łodzi były zbyt małe, aby załogi śmigłowców mogły je zauważyć. Operacja „Niwelator” nie zapisze się w historii jako porażka. Nie kiedy on dowodzi.

- Przyjąłem, Czyściciel. Powodzenia. I nie próbuj zgrywać bohatera. Bez odbioru.

Hoffman wziął uwagę Michaelsona za dobrą monetę. Sięgnął do kieszeni po kartkę i długopis i nabazgrał szybko współrzędne.

-Spróbuję, Quentin - mruknął do siebie, a potem przywołał machnięciem ręki stojącego najbliżej żołnierza.

- Ti-miou, ustaw roboty na tryb powrotu i skieruj je w to miejsce.

-Mamy niezły czas, majorze.

-Wykonać.

Ufał Georgowi, ale postanowił osobiście dopilnować wysyłki. Stojąc niemal po kostki w rozmięklej, grząskiej ziemi, ze spokojem przypatrywał się, jak Timiou wprowadza dane lokacji docelowej, a później wydaje komendę powrotu. Trzy metalowe korpusy uniosły się w powietrze, schowały swoje manipulatory pod pokrywę i poleciały w stronę morza.

- Sześć minut - powiedział, spoglądając na zegarek i odliczając czas do wybuchu.

Ivo siedział w Martinie Benjafelda, skulony i wciąż zakneblowany, zaś Bettrysa i córkę Meurig zapakowano do motorówki Cho. I nie był to żaden kaprys - rozdzielenie zakładników dawało większą pewność, że któryś z nich przeżyje podczas ewentualnego ataku.

Kiedy Santiago zepchnął pierwszą łódź do wody, znowu usłyszeli helikoptery. Hoffman już wiedział, że nie mogą liczyć na wsparcie - kompania C sama była w niezłych tarapatach.

„Brat Dorna też ma kłopoty” - pomyślał. „Chłopak musi teraz odchodzić od zmysłów”.

-Majorze - zawołał Malcolm - będziemy mieli sporo wolnego miejsca, bo pozbyliśmy się robotów i ładunków, więc może by tak wziąć paru dodatkowych cywili...

-Nie, sierzancie, nic z tego - odparł, wsiadając do jego Marlina. - Ewakuacją personelu niech zajmują się tamci... Bai Tak, a ty na co czekasz? Do łodzi.

Gdzieś w oddali ostatni pracownicy ośrodka biegli w stronę skalistej plaży. Przy każdym wybuchu, który rozlegał się na Polach Aspho, padali na ziemię, a potem wstawali i oglądali się niepewnie za siebie, zdziwieni, że budynki wciąż jeszcze stoją.

Benjafield patrzył na ten obrazek z widocznym wzburzeniem, ale choć planował się odezwać, ostatecznie zacisnął tylko usta i chwycił mocno za ster.

- Pieprzę to, rozumiesz? - warknął na niego Hoffman, widząc gromy w oczach Malcolma. - Nie możemy zabrać ich wszystkich. Chcesz decydować, kto płynie, a kto zostaje? I kogo weźmiesz? Tych najmądrzejszych, najładniejszych, a może najbardziej zdesperowanych, co?

-Jeśli to o to chodzi, to poradzę sobie. Dom, daj tu jeszcze kilku cywili - zadeklarował, a potem odwrócił się do swojego dowódcy. - Za pańskim pozwoleniem, zabierzemy tych, którzy zgodzą się popłynąć...

Od strony ośrodka nadeszli Morgan i Timiou. Na plecach nieśli dwóch rannych górali. Shim i Lau-En najwyraźniej potrzebowali szybkiej pomocy medycznej.

-Dajcie ich tu - powiedział Bai Tak, wskazując do motorówki Cho. - Zajmę się nimi. Jeśli mogę, majorze...

-Cholera, co jest? - rzucił Hoffman. - Żaden gnojek mnie dziś nie słuca... Georg, czy roboty są już daleko?

-Na pewno, majorze.

Okazało się, że Santiago nie miał najmniejszych problemów ze znalezieniem dodatkowych pasażerów. Niewielka grupka - dwie kobiety i czterech mężczyzn - podbiegła do przystani i zatrzymała się na brzegu. Nikt z przybyłych nie wsiadał do łodzi, tępo wpatrując się w wodę dzielącą ich od Marlinów, więc Dom i jeden z górali zaczęli ich niemal wrzucać do środka. Na koniec sami wskoczyli na pokład.

- Pięć minut - oznajmił Hoffman i klepnął Benjafiolda w plecy. - Płyniemy.

Motorówka ruszyła z cichym warkotem, kierując się na środek kanału, a on spojrział na drugą łódź, która szybko ich doganiała. Byli już sto metrów od starej przystani.

-Czyściciel do Pomeroya. Roboty w drodze, a my opuszczamy teren operacji.

„Biedna Stroud... Zawsze wiedziała, że tak umrze... I my też to wiemy...”

- Pomeroy do Czyściciela. Potwierdzam. Bez odbioru.

Odgłos pracujących rotorów zdawał się coraz bliższy. Zsunął na oczy noktowizor i oparł Lancera o burtę. Spojrzał w twarze ludzi siedzących z nim w motorówce i pomyślał o góralach z Pesang. Wszyscy oni byli jeszcze takimi dziećmi - zwykli młodzi chłopcy bez zarostu czy zmarszczek, których życie dopiero się zaczynało. Wzdrygnął się na myśl o ich śmierci. Dom, który wcześniej cały czas z widoczną niechęcią wpatrywał się w wodę, nagle zaczął zdejmować pancierz.

-Santiago, co ty robisz, do diabła?

-Wolałbym utrzymać się na powierzchni, majorze.

-To będzie najmniejszy z twoich problemów, jeśli dostaniesz kulkę w płuca.

-Jeżeli Chimery otworzą ogień, to i tak podziurawią nas jak sito. Pancerze nic tu nie pomogą.

Pozostali siedzieli nieruchomo i najwyraźniej nie zamierzali iść w ślady kompana, ale nawet gdyby poszli, Hoffman nie zamierzał protestować. W ostateczności każdy miał prawo sam decydować, jak chce umrzeć. Zerknął znów na zegarek, a potem na wybrzeże. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, ośrodek w Punkcie Aspho za kilka sekund wyleci w powietrze.

„Trzy... dwa... jeden... Teraz”.

Nie ujrzeni jednego wielkiego wybuchu, zazwyczaj można oglądać w filmach akcji. Detonacje były o wiele mniejsze i następowały jedna po drugiej. Jakby ktoś strzelał krótką serią prosto w hałdę piachu - tyle że w powiększonej skali. Po chwili wszystko ucichło. Na brzegu nie biegali już rozhisteryzowani naukowcy, a budynki właśnie płonęły. Czy sta robota.

- Zgłóście się do ubezpieczalni, Indie - zaśmiał się Timiou. - Może dostaniecie odszkodowanie.

Jego żart rozbawił wszystkich w łodzi, ale tylko na moment. Od strony portu zbliżał się charakterystyczny dźwięk rotora. Obserwując wybrzeże przez noktowizory, zobaczyli nagle rozbryzgujące się fale i toporny kształt pojedynczej Chimery. W mgnieniu oka maszyna przeleciała nad nimi, a potem zaczęła zataczać szeroki łuk. Benjafield pchnął przepustnicę do samego końca.

- Będzie dobrze - powiedział nieoczekiwanie Dom. - Wszystko będzie dobrze.

Jasny snop światła przebił ciemność na wskroś. Ktoś obsługujący reflektor chaotycznie przeczesywał rozkołysaną powierzchnię morza.

„Tutaj, dupki” - pomyślał ze złością Hoffman. „Szukacie robotów? O tak, mamy je ze sobą”.

Zastanawiał się, co powinien zrobić w tych ostatnich sekundach swojego życia.

- Cho! - rzucił do mikrofonu. - Cho, rozdzielamy się! Płyn w drugą stronę!

Być może nie uda im się uciec, ale to i tak lepsze od siedzenia na tyłku i czekania, aż ich zestrzelą. Przynajmniej nie ułatwią im zadania.

W pobliżu krążyły już dwa helikoptery. Wciąż ich szukały. W końcu jeden z nich namierzył ich łódź, a w chwilę później potężna maszyna zawisła tuż nad nimi, wzbijając w powietrze zamieć kropel. Hoffman, ogłuszony łomotem silnika, odchylił się do tyłu i odbezpieczył swojego Lancera. Z tej odległości nawet Chimery mają słabe punkty.

„Wybacz, Dom. Nie zobaczysz swojej córeczki...”
-przemknęło mu przez głowę, kiedy zrozumiał, że helikopter na pewno odpowie ogniem.

Po prawej, znacznie bliżej, niż się spodziewał, ujrzał motorówkę Cho, którą także uwięził snop światła. Zerknął nieco wyżej. W okienku kokpitu na moment pojawiła się głowa pilota. Czego szukał? Nie potrzebował przecież kontaktu wzrokowego, żeby namierzyć cel.

Nagła eksplozja rozdarła morze w pobliżu łodzi Cho, wzbijając w powietrze ogromną fontannę wody. Marlin górala podskoczył na wysokiej fali, ale się nie przewrócił.

- O wy gnoje! - wrzasnął wściekle Dom, strzelając prosto w brzuch Chimery nad nimi. - Wy skurwiele! Tu są wasi ludzie!

No właśnie, ludzie. Hoffman dopiero teraz przypomniał sobie o cywilach.

„A więc to dlatego nie zatopili nas do tej pory. A ja chciałem ich zabić...”

Dołączył do Santiago razem z Timiou. Nagle snop światła zakołysał się gwałtownie, a silnik maszyny zaczął kaszleć. Coś śmierdzącego i oleistego przysnęło im na twarze.

„Paliwo? Może płyn do przekładni... Nieważne, na pewno łatwopalny”.

-Zdychaj, skurwysynu! - darł się Dom, wciąż strzelając. - Idź do piekła!

-Trafiłiśmy drania! - Timiou walnął towarzysza w szerokie plecy.

Chimera nad nimi zaczęła wirować wokół własnej osi, aż wreszcie odleciała gdzieś w bok, cały czas tracąc wysokość. Kiedy runęła w wodę sto metrów od nich, usłyszeli

głuchy jęk wyginanego metalu i brzęk pękającego szkła. Tylna pokrywa otworzyła się z hukiem, ale nikt nie wyskakiwał. Znów otworzyli ogień - jeśli mają umrzeć, to wszyscy razem.

Hoffman miał świadomość, że powinien sprawdzić, co z łodzią Cho, ale nie miał teraz na to czasu. Chimera, która wcześniej zaatakowała drugą motorówkę, właśnie zawisała nad tonącym helikopterem.

„Cholera, teraz ich naprawdę wkurzyliśmy. Już nie żyjemy”.

- Cho! - krzyknął Santiago gdzieś w ciemność.

Potem rzucił swojego Lancera na dno Marlina, zdjął szybko buty i wyskoczył za burtę - prosto w atramentową czerń morza.

SIEDEMNAŚCIE

Nie mogłem tak po prostu siedzieć i patrzeć, jak oni umierają.

SZEREGOWY SANTIAGO
JEDNOSTKA SPECJALNA 26. PUŁKU KPT
OFICJALNY RAPORT Z OPERACJI „NIWELATOR”

POLA ASPHO

2 MINUTY PO WYSADZENIU OŚRODKA BADAŃ

Dowództwo już dawno temu powinno potwierdzić, że ośrodek w Punkcie Aspho został zniszczony i że wszyscy mogą się wycofywać, ale radio wciąż milczało, a ich sytuacja stawała się coraz poważniejsza.

- O co tu chodzi? - zapytał Carlos, a potem zwrócił się w stronę morza, obserwując Chimery przeczesujące refleksami rozkołysane fale. -I czego oni tam szukają?

„Dom...” - uprzytomnił sobie nagle. „Tam jest Dom...”

-Nie możesz mu pomóc - powiedział Marcus, jakby czytał w myślach przyjaciela. - Cholera, kiedy po nas przylecą?

-Tu Obrońca-dwa - w słuchawkach odezwała się Mataka. - Kalona, co z tymi Petrelami? Musicie zdjąć ASP, inaczej Kruki tu nie wylądują.

Ton jej głosu był nienaturalnie łagodny i Carlos domyślił się, że po prostu nie chciała w niczym urazić siedzącej wciąż na łączach Anyi.

-Tu Kalona. Robimy, *co* możemy.

-Poinformujcie służby medyczne, że mamy...

Głośny świst zagłuszył ostatnie słowa Bernie. Kiedy pocisk rozerwał ziemię w pobliżu jej pozycji, w radiu zapadła cisza i na moment wszystkich ogarnęła panika.

-Powtarzam... - odezwała się znowu. - Mamy dwudziestu sześciu rannych. Trzech jest w stanie ciężkim. Znajdujemy się na plaży, w punkcie zrzutu.

-Tu Kalona. Z Merit wystartowało już sześć Petreli. Zatrzymał je szwadron myśliwców z Ostri, ale już do was lecą - Stroud zdawała się nieco rozkojarzona, jednak najwyraźniej cały czas kontrolowała sytuację. - Po zniszczeniu ASP spodziewajcie się eskadry Kruków. Za jakieś pięć, dziesięć minut od momentu zero... I jeszcze jedno: piloci będą musieli obrócić dwa razy. Czy to jasne?

-Potwierdzam. Bez odbioru.

Santiago odetchnął z ulgą. Co prawda najpierw polecą ranni i będzie musiał czekać na swoją kolej, ale najważniejsze, że odsiecz była już w drodze.

- Sierżancie, coś się dzieje - usłyszał w radiu Jakovsa. - ASP ruszył z miejsca.

„Indie się wycofują?” - przemknęło mu przez głowę. „Nie, to byłoby zbyt piękne”.

Spojrzał w stronę lądu i faktycznie dostrzegł pojazd, który wyraźnie zmierzał w kierunku asfaltowej drogi łączącej Punkt Aspfo z resztą świata.

- Na pewno nie pojedą do ośrodka. Za późno na odsiecz - zastanawiała się głośno Matak. - Może chcą się

ukryć. Albo zająć lepszą pozycję? Wybrzeże jest chyba poza ich zasięgiem.

-Albo dostali rozkaz - wtrącił Carlos - żeby przerwać atak. Pozwolimy im stąd uciec? Jaks?

-Moi chłopcy tylko czekają na sygnał.

-Nie rób nic pochopnie! - Marcus chwycił przyjaciela za ramię z taką siłą, że aż zbieleły mu kostki. - Przemyśl to jeszcze raz!

-Załatwmy ich. Mamy trochę czasu, zanim przylecą helikoptery.

- Santiago, nie zgrywaj bohatera - warknęła Matak.

W radiu coś trzasnęło i poszum obecny przez cały czas w tle nagle zniknął. Brzmiało to tak, jakby sierżant zablokowała łączność z Kaloną. Domyślił się, o co chodziło. Cała Bernie - nawet teraz, pod ostrzałem, nie zamierzała niepokoić dowództwa dodatkowymi problemami.

- Masz słuchać rozkazów kaprala Feniksa, nie żartuję

-
wycedziła. - Co wam zostało?

Marasin z oddziału Jakovsa rzucił okiem na amunicję i broń.

-Stomper i kilka granatów przeciwpiechotnych -oświadczył. - Jeśli podejmiemy do nich bliżej, damy radę.

-Dobra, wykonać. I pamiętajcie, żeby ustawić się...

-kobieta przerwała na chwilę, czekając, aż umilkną kolejne eksplozje - najdalej jak to tylko możliwe. Inaczej nie będziemy w stanie was osłaniać. Słuchajcie Feniksa i nie ryzykujcie niepotrzebnie.

-Tak jest - potwierdził Marcus. - Załatwimy tych skurczybyków, zanim się zorientują. Zajdziemy ich z obydwu stron i z odległości trzydziestu metrów odpalimy granat-

niki równocześnie. Nawet jeśli nie przebijemy pancerza, to i tak pojazd będzie na złom.

- Zgoda - powiedziała Mataki. - Do roboty.

ASP po drugiej stronie kanału poruszał się powoli, manewrując na boki, jakby jego kierowca nie do końca był przekonany o słuszności zmiany miejsca postoju. Jego gąsienice wyrzucały z tyłu błotniste grudy ziemi. W końcu wóz wjechał na drogę i skręcił w stronę mostu, zostawiając kolumnę pojazdów Ostri za sobą.

W piątkę wskoczyli do kanału i ruszyli na drugą stronę. Gęsty muł utrudniał im każdy krok, ale uparcie parli do przodu, cały czas pochylając się, żeby nie zostać wykryci. Gdy znaleźli się na miejscu, Carlos na moment wystawił głowę ponad stromy nasyp. Potem machnął na Jakovsa oraz Humana, żeby pobiegli razem z nim w lewo, a Marcus z Marasinem - w prawo. Mieli zaledwie kilka minut, żeby zająć wyznaczone pozycje.

Granaty przeciwpiechotne czasem wystrzelivano także z Lancerów i zamierzali wykorzystać tę możliwość. Co prawda ich wyrzutni nie skalibrowano odpowiednio do takich celów, a przy tej odległości nie mogli chybić.

Każda z grup dotarła już do wyznaczonych punktów. Znajdowali się trzydzieści metrów po obu stronach drogi, około pięćdziesięciu metrów w głąb Pól Aspno.

- Zaraz będzie w punkcie docelowym - powiedział przez radio Marcus. - Czekaście na mój znak.

Carlos w milczeniu obserwował ASP. W zielonej poświacie dostrzegał każdy jego detal - szczelinę w oknie dla kierowcy, nitowane spojenia, symbole pułku na pancerzu. Widział nawet głowę w okrągłym hełmie, wystającą ponad szeroko otwarty właz na szczycie wozu.

-Trzy... - zaczął Fenix. - Dwa... Jeden... Teraz!
Zaatakowali.

Teren wokół drogi rozświetlił się w ogniu kilku równoczesnych wybuchów, a nad bagnami przetoczyła się fala uderzeniowa. Wyglądało to znacznie mniej groźnie, niż Carlos się spodziewał, ale kiedy dym się rozwiął, z zadowoleniem stwierdził, że granaty zrobiły swoje. W panczerze ASP od ich strony widniała wielka, poszarpana na brzegach dziura, gąsienica zerwała się z kół, a górny właz w ogóle gdzieś zniknął.

W pierwszej chwili chciał wstać i wiwatować, ale zaraz dostrzegł, że pomimo tak poważnych uszkodzeń pojazd wciąż był na chodzie. Ktoś w środku, kto przeżył ich atak, kierował się teraz prosto na most.

- Kurwa - zaklął Marcus.

Carlos bez zastanowienia poderwał się na nogi i skoczył w kierunku kanału. Myślał tylko o jednym: żeby załadować w biegu granatnik, wskoczyć w zamuloną wodę, wejść pomiędzy filary i wystrzelić kolejny granat w sklepienie mostu - dokładnie tam, gdzie mieściła się szczelina pomiędzy płytami. Usłyszał, jak Marcus krzyczy do niego, każąc mu wracać. Zwolnił, odwrócił się i zobaczył, że Jakovs i Hurnan też za nim biegną. A więc oni także chcieli działać, a on miał plan - a przynajmniej wyglądał, jakby go miał - więc postanowili do niego dołączyć.

Ale jego pomysł wcale nie był dobry.

Kiedy ponownie ruszył w stronę kanału, ktoś w ASP otworzył ogień. Carlos zerknął na pojazd, a potem za siebie. Długa seria ryła grunt, zbliżając się do jego towarzyszy. W końcu kule dosięgły Hurnana, który runął ciężko na zie-

mię. Jakovs przystanął nad nim, żeby go podnieść, ale zaraz sam dostał kolejną serią prosto w tors. W tym samym momencie Carlos poczuł, jak coś uderzyło go w bok nogi z taką siłą, że stracił nieomal równowagę.

Już kiedyś został ranny i wiedział, jak smakuje postrzał - przypomina uderzenie obuchem młotką - jednak tym razem ból był nie do zniesienia i zdał sobie sprawę, że to coś znacznie gorszego. Resztki rozsądku podpowiadały mu, że powinien natychmiast upaść na ziemię, żeby się schronić przed atakiem Indie i chwilę odpocząć. Poleciał w dół - prosto w błotnistą wodę.

- Straciliśmy trzy osoby! - usłyszał w słuchawce Feni ksa. - Straciliśmy trzy osoby!

Głos przyjaciela brzmiał twardo, wręcz obco i zdawał się wołać: „Carlos! Trzymaj się! Gdziekolwiek jesteś, stary! Zaraz cię zabierzemy!”.

- Kogo?! - spytała krótko Mataki.

„Nie umarłem” - kołatało mu w głowie. „Jeszcze nie umarłem. Jakoś z tego wyjdę”.

Noga przestała już tak piekielnie boleć i pomyślał, że to jednak nic poważnego. Był cały odrętwiały.

„Cholerna zima noc”.

-Marcus, jestem w kanale - jęknął cicho do mikrofonu.

- Oberwałem, ale wszystko ze mną w porządku. Wracam do was.

-Zajmę się tym głównem!

-Kto oberwał? - znowu zapytała Mataki. - I jakim głównem chcesz się zająć? Fenix!

Santiago usłyszał w słuchawce stukot butów, jakieś głu-che uderzenie, a potem pojedynczy strzał.

-Sierzancie, mam tego gnojka, który otworzył ogień

-powiedział wreszcie Fenix. - Jestem w środku.

-W środku czego?

-W ASP. Cały czas jest na chodzie.

- No nie żartuj - zawołała Mataka. - Możesz strzelać?

Silnik pojazdu cały czas pracował i Carlos słyszał go nawet w huku wystrzałów. Podniósł się i przytrzymał betonowego filara mostu. Oczy miał teraz dokładnie na wysokości bagiennej równiny.

Stojący kilkanaście metrów dalej ASP obrócił się w miejscu i ruszył w stronę pojazdów Ostri. Z jakiegoś powodu nikt nie reagował na tę szarżę. Najwyraźniej żołnierze UR byli tak samo zdezorientowani jak oni - albo podejrzewali, że załoga ich wozu przeżyła i właśnie się wycofuje. Na pewno zakładali, że radio zostało uszkodzone, więc postanowili cierpliwie czekać.

„Cholera, nie dam rady” - pomyślał Carlos.

W oddali widział ciała Jakovsa i Hurnana. Rozejrzał się, chcąc znaleźć Marasina, ale domyślił się, że Gear pobiegł za Feniksem. Był na siebie zły - na siebie i na swoją głupotę. W duchu cały czas przeproszał Marcusa i Dorna. Nie miał pojęcia, co jeszcze może się zdarzyć. W głowie huczało mu tylko: „Głupcze, uciekaj stąd, jesteś ranny, źle z tobą...”.

Trząsł się z zimna. Złożył ramiona na piersi, żeby zatrzymać choć trochę ciepła. Udo wciąż piekło niczym przypalane ogniem. To dobrze - jeśli czuje ból, to oznacza, że nadal żyje. Spojrzał w dół, żeby sprawdzić, gdzie dostał.

W pierwszej chwili nie dotarło do niego, że patrzy na własną nogę, a noktowizor tylko potęgował wrażenie nie-

realności. Poszarpaną nogawkę spodni pokrywała ciemna plama, a z rozdarcia coś wystawało - to osmalone płyty skóry i rozerwane mięśnie, zwisające niczym jakieś absurdalne, okrwawione girlandy.

„Wal to, dasz radę” - powiedział do siebie w myślach. „Nie z takiego syfu ludzie wychodzą. Trzymaj się. Opatrz to i idź dalej”.

Do tej pory nigdy nie znalazł się w podobnej sytuacji - zawsze był co najwyżej obserwatorem - ale teraz to nie miało żadnego znaczenia. Musiał się z tym zmierzyć. Gdzieś w pobliżu rozległ się wybuch i Carlos odruchowo upadł na rozmiękłą ziemię przy brzegu. Nie miał siły się podnieść. Kiedy wczołgał się na szczyt stromego nasypu, na Polach Aspcho toczyła się bitwa, ASP, który znalazł się za liniami wroga, rozgramiał od tyłu swoje własne wojska, strzelając w LAV-y i towarzyszące im oddziały szturmowe. Carlos uświadomił sobie nagle, że jego przyjaciel może mieć poważne problemy z powrotem.

„Obiecałeś, stary. Obiecałeś, że rozegrasz to rozsądnie”.

Wciągnął się po nasypie. Dysząc ciężko, leżał obok wjazdu na most, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Nie był nawet w stanie sięgnąć do paska, żeby wyjąć jakikolwiek opatrunek. Przed oczami stanęło mu blade wspomnienie - dziesięcioletni, chudy chłopak podchodzący lekким krokiem do Joshuy Curzona i zadający mu cios. Cios, którego nikt się nie spodziewał.

Ostatkiem sił włączył radio.

- Sierzancie! - powiedział cicho. - Sierzancie, polezę tu jeszcze chwilę... Przypilnuję Marcusa...

PEŁNE MORZE, KILOMETR OD PUNKTU ASPHO

Cholerna Chimera nie miała żadnego znaczenia. Naprawdę.

Dom wskoczył do morza, a kiedy wypłynął na powierzchnię, usiłował trzymać głowę najwyżej jak potrafił. Był pewien, że utonie, zanim jeszcze strzelec pokładowy helikoptera otworzy ogień, ale miał to gdzieś.

Po chwili dopłynął do drugiej motorówki. Łódź gwałtownie nabierała wody. Morgan unosił się na falach, a Young przechylała się przez burtę i coś mówił, wskazując na Cho. Pracownicy ośrodka cały czas rzucali się jak szaleni. Nadal mieli związane ręce i wiedzieli, że kiedy Marlin pójdzie na dno, nic ich nie uratuje.

Jeden z nich, który oswobodził się sam, rozpaczliwie próbował uwolnić swoich kolegów, zawzięcie mocując się z plastikowymi pętami na ich nadgarstkach. Dom spostrzegł, że nie miał noża.

„Ja mam” - pomyślał. „Cholera, zaczekaj”.

Złapał się bocznego olinowania, podciągnął i wpadł na pokład. Po jego noktowizyjnych goglach ściekały olbrzymie krople i musiał kilka razy przetrzeć szybki, żeby mieć lepszą widoczność. Rozejrzał się. Na rufie zobaczył kilku martwych górali oraz cywili. Po drugiej stronie w płytkiej w wodzie leżał Bettrys, zwrócony twarzą do dołu. Obok szamotała się córka Meurig - cholera, nawet nie znał jej imienia - usiłując wydostać się spod ciała naukowca. Przeciągnął ich na drugą stronę łodzi i posadził, opierając o wąskie siedzenie. Wyglądało na to, że dla Bettrysa nie było już ratunku.

„Nigdy nic nie wiadomo” - przemknęło Domowi przez głowę. „Ale jak, u diabła, mam go tutaj reanimować?”

- Tam, tam - pływający w morzu Bai Tak wskazał na coś za jego plecami. - Przytrzymaj ich.

Santiago spojrzął za siebie i zobaczył motorówkę Benjafielda, która dobiła do nich od drugiej strony. Chimera cały czas krążyła gdzieś w pobliżu, słyszał ją wyraźnie, ale nie zaprzętał sobie teraz tym głowy. Zanim Hoffman podał mu linę, pochwycił Younga i przerzucił go przez burtę. Timiou złapał mężczyźnię i posadził na podłodze.

Marlin cały czas tonął, a na pokładzie wciąż znajdowało się sporo cywili. Santiago zrozumiał, że będzie musiał wybierać.

Żaden Kruk nie przybędzie i ich nie uratuje. Byli zdani tylko na siebie.

- Ośmiu - krzyknął Hoffman. - Zmieścimy jeszcze ośmiu ludzi. Reszta musi trzymać się olinowania i modlić o cud. Najpierw nasi.

Nikt nie miał pojęcia, co przyniosą kolejne minuty. Wiedzieli jedynie, że nie mogą się poddać, że muszą wykorzystać każdą szansę i uciec stąd, zanim helikopter znów ich znajdzie i otworzy ogień.

- Z nami wszystko w porządku - krzyknął Bai Tak, spojrzawszy uprzednio na Morgana. - Bierzcie cywili.

Dom szybko analizował sytuację - a więc mogą uratować osiem osób. Dla Bettrysa było już za późno. Nie ma czasu na sprawdzanie pulsu i oddechu, a już na pewno nie na reanimację. Młoda Meurig żyje, ale może pocze-kać...

Zerwał jej taśmę z ust i rozciął więzy.

Cho, Shim i Lau-En byli ranni - co prawda lekko, ale nie daliby sobie rady w morzu...

Przytrzymał burtę sąsiedniej motorówki, podczas gdy Hoffman i Timiou przeciągnęli ciała towarzyszy na drugą stronę.

-Bai Tak, no dalej - krzyknął dowódca.

-Mówilem, bierz innych.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że kilka minut w tej wodzie oznaczało hipotermię, i Dom kompletnie nie rozumiał decyzji górala.

„To jakieś szaleństwo” - stwierdził w duchu.

Marlin nabierał wody w takim tempie, że nie miał czasu na dłuższe rozważania. Chciał tylko być pewny, że uratuje jak najwięcej ludzi. Stojąc w lekkim rozkroku, przerzucał każdego, kto nawinął mu się pod rękę.

- Trzymajcie się, trzymajcie - powtarzał w kółko. Ledwie cokolwiek widział. Wilgoć dostała się pod gogle i musiał podnieść je na czoło.

- Dosyć, Santiago. Wystarczy - usłyszał i z ciemności wychylną ręką Hoffmana. -Jeszcze ty, wskakuj.

Dom zastanawiał się, ilu zakładników przerzucił przez burtę i czy ktoś w międzyczasie nie wpadł do morza. Myśl, że kogoś mógł ominąć, przytłaczała go. I nie dlatego, że czuł jakieś zobowiązanie wobec naukowców Indie - po prostu przez chwilę wyobraził sobie, jak to jest tonąć w czarnej, zimnej otchłani, samotnie i bez żadnej nadziei.

- Nie dam rady - powiedział.

I to była prawda. Nie miał siły w rękach. Nigdy dobrze nie pływał i teraz z przerażeniem uświadomił sobie, że za chwilę znajdzie się w wodzie.

- Nic mi nie będzie...

- Nie wydurniaj się, Santiago - krzyknął Bai Tak.

Sierżant, który *zdążył* wcześniej wejść na tonącą łódź, chwycił go w pasie i pchnął z całej siły w stronę Hoffmana.

- Ładuj swój zawieszony tyłek - dodał. - Masz żonę i dzieciaki.

Dom wpadł na przednią część Marlina. Gdy się wyprostował, rozcierając skostniałe od zimna ręce, ujrzał Chimerę, która zaczęła odwracać się w ich stronę. Zapewne jej pilot ocalił już załogę zestrzelonego helikoptera i zamierzał wrócić do przerwanej akcji.

Santiago chwycił swojego Lancera, którego wcześniej porzucił, i wycelował w nadlatującą maszynę. Pomyślał, że to najgłupsza rzecz, jaką dziś może zrobić, ale był zbyt zdesperowany, żeby zrezygnować. Cierpliwie czekał, aż śmigłowiec znajdzie się w zasięgu. Chimera nie zamierzała jednak skończyć jak jej towarzyszka. Zniżyła lot i już z daleka otworzyła ogień.

Stojący za sterem Benjafield dostał w twarz i klatkę. Siła odrzutu wypchnęła go za burtę jak szmacianą lalkę. Santiago nie miał pojęcia, czy ktoś jeszcze został trafiony. Czuł tylko drżenie łodzi dziurawionej serią z helikoptera - i strzelał na oślep. Tak samo jak krzyczący obok Timiou.

Nagle śmigłowiec zakołysał się i wzniósł o kilkanaście metrów. W pierwszej chwili zdawało się, że jej pilot, wystraszony zaciętym atakiem, postanowił zwiększyć dystans - ale to nie Lancerów się bał. Coś błysnęło od strony lądu i po chwili jakiś ciemny kształt ciągnący za sobą smugę dymu uderzył prosto w ogon Chimery.

- O w mordę - stęknął Georg.

Wszyscy odruchowo osłonili twarze rękoma, jakby obawiali się, że płomień wybuchającego helikoptera mogą dosięgnąć! Łodzi ale nic takiego się nie stało. Maszyna tylko runęła z wielkim pluskiem do morza, a potem zniknęła w jego wzburzonych odmętach.

Znowu ogarnęła ich ciemność, a Dom usłyszał, jak pod ich nogami bulgocze woda. Kolejny Marlin tonął.

„Wszystko na darmo” - pomyślał. „Ale nie poddam się, dranie. Nie po tym wszystkim...”

- Bai Tak! - krzyknął Hoffman, wychylając się za burzę. - Gdzie jesteś?! Bai Tak!

Podniósł broń i patrząc przez celownik optyczny, rozejrzał się dookoła. Po chwili opuścił Lancera, cisnął go na pokład i znów wychylił się w mrok.

Timiou połączył się z Pomeroyem.

-Mówią, że odzyskali dane z robotów - stwierdził po chwili.

-Zaje-kurwa-biście - wypalił Santiago, pomstując w duchu, że jego słuchawka została uszkodzona.

-Jeszcze nie skończyliśmy - głos Hoffmana zmroził ich obydwu. - Bai! Tutaj, Bai!

Georg wrócił do rozmowy z dowództwem, a Dom zaczął szukać kamizelek ratunkowych. Ich łódź wciąż nabierała wody, a paliwa starczało najwyżej na kilka kilometrów. Jedyne, co mogli w tej sytuacji zrobić, to dryfować i mieć nadzieję, że ktoś ich znajdzie, zanim pójdą na dno. I że nie będzie to kolejna Chimera.

- Ale skąd nadleciał ten pocisk? - zapytał, przetrząsając skrytkę pod dziobem. - Przecież nad łądem nie ma żadnych naszych Kruków.

- To Fenix - wyjaśnił Timiou, oderwawszy się na chwilę od radia. - Kalona mówi, że przejął pojazd Indie. Strzela we wszystko, co ma w swoim zasięgu.

Nie do końca pojmował sens tych słów. W głowie miał jeden wielki mętlik. Marcus, który zestrzelił helikopter, brat walczący gdzieś tam, na wybrzeżu, i córka, której być może nigdy już nie zobaczy...

Ta ostatnia myśl sprawiła, że natychmiast odzyskał trzeźwość umysłu. Spojrzał na Hoffmana, który cały czas kłęczał przy burcie i gapił się w morze.

-Wszystko w porządku, majorze? - spytał.

Dowódca nie odpowiedział.

-Majorze?

- Bai Tak zniknął... - odezwał się w końcu mężczyzna. - Skurwiele... Miał małe dzieci...

Dom stał obok i milczał. Słowa więzły mu w gardle. Gdyby góral nie pomógł mu wejść na łódź, pewnie byłby teraz na jego miejscu i to on leżałby martwy gdzieś w wodostach. Będzie musiał z tym żyć przez resztę swoich dni.

- Young też dostał - powiedział Timiou z rufy. - Cholera, straciliśmy połowę ludzi... Z Shimem jest coraz gorzej...

Wszyscy zaczęli wylewać wodę. Razem z Georgem i Hoffmanem bezwiednie przysłuchiwał się przyciszonym rozmowom cywili, ale podobnie jak jego towarzysze nie rozumiał ani słowa z tego dziwaczного języka. Po chwili dobiegł go dźwięk lecącego helikoptera. Odpalił racę. Kiedy Kruk się zbliżył, mógł zobaczyć pilota, który machał do nich z pokładu maszyny. Major sięgnął do słuchawki w ucho i chwilę rozmawiał z szefem załogi.

-Mówią, że za dużo czasu zajmie branie każdego z osobna - powiedział wreszcie. - Podobno namierzyli kolejne Chimery i powinniśmy się spieszyć. Ci szaleńcy zamierzają wciągnąć na pokład całego Marlina, ale trzeba im pomóc.

- Zrobię to - powiedział bez wahania Dom.

-Jesteś pewny, że dasz radę?

- Albo to, albo wrócą po nas tamci i rozwalą na kawałki.

Santiago nie był tak dobrym sternikiem jak Benjafield, ale wiedział, jak prowadzić taką łódź. A nawet gdyby nie wiedział, to miał wszystkiego tak serdecznie dość, że chciał, aby całe to piekło wreszcie się skończyło. Najwyżej zginą, ale przynajmniej razem z personelem ośrodka.

Dopiero kiedy stanął za kołem sterowym, zrozumiał, jak trudne czeka go zadanie. Zanurzony niemal do połowy Marlin z trudem nawrócił w odpowiednią stronę. Kruk powoli osiadł na wodzie i rampa opadła na spienione fale. Morze natychmiast wdarło się do wnętrza maszyny, a on usiłował przez zalane gogle oszacować poprawność kursu. Hoffman podał mu swoją słuchawkę.

- Ustaw się na wprost rampy - powiedział szef załogi przez radio. - Jeszcze trochę w prawo.

-1 jak? Dobrze?

-Jeszcze trochę. Tak trzymaj. A teraz przyspiesz, ile się da.

-Żartujesz chyba! - Oczami wyobraźni zobaczył, jak uderzają w helikopter, przewracają się i toną.

-Nie, potrzebujesz dużej prędkości, żeby wskoczyć na rampę. No dalej, zaufaj mi.

Dom kątem oka dostrzegł, że plecy Hoffmana nieco się przygarbiły, tak jakby mężczyzna przygotowywał się na ogromne uderzenie. Widząc to, sam zaczął się modlić. Nie robił tego często, ale co miał do stracenia. Wcisnął przepustnicę do samego końca. Otwarty Kruk zbliżał się do niego jak żarłoczny olbrzym, a on myślał tylko o tym, że jeśli coś pójdzie nie tak, ostatnią rzeczą, jaką zobaczy w życiu, będzie pancierz ochraniający Hoffmana. Pancierz, na którym na pewno złamie nos.

- Zamknij zawór! Zamknij zawór! - krzyczał szef za łogi.

Marlin uderzył o coś twardego i jego dziób wystrzelił w górę. Postacie ubrane w jasne, żółte kamizelki rozstały się w wejściu, uderzając o ściany kabiny. Potem motorówka zahamowała tak gwałtownie, że wszyscy nieomal powypadali z łodzi.

- Cholera - zaklął ktoś pod nosem.

Kruk wzbił się i lekko przechylił do tyłu, wylewając z wnętrza wodę, a potem rampa za nimi zamknęła się z głośnym szczękiem. Dom opadł bezwładnie na ster i opuścił głowę, wciąż trzęsąc się z wrażenia.

„Udało się. Zrobiłem to. Gdzie teraz jest Carlos? Gdzie Marcus?”

- Santiago, ty farciarzu - powiedział Hoffman, poklepując go po plecach. - Uratowałeś nas! Masz pojęcie, co to oznacza?

Jedna myśl goniła drugą. Ośrodek, roboty, Chimery. A oni wciąż żyją. I odlatują stąd.

- Tak, majorze - odparł cicho. - Że zobaczę swoją córeczkę.

POLA ASPHO

Kryjąc się za omszałym głazem, Bernie spokojnie obserwowała, jak ASP podjechał do kanału po drugiej stronie i stanął w miejscu. Indie trafili wóz aż trzy razy, ale Fenix prze-trwał to i w ciągu dziesięciu minut rozgromił wszystkie pojazdy wroga, które mogłyby zagrozić lądowaniu Kruków. I to wcale nie był koniec. Nad nimi właśnie przemknęły dwie eskadry Petreli, które od razu poleciały w stronę Perasphy. W chwilę później całe niebo nad lądem rozświetliło się pomarańczową luną - zupełnie tak, jakby zza horyzon-tu zaraz miało wyjść słońce.

„Czas stąd spadać” - pomyślała Mataka.

-Kapralu, już po wszystkim. Wycofujemy się - powie-działa do mikrofonu. - Wiesz, że przy okazji załatwiłeś też tę cholerną Chimere.

-Czy Carlos jest z tobą?

Uniosła wyżej głowę. Wiedziała, że Santiago był gdzieś koło mostu - wcześniej słyszała, jak kilka razy strzelał do kogoś krótkimi seriami - ale z miejsca, w którym leżała, nie mogła niczego dojrzeć.

-Nie - odparła. - Cały czas zajmuje swoją pozycję. Mó-wił, że chce cię osłaniać.

-Dupek - wymamrotał Marcus. - Myśli, że sam nie dam sobie rady. Co za uparty osioł.

Pokrywa uniosła się i mężczyzna wyskoczył na ze-wnątrz. Zamiast przejść przez kanał, żeby do nich dołą-czyć, odwrócił się w stronę lądu i zaczął wypatrywać cze-goś przy odległym o kilkaset metrów moście.

Bernie zakłęła pod nosem, uświadamiając sobie, że nigdy go nie ściągnie na plażę, jeśli sama po niego nie pójdzie.

- Tai, skieruj ludzi do punktu ewakuacyjnego - powie działa do Kaliso. - Fenix i Santiago znowu zachowują się jak debile. Aha, jeśli nie wrócimy za dziesięć minut, upewnij się, że na pewno nas zabili. Nie uśmiecha mi się piesza wędrówka do domu.

-Jest pani pewna, że on wciąż żyje?

-Carlos? Tak, a dlaczego pytasz?

-Od kilku minut nie ma z nim kontaktu radiowego, a jego strzały dawno już umilkły.

-Pewnie skończyła mu się amunicja - stwierdziła, ale coraz bardziej niepokoiła ją myśl, że coś było nie tak. Dlaczego nie prosił o wsparcie? I czy on naprawdę pilnował Marcusa?

„Gdy tylko się z nim spotkam - postanowiła w duchu -zasadzę mu takiego kopa, że poczuje w dupie dziurki od sznurowadeł”.

Kiedy zaczęła biec truchtem, od strony lądu rozległy się strzały. Indie wciąż tam byli. I to całkiem spora grupa. Po prostu nie mieli tylko żadnej broni przeciwlotniczej.

Ruszyła sprintem do najbliższego miejsca, w którym mogłaby się ukryć. Kiedy padała w kępę wysokich traw, seria z automatu rozorała ziemię kilka metrów od niej.

- Santiago! - powiedziała. - Santiago, jesteś tam? Dasz radę przejść na stronę?

Czekała. Miała nadzieję, że za chwilę usłyszy potwierdzenie.

- Nie... - w słuchawce rozległ się ochryply, zmęczony głos.

„Źle z nim. Cholera, bardzo źle”.

- Nie mogę się ruszać... Dostałem...

Tak jak się spodziewała, na linię wszedł Marcus.

-Idę po ciebie - rzucił. - Co się stało? Do diabła, dlaczego nie wezwałeś medyków?

-Bo wiedziałem, że przyjdiesz... Przepraszam, stary...

-Zamknij się. Zaraz tam będę.

Fenix znajdował się bliżej mostu niż Bernie. Widziała go, jak biegnie pośród krzewów porastających nasyp kanału, ale gdy tylko wypadł na otwartą przestrzeń, seria z Tracera natychmiast przyparła go do ziemi. Zaczął się czołgać.

„Psiakrew, powinien wracać” - przemknęło jej przez głowę. „Ale i tak mnie nie posłucha”.

Przełączyła radio na częstotliwość personalną, odcinając łączność z resztą oddziału. Nie chciała, żeby inni żołnierze słyszeli, jak kapral ignoruje jej rozkazy i robi z siebie chojraka. Był doskonałym Gearem i miał przed sobą przyszłość. Wyłączając takie sytuacje jak ta, zawsze sumiennie wykonywał swoje obowiązki. To nie jego wina, że przyjaźń z Carlosem miała dla niego większe znaczenie niż wszystkie regulaminy i przepisy razem wzięte. Inna sprawa, że takie zachowanie - była o tym przekonana - wpakuje go kiedyś w poważne tarapaty. Tacy jak on prędzej czy później sami prowadzą się pod pluton egzekucyjny.

- Marcus, wycofaj się. Przejdź przez kanał i idź na plażę. To rozkaz.

-Nie, sierżancie. Muszę po niego wrócić. „W porządku, ja też mogę grać ostro”.

-Kapralu, złożę na ciebie raport.

-Na siebie także?

Mataki biegła wzdłuż kanału, co kilka metrów padając płasko na ziemię, a jej towarzysz robił to samo po przeciwnej stronie. Ani na moment nie przestawała myśleć,

że oboje mogą w każdym momencie zginąć. Zwłaszcza że w odległości stu metrów od mostu ostrzał stał się intensywniejszy i przemierzenie każdego kolejnego odcinka sprawiało coraz więcej kłopotów.

Dobiegła do jakiegoś kamienia i postanowiła ocenić sytuację, korzystając z celownika optycznego swojego Long-shota. Serce podeszło jej do gardła. Carlos leżał na ziemi obok mostu. Jedną rękę miał wyciągniętą przed siebie, zupełnie jakby zamierzał wstać, zaś drugą przytrzymywał się za udo. Z ogromnej rany zwisały pokrwawione strzępy skóry i mięśni. Bernie była zaskoczona, że Gear do tej pory nie zemdłał. Nie, to ją przerażało.

-Już w porządku, Santiago - powiedziała najspokojniej jak potrafiła. - Zaraz po ciebie przyjdziemy. Wytrzymaj jeszcze, mały. Nie zostawimy cię tutaj.

-Wracajcie... Nie bądźcie idiotami... Zostawcie mnie...

-Wytrzymaj jeszcze trochę - powtórzyła, a potem wstała i podbiegła kolejne kilka metrów.

Gdy padła na ziemię i rozejrzała się dookoła, zobaczyła po drugiej stronie Feniksa. Wokół niego pociski z Tracerów wściekle wyrywały grudy wilgotnej darni. Przez moment myślała, że oberwał, ale kilka sekund później mężczyzna znów zaczął się czołgać.

-Sierzancie, niech pani stąd idzie... - znów usłyszała w słuchawce Carlosa. - Proszę... Zginiecie... Zabili już Jaksę i Hurnana... Marcus, nie rób tego... Przepraszam... Wiem, że schrzałem... Zawiodłem cię...

-Nigdy mnie nie zawiodłeś, stary. Nigdy - mówiąc to, Fenix zamarł w bezruchu, jakby do czegoś się szykował. -Sierzancie, niech pani mnie osłania.

Zdawał sobie sprawę, że kapral był od niej młodszy i na pewno szybciej biegał, ona zaś lepiej strzelała. Ten plan miał ręce i nogi.

- Dobra. Na mój znak...

Ale zanim cokolwiek zrobili, ktoś, kto najwyraźniej dojrzał rannego Geara, otworzył ogień w jego kierunku. Mężczyzna zawył z bólu, jakby dostał kolejny raz. Bernie usłyszała w słuchawce przekleństwa Feniksa, które zaraz zamieniły się w jakiś niezrozumiały, zwierzęcy ryk. Poczuli mdłości. Nie ma nic gorszego od myśli, że nie można pomóc towarzyszowi, który właśnie umiera.

-Zaopiekuj się Domem... Marcus, słyszysz mnie? Zajmij się nim i jego rodziną... To także twój brat... Teraz jedyny... Obiecuj mi to...

-Kurwa, przestań! Słyszysz? Przestań mówić takie rzeczy! Sam się nimi zaopiekujesz, gdy wrócimy do domu!

Po raz pierwszy widziała kaprala w takim stanie. Zawsze opanowany, na dystans, teraz najwyraźniej znalazł się na skraju załamania. Ale przecież był tylko człowiekiem, a tam leżał jego przyjaciel. Jego brat.

Niemal na oślep wystrzeliła kilka razy w kierunku, z którego ktoś wcześniej otworzył ogień. Zapadła cisza. Gdy znów spojrzała na Carlosa, zobaczyła, że ten nadal się poruszał, próbując sięgnąć po coś do paska. Dostał w klatkę piersiową, tuż nad sercem. Ciężko oddychał i raz po raz pluł krwią, nie poddawał się jednak i szukał dalej. Poruszał ręką bardzo powoli i zdawała sobie sprawę, że każdy ruch musiał być dla niego ogromnym wysiłkiem. W końcu osiągnął swój cel. W jego dłoni pojawił się granat.

„O nie, za dobrze was znam" - pomyślała. „Ciebie i twojego kompana. To, że wskoczylibyście za sobą w ogień, nie znaczy jeszcze, że macie to robić".

- Carlos, poczekaj! - rzuciła do mikrofonu. - Trzymaj się!

-Już do ciebie idziemy, stary! - dodał Marcus, a ona zastanawiała się, czy widział, co zamierza jego przyjaciel.

Santiago krztusił się coraz mocniej, a Bernie modliła się, żeby jakimś cudem stracił przytomność i dłużej się nie męczył.

- Na litość boską, zastrzelcie mnie... Nie mam sił... Nie mogę oderwać zawlecзки... Zastrzelcie... Proszę... Nie chcę, żebyście przeze mnie ginęli...

Fenix zamarł jak głaz, a ona zastanawiała się, jak długo to wszystko jeszcze potrwa.

„Cholera, nawet jeśli go stamtąd wyciągniemy, to i tak nie przeżyje. Ktoś musi to zrobić..."

- Gównu, stary! Zabieram cię!

- Zabijają cię, kretynie... Proszę, wracaj... Odejdź stąd...

Bernie była snajperem i wiedziała, że to jej zadanie.

Marcus nigdy by się nie otrząsnął, gdyby to on zastrzelił swojego najlepszego druha - rozumiała to aż za dobrze.

„Lepiej niech nienawidzi mnie".

Podniosła swojego Longshota i wycelowała prosto w czoło rannego Geara. Patrzyła na jego twarz, zwróconą w jej stronę. Modliła się, żeby choć na chwilę przestał na nią patrzeć. Wolałaby trafić go w potylicę. Pojedynczy strzał w głowę przyniósłby mu natychmiastową ulgę. Teraz jednak musiała spróbować namierzyć cel od przodu.

„Kurwa".

- Carlos, skarbie, zamknij oczy. Wszystko będzie dobre.

Po kilku niewyobrażalnie długich sekundach Fenix znowu jakby odzyskał przytomność umysłu i odezwał się swoim normalnym głosem. Nie, jego głos nie był normalny. A to, co mówił, nie miało żadnego sensu.

- Przestań pierdolić, chłopie. Wydostaniemy cię stamtąd.

Nie poprosił Mataki, żeby go osłaniała. Po prostu przykucnął, podpierając się jedną ręką ziemi i czekał na odpowiedni moment.

Wiedziała, że to zrobi i nic nie mogło go powstrzymać.

- Durniu... Jesteś najlepszy... Nie możesz dać się za bić...

I wtedy - w końcu - Carlosowi udało się oderwać za wleczkę.

Bernie źle oceniła odległość dzielącą ją od rannego. Betonowy gruz i błoto wystrzeliły wysoko w powietrze i uderzyły w nią. Nadwerżona konstrukcja mostu sprawiła, że ten z hukiem zawalił się pod własnym ciężarem. Marcus wydał z siebie ogłuszający skowyt - przeciągły, pełen gniewu i żalu. Gdy umilkł, pobiegł po ciało. Wbrew samej sobie Mataka podniosła się na kolana i zaczęła strzelać z Longshota w ciemność, osłaniając Feniksa. Nie myślała teraz o tym, że jakaś kula może ją trafić, ale o tym, co przyniesie ze sobą jej towarzysz. I że nie chce na to patrzeć. Krzyczała.

Następną rzeczą, jaka do niej dotarła, był widok kaprała przedzierającego się przez kanał.

- Idziemy - powiedział, kucając obok niej. - Zabieram Carlosa do domu.

**PUNKT EWAKUACYJNY, 3 KILOMETRY NA PÓŁNOCNY WSCHÓD OD
PÓL ASPHO**

Bernie Mataki była Gearem od osiemnastego roku życia i przez dwadzieścia jeden lat służby nie raz już widziała śmierć swoich towarzyszy. Czasami odchodzili szybko, czasami wolno, a czasami, tak jak Fenix, umierali tylko trochę i egzystowali tak przez kolejne lata.

Marcus klęczał teraz na plaży, czekając na ewakuację wraz z innymi. Wcześniej owinął szczątki przyjaciela w śpiwór i nie odchodził od nich na krok. Nie był tym samym chłopakiem, z którym Bernie zaczynała operację „Niwelator”. I nigdy nim już nie będzie.

Radio zatrzeszczało.

-Pomeroy do Obrońcy-dwa. Kruki są już w drodze. Będą u was najdalej za czternaście minut. Zabierzemy was do siebie. Służby medyczne na Kalonie mają pełne ręce roboty z waszymi rannymi.

-Potwierdzam.

Pomeroy miał lepszy sprzęt niż Kalona, ale był na nim również profesor. Spojrzała na młodego kaprała, aby sprawdzić, czy słyszy jej rozmowę.

-Jest tu tylko jeden poważnie ranny - dodała, starając się zachować naturalny ton głosu. - Pokieroszowana noga, stracił dużo krwi. Póki co jego stan jest stabilny.

- Powiadomimy chirurga. Dobra robota, Tyrani. Roboty są całe, a sporo chłopaków z oddziałów specjalnych przeżyło.

Milczała przez chwilę, ale niepokój wzbierał w niej coraz bardziej. Musiała zapytać. Nawet gdyby odpowiedź miała oznaczać dodatkowe cierpienie. Dzisiejszej nocy każdy

kogoś stracił i pewnie jeszcze długo będą się tym zadrećcać, ale z nich wszystkich Marcus był w najgorszej sytuacji.

„Prawie rozwaliłam Carlosa” - pomyślała, przypominając sobie o raportach, które ją czekają. „Ale tego nie zrobiłam. A Marcus postąpił słusznie, próbując go ratować. Zresztą nikt niczego nie widział ani nie słyszał, więc nie ma sprawy”.

-Dom Santiago... - zawahała się na moment. - Żyje?

-Cholerny bohater. Uratował wszystkich. Załatwił Chi-merę i władował Marlina na Kruka. Dostanie medal.

Poczuła ulgę, ale nie na długo.

-Czy ktoś mówił mu o jego bracie?

-A co, zginął?

-Niestety tak. Nie chcę, żeby dowiedział się o tym przypadkiem, więc ani słowa, dobrze? My to zrobimy. Musi to usłyszeć od nas. Od swojej rodziny.

Tak, ich pułk był jak rodzina i zawsze traktowała to poważnie. Dlatego sama zamierzała powiedzieć o wszystkim Domowi. Marcus nie byłby w stanie.

-A major Hoffman? - zapytała po chwili.

-Trudno w to uwierzyć, ale właśnie czyści swojego Lancera. Dziwny gość z niego. Bez odbioru.

„Dziwny? Po prostu samotny. Biedny stary Victor”.

Bernie zawsze czuła się w obowiązku, żeby wiedzieć wszystko o swoich podwładnych - co ich trapi, jakie mają problemy, w czym można im pomóc. Martwiła się Feni-ksem. Nie wyglądał teraz na kogoś, kto wróci do domu i o wszystkim zapomni. Klęczał na jednym kolanie i patrzył gdzieś w morze. Jedną rękę wciąż trzymał na śpiworze ze szczątkami przyjaciela. Podeszła do mężczyzny

bliżej i położyła mu rękę na barku. Miała dla niego dobre wiadomości, ale nie wiedziała, czy przypadkiem nie przyniosą odwrotnego skutku.

- Dowiedziałam się właśnie, że z Domem wszystko w porządku. Zrobił kawał dobrej roboty.

Nie odezwał się ani słowem, nie drgnął mu ani jeden mięsień. Patrzył tylko - zobaczyła to teraz - na kilku żołnierzy z kompanii C, którzy siedzieli nieopodal na klifie i poklepując się po plecach oraz żartując, czekali na Kruki.

- Tak, to urodzony Gear - odparł w końcu.

-Ja mu o wszystkim powiem, dobrze?

- Nie, ja to zrobię. Jestem jednym z Santiago. Honor rodziny.

-Jesteś pewien?

Marcus był wielkim, postawnym facetem - prawdziwym wojakiem, jakich widuje się tylko w broszurach reklamowych wydziału rekrutacyjnego. Ale jakkolwiek wyglądał na twardziela, Bernie zawsze uderzała w nim jego skryta wrażliwość. Za każdym razem, gdy go spotykała, wydawało jej się, że czegoś desperacko szuka, czegoś oczekuje. Zrozumienia? Akceptacji? Miłości? Cokolwiek by to było, z pewnością dostawał to od obydwu braci. A teraz, gdy Carlos odszedł, została mu już tylko połowa tego uczucia.

- Byliśmy przyjaciółmi od dzieciństwa - powiedział. - On, ja i Dom. Więcej czasu spędzałem w ich domu niż w swoim własnym.

„Tak, na pewno byłeś samotnym dzieciakiem. Masz to wypisane na twarzy”.

- Przykro mi, kochanie - nie mogła mówić do niego inaczej; nie był teraz Gearem, tylko zwykłym, doświadczonym przez los chłopakiem. - Naprawdę bardzo mi przykro.

Fenix objął kolano obiema rękami i oparł na nim brodę. Mataka czekała cierpliwie, spodziewając się, że obydwójce wytrwają tak aż do przylotu helikopterów. Ale mężczyzna nagle wstał i rozejrzał się nieobecny wzrokiem, a potem z ciężkim westchnieniem znów opuścił głowę. Jego szerokie ramiona zaczęły się trząść. Płakał. W kompletnej ciszy.

Nie miała pojęcia, jakim cudem nie wydał z siebie ani jednego dźwięku. Jak w ogóle ktokolwiek potrafi coś takiego zrobić. I co takiego musiał przeżyć, żeby się tego nauczyć.

-Był moim cholernym bratem - wyszeptał w końcu. -I już go nie ma... Co ja bez niego zrobię?

-Będziesz blisko Doma - stwierdziła Bernie - a on będzie blisko ciebie. I nie tylko on. Ten pułk to rodzina. Przywykliśmy do tego całego gówna i nie zostawimy was samych.

Marcus nie był pierwszym Gearem, który wracał z pola bitwy z ciałem zabitego kumpla, ale w niczym nie ułatwiało jej to sprawy. Nigdy nie umiała się z tym oswoić. Nawet lekarze frontowi tego nie potrafili, choć rzadko znali personalia swoich pacjentów, nie wspominając o ich rodzinach. Przypomniała sobie o Anyi.

„Nie mamy szczątków major Stroud. Cholera, nawet o tym nie pomyśleliśmy. Kolejny dzieciak, który przechodzi piekło”.

- Strzeliłabyś? - zapytał cicho Fenix.

-Tak, na pewno. Już go nawet namierzyłam, ale... ubiegł mnie - nie miała pewności, czy nie zabrzmiało to zbyt ostro i przez chwilę zastanawiała się, czy powiedzieć coś jeszcze. - Gdybym miała taki wybór, chciałabym, żeby ktoś inny zrobił to samo dla mnie - dodała.

-Pozwoliłem mu umrzeć.

-Nie, do diabła. Nie pozwoliłeś.

Bernie miała świadomość, że wchodzi na grząski grunt i że być może za chwilę użyje słów, których nie powinno się wypowiadać, zdecydowała jednak, że nie będzie milczeć.

-Carlos był świetnym facetem, naprawdę świetnym, ale sam wpakował się w to gówno. Powinien siedzieć na dupie i nie pchać się pod tamten most. A ci, którzy za nim pobiegli, sami prosili się o kłopoty. To nie sprawi, że poczujesz się lepiej, ale nie powinienes się obwiniać za śmierć kóregokolwiek z nich.

-Był pieprzonym bohaterem.

-Obaj nimi jesteście. On poświęcił swoje życie, żeby nie zastrzelono ciebie, a ty byłeś gotów umrzeć, żeby go ratować. Na litość boską, czy jest coś ważniejszego na świecie?

-Powiniennem go powstrzymać. Powiniennem iść za nim i wywlec go stamtąd, gdy tylko Jakovs i Hurnan dostali po kulce. Powiniennem go ratować, zanim wsiadłem do tego pieprzonego ASP. Powiniennem o tym wszystkim pomyśleć i nie mów mi, że się myślę.

-Marcus, poszedłeś mu na pomoc... Ale on wiedział, że zginąłbyś, wyciągając go stamtąd... Dlatego oderwał tę cholerną zawleczkę...

- Wahałem się.

- Nie było czasu na porządną akcję, a Carlos nie chciał, żebyś ryzykował.

„Psiakrew, jest coraz gorzej”.

- To zabije Dorna - powiedział, wycierając nos w rękaw.

- Więc może ja mu to przekażę?

-1 co powiesz?

Musieli rozwiązać kolejny ważny problem. Bernie nie raz już była świadkiem spotkania, na którym informowano rodzinę o śmierci najbliższych. Nikt nigdy nie potrafił przewidzieć, jak zniosą taką wiadomość, tak samo jak nikt nie wiedział, czy lepiej mówić prawdę, że ktoś konał w męczarniach, czy też skłamać, że odszedł szybko i bezboleśnie. Ale, do cholery, na pewno nikomu nie powinno się zdradzać, że ich syn, brat czy ojciec zginął tylko dlatego, że zdecydował się zrobić coś głupiego i że zabrał ze sobą do grobu dwóch innych żołnierzy. Takie rzeczy zachowuje się dla historyków, którzy powinni poznawać te fakty z archiwów odtajnionych po wielu latach, gdy już na świecie nie ma nikogo, kto mógłby cierpieć na nowo.

Tak, Dom nie musiał wiedzieć wszystkiego. Podobnie jak jego rodzina. I rodziny Jakovsa oraz Hurnana. Nie tym razem.

-Powiemy mu, że jego brat był bohaterem - stwierdziła w końcu. - Bo to przecież pieprzona prawda. Najpierw uratował ci tyłek, a potem wysadził most. Z takim czymś jego rodzina będzie mogła żyć.

-Masz rację - powiedział Marcus, ciągle gapiąc się na swoją rękę. - Dokładnie to się wydarzyło.

Tak brzmiała oficjalna wersja i nikt nie zamierzał mówić niczego innego. Najbliżsi zobaczą tylko oficjalny ra-

port - czyli prawdę minus okoliczności, które nie były niczym zasranym interesem. Tylko oni będą wiedzieć, co zaszło w rzeczywistości.

Mataki, trzymając rękę na plecach Feniksa, czekała w milczeniu na przyłot Kruków. Kiedy helikoptery wreszcie wylądowały na plaży, razem zadbali o to, żeby pierwszym pasażerem na pokładzie był Carlos Santiago.

OSIEMNAŚCIE

Proszę się nie przejmować, pułkowniku - mamy wystarczająco dużo kaprali i sierżantów. Poza tym dobrze mi z moimi kumplami z oddziału i naprawdę cieszę się, że mogę walczyć u ich boku. Naprawdę nie przybędzie mi odwagi od paru belek na ramieniu. Zadanie wszystkich Gearów jest proste jak drut - mamy zabić jak najwięcej Szarańczy. Do tego nie trzeba kolejnych podoficerów i oficerów. Ale dziękuję panu, pułkowniku, za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Liczą się intencje.

SZEREGOWIEC AUGUSTUS COLE
DO PUŁKOWNIKA VICTORA HOFFMANA
PODCZAS KOLEJNEGO ODRZUCENIA AWANSU

JACINTO

DZIEŃ OBECNY, 14 LAT PO DNIU WYJŚCIA

T rutnie nadciągały od strony ruin, a Hoffman zastanawiał się, co Szarańcza robi z jeńcami. Nie zamierzał być jednym z nich. Miał swój służbowy pistolet i gdyby zrobiło się gorąco, odmówiłby tym śmierdzielom swojego towarzystwa - zaraz po tym, jak posłałby do piachu tyłu, ilu się da.

- Wychodzą też z piwnicy - powiedział Kaliso. - Możemy zaatakować od razu albo poczekać, aż podejdą.

- Dobra. Jedna próba, a potem odwrót - rozkazał Hoffman. - Będę cię ubezpieczał.

Otworzył ogień, żeby osłonić wyspiarza, podczas gdy ten wybiegł naprzód i rzucił kilka granatów w ciemną gardziel schodów. Jeden z nich przeleciał obok trzech stworów, które znieacka stanęły w wejściu, potoczył się ze stukotem po kamiennych stopniach i eksplodował gdzieś w dole. Tai nie czekał na odwet i zastrzelił dwóch kolejnych napastników, zanim jeszcze zdążyli się gdzieś schronić, a potem jeszcze jednego. Nadal jednak pozostawało sześciu innych drani wlokących się przez gruzy. I pewnie to nie wszystko.

Horda nie walczyła jak ludzie. Jej żołnierze poruszali się chaotycznie i wyglądało to tak, jakby nie mieli żadnej przemyślanej strategii czy struktur organizacyjnych - niczego, co mogłoby przypominać regularne wojsko. Potrafili tylko organizować proste zasadzki, uderzając w kilku miejscach równocześnie i próbując rozdzielić Gearów.

„I ten ich pieprzony zapach” - Hoffman wykrzywił odrochowo twarz. „Nienawidzę go”.

Szarańcza nie miała także w zwyczaju okopywać się na pozycjach. Zawsze podchodziła do przeciwnika i walczyła z bliskiego dystansu. Zwykła zagrywka psychologiczna, którą - nie wątpił w to - stosowała celowo. Jej przedstawiciele dobrze wiedzieli, jak odrażający są dla ludzi.

„Ale my potrafimy przywyknąć nawet do takiego świństwa”.

Kaliso nigdy nie rezygnował z walki. Zawsze szedł prosto na przeciwnika z piłą włączoną na pełne obroty i ranił w gębę każdego Trutnia, który nawinął mu się pod Lance-

ra. Świadomie nie zadawał śmiertelnych ran. Za każdym razem chciał stworzyć tylko oślepić, żeby potem móc spokojnie wyjąć ostrze i wsadzić je głęboko w brzuch. W przeciwieństwie do Taia Hoffman musiał czekać, aż przeciwnik podejdzie do niego sam. Jego na wpół zdrtwiała noga wciąż rwała go na wysokości łydki, utrudniając jakikolwiek większy wysiłek. Otworzył ogień do jakiegoś podbiegającego stworza, który właśnie znalazł się w jego zasięgu. W duchu cały czas rozważał wariant, w którym - jeśli wszystko poszłoby nie tak i nie mieliby już żadnych szans - zwabia Hordę do Armadillo, zamyka włącz, a kiedy tamci otaczają pojazd, rusza i detonuje ich własne miny.

Ale Trutnie były na to za inteligentne. O wiele za inteligentne.

Stwory wyraźnie zachodziły ich z kilku stron naraz. Hoffman otworzył ogień z biodra. Wyspiarz, który właśnie się cofał, wpadł na niego z boku i pchnął go niechcący na betonowy filar.

-Chcę nas otoczyć, pułkowniku, może więc ich zaskoczmy i pójdziemy na całość?

-Masz kompletnie zryty łeb, Kaliso - zakpił dowódca, celując w najbliższego Trutnia i oddając w jego stronę długą salwę. - Tylko idiota może chcieć atakować w takich warunkach. Marzy ci się bohaterska śmierć?

-Nie walczymy z ludźmi.

-Może i masz rację...

Hoffman wierzył, że każda żywa istota odczuwa strach i wystarczyło tylko odkryć, czego się boi. A jeśli to zawodzi, pozostawał jeszcze stary, wypróbowany sposób - czyli zabicie wroga, zanim on zrobi to pierwsze. Od początku dziejów to właśnie stanowiło istotę każdej wojny.

- ...ale i tak nie dogoniłbym tych gnojzków - dokończył.

Wciąż nie przestawali strzelać. Kaliso przełączył Lance-
ra na tryb pojedynczy - tak jak miała to w zwyczaju robić
Bernie. Taki sposób zawsze dawał szansę na kilka trafień
więcej i Hoffman zastanawiał się, czy nie pójść w jego śla-
dy. Jak na razie miał na swoim kącie dziesięć Trutni, a to
oznaczało - jak szybko policzył - że zabijał tylko sześć
stworów na magazynek. W dodatku ta cholerna broń wy-
pluwała pociski z taką prędkością, że musiał ją przełado-
wywać dosłownie co pięć sekund i jeśli tak dalej pójdzie,
znajdą się naprawdę w niezłych tarapatkach.

„Potrzebuję czasu, żeby wrócić do formy” - pomyślał.
„A może jestem już na to za stary?”

Używał Lancerów, odkąd skończył osiemnaście lat, ale
starsze modele nie pożerały tyle amunicji. Żeby nadrobić
teraz stracony czas, musiałby częściej chodzić na strzelni-
cę. Tylko po co szkolić się w używaniu broni, która zawsze
będzie lepsza niż jej użytkownik?

„Zresztą jakie to ma teraz znaczenie? Pewnie skończę
jak porucznik Kim - nadziany na ostrze jakiegoś śmierdzie-
la. Najgorsze, że przywlokłem tu ze sobą Taia”.

Zawsze o wiele łatwiej przychodziło mu dostrzec
wartość innych, kiedy porównywał ich ze sobą. Kaliso miał
trzydzieści pięć lat i właśnie osiągnął maksimum swoich
możliwości. Na polu walki wart był co najmniej pięciu ta-
kich jak on.

„Może powinienem się poświęcić, żeby go ocalić?”
-zastanawiał się. - „Jasna cholera, skąd u mnie te samo-
bójcze ciągoty?”

Wbijając piłę w kolejnego Trutnia, Hoffman zdał so-
bie sprawę, jak duże pokłady nienawiści w nim drzemią.

Fala gniewu, która go zalała, sprawiła, iż poczuł fizyczną wręcz rozkosz, a widok bryzgającej na wszystkie strony posoki jeszcze spotęgował to uczucie. Wyszedł zza filaru i przeleciał długą serią nad ruinami. Wypiarz walczył gdzieś obok, zmagając się z równie olbrzymim jak on stworem. Nagle z ciemności wychynął jakiś cień. Potężny cios, który nieomal pozbawił Hoffmana przytomności, rzucił go na ścianę za nim. Odruchowo wypalił przed siebie.

- Wiem, że nas słyszycie - w słuchawce odezwał się znajomy głos. - Nie odstrzelcie nam przypadkiem tyłków, kiedy będziemy zachodzić Szarańczę od tyłu.

Kaliso stęknął, starając się wyjąć swoją piłę z martwego ciała.

-To nie włącz nam w drogę, palancie - odparł wreszcie, unosząc broń w górę.

-On cię nie słyszy. Jesteśmy w trybie odbioru.

-Mój Lancer przemówi za mnie, pułkowniku.

-Obyś nie przesadził.

Przełączył radio na pełny tryb. Miał zamiar pokierować ogniem Gearów, ale wszystko toczyło się zbyt szybko. Zanim cokolwiek zrobił, Fenix przybiegł od strony Rotundy i razem z towarzyszącym mu Domem rzucili się od razu w wir walki.

Marcus zawsze był nienaturalnie spokojny, ale tylko do momentu, kiedy stawał naprzeciw jakiegoś Trutnia. Wydawało się wtedy, że trzymał dla niego całą swoją wściekłość i frustrację. A z tego, co widział Hoffman, miał w sobie sporo złych emocji. Nie inaczej działało się teraz. Gear skoczył do przodu, uniósł Lancera i wbił piłę w obojczyk pierwszego z brzegu stwora.

O dziwo, jego ofiara nie upadła. Co gorsza, ostrze weszło zbyt głęboko i żeby wyrwać je z potężnego cielska, Fenix musiał unieść nogę i kopnięciem odepchnąć dogorywające truchło. Od tyłu zbliżał się kolejny napastnik, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, Santiago załatwił go krótką serią. Ranny przeciwnik zatoczył się wprost na Marcusa, który chwycił go z taką wprawą, jakby ujmował kogoś do tańca, a potem obrócił jednym ruchem, objął od tyłu za szyję i zasłaniając się nim, ruszył na kolejnego stwora. Widać było jego wysiłek - żyły wystąpiły mu na czole, a cała twarz poczerwieniała - ale mężczyzna nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Kule rozpruwały jego żywą tarczę, a on wciąż siekł z uniesionego Lancera i po chwili na ziemi zaległy dwa kolejne Trutnie.

Dom wołał strzelać z dystansu. Lubił też czasem używać swojego noża. Miał więcej powodów, żeby nienawidzić Szarańczy, ale zabijanie nie przynosiło mu takiej ulgi jak jego przyjacielowi.

Trzeba było ich aż czterech, żeby rozprawić się z czterema stworami. Pośród ruin wreszcie zapanowała cisza.

- Dzięki, sierżancie - powiedział ostrożnie Hoffman. Specjalnie nie zależało mu na tym, żeby zostać ocalonym przez Feniksa; nie po tym, co mu zrobił. - Dobra robota, Dom. Ciągłe masz tę żyłkę komandosa.

Santiago przytaknął z odpowiednią skromnością.

-A więc jaki mamy problem z Armadillo? - zapytał.

-Podłożyli pod nim ładunki wybuchowe - wtrącił się Kaliso. - Nie stać nas na to, żeby stracić kolejny wóz.

-Nie wezwę tu Bairda, bo pewnie jest już daleko.

-Marcus podrapał się po szczęce, a Hoffman zauważył, że

był dziwnie wyluzowany. - Anya? Możemy dostać Jacka do pilnej roboty?

-Właśnie po to są roboty - odezwała się w słuchawkach Stroud.

-Tak, ale to było wtedy, gdy mieliśmy ich na pęczki.

-Nie mój problem, Marcus. Osoba, która trzyma budżet, stoi zaraz obok ciebie.

Pieniądze. Od dawna już przestały mieć większe znaczenie. Teraz liczył się tylko handel wymienny.

- Zrób to, Anya - powiedział Hoffman. -Jeśli stracimy Armadillo i Jacka, Prescott może mi wystawić rachunek.

Wycofali się na bezpieczną odległość i poszukali schronienia, na wypadek gdyby Szarańcza znów zaatakowała. Po chwili pojawił się robot, który od razu zabrał się do rozbijania min.

- Czy Jack ma jakiś wybór? - spytał Dom. Od czasu operacji „Niwelator” zawsze miał wyrzuty sumienia, kiedy jakiś robot podejmował się ryzykownego zadania. - W sumie to trochę nie w porządku...

- On nie myśli - poważnie odpowiedział mu Kaliso.

-Trutnie myślą i jakoś nie masz skrupułów, kiedy tniesz je na kawałeczki.

- To mój obowiązek.

- Obowiązek? I co jeszcze? - mruknął Fenix. - Myślałem, że tylko Baird potrafi nas częstować takimi pierdołami.

Jack wciąż unosił się przy Armadillo, manewrując pod jego podwoziem swoimi długimi manipulatorami. Hoffman rozglądał się niespokojnie. Wszystko to trwało dłużej, niżby sobie tego życzył, i obawiał się, że w każdej sekundzie może nadejść kolejna fala stworów. Na szczęście robot

wreszcie skończył swoją pracę. Jak wierny pies, złożył łaudunki u stóp pułkownika i zawisł przed nim w powietrzu, czekając na dalsze instrukcje.

Marcus pochylił się, żeby obejrzeć te trofea.

-Jack, to jest zabezpieczone, tak? - odezwał się po chwili. - Więc zabierz to ze sobą i daj Bairdowi. Będzie zachwycony, mogąc to rozebrać i zbadać.

Potem wskazał na Armadillo.

- Dobra, zapraszam na przejażdżkę.

Za kilkanaście minut powinno zacząć świtać. Hoffman marzył tylko o tym, żeby porządnie się wyspać. A potem? No cóż, nikt chyba nie miał ochoty powtarzać tego dnia, ale tak właśnie wyglądało życie Gearów. Pamiętał czasy, kiedy to była jego codzienność, i teraz sama świadomość, że mógł o tym zapomnieć, napawała go smutkiem.

„Starzeję się” - stwierdził w duchu.

-Wyrzuć mnie, Tai, zaraz za kordonem ochronnym

-powiedział. - Chcę się przejść po mieście.

-Ma pan dziurę w nodze - zaprotestował Santiago.

-Przecież nie jest pan już dzieckiem.

-Dziękuję, że zauważyłeś, żołnierzu.

-W porządku. Jak pan sobie życzy, pułkowniku. Ale jeśli pan idzie, to ja idę z panem.

-Sam go nie utrzymasz, Dom - wtrącił się Fenix.

-Więc chyba lepiej będzie, jeśli zabiorę się z wami.

Kaliso, wyrzuć nas przy posterunku.

Tai wzruszył tylko ramionami i nic nie odpowiedział.

Hoffman był przekonany, że cała trójka uważa, iż do reszty mu odbiło, ale nie zamierzał im się tłumaczyć. I tak by nie zrozumieli, że chciał po prostu spędzić trochę czasu na zewnątrz i pooddychać świeżym powietrzem - z dala

od biura, APC i Kruków. Lubił zresztą od czasu do czasu poczuć tę zwykłą, szarą codzienność, której zaznają wszyscy inni mieszkańcy miasta, a którą mogli przecież tak łatwo stracić.

Dzisiaj wyjątkowo pragnął także sprawdzić, jak cywile -ale nie Odrzuceni, tylko przyzwoici obywatele, których miał za zadanie chronić - patrzyli na niego i na jego Gearów.

- My zawsze za panem, pułkowniku - powiedział Marcus, starając się brzmieć jak ostatni dupek.

POSTERUNEK KONTROLNY, JACINTO

Gdy dojechali do miasta, na dworze było już całkiem widno.

- Zeżarłbym teraz konia z kopytami - powiedział Dom, wysiadając z pojazdu jako pierwszy. - A potem...

Pułkownik robił wszystko, co w jego mocy, aby stać o własnych siłach, ale razem z Marcusem ani na chwilę nie przestawali go podtrzymywać. Dom nie miał przy tym wątpliwości, że Hoffman czuje się parszywie na samą myśl, że będzie prowadzony do domu jak jakiś kuśtykający starzec.

- ...popiłbym to kilkoma litrami kawy.

To było jak wchodzenie w całkiem inny wymiar - po jednej stronie wałęsający się bez celu Odrzuceni, a po drugiej, w strzeżonej strefie, ludzie sprzątający ulice i patrole porządkowe pilnujące, żeby miasto wciąż pozostawało bezpiecznym miejscem. Santiago zawsze zachwycał się wytrwałością mieszkańców Jacinto. Nikt tutaj nie potrze-

bował adrenaliny, żeby chodzić jak w zegarku. Ale to był inny świat. Tutaj nawet powietrze pachniało inaczej niż po drugiej stronie kordonu ochronnego. Środki dezynfekujące, świeżo przycięta trawa, chleb z pobliskiej piekarni - cała ta delikatna mieszanka woni za każdym razem mówiła mu, że właśnie wrócił do domu, do normalności.

W milczeniu szli ulicą, wzbudzając coraz większą ciekawość. Santiago zdał sobie nagle sprawę, że ich pancerze wciąż pokrywała krew Trutni. Podświadomie czekał na jakieś komentarze, ale cywile tylko zamierali ze swoimi szczotkami i szuflami w dłoniach i niemo patrzyli na nich, jakby sądzili, że to jedyny sposób, aby okazać im szacunek. A potem nagle rozległy się spontaniczne oklaski.

Dom poczuł, jak wszystkie emocje, które zbierały się w nim od kilku godzin, teraz uchodziły z niego niczym powietrze z przebitego balonu, i ledwie powstrzymywał się od płaczu.

„To ze zmęczenia” - powtarzał sobie w duchu.

- Chamski bar - rzucił Marcus do jakiegoś mężczyzny stojącego w drzwiach pobliskiej knajpy. - Nigdy więcej nie będziemy tu pić...

Idąc dalej przez miasto, nieodmiennie spotykali się z taką samą reakcją. Robotnicy i urzędnicy, którzy zaczęli pracę wcześniej rano, idąc do swoich fabryk lub biur, pokrzykiwali entuzjastycznie na ich widok, a czasem nawet zatrzymywali się, żeby poklepać Gearów po plecach. Jakaś kobieta - na oko trzydziestolatka, a do tego całkiem zgrabna, ale nie tak jak Maria - podeszła do Hoffmana i mocno pocałowała go w policzek, powodując, że ten okrył się lekkim rumieńcem.

-Nie ma się co wstydzić, pułkowniku - zażartował Dom w przypływie dobrego humoru. - Zasłużyliśmy na to.

-Czy to prawda? - zapytał ktoś z tłumu. - Pokonaliśmy ich? W końcu wygraliśmy?

-Jeszcze nic nie wiadomo - odpowiedział łagodnie Hoffman. - Czas pokaże. Wszystko, co teraz musimy robić, to ścigać niedobitki tak długo, aż nie będzie do kogo strzelać.

Santiago nie łudził się, że właśnie nastął koniec wojny, ale miło mu było iść ulicami i obserwować, jak wiele otuchy potrafi dodać grupa zwycięskich Gearów. Razem z innymi cieszył się z kolejnego sukcesu. Wkrótce zresztą namacalnie przekona się, jak bardzo doceniają ich inni ludzie - po każdym takim boju Gearom przysługiwały dodatkowe racje żywnościowe. W duchu przyznał, że Hoffman jednak dobrze wiedział, co robi, upierając się na ten spacer. We trójkę wyglądali i cuchnęli jak jacyś nieugięci legendarni wojownicy. Umazani krwią, w zniszczonych pancerzach, ze szczątkami Trutni na sobie, zdawali się mówić: „My tam ryzykujemy życiem i robimy to dla was”. I ten przekaz był o wiele bardziej sugestywny niż jakiegokolwiek hasła wypisywane na plakatach

Tak jak spontaniczne przyjęcie zgotowane im przez mieszkańców, które przewyższało jakiegokolwiek zaszczyty i medale.

Żaden z ich trójki nie spędzał zbyt wiele czasu z cywilami, dlatego teraz tym mocniej chłonęli każde dobre słowo, każdy gest uznania. Znów mogli sobie przypomnieć, jak żyje się w normalnym świecie.

-I jak? Warto było, pułkowniku? - zrzędziła lekarka, gdy już dotarli do szpitala Wrightmana, udając się od razu do punktu opatrunkowego.

Doktor Hayman wyglądała na starszą od Bernie, ale z pewnością miała połowę jej cierpliwości. Niczym jakiś konował badający końskie kopyto, bez zbędnych ceregieli uniosła nogę Hoffmana i zaczęła oczyszczać ranę na tydzie szybkimi, wprawnymi ruchami.

- A pan, sierżancie? - spytała Marcusa. - Lubi pan ryzykować swoim tyłkiem? Czy zdaje pan sobie sprawę, że odchody Szarańczy mogą zainfekować otwarte rany?

Fenix wzruszył ramionami i spojrzął w lustro.

- W przyszłości będę unikał strzelania - odciął się. - Przynajmniej we flaki. Proszę pani.

Dom zdecydował, że lepiej będzie, jeśli zostawi obydwu towarzyszy z lekarką, i udał się do koszar. Na jego niezbyt obszernej liście zadań poza umyciem pancerza znajdował się także dług, przyjemny prysznic i największe śniadanie, jakie tylko zmieści się na talerzu. A potem odszuka Bernie i porozmawia z nią o Carlosie, zanim ta zmieni zdanie.

„Nie, nie zmienię go” - pomyślał. „Obiecała mi i słowa dotrzyma. Powie całą prawdę, wiem to”.

Zawsze powtarzał, że możliwość wzięcia kąpieeli to coś, co odróżnia cywilizację od zwierzęcej egzystencji. Opierając dłonie o kafelki, pozwolił wodzie spływać po spiętym wciąż ciele. Gdy się obejrzał, zauważył, że wszędzie ma świeże stłuczenia i zadrapania - głównie w miejscach, gdzie znajdowały się krawędzie pancerza.

„Nie jestem już dzieckiem... Cholera, ile mi jeszcze zostało?”

Myślamy znów powędrował do Marii. Czy gdyby teraz się spotkali, rozpoznałby ją? I czy wciąż chciałaby z nim być? Zmienił się i w niczym już nie przypominał człowieka, którego pamiętała.

-Jesteś zmęczony i masz dość - powiedział głośno sam do siebie. - Niepotrzebnie zadręczasz się jakimiś bzdurami. Lepiej idź i coś zjedz.

Zanim skończył się myć, minęła już dziesiąta. Gdy wszedł do kantyny, w środku zastał oddziały Kappa i Omicron. Dowódca jednego z nich, sierżant Andersen, przywołał go ruchem głowy.

-Hej, Santiago - zawołał. -Jak poszło polowanie?

-Nie tak dobrze jak zazwyczaj. - Dom wziął kilka tostów z jego talerza i łapczywie wkładał je do ust, przełykając niemal w całości. - Ale wystarczyło, żeby nieźle dać nam po tyłkach. No i prawie straciliśmy Hoffmana.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

-Musielibyście się lepiej postarać, pataluchy - stwierdził żartobliwie Andersen. - Uważasz, że bomba lightmas-sowa załatwiła ich na amen?

-Nie mam pojęcia.

-Odrzuceni mówią, że Szarańcza kompletnie zniknęła z Tollen. Nikt jej nie widział od dobrych kilku dni. Ziemia często drży, ale śmierdzieli nigdzie nie ma.

Dom słyszał to w jego głosie - mężczyzna bardzo pragnął, wszyscy tego pragnęli, żeby powiedział jakieś dobre wieści, żeby potwierdził, że już po wszystkim. W ich oczach był jednym z członków Hoffmanowskiej elity. Ale on nie mógł tego zrobić.

-Miejmy nadzieję - odparł, wciąż jedząc tosty.

-Cały czas wypatrujemy Marii.

-Dziękuję.

Spojrzał na jakiegoś kaprała z Omicrona, który przysypiał przy stole, podpierając głowę jedną ręką. Jego śniadanie stygło. Odsunął od niego talerz i wpałaszował całą

porcję. Marnowanie jedzenia było czymś niewyobrażalnym w obecnych czasach, a zwłaszcza po takiej nocy.

-Jeśli Bernie mogła pojawić się po tylu latach, wszystko jest możliwe, tak? - oświadczył.

-Jesteś farciarzem, Santiago, znajdziesz ją - powiedział sennie kapral, nie otwierając jednak oczu. - A co u Feniksa? Cztery lata w pierdłu na pewno nieźle dały mu w kość.

„Jeśli jestem farciarzem, to dlaczego nie mogłem uratować Carlosa?”

- Znasz Marcusa. Trzeba by mu chyba wsadzić w tyłek granat, żeby go złamać.

Wierzył w to. Poza kilkoma bliznami nieznanego pochodzenia i nowymi zmarszczkami jego przyjaciel wciąż miał doskonałą formę. Inna sprawa, że stał się jeszcze bardziej mrukliwy, ale nie dziwił się temu. Każdy ma swój własny sposób na odreagowanie stresów.

Dom skończył śniadanie i podszedł do kontuaru po dokładkę. Wolał porozmawiać z Mataką z pełnym żołądkiem. W końcu ostrzegła go, że usłyszy także niemiłe sprawy.

SZPITAL WRIGHTMANA. KOSZARY ODDZIAŁÓW ALPHA-DELTA

Bernie siedziała z nogami wyciągniętymi na krześle i zastanawiała się, jak to jest: walczyć w wieku sześćdziesięciu lat, próbując dorównać o połowę młodszemu chłopakom.

Wszystko ją bolało - od oka i rozciętej wargi aż po nadgarstki i kolana. Kondycja to jedno, a wracanie do formy - drugie. Hoffman był od niej starszy o kilka lat, więc wiedziała, że pewnie czuje się jeszcze gorzej niż ona, co jednak i tak nie było wielkim pocieszeniem. Federic Rojas głośno

chrapał w pokoju obok, Baird czyścił swoje buty gdzieś w kącie, a Cole siedział przy stole.

„Damon jest jednak naprawdę kompletnie porąbany” -pomyślała, patrząc spode łba na mechanika. „Na szczęście pewnie nie zostaną przydzielona do Delty, więc nie muszę się starać, żeby znaleźć z nim wspólny język”.

Do tej pory nigdy nie dawała za wygraną, kiedy napotykała trudności w kontaktach z którymś ze swoich Gearów. Wcześniej tylko z tego powodu próbowała w ogóle nawiązać rozmowę z tym pacanem, ale w końcu uznała, że to nie jej zmartwienie.

-Więc...? - zaczęła. - Anya Stroud, blondasku.

-Co z nią? - Baird nawet nie podniósł wzroku znad swoich kolan, na których trzymał obuwie, zawzięcie je szorując jakąś na wpół rozklekotaną szczotką.

-Dlaczego nadal jest porucznikiem? W tym wieku to dziwne, nie uważasz? Przecież zawsze dobrze się zapowiadała.

-Nie wiesz, że tylko dupki starają się o awans? - wymamrotał, a potem przerwał na chwilę pracę. - Dobra, powiem ci, bo najwyraźniej nie masz o niczym pojęcia. Wiele się zmieniło od czasu, gdy opuściłaś szeregi, i kobiety mają teraz tylko jeden wybór: walka albo rodzenie kolejnych Gearów. Ona nie może mieć dzieci, dlatego robi to, w czym jest najlepsza.

Baird aż się prosił, żeby go odstrzelić, a Bernie była snajperem. Bardzo dobrym snajperem. Pomimo najlepszych intencji nie mogła się powstrzymać.

- Tobie udało się awansować na kaprała. Docenili, że jesteś wzorowym dupkiem, i trzymając na muszce, zmusili cię do przyjęcia promocji?

Mężczyzna znów przerwał pracę. -Jak długo jeszcze będziemy to ciągnąć, babciu? - spytał otwarcie.

-Punkt dla niej, chłoptasiu - bąknął Augustus, który cały czas pisał coś w jakimś notatniku. - Nie pokonasz kobiety, która zjada małe kociaki.

-Nie traktuję cię inaczej, Mataki, niż resztę oddziału -powiedział Baird.

-Fakt - znów wtrącił osilek. - Nie ma to jak nasz słodki Damon. I ta jego naturalna charyzma...

-Co ty właściwie robisz, Cole? - zapytała.

-Piszę do swojej mamy.

-Myślałam, że cała twoja rodzina nie żyje?

-Bo tak jest - odparł, gapiąc się z zadowoleniem w notatnik.

Musiała minąć dobra chwila, zanim do Bernie dotarło to, co usłyszała. Zawsze uznawała tego wielkiego faceta za najrozsądniejszego z nich wszystkich. W myślach często nazywała go nawet: Pan Twardziel. Ale być może właśnie nadszedł czas, żeby zmienić ten pogląd. Lub przewartościować takie słowa, jak rozsądek. W świecie, w którym każdy bez wyjątku stracił kogoś bliskiego - i to w najgorszy z możliwych sposobów - wszystko zaczynało mieć inne znaczenie niż kiedyś.

Odwróciła głowę, aby spojrzeć na Augustusa. Siedział przy stole, który był dla niego dwa razy za mały, i zapamiętałe gryzmołił coś w notesie. Na twarzy miał szeroki uśmiech, a po policzkach spływały mu łzy. Dla Bairda pewnie nic to nie znaczyło, ale dla niej - aż za wiele.

- Wszystko w porządku, stary?

-Jasne. U mnie zawsze wszystko jest w porządku.

Podniosła się ze swojego krzesła i zajęła miejsce obok niego. Mężczyzna wciąż nie przestawał pisać.

-Mogę cię o coś zapytać? - szepnęła.

Cole otarł lewą ręką łzy.

-Dawaj, skarbie.

-Dlaczego to robisz?

- No cóż... Chyba dlatego, że wielu rzeczy nie zdążyłem jej powiedzieć, gdy jeszcze żyła. To, że odeszła, nie znaczy przecież, że nie mogę tego nadrobić. Zresztą sam nie wiem...

Rozsiadł się wygodniej na krześle, aż zaskrzypiało pod jego ciężarem, i jeszcze raz przeczytał list. Potem wyrwał kartkę z notesu, złożył ją ostrożnie na pół i wsadził do kieszeni.

- Cholernie mi jej brakuje - powiedział. - Wszystkich mi brakuje.

Bernie wstała i poklepała go po ramieniu. Nie chciała, żeby Baird się zorientował, że była bliska płaczu.

-Przepraszam, że ci przeszkadzam, Cole.

-Daj spokój, nigdy mi nie przeszkadzasz. - Złapał ją za rękę; jego dłoń była tak wielka, że Bernie pomyślała, iż mogłaby się w niej cała schować. - Wszystko dobrze?

Pewnie trudno ci się odnaleźć po tylu latach spędzonych wśród mętów. Jeśli chcesz pogadać, to nie ma sprawy.

Chwilowo nie jestem niczym zajęty.

Poczuła się zaskoczona spostrzegawczością Augustusa. Zaskoczona i przerażona. Wciąż z trudem przychodziło jej obdarzanie kogokolwiek zaufaniem. Do tej pory nie mogła się przyzwyczaić, że nie musiała już sypiać z nożem lub naładowaną bronią - i to nie pod poduszką, ale w dłoni. Kilka ostatnich dni spędzonych w towarzystwie Gearów

sprawiło, że wreszcie zaczęło do niej docierać, przez jakie piekło przeszła. Cały ten chaos, przemoc, a nawet bestialstwo obecne na każdym kroku...

I nie chodziło wcale o Szarańczę.

Nigdy nie oczekiwała od potworów miłosierdzia - ich okrucieństwo było oczywiste. Niestety, szybko odkryła, że ludzie potrafili być niewiele lepsi. Nie znajdowała żadnego usprawiedliwienia na to, czym się stali. Budowali swoją cywilizację przez tysiąclecia, a wystarczyła jedna noc, żeby zamienili się w dzikie, bezduszne bestie. Jedyną rzeczą, która trzymała ją przy życiu przez te czternaście lat, była COG Nigdy jednak nie podejrzewała, że przyjdzie jej zobaczyć najeźdźcę, który kiedyś zajął jej wyspy niczym jakieś własne pieprzone podwórko, jak walczy o swój byt i przetrwanie resztek ludzkości.

Ale teraz tylko to jej zostało. I potrzeba służenia u boku innych Gearów, którzy ostatecznie okazali się ważniejsi od całej tej niedorzecznej Koalicji.

- Mam sporo na sumieniu... - zaczęła, ale zaraz umilkła.

Cholera, latami do tego nie wracała. Czy mogła teraz pozwolić sobie na komfort bycia szczerą? Czy powinna to powiedzieć? I nagle gorący prysznic, dawno zapomniane smaki, poczucie braterstwa podczas walki - wszystko to sprawiło, że przestała się przejmować wątpliwościami.

-Ja... odzierałam ze skóry nie tylko koty.

Rytmiczne pocieranie szczotką o buty na moment ustało, po chwili jednak Baird wrócił do swojego zajęcia.

-Już dobrze, mała - powiedział osiłek spokojnym, poważnym głosem. - Zrobiłaś, co musiałaś. Na pewno miałaś ważny powód...

Dla Bernie wszystko teraz nabrało sensu. Zrozumiała, że Augustus swoim beztroskim usposobieniem wcale nie ukrywał strachu przed śmiercią. Był na to za silny psychicznie i nie musiał dodawać sobie otuchy. Zachowywał się tak dla reszty oddziału. Pragnął, żeby każdy uważał go za niezniszczalnego. Robił to dla nich.

- Muszę siku - rzuciła desperacko, chcąc zyskać choć chwilę samotności. - Pięć minut.

Wyszła na korytarz i szybkim krokiem ruszyła w stronę ubikacji. Zajęła kabinę na samym końcu i usiadła na opuszczonej pokrywie klozetu.

Cole uosabiał wszystko to, za czym tak bardzo tęskniła i do czego chciała wrócić. Był facetem, który potrafił okazać najlepszą stronę człowieczeństwa. Myśląc o tym, do reszty się rozkleiła i musiała przez długie dziesięć minut ocierać oczy mokrym od łez ręcznikiem, zanim zdecydowała się wrócić do pokoju. Stając pod drzwiami, postanowiła w duchu, że jeśli usłyszy od Bairda jakikolwiek dumny docinek, nie odpuści i trzaśnie go po prostu w pysk.

Kiedy weszła do środka, ujrzała siedzącego przy stole Dorna Santiago. Czekał właśnie na nią. Domyśliła się tego od razu, bo miał ten sam wyczekujący wyraz twarzy jak jego brat. Na jej widok wstał z krzesła.

- Zwodzisz mnie i zwodzisz - powiedział. - Nie jestem głupi. Widzę twoje spojrzenie za każdym razem, gdy proszę o to samo. Ty po prostu nie chcesz rozmawiać o Carlosie.

Nie mylił się.

Cole chrząknął i porozumiewawczo skinął głową do Bairda.

-Daj spokój, Damon - bąknął. - Te buty już nie będą ładniejsze.

-Wiem.

-W takim razie zbieraj manatki i spadamy. Obiecaliśmy, że odbierzemy tę ciężarówkę.

Mechanik wreszcie zorientował się, o co chodziło jego towarzyszowi. Na odchodne spojrzał jeszcze raz na Bernie drapieżnym wzrokiem, który teraz jednak nie zrobił na niej najmniejszego wrażenia.

- Będziemy czekać tam, gdzie są nasze pojazdy - wyce dził, nie mogąc odpuścić sobie ostatniej złośliwości. - Bab ciu.

Odczekała, aż drzwi się zamkną.

-W porządku, Dom. Co chcesz wiedzieć?

-Chcę usłyszeć prawdę.

-Czasem prawda bywa bolesna.

-Ja to osądzę. Powiedz mi, co widziałaś - zażądał, a potem sięgnął do swojej koszuli, wyjął kilka zdjęć i pokazał Bernie jedno z nich. - Nic mnie nie może bardziej już zranić...

Mataki przez chwilę stała jak otępiała, zaskoczona nagłym zachowaniem Santiago. Bez słowa wpatrywała się w fotografię, która przedstawiała trzech młodych mężczyzn obejmujących się ramionami. Wszyscy uśmiechali się od ucha do ucha i wyglądali jak beztroscy kumple, którzy zaraz pójdą na piwo. Marcus swoim zwyczajem miał na głowie chustę i gdyby nie to, nie poznałaby go. Tak bardzo różnił się od tego, kim się stał dzisiaj - ponurego, nerwego, pokrytego bliznami Geara - że nie mogła uwierzyć, iż to ten sam człowiek.

- Mój brat nigdy nawet nie zobaczył mojej córki - ciągnął Dom, wkładając ostrożnie zdjęcie w plik pozostałych, jakby to była jakaś relikwia. - Proszę, powiedz mi coś, co pozwoli mi zrozumieć...

Carlos był fajnym, przystojnym facetem. Z perspektywy czasu jego śmierć zdawała się czystym marnotrawstwem -zwłaszcza teraz, kiedy cała ludzkość stanęła u progu za-głady.

-Więc dobrze... - westchnęła. - On był bohaterem... Najlepszym z najlepszych... Takim, który robił wszystko dla *ludzi*, a nie dla jakichś pieprzonych idei. Jeśli komuś coś groziło, pierwszy rzucał się na pomoc, nie pozwalając Marcusowi, żeby to on ryzykował życiem. Nie znał strachu i nigdy nie uciekał przed odpowiedzialnością. Uwielbiał cię i był z ciebie bardzo dumny.

„Zaraz, zaraz, kobieto” - upomniała się w duchu. „To gorsze niż mówienie mu o tym całym gównie. Jak długo jeszcze zamierzasz pogarszać sytuację?”

-Bardzo mi go brakuje, zresztą nam wszystkim... - do-dała. - Czy to chciałeś usłyszeć? A może wolisz opowieści, jak nalał adiutantowi do...

-Chcę wiedzieć, jak zginął.

-Dostał Gwiazdę Embry. Czy to ci nie wystarczy?

-Nie, do cholery, nie wystarczy. Chcę znać całą prawdę. Wiem tylko tyle, ile napisano w oficjalnym raporcie.

Dom miał taki sam charakter jak Carlos - nigdy nie dawał za wygraną; nigdy nie odpuszczał, nawet jeśli wiedział, że będzie bolało.

- Byłaś tam razem z nim. Tak jak Marcus. Tyle że jego nie mogę zmusić do mówienia. Nie o czymś, co złamało mu serce. Dlatego ty mi to powiedz. Wszystko.

„Każdy tak mówi... A może on naprawdę tego chce?”
Najgorsze zawsze jest podjęcie decyzji. Gdy już powie się komuś prawdę, nie ma możliwości cofnięcia swoich słów, wymazania ich z czyjejs pamięci. Jeśli człowiek nie potrafi się wówczas pogodzić z rzeczywistością, jego życie staje się dla niego piekłem, w którym cierpi do końca swoich dni. Bernie za bardzo lubiła Dorna, żeby pochopnie podejmować takie ryzyko.

- Posłuchaj, on umarł - powiedziała. - Słyszysz w wojsku już osiemnaście lat. Wiesz, że śmierć to nie film. Chcesz znać wszystkie szczegóły?

Miał taki sam wyraz twarzy jak Carlos. Jego broda wysunęła się nieco do przodu, wargi zacisnęły w cienką linię, a brwi zmarszczyły, tak jakby nad czymś intensywnie myślał.

- Tak, chcę - stwierdził w końcu.

„To jego rodzina. Ma do tego prawo. Nie muszę już trzymać tego w sekrecie. Co jest ważniejsze: jego uczucia czy moje poczucie winy?”

- To może boleć - szepnęła.

-Jestem na to przygotowany. - Kiwnął głową, a Bernie absurdalnie pomyślała, że powinna przytargać tu za kołnierz Bairda i pokazać mu, jak zachowuje się prawdziwy mężczyzna. -I przepraszam cię. Wiem, że dla ciebie to także bardzo bolesne...

Zdębiała. Dom miał tę samą cechę co jego brat - najpierw myślał o innych. Po szesnastu latach milczenia po raz pierwszy uświadomiła sobie, że miała już tego dość. Tak jak miała dość patrzenia na męki tego biednego dzieciaka.

„Przykro mi, Carlos - poddała się - ale nie mam wyjścia. Całym swoim życiem dowiodłeś, że byłeś wart kilku

takich jak ty. Nie zamierzam ci tego odebrać, ale naprawdę nie chcę już dłużej widzieć twojej twarzy w moim celowniku, tak jak nie chcę sobą gardzić, że zamierzałam cię zabić".

- Twój brat - odezwała się cicho - zrobił coś, co czasem zdarza się każdemu z nas. Spieprzył sprawę... Ale umarł, żeby uratować Marcusa, a Marcus o mały włos nie zginął, próbując ratować jego. Obaj ryzykowali życiem, żeby tobie się udało. Niewielu ludzi potrafi tak kochać. Niewielu poza Gearami. Bo my wiemy, co to znaczy być człowiekiem. Dla nas inni żołnierze to więcej niż rodzina. To wszystko, co mamy. To tworzy z nas najlepszych ludzi, jakich nosił ten świat. Dotyczy to nawet Bairda, tej cholernej pomyłki genetycznej. I wiem, że to śmieszne słyszeć takie słowa od kogoś, kto jest zdolny wbić piłę w inne żyjące stworzenie.

Bernie położyła ręce na ramionach Dorna i posadziła go z powrotem na krześle. Na jego twarzy nie dostrzegła smutku, ale jakiś niepojęty spokój. I radość - jakby nagle odkrył prawdę, o której wcześniej zapomniał.

- A teraz zrobię to, co powinnam uczynić już dawno temu. Opowiem ci wszystko ze szczegółami. Bo Carlos Santiago był cholernym bohaterem.

DZIEWIĘTNAŚCIE

A niby dlaczego komandosi z Pesang nie mieliby być uprawnieni do odznaczenia ich Gwiazdą Embry? Co to za ksenofobiczne pierdolenie? Czy to znaczy, że musisz być Gearem wyszkolonym przez coc, żeby zasłużyć sobie na takie uznanie? Górale zaoferowali nam swoją pomoc w walce jako przedstawiciele wolnego, niepodległego kraju. To czyni z nich kogoś więcej niż jakichś cholerych wasali.

MAJOR VICTOR HOFFMAN

FRAGMENT ROZMOWY

Z ADIUTANTEM GENERAŁA 26. PUŁKU KPT
PODZAS PRAC NAD RAPORTEM OPISUJĄCYM DZIAŁANIA
NA TERENIE OŚRODKA BADAŃ W PUNKCIE ASPHO

GNV POMEROY. OBSZAR POZA WODAMI

TERYTORIALNYMI OSTRAMI

KILKA GODZIN PO OPERACJI „NIWELATOR”, 16 LAT WCZEŚNIEJ

Najdalej w ciągu godziny znajdziemy się w zasięgu satelitów - stwierdził głos w radiu - i jestem pewien, że wtedy uda nam się uzyskać połączenie.

- Dziękuję, poruczniku - powiedział Dom. - Nie prosiłbym o to, ale chodzi o moją żonę. Wczoraj urodziła dziecko, a ja nawet nie miałem okazji z nią porozmawiać.

- Nie ma problemu - głos przybrał wesołą nutę. - Dla faceta, który potrafi zaparkować Marlina na Kruku, nie ma rzeczy niemożliwych.

Santiago zawsze marzył o tym, żeby zostać bohaterem -skromnym chłopakiem z Jacinto, którego szanowaliby nawet najwyżsi oficerowie - ale teraz czuł się jedynie winny, że zapomniał o Marii i swoich maluchach. Nie mógł spać. Dygotał ze zmęczenia, lecz za każdym razem, gdy pakował się do łóżka pośród tylu pustych koi, w głowie słyszał tylko: „Nie rób tego, nie rób, to jeszcze nie koniec”. Był kompletnie rozbity. Radość z tego, że ma dziecko, niemal doprowadzała go do płaczu, a jednocześnie czuł żal i smutek po stracie kolegów, którzy zginęli ostatniej nocy. Przez kilka kolejnych minut przewracał się z boku na bok i wzdychał ciężko.

Około drugiej trzydzieści wyszedł na korytarz i ruszył w stronę płyty lotniska, chcąc poczekać tam na przybycie kolejnych Kruków. Na Pomeroyu cały czas utrzymywano stan gotowości i wszystkie światła pokładowe były pogaszone, żeby zmniejszyć widoczność okrętu na morzu.

„Muszę spotkać się z Marcusem i Carlosem” - pomyślał.

Miał nadzieję, że jego brat i przyjaciel wszystko mu sensownie wytłumaczą i że wreszcie pogodzi się ze stratą kompanów z oddziału.

Gdy czekał, oparty o barierkę, załoga wciąż kręciła się po pokładzie, wykonując swoje codzienne obowiązki. Niektórzy z nich zatrzymywali się nawet, żeby uściśnąć mu rękę. Wieści szybko się rozchodziły.

Na płycie pojawił się Hoffman i stanął obok niego.

- Nie rób sobie zaraz nadziei - powiedział cicho - ale zgłoszę twoją kandydaturę do Gwiazdy Embry.

- Ale przecież ja żyję. Gwiazdę przyznaje się pośmiertnie, tak? - zażartował, choć po sekundzie przypomniał sobie o poległych towarzyszach i umilkł zmieszany.

Dowódca nie odpowiedział. Zapewne czuł się okropnie, mając świadomość, że stracił Benjafielda, Younga, Morgana i niemal cały oddział górali z Pesang. Niektórych z nich znał jeszcze z czasów oblężenia w Anvil Gate. Tak, nikt dziś nie czuł się zwycięzcą.

-Ja też żyję - odezwał się nagle Hoffman. - I Timiou, Shim oraz reszta chłopaków. Wszystko dzięki tobie.

- Niczego wielkiego nie zrobiłem - zaprotestował i na prawdę tak uważał; chciał tylko wrócić do domu i zobaczyć rodzinę. - A co z resztą? Też dostaną medale?

Major spojrział tak, jakby miał zamiar coś powiedzieć, ale tylko skinął głową i w milczeniu oparł się z nim o barierkę. Był dobrym dowódcą, sprawiedliwym i uczciwym, ale nie garnał się do zwierzeń wobec podkomendnych.

Kiedy wylądował pierwszy Kruk, Dom od razu dostrzegł wysiadającego z maszyny Marcusa. Cierpliwie czekał, aż pojawi się także Carlos, ale gdy zabrano już rannych i w hangarze zrobiło się luźniej, a brata wciąż nie widział, poczuł, że zapada się w sobie. W jednej chwili pokład rozrósł się do niewyobrażalnych rozmiarów, a on stał gdzieś pośrodku tej przestrzeni, mały i zagubiony, z sercem walącym jak młot. Mataki przystanąła obok Feniksa i przez chwilę z nim o czymś rozmawiała, a potem poklepała mężczyznę po plecach i podeszła do Hoffmana.

- Bernie, dobrze cię widzieć - powiedział major, a po tem odwrócił się do Dorna. - Dzisiaj na pewno nie zasnę, więc jeśli będziesz chciał pogadać, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Zostali sami. Sierżant spojrzała mu w oczy i uściśniła dłoń, przeciągając powitanie o kilka sekund za długo.

„Cholera, coś na pewno jest nie tak. Jest ciężko ranny. Stracił nogę. Albo rękę. Pewnie zabrali go na Kalonę”.

Santiago nie wiedział, co ma teraz zrobić. Jedna jego połowa podpowiadała mu, żeby stąd uciekał, że wtedy uniknie najgorszego, a druga uparcie powtarzała, że musi stawić temu czoła. Musi, ponieważ to samo nie zniknie. Ruszył w kierunku stojącego nieopodal Marcusa.

„Zajmiemy się Carlosem. Damy radę. To nie koniec świata”.

- Dom... - Fenix wyglądał okropnie. Zdjął swoją chustę i ściskając ją w dłoni, gapił się na przybrudzony emblemat. - Dom, przykro mi... Tak bardzo mi przykro...

To wystarczyło. Wiedział już wszystko. Słyszał swój głos, kiedy mówił: „Nie, to niemożliwe, tylko nie Carlos, nie on”, i zdawało mu się, że to ktoś inny powtarza w kółko tak niedorzeczne słowa. Jego twarz zdrętwiała, przestał czuć cokolwiek.

Marcus na pewno się mylił.

To był koniec świata.

BUDYNEK RZĄDOWY KOALICJI, JACINTO

5 TYGODNI PÓŹNIEJ

Pod koniec Wojen Wahadłowych medale rozdawano na lewo i prawo. Po prawie osiemdziesięciu latach konfliktu Koalicja wreszcie zaczęła doceniać wkład swoich żołnierzy i administracja - przynajmniej tak sądził Hoffman - prag-

nęła odznaczyć jak najwięcej swoich bohaterów jeszcze za życia, żeby byli w stanie cieszyć się tak niezwykłym wyróżnieniem razem z bliskimi.

No i na pewno o wiele lepiej wyglądało to w mediach. Do tego ostatniego wniosku doszedł, gdy stał i czekał na uroczystość promocyjną.

Większość Gearów uhonorowanych Gwiazdą Embry z oczywistych powodów nie mogła odebrać tego medalu osobiście. Hoffman razem z Domem Santiago i Marcusem Feniksem należeli do chlubnych wyjątków, ale nie czuł z tego powodu dumy, a raczej zażenowanie. Margaret twierdziła, że taka nagroda już dawno mu się należała, jednak on miał to kompletnie gdzieś. Najgorsze, że poczuła się naprawdę urażona, kiedy poprosił ją, aby nie towarzyszyła mu podczas ceremonii. Nie potrafiła przyjąć do wiadomości, że nominacja na pułkownika z wpisem GE to zwykła formalność, która zostanie jedynie odnotowana w jego dokumentach. Przywożenie jej tutaj, ubranej w najlepsze fatałaszkę, byłoby zbytnią przesadą. Zresztą co ten awans zmieniał? Co najwyżej dostanie więcej nowych, odpowiedzialnych zadań i będzie musiał jeszcze więcej czasu poświęcać na pracę.

Wraz z innymi żołnierzami czekającymi na promocję siedział na krześle w ogromnej poczekalni. Wzdłuż pomieszczenia rozciągały się dwa rzędy gładkich marmurowych kolumn, których czerwono-brązowe zdobienia potęgowały wrażenie, że zaginęło się pośród jakiegoś dziwnego lasu olbrzymów. Na ścianach wisiały obrazy w prostych złotych ramach, przedstawiające Ojców Założycieli. Ozdobne sztukaterie spotykało się niemal na

każdym kroku, ale tutaj COG wyraźnie wolała zachować umiar i wybudowała budynek, który miał uosabiać poświęcenia oraz dążenie do wspólnego celu.

Obecni w pomieszczeniu Gearzy, stojący teraz w małych grupach, ubrani byli w najlepsze galowe mundury. Nie wszyscy oni brali udział w operacji „Niwelator”, ale w końcu wojna nie ograniczała się do tej jednej misji. Wśród zebranych znajdowały się także pogrążone w żałobie wdowy i dzieci, a nawet wdowcy w eleganckich garniturach. Wszyscy oni mieli wejść na scenę i przed kamerami, ze stoickim spokojem, odebrać odznaczenia w imieniu swoich bliskich.

Przyglądając się kolejnym ludziom, Hoffman dostrzegł dziewczynę, która miała na sobie uniform z naszywką: Anya Stroud. Cholera, jak ona potrafiła przyjąć wiadomość o śmierci matki z taką godnością? I jak poradzi sobie podczas uroczystości? Sama zasługiwała na medal, chociażby za to, że nie zrezygnowała ze swoich obowiązków podczas akcji - choć nikt nie miałby jej tego za złe. Wiedział, że zrobiła to dla nich. I dla Heleny.

Anya rozmawiała z Marcusem i Domem. Wzrok miała spuszczonej i była śmiertelnie blada, a obydwaj mężczyźni trzymali dłonie na jej ramionach i raz na jakiś czas delikatnie ją poklepywali. Kiedy ekipy telewizyjne weszły do poczekalni, natychmiast osłonili ją przed kamerami. To wiele wyjaśniało.

Hoffman przysięgł sobie w duchu, że jeśli ktokolwiek zrobi jej teraz zdjęcie, znajdzie gnojzków i wsadzi im te aparaty do tyłków tak głęboko, że będą mogli sfotografować sobie swoje własne zęby.

„Cholera, bez tej chustki Fenix wygląda jak dziecko” -pomyślał. „Zresztą, do diabła, on jeszcze jest dzieckiem”.

Przypomniał sobie o ceremonii i o tym, co się za chwilę wydarzy. Zawsze tolerował media, dostrzegając ich użyteczność, ale przecież to nie znaczyło, że musiał je lubić. Dziennikarze wędrowali od grupy do grupy, robiąc kolejne wywiady, i Hoffman modlił się, żeby żaden z nich nie podszedł do niego.

Niedoczekanie. Ulizany, chuderlawy goguś z notesem w ręku, który już na twarzy miał wymalowane, że został zwolniony ze służby, ruszył w jego stronę, już z daleka uśmiechając się jowialnie.

- Spieprzaj, pasożycie - warknął Hoffman, kiedy stanęli twarzą w twarz. - Dlaczego nie opowiesz innym o tym, jak to będzie po ceremonii, kiedy te wdowy zostaną same ze swoimi dziećmi?

Tak jak się spodziewał, jego słowa spłynęły po mężczyźnie jak woda po kacze. Z pewnością musiał nie raz być nachalny w swojej pracy. Inaczej nie zaszedłby tak daleko.

-Czyżby nie popierał pan wojny, pułkowniku?

-Oczywiście, że nie - odpalił. - Popieram wygrywanie wojen. Uważam, że powinno się je kończyć tak szybko, jak to tylko możliwe. To nie żadne cholerne hobby.

„I to wszystko, co wiem. Tylko tyle przychodzi mi do głowy”.

Pismaki, nasłane tu przez Dalyella, wciąż kręciły się pomiędzy zebranymi. Jakaś kobieta, która przypadkiem usłyszała wypowiedź Hoffmana, złapała go za ramię, zerkając na piszącego coś naprędce dziennikarza.

-I po co to panu? - syknęła. - Wie pan, jak oni potrafią przeinaczyć nasze słowa?

- Przepraszam panią, ale czy powiedziałem coś złego? - Celowo wszedł parę kroków w jej przestrzeń osobistą. Nigdy nie nadużywał władzy, ale traktował kobiety Gearów tak samo jak facetów i nie zamierzał zmieniać tego dla żadnej biurwy. - Zresztą nie wiem, co mnie napadło. Nie byłem sobą.

Na szczęście media to nie jego pragnęły. Dziennikarze mieli inny wspaniały łup: *Dom Santiago, szokująco młody bohater, który przyjmuje medal w imieniu swojego zmarłego brata i swoim, oraz ich równie odważny przyjaciel z dzieciństwa, syn świętego Adama Feniksa, biedny i pogrążony w smutku Marcus ze swoimi nowymi belkami sierżanta*. Dwóch najdzielniejszych bohaterów Tyrusu, którzy na twarzach mają wypisaną całą swoją tragedię i zarazem całą odwagę - nowe ikony nowych czasów, które z pewnością wzbudzą wielkie emocje wśród opinii publicznej. Na dokładkę jest nawet ładna, jasnowłosa dziewczyna z Gwiazdą Embry swojej matki. Tak, to był pięciogwiazdkowy jackpot pierwszych stron wszystkich gazet.

„Tyle tylko, że to wszystko prawda. Cholerna, pieprzona prawda. Dlatego to jest tak tragiczne. Cała ta trójka to dobre dzieciaki, które nie zasługują na to, co je tu spotyka. To, co zrobili ci młodzi ludzie, może zmienić bieg wojny. Nie, oni już go zmienili”.

Uroczystość była krótka i skromna. Przewodniczący Dalyell oraz dowódca sztabu mieli zbyt wiele odznaczeń do rozdania - począwszy od Gwiazdy Embry, a skończywszy na Medalu Ojców Założycieli.

- Wspaniała odwaga, pułkowniku - powiedział prze wodniczący, wyciągając do niego rękę, kiedy już stali na przeciwko sobie. - To największa w historii Koalicji ilość orderów, jaką przyznaliśmy za pojedynczą operację.

Hoffman nie uściśnął mu dłoni. Decydując się na to, miał świadomość, że ten awans prawdopodobnie będzie jego ostatnim - ale, do diabła, co tam kariera.

- Przyjmuję go w imieniu wszystkich oddziałów z Pesang, których dokonań nie doceniono, mimo że zgłasza łem ich nominację - wyrecytował jednym tchem, patrząc, jak twarz Dalyella kamienieje. - Pesang to bardzo waleczny sojusznik, a nie podbity kraj. Są ochotnikami w naszej wojnie, więc ten medal należy się także sierżantowi Baiowi Takowi i wszystkim mieszkańcom jego ojczyzny.

Tak, to był zdecydowanie jego koniec w armii. Widział to w oczach swojego rozmówcy, ale przyjął to całkiem spokojnie. Odmaszerował elegancko na bok, dokładnie tak, jak nakazywał regulamin, a potem wyszedł na dziedziniec i spojrzał w jasne, błękitne niebo. Jego serce wciąż waliło z podniecenia. Gdy chciał odpiąć medal, zahaczył o nitkę munduru i zaklął siarczyście.

- Pułkowniku, czy może pan unieść nieco swoją Gwiazdę? - zapytał jakiś fotograf.

Hoffman nawet nie zauważył momentu, w którym mężczyzna do niego podszedł. Widać potrafił się skradać zupełnie jak górale z Pesang.

-Jedno szybkie zdjęcie - nalegał wciąż tamten. - Proszę.

„Uspokój się. Ten biedny facet po prostu wykonuje swoją pracę”.

- Nie, kurwa, nie mogę - odpowiedział.

W sumie nawet nie potrafił powiedzieć, dlaczego odmówił. Może dlatego, że to była tajna misja. Media nie wiedziały przecież nic poza tym, co powinny wiedzieć - że operacja „Niwelator” miała na celu zniszczenie ośrodka badawczego UIR i ocalenie COG, nie zważając na jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. I nikt im nie powie niczego więcej, chyba że za kilka lat wyjawienie prawdy będzie rządowi Koalicji na rękę. Ale media dawno już przyzwyczały się do tego, że mają ograniczony dostęp do informacji. W ostateczności trwała wojna i wszyscy przywykli już do bohaterów, którzy nie mogli wyjawić tego czy tamtego.

Hoffman siedział na małej kamiennej ławeczce stojącej w parku, w którym mieścił się Grób Nieznanego Żołnierza. Po drugiej stronie żwirowej dróżki, ogrodzonej z obu stron niskim żywopłotem, przyciętym na regulaminowe dwadzieścia centymetrów, znajdował się nowy nagrobek - połyskujący świeżością, pozbawiony mchu czy zacieków. Na granitowym kamieniu wyryto napis:

SZER. CARLOS BENEDICTO SANTIAGO

GWIAZDA EMBRY

26. PUŁK KPT

POLEGŁY NA POLACH ASPHO W OSTRI

15 DZIEŃ MGŁY, 77 ROK WOJNY

LAT 20

- To twój los, szeregowy - powiedział cicho do siebie. -
Twoje życie streszczone w sześciu linijkach.

Był sam. Rodzina Carlosa nie przyszła odwiedzić miejsca jego pochówku. Podobnie jak Adam Fenix czy Maria,

choć ona akurat miała co robić przy dwojce małych dzieci. Hoffman nie chciał zresztą nikogo osądzać. Dobrze rozumiał, że państwo Santiago woleli nie obnosić się publicznie ze swoją żalobą. Nie potrzebowali teraz rozgłosu ani towarzystwa. Tak jak on.

Kiedy siedział tak w milczeniu i obserwował, jak promienie słońca rozświetlają litery na nagrobku, w pewnej chwili dobiegł go odgłos czyichś kroków. Podniósł wzrok znad ziemi i ujrzał Feniksa oraz Dorna, zmierzających w jego stronę zwirową alejką. Zatrzymując się obok, obrzucili go spojrzeniem, jakby im w czymś przeszkadzał.

-Już idę - powiedział.

- Nie musi pan... pułkowniku. - Dom trzymał w ręku czerwone skórzane pudełko, w którym zwykle umieszcza no Gwiazdę Embry. -Jemy dziś wspólną kolację. Wszyscy. Kadet Stroud i profesor Fenix też. Dołączy pan do nas?

Hoffman, zastanawiając się nad odpowiedzią, spojrzał przelotnie na Marcusa i zauważył jego ponury, nieruchomy wzrok utkwiony na grobie.

- To bardzo miło z twojej strony, Santiago - westchnął, starając się, aby wypadło to jak najnaturalniej. - Niestety, muszę odmówić. Żona czeka w domu. Ale będę zaszczycony, jeśli wkrótce wypijemy razem piwo.

Wstał, uściśnął im dłonie i udał się w kierunku głównego wejścia, za którym czekał na niego nowiuteńki służbowy samochód. Przez moment miał ochotę cichcem przemknąć obok adiutanta. Mógłby wtedy przespacerować się miastem i zebrać myśli - jeszcze raz zastanowić się nad tym, co dzisiaj się wydarzyło i czy słusznie postąpił, pozbawiając się przy okazji szansy na jakikolwiek awans w przyszłości.

„No i co z tego? Na co mi ta cała kariera? Wolalbym znowu służyć w oddziałach, zamiast siedzieć ciągle za biurkiem”.

Zatrzymał się w bramie, żeby ponownie spojrzeć na dwójkę przyjaciół.

Nigdy nie wiedział, co myśleć o młodym Feniksie. Z pewnością był doskonałym żołnierzem, ale cokolwiek rodziło się w jego głowie, zawsze stanowiło to dla niego zagadkę - a on nie lubił zagadek. Od kiedy pamiętał, czuł się nieswojo wśród ludzi, których motywacji nie potrafił poznać i zrozumieć.

Teraz też nie miał pojęcia, co kłębiło się w głowie chłopaka. Z rosnącym niepokojem przyglądał się Marcusowi, jak kucając przed grobem przyjaciela, zawzięcie wydłubuje nożem dziurę w granicie.

-Pułkowniku, pański samochód czeka - usłyszał za plecami głos adiutanta.

-Wiem - odparł po chwili, uświadamiając sobie, że wciąż nie może przywyknąć do nowego stopnia.

-Co on tam robi?

Z niewyjaśnionych powodów Hoffman nagle zapragnął ochronić prywatność tej chwili, przeczuwając, że zaraz wydarzy się coś bardzo ważnego.

- Wiesz co - powiedział, ani na moment się nie odwracając. - Jedź do bazy beze mnie. Wrócę sam. Przespa ceruję się.

Adiutant oddalił się, a on wciąż patrzył na Feniksa, który otrzepał ręce z kurzu i nadal kucając, pochylił nieznacznie głowę. Nawet jeśli wiedział, że był obserwowany, najwyraźniej nic sobie z tego nie robił. Powoli odpiął swoją Gwiazdę Embry, wsadził ją do dziury w nagrobku, a potem

zebrał z powrotem resztki wydłubanego wcześniej granitu i zapchał nimi otwór.

To było jak uderzenie otwartą dłonią w twarz. Hoffman z trudem przełykał ślinę, ale wcale nie dlatego, że właśnie odebrano mu wiarę w coś, czego tak kurczowo się trzymał przez całe swoje życie. Po prostu zrozumiał, że rozmawiając z Dalyellem, zrobił to, co należało zrobić. I że wcale nie był żadnym szaleńcem, który dla zwykłych zasad zmarnował swoją karierę.

„Ty tego nie zrozumiesz, Margaret” - pomyślał. „Nawet nie jestem w stanie ci tego wytłumaczyć”.

Kiedy wrócił do biura, włożył swoją Gwiazdę Embry do koperty i usiadł przy stole, żeby napisać kilka słów do wdowy po Baiu Taku. Z dziwną ulgą pomyślał, że to niezwykle odznaczenie oraz przekaz pieniężny, które załączył do listu, będą zapewne fortuną dla tej biednej rodziny z Pesang i pozwolą im przez wiele lat wiązać koniec z końcem.

HOTEL REDOUBT, WSCHODNIA BARYKADA TEGO SAMEGO DNIA, KILKA GODZIN PÓŹNIEJ

Dla Dorna cały ten wieczór był okropny. I zapewne nie tylko dla niego.

Jego rodzice wyjechali jeszcze przed deserem, żeby zwolnić opiekunkę do dzieci, ale najgorsze, że wcale nie wyglądali, jakby im było z tego powodu przykro. Szybko zresztą odkrył, że miejsce, które wybrał, nie przypadło im do gustu. Nie polubiliby go nawet wtedy, gdyby Carlos wciąż żył, a oni mieliby się tutaj spotkać na zwykłym obiedzie. Srebrna zastawa i wykrochmalone obrusy sprawiały,

że tylko czekali, aż ktoś z nich coś zniszczy, a do tego cały czas denerwowali ich nadgorliwi kelnerzy. Oboje nie wierzyli, że ktokolwiek może chcieć wykonywać tak podłą pracę i nadszpeciwać ludziom, którzy nawet nie zauważają, przez kogo są obsługiwani.

Podobnie jak przyjaciel, Santiago miał na sobie mundur galowy przepasany szarfą przyznawaną wraz z Gwiazdą Embry. Założyli ją obydwaj, ale tylko po to, żeby pamiętać, jaki dziś mają dzień. Marcus wyglądał w tym stroju na kompletnie rozbitego i wyraźnie znosił całą tę sytuację o wiele gorzej, niż można się było tego spodziewać. Jego ojciec starał się jak mógł, ale po prostu nie potrafił pomóc synowi w jego rozpacz.

Siedzieli w osobnej części sali i odgłosy rozmów innych gości restauracji ledwie do nich docierały, stłumione grubą kotarą. Przy stole panowała teraz nieznośna cisza. Wszyscy jedli w milczeniu, popatrując czasem na siebie i zaraz opuszczając wzrok.

- Dom, zamierzasz wstawić medal Carlosa do muzeum pułku? - zapytał niespodziewanie profesor.

W sumie nawet nie brał takiej możliwości pod uwagę. Podobne miejsca wciąż kojarzyły mu się z pokojami pełnymi książek, antyków i obrazów, w jakich dorastał Marcus.

-Nie, proszę pana. Oddam go mamie i tacie - odparł, mając nadzieję, że mężczyzna nie spyta go, co zamierza zrobić z własnym medalem; chciał go dać Benedictowi. -Prawnie należy do nich.

-A ty, Anya?

Dziewczyna drgnęła, jakby wybito ją z letargu. Siedząc między Marcusem a jego tatą, przez chwilę sprawiała wrażenie osoby złapanej w niewidzialny potrzask. Zawsze była

wycofana i zalekniona - zawłaszcza kiedy w pobliżu znajdowała się jej matka - ale teraz zdawało się, że w ogóle zapadnie się w siebie. A jednak nic takiego nie nastąpiło, a zamiast tego na jej twarzy pojawił się jakiś dziwny, nieznaną do tej pory grymas.

- Nie - powiedziała, starając się, żeby jej głos brzmiał pewnie i mocno. - To jedyne, co mi po niej pozostało, i nie pozwolę gapić się na to obcym. Mam dosyć publicznej załoby.

To była całkiem nowa Anya.

Marcus też zauważył to odmienione zachowanie i spojrzał na nią badawczo. Naprawdę pasowali do siebie i aż dziw, że do tej pory nie umówili się jeszcze na randkę jak inni, zwykli ludzie.

- Rozumiem - powiedział profesor. - Przepraszam, jeśli to cię krępuje...

Konwenanse. Eduardo Santiago uściskałby ją mocno, tak po ojcowsku, czego pewnie nigdy w życiu nie doświadczyła. Helena Stroud wychowywała ją samotnie, nic więc dziwnego, że ciągnęło ją do Marcusa. Oboje w głębi duszy byli zagubionymi dzieciakami.

„Cholera” - zaklął w myślach Dom. „Stary Feniksa nawet nie potrafi porozmawiać z własnym synem o jego mamie, a ja spodziewam się, że pozwolilby Anyi wypłakać się na swoim ramieniu?”

Znowu przypomniał sobie o Carlosie - o ich ostatnim spotkaniu, ostatniej rozmowie, ostatnim słowie, jakie do niego powiedział. Czegoś wtedy nie zrobił, ale teraz nie mógł sobie tego przypomnieć.

Przez takie rzeczy ból po stracie zawsze jest gorszy. W takich momentach człowiek uświadamia sobie nagle,

że od dawna wiedział, iż wszyscy kiedyś umrą, ale nigdy nie traktował tego poważnie. Kładąc się spać, za każdym razem ignorował ten przekłęty szept: „Będziesz za mną tęsknił, gdy już odejdę... Wykorzystaj każdą chwilę spędzoną razem - na wypadek gdyby była ostatnią... Kiedyś będziesz gotów oddać wszystko, żeby móc się cofnąć i powiedzieć, co czułeś...”.

Tak, to cholerna prawda. Nikt nie może powiedzieć, że nie ma pojęcia o kruchości ludzkiego życia. Po prostu każdy myśli, że jemu taka tragedia się nie przytrafi. Albo że jeśli już przyjdzie, to będzie całkiem inaczej.

„Ale nie jest”.

Maria przez cały czas ścisnęła jego dłoń pod stołem. Jedynie, czego chciał, to wrócić z nią do swojego domu, zamknąć drzwi i zostać sam na sam...

Nagle uświadomił sobie, że nie może tego zrobić - zostawili przecież Benedicta i Sylwię u rodziców.

Dobrze, tego właśnie potrzebował: być razem z dziećmi, żoną, ojcem i matką. Ze wszystkimi, których kochał. Tylko kilka dni... Ale nawet tak niewinne pragnienie szybko zamieniło się w poczucie winy. Marcus także go potrzebował. Wiedział o tym, choć jego przyjaciel nigdy by się do tego nie przyznał.

- Czy ktoś ma jeszcze ochotę na kawę? - zapytał profesor.

Na stole stały kieliszki z wodą i winem, a nawet z brandy, ale i tak nikt teraz nie pił. Wcześniej tylko Anya i Marcus spróbowali nieco alkoholu, co w ich przypadku i tak było o kilka łyków za dużo.

- Myślę, że powinnam już wracać - odezwała się Anya. - Dziękuję wam. To dobrze, że spotkaliśmy się razem.

„Ja też muszę iść” - kołatało mu w głowie. „Nie wytrzymam tu ani chwili dłużej”.

Dom po raz kolejny zdał sobie sprawę, że życzył tym dwojgu, aby w końcu się zesзли. Łatwiej znosić cierpienie, kiedy masz przy sobie kogoś, kogo kochasz. Przed Asphto dziewczyna wyraźnie okazywała Marcusowi swoje zainteresowanie, a ten zawsze za długo gapił się na jej nogi, gdy tego nie widziała. Teraz w pewnym sensie połączyła ich dodatkowa nić porozumienia, ponieważ obydwójce wiedzieli, że nie muszą sobie wzajemnie tłumaczyć, jak bardzo cierpią.

Anya wstała, aby założyć marynarkę, i zachwiała się lekko. Nigdy nie czuła się zbyt pewnie na wysokich obcasach, a po alkoholu, nawet tak małej ilości, było to dla niej jeszcze trudniejsze.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - zapytał Dom, chwytając ją pod ramię. - Marcus, zajmij się paniami, a ja tymczasem zamówię taksówkę do koszar...

- Dzięki, ale nie trzeba. Muszę dziś jeszcze uporządkować rzeczy w mieszkaniu mamy - wyjaśniła i odwróciła się do Marii. - Twój mąż jest wyjątkowy. Jeden na milion.

Dziwnie zabrzmiały te słowa w jej ustach, tak jakby chciała podkreślić, że są tylko przyjaciółmi i że nie ma wobec niego żadnych planów.

- Nie przejmuj się, stary - wtrącił się nagle Marcus i jak nigdy, w staroświecki sposób zaoferował dziewczynie swoje ramię. - Sami sobie poradzimy.

Santiago i tak pobiegł wezwać taksówkę. Wecisnął kierowcy w rękę kilka banknotów i wskazał na parę wychodzącą właśnie z restauracji.

- Zawieź tych dwoje, dokąd tylko będą chcieli.

Kilka minut później wrócił z Marią do willi rodziców. Całą noc spędził na wąskiej sofie, razem z żoną i dziećmi wtulonymi w jego ramiona. Bał się zasnąć i stracić ich z oczu, bał się nawet wypuścić ich z rąk. Nie miał pojęcia, skąd weźmie siłę, by wrócić na służbę. Chciał z nimi być już na zawsze, pilnując, by nic im się nigdy nie stało; mieć ich nieustannie w zasięgu wzroku - żeby nie zniknęli, kiedy na chwilę odwróci głowę.

-Ona miała rację: jesteś wyjątkowy - szepnęła Maria, nie otwierając oczu. -Jeden na milion.

-Chyba nie myślisz, kochanie, że ja i...

-Skądże znowu, skarbie.

-Po prostu spotkaliśmy się dziś w poczekalni przed ceremonią... I to wszystko... Zresztą sam nie wiem... Ja, Anya i Marcus... Może to przyjaźń...

-Zwłaszcza Anya i Marcus... Wiem, że twoim zdaniem to całkiem niezły pomysł, ale... nic z tego nie wyjdzie... Poza dzisiejszym wieczorem... I tylko nie próbuj uszczęśliwiać ich na siłę...

-Dlaczego uważasz, że im się nie uda?

-Ona jest oficerem w sztabie, a on kapralem liniowym, ale obydwoje służą w wojsku. Skończy się na tym, że będą tylko razem pracować.

-Nie, jeśli dobrze to zaplanują.

Dom nienawidził, kiedy ktoś pozbawiał go nawet najgłępszej nadziei. Pragnął zobaczyć jutro Marcusa-szczeniacko-zakochanego, a nie Marcusa-ze-zwieszoną-głową, którego będzie musiał szturchać i wypytywać, czy randka poszła dobrze.

- Wszystko się zmienia - dodał po chwili. - Ludzie też.

Od tej pory życie już zawsze miało tak wyglądać. Rzeczywistość nieodwołalnie podzieliła się na „przed” i „po” Aspho. Dom egzystował w tej drugiej połowie, traktując ją jako nowy, nieznany ląd. Jedyne punkty orientacyjne, jakie tu rozpoznawał, to jego rodzina i Marcus.

Ale nawet oni nie byli już tacy sami.

DWADZIEŚCIA

Nie znam jego imienia. Nie wiem o nim nic poza tym, że był strażnikiem w Aspho. Jeśli służyłby w moim oddziale, byłbym z niego dumny. Musimy zrobić wszystko, aby o nim nie zapomniano.

PULKOWNIK VICTOR HOFFMAN
FRAGMENT OFICJALNEGO RAPORTU NA TEMAT DZIAŁAŃ
NA TERENIE OŚRODKA BADAŃ W PUNKCIE ASPHO,
ZNALEZIONY W SKARBUCU AMBASADY OSTRI W JACINTO
OZNACZONY KLAUZULĄ: ŚCIŚLE TAJNE

**SALA POOPERACYJNA, CZĘŚĆ ZABIEGOWA,
SZPITAL WRIGHTMANA
DZIEŃ OBECNY, 14 LAT PO DNIU WYJŚCIA**

Mogę już iść? - zapytał Hoffman. - Nie - stwierdziła krótko doktor Hayman. - Zna pan takie słowa, jak pokora i wdzięczność?

Jego noga cała była odrętwiała, a ponieważ leżał na brzuchu, z głową opuszczoną do dołu, nie miał pojęcia, czym zajmuje się lekarka.

- Pieprzę to - mruknął. - Odniosłem w życiu więcej ran, niż pani zrobiła lewatyw.

- Tylko że to było wtedy, gdy mogliśmy sobie pozwolić na utratę kilku Gearów - nie dawała za wygraną. - Teraz nawet takie żalosne stare przyki jak pan muszą brać udział w akcjach... I proszę mi wierzyć, potrafiłabym popsuć panu cały tydzień jedną z moich lewatyw.

W głosie Hayman wyczuł złość, której kobieta nawet nie starała się ukryć.

-I pan też niech lepiej milczy, sierzancie - zwróciła się na swoim krześle obrotowym w stronę Marcusa. - Gdybym wcześniej wiedziała, że niedawno wyszedł pan z więzienia, miałabym pana tutaj już ładne parę dni temu. Prawdopodobnie roznosi pan po Jacinto wszystkie możliwe choroby.

-Przecież myłem ręce - powiedział Gear, a jego głos brzmiał jak martwy Truteń wleczony po żwirze. - Aż dwa razy.

-Bardzo śmieszne... Dobrze, leżcie tu i czekajcie na mnie, a ja tymczasem pójdę do prawdziwego pacjenta. Właśnie przywieźli osiemnastoletniego kaprała, który stracił obie nogi. Zostawiam was samych, panowie bohaterowie, żebyście mogli się nad sobą trochę poużalać.

Lekarka osiągnęła dokładnie to, co zamierzała - przynajmniej w stosunku do Hoffmana, który poczuł się jak skończony głupiec. Co gorsza, utknęli tu razem i z góry wiedział, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Z drugiej strony prędzej czy później i tak musieli stawić czoła temu wyzwaniu i wreszcie porządnie ze sobą porozmawiać, może więc to i lepiej, że mogą to zrobić tu i teraz.

„Wszyscy mnie znają” - pomyślał. „Fenix byłby idiotą, gdyby oczekiwał, że będę się z nim cackał”.

- Muszę coś wiedzieć, sierzancie - zaczął, ignorując za leczenia Hayman i siadając na krawędzi łóżka. - Po jaką cholere wtedy po mnie wróciłeś?

Fenix tępo gapił się w sufit, z rękami splecionymi za głową.

-Gear nie zostawia Geara w potrzebie. Zresztą może ja wróciłem po Kaliso?

-Dobra, dość tego pieprzenia. Przejdźmy do konkre-tów, bo chyba musimy sobie wyjaśnić trochę więcej spraw. Wiesz, że to ja skazałem cię na pewną śmierć w więzieniu, prawda?

-Coś tam słyszałem - mruknął Marcus. - Podobno zo-stawił mnie pan Szarańczy na pożarcie, a pozwolił odejść gwałcicielom, kanibalom, pedofilom i seryjnym mordercom...

-Chciałbyś wyrównać rachunki? - Hoffman nie miał pojęcia, dlaczego to powiedział, ale wyraźny brak złości u sierżanta naprawdę go martwił i poczuł, że musi natychmiast rozwiązać ten problem.

-Niczego nie chcę wyrównywać.

-Gówno prawda!

„Cholera, on jest taki sam jak jego stary. Cholerna maszyna, a nie człowiek. Gdybym nie widział go przy grobie Carlosa, pomyślałbym, że jest wyzuty z wszelkich uczuć”.

- W życiu dostajemy tylko to - dodał na głos - na co zasługujemy.

„O nie, to nieprawda. Nikt z twoją przeszłością nie za-sługuje na coś takiego”.

Hoffman ze zdumieniem odkrył, że cały czas targa nim jakieś utajone poczucie winy. Nagle zdał sobie sprawę, że

na drugim planie wciąż usprawiedliwia się i wymyśla powody, dla których postąpił tak, a nie inaczej.

„I boję się. Zawsze się boję. Nawet nie śmierci, tylko tego, że opacznie rozumiem różne sprawy i różnych ludzi”.

-Spieprzyłeś sprawę, sierzancie - ciągnął, myśląc z ironią o swoich własnych błędach. - Wielu ludzi zapłaciło za to życiem. Twoja głupota kosztowała nas Jacinto. Twój ojciec tylko pstryknął palcem, a ty od razu, jak ostatni dureń, zostawiłeś swoich towarzyszy bez lasera namierzającego. Czy to normalne? Twój kumpel Dom w każdej sytuacji byłby gotów za ciebie zginąć. Zawsze stawiał cię na pierwszym miejscu, nawet wtedy, gdy umarły jego dzieci, a potem zniknęła jego żona. A ty olewasz nawet jego: człowieka, który był ci zawsze wierny i oddany.

-To, że pozwoliłem kiedyś komuś umrzeć - odezwał się w końcu Fenix - nie oznacza jeszcze, że ktoś inny, kto postąpił tak samo, zgadzając się na moją śmierć, może mnie teraz osądzać.

Po tych słowach Hoffman kompletnie stracił grunt pod nogami. Chciał natychmiast wycofać się z wypowiedzianych w emocji słów i zakończyć rozmowę, ale nie miał pojęcia, jak to zrobić. Chciał przeprosić. Naprawdę chciał.

- Powiedz mi, jak było naprawdę - zaczął na nowo łą godniejszym głosem. - O co chodziło? Ale nie częstuj mnie tymi głupotami, które opowiadałeś podczas rozprawy.

„Muszę to wiedzieć... Co było tak ważnego, że opuściłeś swój posterunek? Przecież profesorek nie wezwał cię do siebie tylko po to, żeby jego syn uratował swój żalony tyłek”.

- Mój ojciec zmarł, zanim do niego dotarłem. Nigdy się nie dowiem, czego chciał.

- Musiał przecież coś ci powiedzieć, kiedy cię wzywał.
- Pewnie miał jakieś powody, żeby mnie wezwać, ale ja ich nie poznałem. Zawsze na pierwszym miejscu stawał coś To jedyna pewna rzecz, którą o nim wiem.
- To najbardziej kurewskie usprawiedliwienie dezercji, jakie kiedykolwiek usłyszałem - stwierdził Hoffman.

Aż się rwał do tego, żeby powiedzieć coś więcej, ale jednocześnie czuł się zakłopotany tym, że najtwardszy z Gea-rów, jakiego znał, właśnie oświadczył, iż jego własny ojciec był zwykłym dupkiem. Właściwie wierzył mu, choć pewnie nie przyznałby się do tego przed sądem wojennym - profesor Adam Fenix był dla wszystkich chodzącym wzorem cnót i mądrości i rzucanie na niego cienia po jego śmierci niczego by nie zmieniło. Zresztą mówienie źle o zmarłych nie leżało w jego zwyczaju.

-Przybyłeś za późno - odezwał się Hoffman. - Twój plan nie wypalił. Zginęli tylko ludzie i straciliśmy prawie całe Jacinto. Czy coś pominąłem?

-Wiem, że spieprzyłem sprawę, pułkownika. Kiedy siedziałem w więzieniu, myślałem o tym wszystkim codziennie. Także o tym, że nie pierwszy raz przybyłem gdzieś za późno. Jeśli chce pan wzbudzić we mnie nienawiść do samego siebie, spóźnił się pan o kilka, a może nawet kilkanaście lat.

Hoffman poczuł, jak cała złość nagle z niego schodzi, ale nadal spokoju nie dawała mu świadomość, że nie uzyskał żadnej sensownej odpowiedzi.

- Nie wiesz, dlaczego to zrobiłeś, tak? Nie wiesz, dla czego pobiegłeś do tatusia, tak jakby tylko on się liczył na całym świecie?

Fenix podparł się na łokciu i wychylił z łóżka w stronę pułkownika. Prawie stykali się nosami.

-Jesteś dupkiem, ale nie jesteś sadystą - wycedził powoli Marcus. - Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, dlaczego mi to zrobiłeś?

- Cały czas to robię! - wykrzyczał mu prosto w twarz. - Codziennie! Ponieważ nadal nie mogę uwierzyć, że tak postąpiłem! Mogłem cię zastrzelić jak psa. Naprawdę mogłem. A wiesz, dlaczego tego nie zrobiłem? Bo dzień wcześniej byłeś dla mnie najlepszym żołnierzem, jakiego znałem!

Hoffman przypomniał sobie, jak krótko po swojej feralnej decyzji o pozostawieniu Feniksa w więzieniu sam przyczynił się do jego uratowania. Bez jego udziału Dom nie byłyby w stanie wciągnąć przyjaciela na pokład Kruka, po tym jak ten uruchomił bombę lightmassową. To niezwykle, ale los dał mu drugą szansę, dzięki której mógł naprawić swój poprzedni błąd. I nie zmarnował tej okazji.

Ale czy to uwolniło go od poczucia winy? Czy od tego można się kiedykolwiek uwolnić?

Drzwi do pokoju gwałtownie otworzyły się na oścież, waląc z hukiem o płytki na ścianie. W wejściu stała doktor Hayman z wyrazem twarzy, który zarezerwowany był jedynie dla poważnych medycznych interwencji.

- Zamknąć się, do cholery! - wrzasnęła. - To szpital, a nie jakaś pijacka speluna! Fenix, ubieraj się i weź swoje lekarstwa z apteki. Jeśli poczujesz się gorzej, natychmiast wracaj. I mówię to nie dlatego, że o ciebie dbam, tylko dla tego, że inspekcje są teraz częstsze i chcę mieć porządek w papierach. A ty, Hoffman... mam zamiar upajać się wbi-

janiem igły w twoje dupsko, więc zamknij jadaczkę i odwróć się.

Nie zaprotestował. Rozumiał, że nie zasługiwał na uprzejmość, bo często sam jej nikomu nie okazywał. Tak jak rozumiał, dlaczego w ogóle zbudował ten mur wokół siebie. Nie wiedział tylko, czy doktor Hayman od zawsze była wredną harpią, czy też podobnie jak jego zmieniła ją dopiero jej praca. To musiało być trudne, zajmować się tymi wszystkimi ludźmi, którzy powierzali ci swoje zdrowie, a nawet życie.

Fenix chwycił leżące w nogach łóżka ubranie i ruszył w stronę drzwi. Hoffman przez chwilę przytrzymał rękę lekarki i głośno za nim krzyknął:

- Przepraszam! Widzisz, mówię to! Przepraszam, że cię tam zostawiłem! Zasługiwałeś na coś lepszego, ty oprysk liwy gnojku!

To miejsce było tak ciche i spokojne, że słyszał go pewnie każdy pacjent w szpitalu. Ale Marcus nie zatrzymał się. Kiedy szedł korytarzem, jego buty dudniły miarowo, aż w końcu nawet ten dźwięk ucichł. Doktor Hayman uniosła strzykawkę i sprawdziła, czy w ampułce nie ma baloników powietrza.

- Dobra - powiedziała. - Gwarantuję ci, że tego nie za pomnisz. Ale pomyśl, że to tylko ból...

Hoffman spał się, czekając na atak. Przez głowę przemknęło mu, że ta suka świetnie nadawałaby się do wymachiwania piłą. Zaciśnął zęby, nie chcąc dać po sobie poznać, że cokolwiek czuje. Musiała wziąć najstarszą, najbardziej tępą i największą igłę, jaką kiedykolwiek widziały oczy ludzkie.

Ale miała rację - to tylko ból.

OKOLICE COLLEGE GREEN, TERENY

POZA GRANICAMI JACINTO

To Kaliso nalegał, żeby tu przyjechać. Poprzysiął wrócić po ciała ze spalonej ciężarówki i to był ich pierwszy przystanek.

Bernie przyglądała się, jak oddział Delta usypuje koło Armadillo stertę osmalonych sadzą części, narzędzi i urządzeń, które mogłyby się jeszcze na coś nadawać.

„Dom potrzebuje czasu” - pomyślała, patrząc na niego. „Musi sobie teraz to wszystko poukładać”.

Jak zauważyła, od dłuższego czasu nikt nie dyskutował z Taiem. I wcale nie dlatego, żeby nie urazić jego wyspiarskich tradycji - bo akurat ich obecna wyprawa nie miała z tym nic wspólnego - ale raczej dlatego, że był wielkim, silnym facetem, który wyglądał na takiego, co to łatwo traci panowanie nad sobą.

Ale oni po prostu nie znali prawdziwego Kaliso. Miał w sobie znacznie więcej rozważli, niż na to wyglądał - tyle tylko, że większości ludzi nie chciało się tego sprawdzać. Bernie rozumiała, dlaczego jej rodak tak naciskał, aby wrócić po poległych. Po przerażającej godzinie spędzonej na opowiadaniu Domowi, jak zginął jego brat, potrzeba godnego potraktowania czyichś szczątków nabrała całkiem innego wymiaru. Stała się symbolem przeciwstawiającym ostatni bastion cywilizacji kompletnemu zdziżeniu Odrzuconych. Bernie nienawidziła tych barbarzyńców tak samo jak Szarańczy. I nie czyniło to z niej kogoś wyjątkowego, ponieważ wszyscy ich nienawidzili. Zresztą jej nastawienie nie wynikało z tego, że tak jej kazała. Po prostu spędziła wśród Odrzuconych zbyt wiele czasu i za dużo wi-

działa, żeby ich szanować. Żaden Gear nie zrobiłby tego, co oni potrafili zrobić - ani wrogowi, ani nikomu.

- Wszystko w porządku, Dom? - zapytała łagodnie.

Kiedy wcześniej rozmawiali o Carlosie, Santiago nie wstydził się przy niej płakać i cholernie jej tym zaimponował. Tak jak Cole, miał właściwe wzorce z dzieciństwa, które pozwoliły mu przetrwać najgorsze burze.

-Tak, myślę o Marcusie - odparł. - Wiele rzeczy się wyjaśniło. Zmienił się po Aspho i teraz wiem dlaczego. Nie jest tym samym człowiekiem, którym był, zanim poszedł do więzienia.

-Chcesz z nim o tym porozmawiać?

-Muszę, między nami nie ma żadnych sekretów... To zabawne, ale zawsze myślałem, że zawiodłem Carlosa. Naprawdę.

Nie ma nic bardziej niszczącego przyjaźń niż czekanie, aż druga osoba przyzna się do winy. Bernie miała nadzieję, że Dom da Feniksowi trochę czasu na oswojenie się z nową sytuacją. Na szczęście wiedziała już, że brat Carlosa, podobnie jak on sam, był ucieleśnieniem dobroci i nawet teraz, kiedy cierpiał, na pewno nie dopuści do tego, aby Marcus to zobaczył.

Kaliso wrzucił na Armadillo ostatnie osmalone sadzą rupiecie i walnął pięścią w pancierz.

- Gotowe - powiedział.

Bernie osobiście pofatygowała się, żeby sprawdzić, czy do ładowni nie trafiły przypadkowo jakieś ludzkie szczątki, ale na szczęście Tai był w takich sprawach bardzo skrupulatny.

- No dalej, zbierać się - rzuciła do oddziału. - Jedźmy teraz po tego giganta.

Tir z ogromną przegubową platformą stał koło budynków College Green. Gdy dojeżdżali swoim Armadillo do skrzyżowania, już z daleka zobaczyli Odrzuconych tłoczących się koło pojazdu jak muchy przy odchodach. Stalowe kadzie z fermentem cały czas znajdowały się na platformie, ale ktoś już zdążył założyć na nie uzbrojone pasy do podnoszenia, co sugerowało, że jakiś szabrownik odszedł tylko na chwilę w poszukiwaniu dźwigu. Bernie zsiadła z pojazdu, zanim jeszcze Dom wyłączył silnik.

Nie była w pogodnym nastroju. Nawet nie krzyknęła ostrzegawczo. Uniosła Lancera metr ponad głowę i wystrzeliła długą salwę w powietrze. Odrzuceni rozpierzchli się w poszukiwaniu ukrycia, a ona ruszyła w stronę przyczepy.

- Mocne wejście - zaśmiał się Cole, idąc za nią. - Pamiętaj tylko, że jedzenie kotów to nie to samo co jedzenie ludzi.

No cóż, takie rzeczy też widywała. I wcale nie należały one do najstraszniejszych, z jakimi się spotkała.

Jeden z Odrzuconych okazał się odważniejszy od pozostałych i wyszedł do Bernie z ukrycia.

-Ty głupia dziwko, mogłaś kogoś zabić - krzyknął. -W co ty się, kurwa, bawisz?

-Racja, mogłam zabić - odcięła się, odkrywając z radością, że znowu wraca do dawnej formy.

Uruchomiła na moment piłę, żeby zwrócić na siebie uwagę. Z pobliskich budynków zaczęli powoli wychodzić kolejni Odrzuceni, którzy prawdopodobnie nigdy wcześniej nie widzieli z bliska, jak działa ostrze Lancera.

- Zasady są proste - zaczęła, gdy już uznała, że słucha jej wystarczająco duży tłum. - Wy grabiecie, ja strzelam.

A teraz zabierać mi te śmierdzące dupska do swoich nor i przynieść z powrotem każdą śrubkę i resor, które stąd zniknęły. W przeciwnym razie spalę wszystkie wasze domy. Nawet te, w których nic nie znajdę. Zrozumiano?

Baird podszedł do nich lekko, chwiejnym krokiem i jak rzadko, stanął solidarnie tuż obok.

- Słyszeliście, co powiedziała. - Spojrzał na zegarek. - Macie dziesięć minut. Ruchy! Ruchy!

Odrzucony zerknął na Armadillo za nimi, dostrzegając w nim jednego z Gearów.

- Santiago? Santiago, powiedz jej, że to nie w porządku. Myśleliśmy, że nas rozumiesz. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy...

Bernie czekała, aż Dom odpowie coś mężczyźnie, ten jednak wysiadł z pojazdu i najwyraźniej nie zamierzał włączyć się do rozmowy. Naprawdę nie chciała go wyręczać. Podobnie jak Cole, był dla niej miernikiem przyzwoitości. W milczeniu patrzyła na niego wyczekująco.

- Róbcie, co kazała sierżant - powiedział wreszcie Santiago. - Potrzebujemy tych przedmiotów, żeby wytwarzać żywność... Gdybyście przestali być takimi dupkami i dołączyli do nas, też moglibyście ją jeść.

Przez kilka następnych minut Odrzuceni tłumnie wynosili ze swoich domostw kanistry z benzyną, fotele samochodowe, części silnika i inne przedmioty, które wcześniej zagrabili, układając je wprost na ulicy w sporej wielkości hałdę.

- Będę wiedział, czy wszystko odzyskaliśmy - powiedział Damon do Mataki - bo zamierzam to wsadzić z powrotem na miejsce.

I nie rzucał słów na wiatr.

Nie przeszkadzała mu. Z zaciekawieniem obserwowała, jak pracuje, odkrywając, że mężczyzna naprawdę miał smykałkę do techniki i z zadziwiającą dokładnością potrafił na powrót złożyć to, co wcześniej rozmontowano. W duchu przyznała, że podziwia ten jego dar. Po raz pierwszy dostrzegła w nim coś, co mogłoby się stać podstawą do znalezienia wspólnego języka - bo choć to absurdalne, to jednak w jakimś sensie wciąż jej na nim zależało. Może i ludzie z oddziału Delta mieli mechanika w nosie za jego ciągłe narzekanie, ale ona była za stara i zbyt doświadczona, żeby nie traktować tego jako zwykłego dziwactwa.

- Naprawiałeś już kiedyś taką ciężarówkę? - spytała.

Damon wychylił się spod pokrywy silnika, sięgając po klucz nastawny.

-Nie, nigdy - odparł łagodnie, zatopiony w swoich myślach. - Ale to tylko samochód, jak każdy inny.

-Nie bądź taki skromny. Jesteś w tym najlepszy i wiesz o tym...

Spojrzał na nią uważnie. Wiedziała, że czekał na jakąś złośliwość, ale kiedy ta nie padała, z rozczarowaniem wypisanym wyraźnie na twarzy wrócił do pracy.

Przez całą drogę powrotną Baird milczał. Mątki czuła na sobie jego ukradkowe spojrzenia i nie miała wątpliwości, że mężczyzna nie potrafił się odnaleźć po tym, co od niej usłyszał. Tak bardzo przyzwyczał się do wiecznych docineków i złośliwych uwag, że każde inne zachowanie wobec niego wytrącało go z równowagi. Nawet kiedy już znaleźli się z powrotem w szpitalu Wrightmana, grając z innymi w karty, wciąż zdawał się o czymś myśleć.

Gdy w kantine pojawił się Marcus i usiadł przy ich stoliku, Damon aż odetchnął z ulgą - jakby znów wszystko

wróciło dla niego na swoje tory. Fenix był jego ulubionym celem, a wadzenie się z nim sprawiało mu o wiele większą satysfakcję niż kłótnie z pozostałymi. Może dlatego, że ryzyko poniesienia konsekwencji takiego starcia wydawało mu się o wiele bardziej pociągające? Jak wszyscy, wiedział, że dowódca Delty był jak uśpiony wulkan, który w każdej chwili mógł eksplodować.

-Cześć, złamasie - powiedział mechanik od niechcenia, nie podnosząc wzroku znad kart.

-Cześć, dupku - odwdzieczył mu się Marcus. - Słyszałem, że pojechaliście po ciężarówkę. Odzyskaliście wszystko?

-Babunia chwyciła piłę i ucięła sobie pogawędkę z takim jednym.

-No i dobrze - mruknął Fenix i rzucił jej jedno z tych swoich wymownych spojrzeń, a kiedy przeniósł je także na Santiago, od razu domyśliła się, że to nie zwiastuje nic dobrego. - Stare, wypróbowane metody zawsze działają.

-A zatem... - Baird zwrócił się nagle w stronę Mata-ki.

- Powiesz nam, babciu, o czym tak naprawdę rozmawiałś z Domem?

W ostatnich dniach wiele zmieniło się w życiu Bernie. Trafiając po czterestu latach tułaczki pomiędzy ludzi, których znała jeszcze sprzed Dnia Wyjścia, na powrót poczuła utracony dawno temu spokój. Była świadoma, że powoli to miejsce stawało się jej domem, a ci ludzie - rodziną. Najwyraźniej jednak z jednym wyjątkiem.

- Nie twoja sprawa, skarbie - powiedziała najspokojniej jak mogła. - Nie zrozumiesz tych spraw.

„Cholera, ten gość zatrzymał się na etapie wczesnego dojrzewania. Niech lepiej trzyma się od tego z daleka”.

- A co, czyżby kolejna śmierdząca tajemnica sierżantów?

Miarka się przebrała. Baird z pewnością nie miał pojęcia, jak silny cios zadał w tym momencie Marcusowi, ale mało ją to teraz obchodziło. Nawet jeśli nikt poza Domem nie wiedział, o co w tym wszystkim chodziło, nie zamierzała przechodzić nad tym do porządku dziennego i udawać, że nic się nie stało. Niektórych zasad trzeba bronić.

-Nie - odparła. - Nikt niczego nie spieprzył. A teraz wyświadczyć mi przysługę i zamknij tę swoją jadaczkę, dobrze?

-Damon, chłopcze - mruknął Cole - pomyśl o tych wszystkich małych kotkach...

-No co? - odparł mu Baird. - Dlaczego nie mogę zapytać o przebieg służby kogoś, pod kim mam służyć i narażać swoje życie?

Dom zamierzał coś odpowiedzieć, ale zanim zdążył otworzyć usta, Bernie weszła mu w słowo:

-Może dlatego, żeby okazać szacunek prawdziwemu facetowi, blondasku.

-Kurwa - zaklął Cole. - Ludzieeee... Mieliliśmy tylko grać. Dajcie sobie po buziaku i przestańcie, dobra?

-Nie, chrzanić to. Załatwmy to raz na zawsze, tutaj.

-Wstała od stołu, czując pulsowanie w skroniach. - No, dawaj, cwaniaku. Sprawdzimy, czy potrafisz coś więcej, niż tylko mieć tym swoim jęzorem.

Baird podniósł się z krzesła. Nonszalancko stanął w lekkim rozkroku i podparł się rękami pod boki.

- Myślisz, Mataki, że cię przeproszę i pocałuję w tyłek - wycedził - tylko dlatego, że ktoś wieki temu przyznał ci te kilka belek na pagonach?

W kantynie zapadła cisza. Nawet Gearzy, którzy nie siedzieli przy ich stoliku, przyglądali się teraz całej scenie w absolutnym milczeniu.

Długo czekała na ten moment. Nic się nie zmieniło -niektórych zasad trzeba bronić. Nawet jeśli to oznacza złamanie kilku innych zasad.

Damon miał od niej o jakieś dwadzieścia lat mniej i przewyższał ją pod każdym względem - był szybszy, silniejszy, wyższy. Ale ona wiedziała, jak sobie z kimś takim poradzić. Gdy do niego podchodziła, przygarbił się, wyraźnie oczekując kopniaka w krocze. Postanowiła go rozczarować. Mocny sierpowy trafił go w szczękę, tuż pod uchem.

Ten cios zawsze był skuteczny.

Mężczyzna zatoczył się, wydając z siebie okrzyk bólu. Obecni w kantynie żołnierze poderwali się na równe nogi i kilku z nich zaczęło radośnie zagrzewać kobiety do walki. Przewidując kolejny atak, Dom chwycił Bernie za rękę, ale ona i tak nie miała zamiaru uderzać po raz drugi. Zwłaszcza że Cole, który błyskawicznie doskoczył do Bairda, trzymał go teraz w stalowym uścisku.

-A mówiłem: pamiętaj o kotkach - oświadczył radośnie osiłek. - Bądź teraz grzecznym chłopcem i odpuść sobie.

-Kuhfa - kłął mechanik, cały czas trzymając się za żuchwę. - Kuhfa.

Marcus, który wcześniej także zerwał się z krzesła, usiadł na powrót przy stole. Patrzył tępo w swoje splecione dłonie i wyglądało, jakby cała sytuacja mało go obchodziła - ale Bernie wiedziała, że to tylko pozory.

- Gdybyś nie okazał Jeffowi odrobiny ludzkich uczuć, inaczej bym się z tobą załatwiła - powiedziała i cofnęła się parę kroków, nie mając pewności, czy mężczyzna nie

planuje dalszej bójki. - Lepiej więc uważaj, co przy mnie mówisz, jasne?

Nieśpiesznie, z udawaną obojętnością odwróciła się do niego tyłem. Cały czas spodziewała się uderzenia w plecy, zdając sobie sprawę, że Baird nie zechce poddać się tak łatwo. Idąc w stronę szafek w przeciwnym rogu kantyny i siadając na ławce pod ścianą, pomyślała, że właśnie pokazała Damonowi, na ile może sobie z nią pozwolić.

„Co ty robisz, kobieto? Po co mu pokazujesz, gdzie są twoje granice? Teraz ci nie da spokoju”.

Marcus podszedł do niej i stanął obok.

-Niezły cios - powiedział, patrząc na nią z góry.

-Tak, sierpowy w szczękę nigdy nie zawodzi. Ból rozkłada przeciwnika na łopatki, a przy tym nie powoduje długotrwałych skutków.

Mężczyzna wciąż stał, jakby czekał na dodatkowe wyjaśnienia.

- No co? - zapytała go, wstydząc się, że na chwilę straciła panowanie nad sobą.

Może i wyglądał na zwykłego mięśniaka, ale Bernie nigdy nie zapomniała, że był cholernie inteligentnym facetem, który potrafi przejrzeć każdego na wylot.

- Tak sobie myślę, że musiałaś przejść prawdziwe piekło, zanim do nas trafiłaś.

-I dobrze myślisz. Bywało, że Szarańczę lubiłam bardziej niż ludzi. Dla samotnie podróżującej kobiety świat potrafi być naprawdę okrutny.

- Wiesz, w piekle łatwo zapomnieć o wielu rzeczach. Na przykład że Baird to przerażony dzieciak. Czasem gada co mu ślina na język przyniesie, ale dzięki temu nie robi w gacie. To wszystko.

-Jesteście w podobnym wieku i prawie tyle samo służycie w armii, ale jakoś nie widzę, żebyś był przerażonym dzieciakiem.

Fenix spojrział w stronę okna, jakby szukał czegoś za oklejoną taśmą, brudną szybą.

-Jestem nim, przez większość czasu - powiedział cicho. - Wszyscy nimi jesteśmy. Dorośli nie znają odpowiedzi na nasze pytania, a my i tak nie możemy im ufać.

-Chcesz mi powiedzieć, żebym się pogodziła z tym dupkiem i udawała miłą?

-Nie, ale pomyśl, że gdyby on był prawdziwym dupkiem, dawno już by został królem Odrzuconych. Zamiast tego jednak cały czas nosi pancerz i nigdy nas nie zawiódł. Chodzi tylko o ten jego niewyparzony język.

-Może i masz rację, ale nie zamierzam wysłuchiwać, jak mówi te wszystkie rzeczy o tobie.

-To tylko słowa. - Wzruszył ramionami. - Słyszałem je wiele razy.

-Wiesz już, że powiedziałam wszystko Domowi?

Patrząc na niego, zrozumiała, że nie miał o tym pojęcia. Wyglądał teraz tak, jakby ktoś pozbawił go nagle kolejnych złudzeń.

- Umówiliśmy się - zaczął prawie szeptem - że nigdy tego nie zrobimy.

-To było kiedyś. On tego naprawdę potrzebował. Ostrzegłam go, że prawda będzie bolesna.

-Stracił całą swoją rodzinę.

-Tak, wiem. I dlatego właśnie musiałam mu to powiedzieć.

Nawet kiedy Marcus był wściekły do granic możliwości, nigdy nie posunął się dalej niż do kilku wymamrotanych

pod nosem przekleństw, ale teraz nie miała pewności, czy nie zachowa się inaczej. To wszystko go przerastało - miał to wypisane na twarzy. Bardzo chciała, żeby nie poczuł się zdradzony.

-Dom jest wszystkim, co mam. Jest moim przyjacielem - powiedział, celowo kładąc nacisk na ostatnie słowo. -Dla niego mogę nawet umrzeć. Rozumiesz to?

-Tak mi się wydaje - odparła. - Wiem coś o tym, pamiętasz?

Poklepała go po plecach, jakby chciała prosić w ten sposób o przebaczenie, a potem podeszła z powrotem do stołu. Wciąż czuła złość, że ktokolwiek śmiał zakwestionować odwagę Marcusa, ale ten najwyraźniej był jeszcze bardziej wkurzony, że w całej tej rozmowie publicznie padło zdanie o „prawdziwym facecie”. Naprawdę nie lubił tych wszystkich frazesów.

Po tym jak Bernie rozprawiła się z Bairdem, mężczyzna zachowywał się o wiele spokojniej i rozważniej - przynajmniej chwilowo. Pomyślała, że po raz kolejny źle oceniła jakiegoś człowieka i że zrobiła z siebie idiotkę.

Damon nie potrzebował ani zrozumienia, ani konstruktywnej rozmowy. Podobnie jak wszystkie inne bachory, trzeba go było tylko od czasu do czasu trzepnąć w ucho -tak jak zapewne kiedyś czyniła to jego matka.

- Zgoda? - spytała, wyciągając dłoń.

BARAK ODDZIAŁU DELTA

Dom odkładał tę rozmowę tak długo, jak to tylko było możliwe, ale w końcu musiał wziąć się w garść i stawić

temu czoła. Już dawno pogodził się ze śmiercią Carlosa -tak jak pogodził się z odejściem Benedicta, Sylvii czy rodziców. Czuł ogromny ból, gdy myślał o każdym z nich z osobna, ale dawał sobie z tym radę i teraz też nie zawiedzie. Nawet pomimo tego, że rozpacz po stracie najbliższych za każdym razem jest inna i nigdy nie można się na nią przygotować.

Poznanie szczegółów na temat śmierci Carlosa w istocie było utraceniem go po raz drugi. Musiał na nowo ułożyć sobie swój świat. Gdy wszedł teraz do kwatery Marcusa, miał wrażenie, że wszystko wróciło już na swoje miejsce. Nadal jednak chciał usłyszeć kilka odpowiedzi.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - zapytał zaraz od progu.

Przyjaciel leżał na łóżku z rękoma wsuniętymi pod głowę i gapił się w sufit. Przez moment Dom złościł się na myśl, że nawet nie będzie mógł mu spojrzeć w oczy.

-Chciałem, żebyś go zapamiętał takim, jakim był naprawdę - odezwał się w końcu Fenix.

-Bez przesady. Kochałem swojego brata, ale wiedziałem, że daleko mu do ideału. Czasem potrafił zachowywać się jak prawdziwy dupek.

-Był bohaterem. Od zawsze. Od momentu, kiedy spotkałem go po raz pierwszy. Nadal nim jest.

Tak, z pewnością, ale tu nie chodziło tylko o Carlosa. Dom chciał wiedzieć, dlaczego ktoś tak szlachetny i uczciwy jak Marcus okłamywał go przez tyle lat? Bo pomijanie faktów także traktował jako kłamstwo. Zawsze pragnął poznać wszystkie szczegóły tamtego okropnego dnia i teraz, kiedy usłyszał już prawdę, kiedy był tak rozdarty i sa-

motny, nie mógł zrozumieć, dlaczego Fenix przez ten cały czas go oszukiwał? Dlaczego milczał?

Gdy słuchał opowieści z ust Bernie, cierpiał z każdym wypowiedzianym przez nią słowem, ale zarazem czuł coraz większą ulgę. Bo Carlos okazał się zwykłym człowiekiem, który także popełniał błędy. Jako młodszy brat, zawsze starał się mu dorównać. Obaj chcieli być najlepsi i robili wszystko, żeby to osiągnąć. Aż pewnego dnia coś poszło nie tak i sama chęć nie wystarczyła. Może w innej sytuacji to samo spotkałoby Dorna? Kiedy uciekali w Marlinach, prawie otarł się o śmierć.

- To przykre dowiedzieć się po tylu latach, jak on umarł naprawdę - powiedział łagodnym tonem, starając się, aby w jego głosie nie zabrzmiał żaden wyrzut. - Tym bardziej przykre, że ty zawsze o wszystkim wiedziałeś.

-To nie tak...

Santiago spodziewał się, że jego przyjaciel zechce przerwać tę rozmowę, uciec swoim zwyczajem od wszystkich tych trudnych słów, ale postanowił, że tym razem nie pozwoli mu na to.

-Czy wiesz, jak ja się teraz czuję? O czym jeszcze mi nie powiedziałeś?

-Nie mów tak, proszę... - Fenix podniósł się na łóżku i usiadł na jego krawędzi. - Mnie też okłamywano. Mój ojciec nigdy nie powiedział mi prawdy o mojej mamie. Pamiętasz?

Tak, pamiętał. To była najbardziej szokująca i tajemnicza rzecz, jaka przydarzyła mu się w dzieciństwie. Wciąż ze szczegółami potrafił odtworzyć dzień, w którym usłyszał wiadomość o zaginięciu pani Elain.

- Czy to z tego powodu ojciec wezwał cię wtedy do siebie?

-Nie.

- Marcus, cholera, po prostu wyrzuć to wreszcie z siebie.

Wszystko szło nie tak. Nie chciał się targować, kto miał w życiu gorzej i kto przez to bardziej cierpiał. Chciał tylko usłyszeć od przyjaciela wyjaśnienie, dlaczego tak długo milczał w sprawie Carlosa, a teraz Fenix przypomniał mu, że i on od lat czuje ból po utracie kogoś bliskiego i że to właśnie dlatego zawsze był taki obcy i zamknięty w sobie.

-Kiedy byliśmy w tunelach Szarańczy i szukaliśmy kryształków impulsji do lasera namierzającego, znaleźliśmy... ciało mojej mamy.

-Cholera, twój stary wiedział, że tam poszła?

-Tak, musiał. To była jakaś strefa badań utrzymywana w sekrecie.

-Ale dlaczego ci nie powiedział?

-Tego już nigdy się nie dowiem - odparł swoim zwyczajem cichym i spokojnym głosem. - Pozwolił, żebym myślał, że od nas odeszła...

Dom nie mógł pojąć, jak jego przyjacielowi udawało się tak długo utrzymywać to wszystko w tajemnicy, miał jednak świadomość, że mówi to teraz dlatego, żeby można go było łatwiej zrozumieć.

- Przykro mi, Marcus - szepnął.

-Jak zwykle zwracam ci głowę moimi sprawami, a ty masz własne kłopoty.

- Gówno prawda - zaprotestował Dom. - Przynajmniej wiem, dlaczego nie powiedziałaś mi nic o Carlosie. Po pro-

stu chciałeś mnie chronić. Mój brat cię prosił, żebyś się mną zajął, prawda?

Fenix niemo przytaknął.

- I ty zawsze to robiłeś. - Szturchnął przyjaciela w ramię. - Głowa do góry. Czekam jeszcze na opowieść o tym, co wydarzyło się w więzieniu. Bo bardzo się w nim zmieniłeś.

- Ale nie teraz... Może kiedyś...

To był koniec. Marcus zamknął się i Dom wiedział, że nic więcej z niego nie wyciągnie. Nie teraz.

Wyszedł na korytarz. Cały czas potrzebował bratniej duszy, więc poszedł poszukać Bernie, która mogła rozmawiać o jego bracie bez poczucia winy i bólu. Siedziała w swoim pokoju i czyściła właśnie Lancera.

- Chcesz zobaczyć zdjęcia moich dzieci? - zapytał z uśmiechem, licząc, że mu nie odmówi.

Mataki odłożyła na stół szmatkę i puszkę smaru. Kątem oka dostrzegł, że tkaninę pokrywały resztki czegoś, o czym teraz nie miał najmniejszej ochoty myśleć.

- Z przyjemnością - powiedziała kobieta, opierając ka rabin o ścianę.

EPILOG

Moglibyśmy współpracować z osobnikami na powierzchni, wspólnie dążąc do ocalenia obydwu naszych ras, ale dla nich liczy się tylko władza i posiadanie, jedyne, co nam pozostało, to walka z nimi na śmierć i życie. Mimo ich całej tak zwanej inteligencji ludzie są ślepi i nie widzą zagrożenia, które stoi tuż przed ich oczami. Nigdy nie zaproponowali nam swojej pomocy, dlatego teraz prowa' dzimy z nimi wojnę. I będziemy ją prowadzić tak długo, aż wszystkich ich wyrzniemy w pień.

MYRRAH

KRÓLOWA SZARAŃCZY

SZPITAL WHIGHTMANA

KILKA DNI PÓŹNIEJ

Większe oddziały Szarańczy wciąż się nie pojawiały, a niedobitki, jakie z rzadka spotykano, składały się głównie z Trutni.

Dom nigdy nie narzekał na nudę, ale w ciągu ostatnich dni, kiedy nie musiał tyle walczyć, coraz częściej naprawdę nie wiedział, co ze sobą począć. I nie był w tym osamotniony.

-Cholera, chyba powinienem znaleźć sobie jakieś hobby - zastanawiał się Cole. - Tylko jakie, u diabła?

-Zawsze możesz podokuczać Bairdowi - zaproponował Santiago. - Lubisz sport, a to chęplernie widowiskowa dyscyplina.

Nie byli jedynymi, którzy mieli podobne problemy. Nawet ich flota powietrzna, wykonująca teraz o wiele mniej lotów, borykała się z nadmiarem czasu i żeby nie pozwolić na zbytne rozprężenie, dowództwo musiało przerzucić połowę załóg Kruków do prac remontowych. Dom na każdym kroku dostrzegał zmiany i wiedział, że czekają ich nowe, inne czasy - ale nie potrafił się z tego cieszyć. Dla niego wszystko pozostanie po staremu, dopóki nie odnajdzie Marii.

Pierwszym sygnałem, że dzieje się coś złego, były wiadomości, które usłyszeli podczas porannej odprawy - nie chodziło jednak o Szarańczę, ale o środowisko naturalne. Na spotkaniu kierownik badań geologicznych poinformował ich o dużym napływie ludności z Tollen do okolicznych domostw Odrzuconych, co - jak się okazało - spowodowane zostało licznymi powodziami pustoszącymi tereny zaledwie o dwie godziny drogi od Jacinto.

-Ale czy to w ogóle jest nasz problem? - zapytał Hoffman. - Dopóki te kataklizmy nie zagrażają bezpieczeństwu strefy strzeżonej, nie mamy się chyba czym przejmować, prawda?

-Fakt, na razie ta sprawa nas nie dotyczy - powiedział kierownik. - Nie znamy jednak przyczyny ani rozmiaru tego zjawiska. Być może to tylko przejściowe zmiany środowiskowe, ale równie dobrze te powodzie mogą stano-

wić część jakiegoś globalnego procesu. Naprawdę szkoda, że nie mamy do dyspozycji sieci satelitarnej... - westchnął i wyjął zwitek papieru z kieszeni. - Dostaliśmy dzisiaj wiadomość z tamtejszego centrum zarządzania kryzysowego: *Ze wszystkich stron zalewa nas cholerna woda! Pomóżcie nam, dranie!* Słownictwo mało naukowe, ale przekaz jest chyba jasny?

Dom od dziesięciu lat patrolował tereny Odrzuconych wokół Jacinto i nie miał nic przeciwko wyprawie także do miejsc położonych dalej. Zwłaszcza że każde nowe osiedle, do którego dotrze, zwiększa jego szanse na odnalezienie żony.

-Nie wiedziałem, że w Tollen mieszkają jeszcze jacyś ludzie? - sarknął Baird. - Podobno wszystkich stamtąd już wywieźliśmy.

-To Odrzuceni - odezwał się Cole. - Nie łapiesz?

-Czyli dobrze mówię... - Damon uśmiechnął się szyderczo. - Ludzi tam nie ma.

Santiago był w tym mieście tylko kilka razy. Nic ciekawego - wielkie, ponure budynki i ogromna autostrada ciągnąca się wysoko nad ziemią. Przynajmniej tak wyglądało to miejsce, zanim pojawiła się w nim Szarańcza, a coż spisała je na straty.

-Możemy zrobić tam mały rekonesans - wtrącił się Marcus; cokolwiek zaszło między nim a Hoffmanem, ich wzajemne relacje znacznie się poprawiły i Dom miał nadzieję, że na tym się nie skończy. - Tak na wszelki wypadek.

-Dobrze, ale proszę pamiętać, że nie możemy nikogo stamtąd ewakuować - oświadczył pułkownik z naciskiem. -To bardzo niebezpieczny rejon i musimy skupić się wyłącznie na swoim zadaniu. Mówię to absolutnie poważnie: bez

względu na okoliczności nie zabieracie żadnych pasażerów. Czy to jasne?

Skinęli głowami, a Santiago postanowił w duchu, że po odprawie poprosi Feniksa na stronę i porozmawia z nim o tym dokładniej. Nie posądzał go o to, że zamieni całą wyprawę w akcję humanitarną, ale wciąż pamiętał Aspoho i wiedział, że w sytuacji zagrożenia czyjegoś życia można zachowywać się naprawdę różnie. Poza tym wciąż nie miał pojęcia, co jego przyjaciel sądzi o ludziach spoza coga i czy przypadkiem nie czuje się za nich tak samo odpowiedzialny jak za mieszkańców ich enklawy.

Sam rozumiał punkt widzenia Hoffmana. Nie zważał przy tym na ostry ton jego wypowiedzi. Już jakiś czas temu zorientował się, że ta poza wiecznie niezadowolonego gwałtownika to tylko maska, pod którą kryje się lęk przed porażką i co za tym idzie - przed posądzeniem go o nieudolność. Coraz wyraźniej dostrzegał także w pułkowniku tę chorobliwą wręcz niechęć do okazywania swojej ludzkiej strony - zupełnie jakby uważał to za słabość mogącą obrócić się przeciwko niemu. Być może to właśnie dlatego zawsze wyglądał na kogoś bardzo samotnego, kto w pojedynkę musi dźwigać ciężar wszystkich tych decyzji stanowiących o przetrwaniu rodzaju ludzkiego. I kto bez słowa sprzeciwu wini się za śmierć każdego żołnierza, który poległ w ostatnich latach.

„Żal mi go... Nawet po tym, co zrobił Marcusowi” - pomyślał. „Stary, biedny dureń”.

Dom od lat obserwował, jak jego przyjaciel żyje w cieniu swoich wątpliwości i wygórowanych oczekiwań. Hoffman prawdopodobnie nie lubił go właśnie dlatego, że widział w nim samego siebie. Obydwaj mieli tak samo złą

reputację i znani byli z tego, że lubili się pchać tam, gdzie nie powinni. Nawet radio wysiadało im w ten sam tajemniczy sposób, kiedy padały niewygodne dla nich rozkazy.

Może Fenix odwdzięczał mu się niechęcią, bo też widział to podobieństwo i przerażała go wizja, że na starość zamieni się w takiego samego złośliwego starca?

-No to czeka nas wycieczka krajoznawcza - powiedział Marcus po odprawie. - Polecimy tam we trójkę: ty, ja i Baird.

-Bomba lightmassowa - stwierdził enigmatycznie Damon. - Kto by pomyślał...

-Co tam mruczysz?

-Nie wiemy przecież, jakie skutki wywołała detonacja. Może masy skalne zaczęły osiadać i dały ujście wodom gruntowym? Takie podziemne rzeki naprawdę trudno wykryć z powierzchni.

-Niewykluczone. - Marcus wzruszył ramionami.
-Wszystkiego dowiemy się na miejscu.

Królewskie Kruki rzadko odbywały lot poza miasto. Były zbyt cenne, a do tego za często wykorzystywano je do lokalnych patroli. Ta wyjątkowość sytuacji sprawiała, że Dom już na płycie lotniska wyczuł ogromną ekscytację u załogi. Kiedy wsiadł do kabiny, zorientował się, że teraz to Barber dowodził maszyną, a nowym pilotem został Gili Gettner. Na widok tego ostatniego przypomniał sobie, że miał kiedyś koszmar, w którym mężczyzna ewakuował go skądś swoim helikopterem wraz z doktor Hayman. To było traumatyczne przeżycie.

Podczas gdy Gili, cały czas zachowując twarz pokerzysty, rozgrzewał maszynę, Barber na przemian zamykał i otwierał oczy, jakby przygotowywał się do lotu.

-Od lat nie byłem tak daleko na południu - powiedział Gettner. - Nie jestem pewien, czy znajdę to miejsce na mapie.

-Od razu czuję się lepiej - skomentował jego słowa Damon.

- Myślisz, że poradziłbyś sobie lepiej, żołnierzyku? Dom wpakował Bairdowi łokieć między żebra.

-Nie, poruczniku - powiedział. - Nasz kolega po prostu nie lubi latać.

-W takim razie osobiście spakuję jego spadochron -stwierdził żartobliwie Barber, zapinając pasy bezpieczeństwa.

Gdy wzniesli się wysoko w powietrze, przez otwarte drzwi zobaczyli w dole zrujnowane Jacinto. Miasto przypominało ogromną, poniszczoną śladami po kulach tarczę strzelecką, w której jedynym nienaruszonym fragmentem było niewielkie koło w centrum - ich obecne miejsce zamieszkania otoczone kordonem ochronnym.

Lecąc na południe, cały czas robili zdjęcia z zamiarem dołączenia ich potem do raportu z rekonesansu. Po drodze minęli kilka samotnych osad pobudowanych na niewielkich polanach pośród lasu karłowatych drzew. *Życie* tutaj musiało być piekłem, ale nawet w takich warunkach ludzie potrafili przetrwać. Gdy znaleźli się w pobliżu przedmieść Tollen, w miejsce roślinności pojawiły się ruiny domów.

Dom starał się zapamiętać topografię terenu pod nimi -układ ulic, odległości, przejezdność dróg. Nauczył się tego jeszcze w czasach, gdy odbywał szkolenie na komandosa. Wkrótce zorientował się, że helikopter wciąż zatacza ogromne kręgi nad tym samym obszarem.

-Hej, Barber - zawołał Gettner. - Sprawdź dla mnie ostatni VFR. Najlepiej kawałek po kawałku, OK?

-Ta mapa ma sześć lat - odparł szef załogi, sięgając do schowka.

-Po prostu zrób to.

-Wiedziałem - wymruczał Baird, ale miał na tyle przytomności, żeby nie kontynuować tematu.

Gill postanowił zatoczyć jeszcze jedno koło. Gdy Kruk pochylił się delikatnie na bok, Dorna niespodziewanie oślepił jakiś ostry błysk wychodzący gdzieś spoza na wpół zrujnowanych wieżowców.

- Co jest, do diabła - jęknął, zasłaniając oczy ręką.

Barber położył mapę na kolanach, a potem przez chwilę składał ją tak, aby pozostawić na widoku tylko interesujący go fragment. Wychylił się z kokpitu, żeby znaleźć w dole jakieś punkty orientacyjne.

-Spokojnie, Santiago - powiedział, myśląc, że Dom niecierpliwił się lotem. - Nie jest dobrze, ale polecimy tak daleko, jak się da.

-Cholera, wiedziałem, że nie mam urojeń - mruknął do siebie Gettner, patrząc gdzieś w dal i kierując tam helikopter.

-Zobacz. - Dom pociągnął do siebie Marcusa i wskazał mu ręką teren przed nimi. - Powiedz, że nie oszalałem.

Rozmiary Tollen zdezorientowały ich. Nadal byli na przedmieściach, myśląc, że dotarli już do centrum. W dodatku w dole mieli brzeg jakiegoś zbiornika wodnego, którego nie zaznaczono na mapie. Przeczuwając już, co się stało, wzniesli się na wyższy pułap. Dopiero teraz zaczęli dostrzegać dachy domów, billboardy i drzewa, wystające

z ciemnych, wzburzonych odmętów jeziora. Jego wody rozciągały się na kilka kilometrów i całość przypominała jakąś ogromną zatokę morza.

A miasta nie było. Zniknęło.

Kilkadziesiąt metrów przed nimi ogromne bąble powietrza raz po raz wystrzeliwały na powierzchnię zbiornika, tak jakby w głębinach następowała cała seria potężnych eksplozji. Ich częstotliwość i intensywność rosła z każdą sekundą i po chwili najbliższa okolica przypominała wielki wrzący kocioł. Następnie wszystko zaczęło się uspokajać, ale kiedy już się zdawało, że erupcja minęła, cały proces się powtórzył. A potem znów... i znów. Cokolwiek tkwiło na dnie tego akwenu, nie zamierzało się uspokoić.

Dom dostrzegł unoszące się na wodzie ciała ludzi. Większość z nich była spuchnięta, dzięki czemu mógł określić, iż powódź nastąpiła co najmniej kilka dni, jak nie tygodni temu. Odruchowo zaczął wypatrywać wzywających pomocy rozbitków, ale szybko z tego zrezygnował. To nie miało sensu. Gdyby kogoś znalazł, z pewnością czułby się w obowiązku, żeby pomóc - a rozkazy były jasne. W takiej sytuacji jedyne, co mógłby zabrać ze sobą, to poczucie winy, że zostawił kogoś na pewną śmierć.

Bąble powietrza znów eksplodowały na powierzchni. Były naprawdę duże.

- Cholera, chłopaki, trzymajcie się mocno - zawołał Gettner i gwałtownie pochylił Kruka. - Mówię serio. Możemy zaliczyć wodowanie. Nie jest dobrze.

Barber z całej siły poleciał na Doma, a potem wrócił na swoje miejsce i wyrztał na zewnątrz, chcąc zobaczyć, co się dzieje pod nimi.

- Co o tym myślisz, Gill? - spytał.

-To chyba metan. Jeśli znajdziemy się w jego strudze, polecimy w dół jak pieprzony worek cegieł. A jeśli taki bąbel dorwie nas na powierzchni, to pójdziemy na samo dno, Bóg wie gdzie.

-Kurwa - zaklął Barber.

Dom nie miał pojęcia, o czym mówił Gettner. Próbował sobie to wszystko poukładać, ale widok miasta zatopionego w czymś, co przypominało mu morze podczas sztormu, zbytnio go rozpraszał. Im dalej lecieli, tym więcej pojawiało się pęcherzy, a oni coraz mniej wierzyli w to, co działo się pod nimi.

-To nie metan - krzyknął Baird.

-Chcesz, żebym w to wleciał i sprawdził twoją zajebistą teorię, profesorku? Jeśli nie masz racji, to tylko spadniemy i się pozabijamy? To jak, debilu?

Baird zamilkł, a Dom z satysfakcją pomyślał, że ich mechanik wreszcie trafił na kogoś bardziej opryskliwego i wrednego niż on sam.

-Metan uwalnia się z dna morskiego podczas wstrząsów - wyjaśnił Marcus, pochylając się dyskretnie w stronę przyjaciela; nie lubił uchodzić za mądrą, ale w szkole świetnie radził sobie z przedmiotami ścisłymi. - Sprawia, że woda i powietrze stają się rzadsze i wtedy statki toną, a samoloty i helikoptery spadają.

-Zgadza się - potwierdził Damon, cały czas wyglądając na zewnątrz. - Ale ja wciąż twierdzę, że to nie to. Te bąble mają kształt regularnej elipsy, a natura nie tworzy takich kształtów. Sam zobacz.

Kruk znajdował się teraz na wysokości stu pięćdziesięciu metrów nad taflą jeziora - wystarczająco wysoko, aby mieli dobry widok. Baird miał rację: pęcherze wyglą-

dały tak, jakby stworzyła je ludzka ręka, a nie proces geologiczny.

- Okrągłe kaldery - rzucił Barber. - Sześciokątne bazaltowe czopy. Jak widać, natura jednak tworzy regularne kształty, kapralu.

Damon nie odpowiedział i tylko wzruszył ramionami.

-Widziałeś kiedyś osiadanie gruntu w kopalni? Proste krawędzie. O, takie - dowódca załogi przeszył powietrze kantem dłoni.

-Tak jak mówiłem: worek z ceglami - powiedział Gettner. - Zrobił pan wystarczająco dużo zdjęć, panie obserwatorze?

-Nie - warknął Baird. - Ale pewnie nie zrobi pan kolejnej rundki, prawda?

-Ażebyś wiedział, że nie. Tych ptaszków nie da się niczym zastąpić.

Fenix włączył swoje radio.

-Anya, tu Delta - powiedział. - Mam dziwne informacje dla Hoffmana.

-Z przyjemnością mu takie przekażę, Marcus.

- Tollen zamieniło się w jezioro.

-Jak to wygląda? .

- Tak jak jezioro. Nic tylko woda. Całe miasto jest za topione.

Stroud zamilkła, jakby zastanawiała się nad słowami, które usłyszała.

- Niezły numer - odezwała się po chwili. - Na bank Hoffman będzie w szoku. Bez odbioru.

Barber, Baird i Fenix znów wyglądali przez otwarte drzwi kabiny, chcąc sprawdzić, jak wielki obszar jeziora zajmuje dziwne zjawisko. Ich twarze były posępne.

-Możliwe, że jest na to jakieś wytłumaczenie - powiedział Dom. - Planeta cały czas się zmienia, tak? Aktywność sejsmiczna, zmiana pogody, topniejące lodowce i inne takie...

-Sranie w banie - wszedł mu w słowo Damon. - Znów wraca. To znaczy Szarańcza. Nie mam pojęcia, kurwa, jak tego dokonała, ale wierzcie mi, że wraca.

Dom spojrział na Marcusa. Podobnie jak jego przyjaciel, zawsze ogromnie cenił intuicję Bairda. Fakt, że nie był geniuszem, a jego inteligencja nie odbiegała od poziomu zwykłego sprytnego łobuza, ale nie raz już udowodnił, że ma prawdziwy dar, jeśli chodzi o wyciąganie właściwych wniosków nawet w najdziwniejszych sytuacjach. Zwłaszcza w takich.

-Może to jakiś nowy, długoterminowy plan na wykurzenie ludzi z ich terenów? - zastanawiał się Barber. - Jeśli po wybuchu bomby lightmassowej ich produkcja broni siadła, są skazani tylko na takie metody.

-Zaraz, to nie jest zalane miasto... - Baird zaczął szybko rysować coś w notesie z pozaginanymi rogami, a potem pokazał wszystkim szkic topograficzny terenu w Tollen. -Ono się zapadło i zatoneło. Spójrzcie, na jakiej wysokości jest ziemia dookoła niego.

-Popieprzyło cię, wiesz? - powiedział Barber.

-Szarańcza nie jest taka jak my. Nie myśli naszymi kategoriami. Nawet nie wiemy, czego tak naprawdę chce -mówił mechanik, a Dom wiedział, że zna się na rzeczy, bo traktuje te stwory jak kolejne maszyny, które można rozłożyć na części i zrozumieć ich działanie. - W wojnie zawsze chodzi o coś więcej niż tylko o zabijanie się nawzajem. Musimy tylko odkryć, co to takiego jest.

-I ty to zrobisz, choć naukowcy nie mogą... - zakpił z niego Barber.

- Głupie dupki - wymamrotał Damon. - Nie byli w sta nie znaleźć odpowiedzi przez czternaście lat. Wybaczcie, ale bardziej ufam sobie niż im.

W kabinie zapadło długie milczenie i słychać było jedynie miarowy, głośny stukot rotorów. Kruk brzmiał całkiem inaczej, gdy siedziało się wewnątrz. Santiago patrzył, jak jezioro powoli staje się małym, jaśniejącym punktem, a po chwili w ogóle znika. Znow widział pod sobą las karłowatych drzew i polany z ludzkimi osadami. A potem zarysy budynków ich enklawy.

-Czy Trutnie mogą utonąć? - zapytał.

-A potrafią pływać? - odpowiedział pytaniem na pytanie Fenix.

Dom mógł się tylko modlić, żeby nie potrafiły.

Zerknął jeszcze raz na Marcusa, który skrzyżował ręce na piersi, zamknął oczy i wyglądał, jakby drzemał. Ale on dobrze wiedział, że jego przyjaciel wcale nie przysypiał, tylko rozmyślał o czymś, o czym nigdy nie chciał rozmawiać.

Myśłami znow powędrował do Marii. W duchu przekonywał się, że nie było jej w tym mieście, kiedy zalała je powódź. Że cały czas żyła. I że kiedyś jeszcze ją odnajdzie. Całą i zdrową.

Wiedział to.